

TOM CCLXXIII.

De II 1

ROK 69.

SERYA 9.71

ZESZYT 819.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

M A R Z E C.

1909.

TOM I.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OSTATNIE STROFY POEMATU „PAN BALCER W BRAZYLII,— przez <i>Maryę Konopnicką</i>	421
2. KOŚCIÓŁ KATOLICKI POD RZĄDAMI KATARZYNY II,—przez <i>Macieja Loreta</i>	434
3. STELLA (powieść)—przez <i>Antoniego Gawińskiego</i>	460
4. IGNACY POTOCKI,—przez <i>Br. Dembińskiego</i>	480
5. PLEMIONA PIERWOTNE WSCHODNIEJ SUMATRY,—przez <i>K. Stołyhucę</i>	501
6. ARCHIWUM FILOMATÓW,—przez <i>J. Kallenbacha</i>	513
7. RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	522
8. BOSFOR I DARDANELLE.—przez <i>Br. Bouffalla</i>	537
9. DZIAŁALNOŚĆ PAŃSTWOWA WOBEC POTRZEB KRÓLESTWA POLSKIEGO,—przez <i>Wł. Grabskiego</i>	566
10. PIŚMIENNICTWO:	
IGNACY KRASICKI: „Satyry i Listy,—przez <i>H. M.</i>	600
DR. L. KOLANKOWSKI: „Kościół a Cerkiew w Galicyi wschodniej,— przez <i>H. M.</i>	601
DR. HELENA LANDAU: „Zarys ekonomii społecznej,—przez <i>W. Dunina</i>	602
WERNER SOMBART: „Socjalizm i ruch społeczny,—przez <i>W. D.</i>	605
STANISŁAW OSADA: „W Duiach Nędzy i Zbrodni.—przez <i>Izę Pobóg</i>	607
11. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Obrona ziemi.—Ze stosunków polsko-litewskich w dyecezyi wileń- skiej.—Towarzystwo emigracyjne.—Kółka rolnicze im. Staszica.—Projektowane wystawy przemysłu krajowego	613
12. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Konstanty Górski i ś. p. Teodor Dunin,—przez <i>Z. D.</i>	626
13. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	629

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 2.



De II 1

OSTATNIE STROFY

poematu „Pan Balcer w Brazylii.“

.....

Lecz Roch już wołał: — Słyszcie! Wielkie dziwy!
A Bandys wrzecz mu: — Okrutne odmiany!
Jako więc kiedy na podmokłe niwy,
Ostatnich śniegów w piórach mając piany,
Lecą i klekot puszczają gwarliwy
Powracające z wód ciepłych bociany,
Tak one chłopcy niesły się we wrzawie
Takiej, żem nie mógł rozeznąć nic prawie.

Dopieroć kiedy przestąpili proga,
Przycichło. Tak my ścisnęli prawice,
Oni zaś wtóre pochwalili Boga.
Starszy — personat! Kapota w pętlice,
Wąs po sapersku przycięty, twarz sroga,
W głębokie bruzdy, w mroki, w łyskawice.
Siadł, ręce zaparł. — Interes tu taki —
Rzecz:—A które tu są Podlasiaki?

Bo my tu do nich.—Hurnem się ozwały
Głosy z gromady: — My od Sokołowa!
My z Międzyrzecza! My od Krzny! My z Biały!
My z Łomaz! — Podniósł brwi, patrzy bez słowa.

— Ludzie kochane! Toż tam się świat cały
Odwrócił! Wschodzi gwiazda Chrystusowa
Nad one ziemie, nad bory i rzeki...
Trzymajcież, coby nie zgasła na wieki!

Poszło gromadą szerokie westchnienie,
Wzniosły się ręce, przychyliły głowy,
Jak kiedy we mszy dzwonią podniesienie.
Jeszcze nie całkiem miarkują tej mowy,
Alić po żyłach już ogień się żenie,
Już przez pierś leci dech jakiś rodowy
Od ziem dalekich, że odzew dać muszą...
Już ci tu ciałem tylko, a tam — duszą.

Sciśli się w kupę, prą zbliżka gdzie ława,
Na której siedli owi wędrownicy.
Na palcach idzie stróżliwy Żurawa
Ku drzwiom, wyciąga tej kościstej grdycy,
Zakłada skobla i chwilę przystawa
Nasłuchujący pogwarów ulicy...
Iż — choć te kraje wolne są dla wiary
Wszelakiej, przestrach pozostał mu stary.

Aż ów: — To wyszło teraz takie prawo,
Że gdzie narodu naszego jest siła,
Gdzie my, uniaty, trzymamy się ławą,
Wiara ma dawna być, jako w pierw była,
Więc tam urzędy liczą krechę krwawą
Te dusze, co je męka naznaczyła...
Dociągną? Dobrze. Nie? Już nam do szczytu
Ginać, bez wiary i bez sakramentu!

Buchnął jęk na to, zachwiały się głowy,
Jak gdy wiatr mocny po boru uderzy.
— Bez sakramentu... — szmer idzie surowy.
Bez chrztu... Laboga! Bez onych paciorky
Przy konającym... — Tu prędkimi słowy:
— Nie dać! — Roch krzyknie i pięścią zamierzy.
A wtem Żurawa: — A cicho!... Usłyszą...
I znowu izba obniosła się ciszą.

Więc ów: — Półroku, narody kochane,
 Po tych tu światach chodzimy z tą nowiną.
 Zeszliśmy Arjes, zeszliśmy Parane,
 Wszędzie het, gdzie te okręty dopłyną,
 Abo dowiozą wozy. To gdzie stane,
 O Podlasiaki pytam. A niech ino
 Wiatr ich od Buga, od Liwca obleci,
 Zaraz się trzęsą isć — do matki — dzieci...

Tu mu się złamał głos. A wtem go w mowie
 Przebił ów drugi: — My tu nie od siebie.
 My tu przychodzimy, podlascy posłowie,
 Od krzyża, co się pokazał na niebie,
 Gdzie bożą mękę zrabano w Wirowie...
 My tu od kości tych, co je wiatr grzebie
 W piasku, na pustce... Od dzwonów, co biją
 W chmurach nad niemi, na Zdrowaś Maryją...

Tu ów w kapocie: — Do księdza Błahoty
 Był list, z parachfi, co ją tam ostawił.
 To krzyżem leżał, od leż cały złoty,
 I tej godzinie życia błogostawił.
 — Wyszliśmy — wołał — żelaznemi wroty,
 Lecz teraz Chrystus skrzydła nam przyprawił,
 Polecim wszyscy, a liczby domierzym!
 — Tak nam dopomóż Bóg! — Tu się uderzym

W piersi kułakiem, że ściany odgrzmiały,
 Zaczem się cicho stało i tajemno.
 A noc już późna szła i gwiazdy tłały,
 Żłotemi sztyki bodząc modrość ciemną.
 Od tchów żarliwych chwiał się u powały
 Ogień. Tak my gromadą przyziemną
 Posiedli, jak te pierwsze chrześcijany...
 Aż rzecze ony, płótnianką odziany:

... Słychać, borami wracają kościoły
 Wygnane... Każdy idzie w swoją stronę.
 Słychać, że już są zmówione anioły,
 Co między lipy postawią zielone.

W Grannem, nad Bugiem, gdzie teraz plac goły,
Cerkiewkę naszą... Jej tramy spalone
Do dziś tam leżą nad rzeką, na piasku...
W dzień czarne, nocą gorzeją od blasku.

To mają zacząć zaraz po niesporze,
A na świtanie ma stanąć gotowo,
Że dach na krokwiach już, obświecą zorze.
Tu baby klasną i zachwieją głową:
— A robotniczki-ż kochane! A—boże!
A cóż? Poradzą! Tą paniezusową
Mocą! Poradzą, moiście! A czego!—
Aż ów dobędzie głosu przycichłego:

— Słyszać, gdzie dusz się do liczby pokaże
Dosyć, tam same grać zaczną organy,
A dzwony same bić będą we Farze...
Święci z obrazów poschodzą, ze ściany,
I w ławkach siędą przed wielkie ołtarze...
A zaś Jan święty, orłami porwany
W niebo, odprawi tę pierwszą mszę polską,
Co ma prorocką być i apostołską.

Tu starszy machnął ręką: At, gadanie!
Będzie, nie będzie, jak Bóg da! Obaczym...
A to-ci pewne, że gdzie dziś nas stanie
Dwa sta na onych sto, tam się zahaczym
O tę ojczyznę, na—nieoderwanie.
Nie staniem, liczbą głów się nie wyznaczym,
Przepadło! Pójdziem i z ciałem i z duszą...
Tu urwie, bo go chłopcy nagle zgłuszą.

— Nieprawda! Co wy?... Nieprawda! My duszy
Nijakiem światem na zgubę nie damy!
Skały ukruszy, a nas nie ukruszy.
Tu nie o frachę, o wieczność tu gramy.
Wtem Roch Zatrata srogo się napuszy,
Jakby za wszystkich obstawać miał samy,
Piers naprzód poda, zamarszczy u czoła,
Podniesie rękę w górę i zawoła:

— Dalej! Spisujta! Bugaj z Modlenicy
Z żoną Barbarą. Ślub brali w Krakowie
W onym kościele, co ma od ulicy
Mur, a na murze święci patronowie
Stoją. Kos Marcin. Ot, tej tam dziewczycy
Ociec. A w puszczy ostało mu w rowie
Trojgo, zginionych śmiercią na bąbele.
Wszystko ochrzczone w boru, nie w kościele.

Bandys z Włodawy, Piotr. Pięć morgów ziemi
Ostawił, duszę ratując w honorze.
Ze sierotami uciekał drobnemi
Przez Bremę, miasto niemieckie, za morze.
Pomarły. W wapno ciśnięte z inszemi
Z baraku, w onym dziecińskim pomorze...
A to Jagnieszka, żona ślubna. Milczy,
Iż ślub był w boru brany. Był ślub wilczy.

Lis Marcin, z Kodnia szewc. Opłacał z dzieci
Po ćwierci stówki, coby nie wpisane
Ostały. Aż-ci urodził się trzeci...
Nie było co dać, strażniki pijane,
Ledwo świt, jeden z papierami leci...
Tak matka trzasła głowinę o ścianę—
I trup. To kryli w bagnach się, jak dziki,
Coś przez pół roku. Zaś—do Ameryki.

Jędrzej Drozd, wdowiec. Magda Mnich, żeniata,
Jak mogą, żyją we dwojgo do kupy.
Mąż w orenburskim stepie się kołata,
To nie poradzą na to i biskupy.
— Horodziej!—nagle zakrzyknie Zatrata.
Tak Kos:—A cóż to? Zliczacie i trupy?
A ów:—Zliczamy! Mogiła ta wstanie
I pójdzie świadczyć na ziemi wołanie!

Już wy nie bójta się! Trafi do pola.
A co? To będę tylko za żywota
Trzymał swą wiarę? A po śmierci—hola!
To na cóż taka zdała się robota?

Mnie jedna prawda jest i jedna wola,
 Czym żyw, czym nie żyw! A Pan Bóg też kota
 W worku nie będzie kupał! Jeno spyta:
 — A ktoś-ty, chłopie, jest? Tak ja:—Unita!

Unita jestem, Najwyższy Panie,
 W drewnianej cerkwi chrzcony przez parocha,
 A prędej Bug się nawróci i stanie,
 Niż ja z tej wiary popuszczę choć trocha!
 (—A bo i prędej!—hukną Podlasianie,
 Gęsto dokoła ciżbiący się Rocha.)
 A niech w to miejsce nikt mnie nie trunie,
 Bo padnie, jako po jasnym pierunie!—

Zawrzało. Wszyscy popuścili garła,
 Nie bacząc na nic. Daremnie Żurawa
 — Cicho!—woła. Tak się już rozdarła
 Dusza w narodzie, że milczeć—nie sprawa.
 Zbyt długo ona tajemność ich żarła,
 A w każdym serdciu była rana krwawa,
 Co się nie dała schować pod sukmaną...
 Tak się rozkryli, świecący tą raną.

Lecz ów w kapocie:—Ludzie kochające!
 Nie o to idzie rzecz! Nie o to chodzi!
 Tu potrza, coby stanęły tysiące,
 Które ocean dziś od braci grodzi...
 My tu nie liczym dusz. My tutaj gońce...
 A kogo ziemia ta nadbużna rodzi,
 Niechaj się czuje do niej! Niechaj bieży
 Ratować, onej niebogiej macierzy!

Z Ajros, z Parany, setkami już wali
 Podlasie. Będzie luda do tysiąca...
 Już my tu jeden okręt zwerbowali,
 Co na warsztatach stoi od miesiąca.
 Rozkałatany, prawda, lecz się fali
 Nie złąknie jeszcze, moja kochająca
 Gromado! Można zawierzyć mu głowę...
 Zaś karta płaci na nim—przez połowę.

Tak ja:—A tuście trafili nam w sedno,
 Waszmoście moi! To niema już o co...
 My tu wyrobkiem... Marnie żyjem, biedno,
 A o powrocie myślím dniem i nocą.
 Nic nas nie trzyma tu, tylko więc jedno:
 Czy spłacić statek będzie naszą mocą?
 A jak w połowę karta, to i dobra!—
 Tu Bandys trzosa obrócił przez ziobra.

Dźwiękło. Wysypał. Liczym. Popierw głowy
 Palcem rachować jął Żuk. Był w liczeniu
 Majster. Poradził zagajec bukowy,
 Choćby dwa morgi, zliczyć na korzeniu
 Okiem, bez chyby. Umknie mu jakowy
 Buczek, w Myszyńcu, abo i w Zieleniu,
 Za insze,—jeno temi brwiami ruszy,
 Już go ma, już mu się nie zawieruszy.

Stoim. Nikt nie śmie poruszyć się krokiem
 W ciźbie, żeby zaś nie zmylić rachuby.
 Wszyscy, wstrzymując dech, utkwionym wzrokiem
 Patrzym w wzniesioną rękę, w palec gruby,
 Sękaty Żuka. A ów, rysiem okiem
 Po jednej bierze głowy, jak we śruby,
 I siwe wąsy zjeżywszy na gębie
 Pomrukiem liczy, jak dęby w porębie.

Aż krzyknie:—Trzy i czterdzieście jest luda!
 Nie setka-ć, prawda, a zawsze tej miary
 Podeprzem! Zawsze zratować się uda
 Co nieco onej polskiej mszy u Fary...
 A wtem, przed inszych wyjdzie Jędrzej Gruda
 I rzecze:—Mnie ta nie liczyć... ja stary...
 Mnie ta dziś, jutro... Tutaj go chrzypota
 Chwyci, i jak tym suchym krzem szamota.

Odpoczał, westchnie:—To gdzież mnie w te światy,
 W te wielgowody puszczać się, w te chlusty?
 Tak wy mnie w registr nie wpisujcie, braty!
 Tu żywot konał będę... Barak pusty,

Dacie mi kapciuch tutuniu czubaty,
 Cohym se kurzył... Ostały i chusty
 Po nieboszczycy... Zaściele se łoże
 Pieknie, i tak doumrę w ręce boże...

— A co ta na mnie padnie, między młodsze
 Rozdzielić! Niech-ta!—Tu odgarnie z twarzy
 Długie, opadłe włosy, czoło otrze
 Z potu, i wzrokiem gasnącym zajarzy.
 Tak insi:—Co wy, Jędrzeju? Co, kmotrze?
 Bez żywej duszy, bez ognia, bez warzy
 Ostać się chceta?—I zaraz go chwycą
 Między się. A on:—Ja ta... z nieboszczycą!—

Lecz Bandys kładzie kupki. Baby, chłopcy,
 Porówno, a zaś przez połowę—dzieci.
 Pourastały grosza godne kopy,
 Aż się to w oczach srebrzy, złoci, świeci.
 — No, macie wasze żniwo... wasze snopy!
 Rzekę. A Bugaj:—Wiera mi! Co trzeci
 Waści się patrzy, mój panie Balcerze!
 — Trzecizna!—hukną insi!—Niech waść bierze!

Gruchli my śmiechem. A Bugaj:—Prócz żartu!
 Coby nam bez was była za porada?
 Wy, kowal, toście z nas dobyli hartu!
 Jużby się w bagno rozciekła gromada,
 By nie wasz rozum, co dodał jej wartu,
 Że, jako rzeka płynie, gdzie jej nada...
 Wiadomo, w mieście jak płacą rzemiosła,
 A was—do portu z nami dusza niesła!

— Toć wy, jak ociec nam!...—Rozwarł ramiona,
 Chwycili my się w uścisku za bary,
 Że cała izba stała roztrzęsiona
 W dygotach szłochu...

...Tymczasem świt szary
 Zasrebrniał. Już te różane wrzeciona
 Świetlistą ciągną przędź, już te kotary,
 Ponabijane gwiazdami mgławemi,
 Rozsuwają się i dzień czynią ziemi.

A tu-by trzeba farb, a i malarza,
Coby utrafił ono wnijsie słońca.
Jako się pierwsza wypłomienia zarza
Z morskich czeluści, u świata gdzieś końca,
Jak się nateża, w moc rośnie, rozjarza,
Jak piórm trzęsie w tęczach gorzejaca,
Aż na skrzydliskach ze szczerego złota
Wzbije się słońca ptak i ogniem miota.

Tak my wypadli na świat kupą całą,
Jakby skapani w szumiącej kąpieli
Onego zdroja, co młodość wracało.
Na amen—zbytych nędz my zapomnieli.
A tu nam hejnał radosny już grało
Wybuchające słońce z wód topieli,
A morze szło nam łaskawie pod nogi,
Setną w nas siłę czując, i duch srogi.

Okręt my widzieć szli. Warowny jeszcze
Był statek. Sterczał teraz na pomoście
Warsztatu, w szruby chwycony i w kleszcze,
Co go trzymały do kupy i proście.
Znać, że go burze biły, prały deszcze,
Że nim targały wichrów nawałności,
Lecz nam się wydał, jako więc ta arka
W potopie. Nikto nie gani, nie sarka.

Trzy dni nie przeszły, a w porcie zawrzało
Od kup podlaskich, co ciągly ze świata,
Statkiem a wozem, jak kogo tam stało.
A nie tak ona czereda skrzydlata
Powrotnych ptaków, gdy słońce dogrzało,
Ciągnie, i z dechem wiatrowym polata,
Jako ten naród przez lądy, przez wody
Ciągnął, za onym podmuchem swobody.

Małomówiący lud był i ponury.
Znać zaznał złego moc, zaparł się w sobie
I milczał. A gdy odezwał się który,
To jakby żywą ranę miał w wątrobie.

Znać, że na niego waliły się góry
 Że był skrzywdzony w wszelakim sposobie,
 Zaś teraz nosił pochyło te bary,
 Jako ten ziemny proch, zdeptany, szary.

Były tam oczy, jako lodu bryły,
 Były tam twarze, jako młotem kute,
 Serca krwią zasze i tętniące żyły,
 Pięście zatwardłe w młot, i słowa lute.
 Był naród, który dobył z siebie siły
 Śmiertelnej, wydał swą najwyższą nutę,
 Że z wszystkich piersi bił, skroś grubej koży,
 Ochfiarowany duch, baranek boży.

Jak cicho przyszli, tak cicho posiedli
 Na brzeg, podobni onej siwej trzodzie.
 Niewiasty śniade, by szyszki na jedli,
 Drobne, zawięte były w swej urodzie.
 Ogniów nie kładli, poswarków nie wiedli,
 O suchym chlebie trwając i o wodzie.
 Jeśli w nas pęd był, to w nich moc i trwanie,
 Z za Buga byli, sami Zabuzanie.

.....

Czyli ja tutaj będę wypisował
 Dni tych godziny, a godzin momenta,
 Jako nad morzem lud ten noclegował,
 Patrząc w gwiazdy, czekając okręta?
 Nie! Mrok i światło — wszystko się na pował
 Zmąciło we mnie, iż duch nie pamięta
 Tych chwil podrobnych, a tylko się miota
 Górą, nad wielkim zawrotem żywota.

Bo cóż to było, jak nie sądne roki,
 Ono praśnięcie we świat tyła ludu?
 Ono wyrwanie, jak dęba z opoki,
 Tego, co zaprzął mechem swego trudu?
 Trzaśta-ci szyba na widok szeroki,
 Na one boże sprawy, pełne cudu,
 Aż nam się chata zatrzęsa u węgła,
 Ale nas życia moc w swój ruch zaprzęgła.

Dawno szli insi w tułacze krainy,
 Tęskności, gdzie się miłowanie rodzi...
 Był duch osobny, z osobnej przyczyny,
 Co ich na czarnej wyprawował łodzi.
 Lecz wtem bić jęły nagłące godziny,
 (Iż to tam zegar boży różnie chodzi),
 Tak już nie było co czekać w tej porze,
 I do pół Polski runęło za morze.

Gruchnął się naród o tę cudzą ziemię,
 Jak więc o kamień, co mu łba rozkrwawił,
 I wnet w tej rany brudę padło siemię
 Inszego życia, niż to, co ostawił.
 Wzeszła ruń, wstało nowe jakieś plemię,
 W którym się wolny duch nagle wyjawił,
 Uderzył w pióra, i z onych zaświeci,
 Przyodmieniony przez moc nową — leci.

.
 Ranek był czysty. Powietrze się samo
 W ruch bystry niosło i woniało wiosną:
 Gdy my ruszyli ona jasną bramą
 Nadziei, co ma poźłociste krosno
 I świat przetyka różnowzórą lamą,
 A duszę czyni mocną i radosną...
 W parę ruszyli, jak na świętą wojnę:
 Wzniesione głowy, a lico spokojne.

Bo też to była prawa krucjata,
 Co o niej brat książdz powiadał w Krakowie,
 Gdy się porwali do wychodu świata,
 W słońce poranne bijący orłowie...
 A zaś, nie bacząc, czy zysk im, czy strata,
 Ruszyli wszelkiej nacyi narodowie,
 Odbijać Pański grób tureckiej mocy,
 A krzyż przed nimi szedł we dnie i w nocy.

Dość było pojrzeć po naszej gromadzie,
 By poznać ona zaprzysięgłość ducha,
 Co pieczęć swoją gorzejącą kładzie,
 Gdzie zpierwa była tylko glina krucha.

Cóż nam stać mogło teraz na zawadzie,
 Gdy z każdej piersi żywy ogień bucha,
 A naród, przez te tułackie odmiany,
 Jakoby wyrósł z tej siwej sukmany.

Jakaś dostojność, jakowaś powaga,
 Jakaś zaduma wybiła na lica.
 Jakaś się w duszy ociężyła waga:
 Za syna czuł się naród, za dziedzica.
 Żaden szmat lepszych przywdziać się nie wzdraga,
 By to nie była luźna ruchawica,
 Ale pod liczbę oddane i miarę
 Głowy, ojczyźnie miłej na ofiarę.

Tak my szli, tak my kroczyli przed siebie
 W górności naszych dusz i naszej sprawy.
 A ono morze ledwo się kolebie,
 Ledwo że po niem wiatr chodzi ruchawy,
 Poszeptujący, iż nas nie zagrziebie,
 Gdy plusną z nami korabiowe nawy...
 A jak szeroko i jako daleko,
 Błękit nas cichą ogarnął opieką.

.

Hej, żegnajcież nam wy, wody i lądy,
 Wy niezbrodzone puszcze, i wy, góry!
 Pobrałyście z nas śmiertelne przysady,
 Że my do waszej wtargnęli natury,
 Lud polny, co ma nad zbożami rządy...
 Żegnajcież bracia, gdzie tam legnął który!
 Niechże choć wasze radują się kości,
 Gromado polska, pod słońcem wolności.

I ty mi żegnaj, najmilejszy kwiecie,
 Com białość twoją zamknął w czarnym grobie!
 Choćbym po całym obnosił je świecie,
 Serce się moje ostanie przy tobie...
 Dość. Niech łza twarda oczu mi nie gniecie,
 Trza dolę znosić w kowalskim sposobie.
 — Wtem strzał. Odhukło setnie dookoła,
 Znak, że ocean czeka już, że woła.

.

...Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza,
 Coś z pierwородnej zrodziła nas gliny.
 Idziem do ciebie, rzesza twoja ptasza,
 Powracające do gniazd twoich syny!
 Niechaj nas dola, jak październik, rozprasza,
 Krzykniesz? — wnet twoje zbiorą się drużyny.
 Przez imię twoje, na twoje wołanie,
 Lud wierny zawsze u boku ci stanie!

Idziem do ciebie, ziemio, matko miła,
 By upaść czołem na twoje zaproże...
 Nie jeno liczba my, ale i siła,
 Nie jeno pług my, co łany twe orze,
 Ale i piorun, co Bóg go posyła,
 By walił bory o spróchniałej korze...
 Nie jeno proch my, za wiatrem co lata,
 Ale i bary dźwignące pół świata.

...Młotami walić będziem w twojej kuźni,
 Sochę w rozświtach krajać twe zagony,
 Aż ci się pęto u szyje rozluźni,
 Aż żar się w tobie rozjarzy tajony...
 A niech nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
 Że nie masz synów dla twojej obrony,
 Na śmierć i życie oto ci oddana
 Podlaska dusza... Podlaska sukmana...

Serdca się nasze pod stopy twe ścielą
 Polsko, jaką cię nie widały duchy!
 Ty wyjdiesz—srebrna, łez naszych kapielą
 Wymyta, strojna w zbóż twoich ranituchy...
 Pola się twoje wiosną rozweselą
 Ludów! Ty pójdiesz w słoneczne wybuchy.
 Z bładości onych zórz, co już tlą w niebie...

...Idziemy, matko! Idziemy do ciebie!

MARYA KONOPNICKA.

KOŚCIÓŁ KATOLICKI

pod rządami Katarzyny II-ej

(w dobie pierwszego podziału 1772 — 1773).

Katarzyna II, wyraziwszy ogólne zasady organizacyjne nowych prowincyj, nie omieszczała podkreślić dwu głównych punktów wytycznych swojej polityki kościelnej: rzekomej tolerancji religijnej, której przyjaciółka Voltaira w swych ukazach nie mogła pomijać milczeniem, oraz ekspansywnych zadań prawosławia na zachodnich rubieżach imperyum. Z chwilą przyjęcia przysięgi wiernopoddańczej od blisko miliona ludności katolickiej, nasuwała się sama przez się nieodzowna konieczność jaknajrychlejszego uporządkowania kwestyi kościelnej. W tym względzie miała Katarzyna dwie drogi do wyboru, albo działania w porozumieniu z głową kościoła, zaczem okazałaby się potrzeba bezpośredniego zezkania się z kuryą rzymską, albo w myśl podporządkowania nowych terytoryów przewodniej idei ustawodawczego ujednostajnienia cesarstwa, wystrzegać się wszelkiego zbliżenia do Rzymu, a ustrój kościoła katolickiego uzależnić w całej pełni od własnej monarszej inicjatywy i władzy. Logicznem następstwem racyi stanu Piotra W. dla dziedziczki jego zamysłów otwierało się pole działalności w tym drugim wyłącznie kierunku. Zrozumiałem będzie, iż zanim w Petersburgu powzięto ostateczny program szczegółowego postępowania i organizacji spraw kościoła katolickiego, musiały ważyć się u dworu rozmaite w tym względzie projekty. Jednym z najwcześniejszych, a najwięcej odpowiadających ugodowemu załatwieniu sprawy między kuryą a gabinetem petersburskim, był memoriał hr. Salderna, świeżo wracającego z poste-

runku poselskiego w Warszawie, który tem samem mógł być uważany za kompetentnego, bo bezpośrednio o stosunkach poinformowanego wnioskodawcę.

Kasper Saldern, jeden z najbrutalniejszych prokonsulów rosyjskich w Warszawie, następca łagodnego w stosunku doń Wołkońskiego, którego nazywał „starą babą,“ twierdząc, że nie chce być jego sukcesorem, rodem Holsztyńczyk, kształcił się w Niemczech. W pogoni za karierą przybył w r. 1751 do Petersburga na dwór W. Ks. zarazem ks. holsztyńsko-gothorskiego Piotra Fiodorowicza. Po wstąpieniu na tron Piotra, używany był przez niego Saldern, naówczas już wpływowy radca stanu, w sprawach holsztyńskich. W początkach 1766 r. zatrzymał się w przejeździe do Kopenhagi po raz pierwszy przelotnie w Warszawie, skąd raportował Paninowi swoje uwagi o ówczesnych wypadkach w Polsce. Niedługo przybędzie tu na stałe. W dalszej podróży wstąpił do Berlina, celem pozyskania Fryderyka II dla paninowskiego „północnego systemu,“ jednakże bez skutku. Wróciwszy po ukończeniu kwesty holsztyńskiej do Petersburga, zajął wybitne miejsce w kollegium spraw zagranicznych, co mu dało możność dzielenia się wiadomościami o sprawach bieżącej polityki zagranicznej z ówczesnym posłem angielskim w Petersburgu, lordem Cathartem. Czynił to nie tylko dla pieniędzy, ale dla nieposkromienia chełpliwego języka. Brał zresztą od wszystkich, zarówno od Anglii, jak od Prus, od St. Augusta i od Czartoryskich. Był nadto zarozumiałcem i megalomanem. Wyprawiony został przez Panina do Warszawy w myśli pacyfikacyjnej, dla uniknięcia podziału, do którego w tej formie, jak to proponował Fryderyk i jak go w następstwie uskutecznił, Panin starał się niedopuszczyć. W sprawie polskiej, bronił, jak wiadomo, Panin wszystkimi siłami pozycyi Piotra W.—zaboru całości Rzpltej bez współuczestników. W instrukcyi z 16 marca 1771 r. zalecał Panin Saldernowi połączyć Polskę, jako unię patriotyczną i pacyfikować kraj, ¹⁾ wbrew planom Fryderyka II. W Warszawie stanął Saldern w połowie kwietnia 1771 r. Zrazu szedł drogą łagodności, rzecz zasługująca na podkreślenie. W tym duchu wydaje 14 maja pierwszą swą deklaracyę amnestyjną. Na królu wymógł zobowiązanie pisemne (16/V), że we wszystkim radzić się będzie cesarzowej, że nie będzie bez niej nagradzał, ani też rozdawał wa-

¹⁾ Sbornik XCVII str. 216 sq. Instr. dla Salderna; l. e. str. 332 sq. Panin do Salderna; str. 341 sq. Panin do Salderna.

kansów lub starostw. Niebawem w postępowaniu Salderna zaszła gruntowna zmiana. Była ona bezpośrednio następstwem wieści odebranych z Petersburga. W czerwcu (22-go), poinformowany przez Panina, że Fryderyk II wziął górę nad Newą i podział jest nieunikniony, przerzucił się w ostateczność, stał się skrajnie gwałtownym i odtąd grał rolę raczej prowokatora. Patrzyła nań teraz Warszawa, jak na szalonego, któremu dano miecz w ręce. Groził, że każe palić, wieszać, niszczyć. Plótl głupstwa i grubiaństwa wszystkim: królowi, Czartoryskim, senatorom, konfederatom i t. d. ¹⁾ W październiku 1771 r. prosił już o odwołanie, oburzony, że tak ważną sprawę, jak podział, rozstrzygnięto bez jego współudziału. W styczniu 1772 r. ponowił prośbę o odwołanie. Jednakże dopiero we wrześniu 1772 r. wyjechał z Warszawy, dokąd Katarzyna wysłała Stackelberga, który w przeciwstawieniu do Salderna miał być owym „homme du monde,” jaki w obecnych warunkach po awanturycznym Saldernie potrzebny był w Polsce dla pozyskania zaufania i przyjaźni Polaków. Wróciwszy do Petersburga, zaczął kopać dołki pod Stackelbergiem. Razem z hr. Czernyszewem, generał-gubernatorem B. Rusi, forsował na posterunek warszawski w charakterze ambasadora Iwana Czernyszewa. Chcąc grać pierwsze skrzypce, intrygował przeciw Paninowi, którego działalność ministeryalną jeszcze z Warszawy krytykował. Stracił zaufanie Panina i ostatecznie złamał kark na projekcie wprowadzenia Pawła, jako współregenta. Katarzyna nie dostała Salderna w ręce. Pozbawiła go tylko urzędów.

W początkach listopada (9-go) przedstawił Saldern swoje poglądy na sprawę kościelną Czernyszewowi. Ze względu na to, że greko-katolicy (unicy) w nowo nabytych prowincjach mieli swoją hierarchię duchowną i naczelnika w osobie arcybiskupa połockiego Smogorzewskiego, zwraca Saldern w swym memoryale uwagę rządu przedewszystkiem na kościół rzymsko-katolicki. Zostawiając wyższemu rozstrzygnięciu zakres kompetencji terytorjalnej przyszłego katolickiego pasterza, jak nie mniej organizację wewnętrzną archidiecezyi, był Saldern za wysunięciem arcybiskupa rzymsko-katolickiego na czoło hierarchii kościelnej obu obrządków w zabranych prowincjach i tem samem za nadaniem mu władzy jurysdykcyjnej nad episkopatem grecko-unickim. Wszelka ingerencya arcybiskupa w sprawy niekościelne miała być wzbro-

¹⁾ Kraszewski: Polska 3-eh rozbiór. I, str. 48 sq.; Theiner IV relacye Duriniego.

nioną. Nie naruszając zawisłości jego w sprawach kościelnych od Rzymu i zarazem podkreślając uznanie tego stosunku jako nieodzowny warunek kanonicznej prawowitości jego władzy episkopalnej, domagał się specjalnego, przysięgą stwierdzonego zobowiązania, że arcybiskup zależności tej nie będzie nigdy nadużywał na szkodę państwa. Tak więc sprawę organizacji kościoła katolickiego w Rosyi pragnął Saldern rozwiązać pod postacią archidyecezyi zwierzchniczej nad obu obrządkami katolickimi, przy czem stawał na gruncie prawa kanonicznego nietylko dla względów polityki kościelnej ogólnego znaczenia, lecz także kierując się lokalnymi wskazaniami, celem zwrócenia młodszych linii rodów szlacheckich, zgodnie z dotychczasowym zwyczajem, w kadry krajowej hierarchii kościelnej. W końcu określał szczegółowo warunki materialne przyszłego arcybiskupa i kapituły. Dla tej naszkicowanej przez siebie formy nowej organizacji kościelnej spodziewał się Saldern uzyskać zatwierdzenie Rzymu, gdyby Katarzyna zechciała przeprowadzić ją w drodze dyplomatycznych negocyacyj z kuryą. Inny nakoniec sposób urzeczywistnienia powyższego projektu, z pominięciem bezpośredniego nawiązania stosunków z Rzymem, a w przeczuciu niechęci Katarzyny do Watykanu, miał w odwodzie Saldern. Sądził mianowicie, iż będzie można porozumieć się z jednym z kanoników wileńskich i skłonić go do wyjazdu do Rzymu celem wyświęcenia na arcybiskupa in partibus, poczem możnaby go zamianować arcybiskupem rosyjskim. Jak połowicznym i pozbawionem wszelkiej konsekwencji byłoby takie załatwienie sprawy, nie trzeba chyba szczegółowo wyluszczać. Było ono i pozostać musiało bezprzedmiotowem błakaniem się pośród niedających pogodzić się sprzeczności. Kandydatem, którego Saldern przeznaczał na to wybitne stanowisko był Stanisław Bohusz Siestrzencewicz. Z nim to porozumiał się już był Saldern w Wilnie, w drodze powrotnej do Petersburga. Saldernowi zatem przypisać należy przedewszystkiem wyniesienie tej w późniejszych losach kościoła katolickiego w Rosyi tak osławionej osobistości. Memoriał swój złożył Saldern hr. Czernyszewowi, który od siebie zaopatrzwszy uwagami, wręczył go cesarzowej. Odpowiednie adnotacye Czernyszewa, omawiające cerkiew prawosławną, mogą być pominięte. W przeciwieństwie do memoriału Salderna, łączącego obydwie obrządki pod wspólną władzą zwierzchniczą arcybiskupa łacińskiego, hr. Czernyszew występował z propozycją odrębnego zakresu jurysdykcyjnego zarówno dla katolików łacińskich, jak dla unitów. Tych ostatnich oddawał pod wyłączną władzę Smogorzewskiego. Nie mniej wyraźnie

formułował już zakres kompetencji jurysdykcyjnej przyszłego biskupa rzymsko-katolickiego (nie jak Saldern arcybiskupa), którego władza, zdaniem Czernyszewa, rozciągać się winna nietylko na nowy zabór, ale także na całe imperyum rosyjskie. Nowemu biskupowi przeznaczał pensję w wysokości 10 tysięcy rubli, oprócz zwykłych dochodów, płynących z biskupstwa, którego rezydencją miał być Petersburg. Najwyższą władzą administracyjną i apelacyjną dla obu obrządków miało być, według Czernyszewa, petersburskie justickolegium inflancko-estońsko-finlandzkie, dotychczasowa magistratura dla spraw kościelnych katolików rosyjskich według ukazu z 12 lutego 1769 r.

Jako krytyka projektu Salderna ukazał się z innej strony bezimienny memoriał, wypracowany prawdopodobnie przez tajnego radcę Tiepłowa, któremu Katarzyna poleciła także referat sprawy kościelnej. Pod formą uwag do pomienionego memoriału b. posła w Warszawie, dał tutaj bezimienny autor niedwuznaczny wyraz zasadzie ekspansywnej polityki prawosławia. Przedewszystkiem podkreślił niebezpieczeństwo, wynikające z ewentualnej kanonicznej organizacyi arcybiskupstwa z kapitułą i kanonikami. Znając już z doświadczenia konwersyjną dążność katolików in partibus infidelium, co autor z przekąsem uwydatnia, obawia się on, że kapituła, jako legalna korporacya, rozwijałaby w tym kierunku gorliwą działalność z całą bezwzględnością na zgubę prawosławia. Dowodem tego miała być utrata na rzecz unii około 300 cerkwi prawosławnych w połockiej archidiecezyi w ciągu lat kilkunastu. W tym celu, dla usunięcia raz na zawsze niebezpieczeństwa, grożącego prawosławiu od korporacyi, jaką przedstawia kapituła, godził się autor memoriału tylko na przydanie, mającemu być zamianowanym arcybiskupowi, jedynie konsystorza, złożonego z kilku członków, w przekonaniu, że arcybiskupa, odpowiedzialnego przed rządem za swoje czynności, łatwiej można pociągnąć do odpowiedzialności, aniżeli całą kapitułę. Wywody niniejszego memoriału motywował nadto argument, iż zgoła nie należy wzmacniać hierarchii kościelnej katolickiej, lecz owszem dać jej odczuć, że panującą religią jest prawosławie, a wtedy będzie się można spodziewać, że zbłąkane owieczki powrócą niebawem na łono prawosławnej cerkwi. Nawet tak ważny względ lokalny, jakim w memoriale Salderna było pozyskanie młodzi szlacheckiej drogą wyższych godności kościelnych uchyla bezimienny wnioskodawca, przeznaczając tę młodzież do karyery dworskiej.

Wielce charakterystycznym wreszcie objawem niepewności, jaka w pierwszych miesiącach po aneksyi ciążyła zarówno na społeczeństwie polskiem na B. Rusi, jak nad wyczekującymi zmian organami kuryalnymi w Warszawie, jest wynurzający się pośród istniej powodzi różnych pomysłów projekt urządzenia kościoła katolickiego na B. Rusi na modłę rosyjską, kościoła narodowego, przez zupełne oderwanie go od stolicy apostolskiej. Podajemy ten projekt na podstawie niewydanej korespondencji nuncjusza warszawskiego Garampiego z kardynałem sekretarzem stanu Pallavicinim. W cyfrze z dn. 10 lutego 1773 r. donosi nuncyusz, nie bez oburzenia, o rozmowie, którą miał z biskupem kujawskim, późniejszym prymasem Rzpltej, Antonim Ostrowskim. Temu to biskupowi miano zaofiarować w imieniu rządu rosyjskiego nowo powstać mające biskupstwo łańskie w Rosyi z 40 tysiącami rubli pensyi, z warunkiem zupełnej niezawisłości od Rzymu. Cała dotychczasowa hierarchia i podział na dyecezye miał być wobec tego unicestwiony. Wszelki stosunek z głową kościoła uchylony. Ryga wyniesiona jako stolica nowego wszechrosyjskiego biskupstwa. Mimo świetnej perspektywy nie przyjął tej propozycji Ostrowski. Czuł, że przełknąć ją przyszłoby mu trudno bez zadławienia. W te pędy jednakże przywdziewa skórę kuszonego, a czulego o swą owczarnię pasterza i śpieszy do nuncjusza wyspowiadać się w najgłębszej tajemnicy (*in sommo arcano*) z bluźnierczej oferty, zrzucić gniojące brzemię pokusy i za jednym zachodem zasłużyć się około wiary św. i stolicy apostolskiej.¹⁾ Wprawdzie autentyczność i wiarogodność wzmiankowanej oferty wydałoby się mogła podejrzana i jakby ad hoc spreparowaną przez biskupa Ostrowskiego, jak wiadomo aż nazbyt obciążonego wobec opinii publicznej i odpowiedzialności własnego sumienia, mimo to jednak stanowczo przypuszczać można, iż istniały kombinacje i mogły zjawiać się podobne propozycye, których ośrodkiem było założenie biskupstwa w Rydze. Przemawiają za tem jeszcze inne dane, zawarte w listach, które dochodziły w tym samym czasie drogą pośrednią nuncjusza Garampiego z Rygi od tamecznego ks. katolickiego Folkmana i przynosiły echa podobnych pogłosek.²⁾

Wzmiankowany projekt organizacyjny Salderna z uwagami Czernyszewa był przedmiotem dyskusyi w Radzie Państwa na po-

¹⁾ Arch. wat. Nunz. Pol. 312, str. 78 sq., Garampi do Pallaviciniego 10/II 1773 r.

²⁾ Arch. wat. Nunz. Pol., 312 l. c.

siedzeniu z dn. 22 listopada i został z niektórymi poprawkami narazie aprobowany. Nie odpowiadał przecież w takiej postaci wskazaniom polityki kościelnej Katarzyny, która ukazem z dnia 14 grudnia 1772 r. rozwiązała kwestyę kościelną na swój samodzielny, a zarazem godzący wszystkie wspomniane projekty sposób. Mocą powyższego ukazu, przyszedł biskup katolicki, który niebawem miał być mianowany, otrzymał władzę nad duchowieństwem i katolikami w całej Rosyi i w jej wykonywaniu miał się stosować do regulaminu, wydanego w 1769 r. dla gminy katolickiej w Petersburgu. Tego samego regulaminu trzymać się miał także arcybiskup połocki unicki Smogorzewski, którego władza, podobnie jak biskupa rzymsko-katolickiego, miała odtąd rozciągać się na wszystkie kościoły, klasztory i wiernych unickich w cesarstwie. Obu pasterzom przydano do boku nie kapitułę, ale konsystorz, złożony z 2 albo najwyżej 3 asesorów, mianowanych przez nich, według własnych zapatrywań, z pośród podwładnego duchowieństwa. Sustentacyę arcybiskupa unickiego pozostawiono w dotychczasowym stanie. Podobnie utrzymanie przyszłego biskupa katolickiego określono narazie prowizorycznie, na podstawie praktykowanego dotąd systemu, t. j. miał je narazie pobierać z kanonij wileńskich, położonych obecnie w granicach kordonu, z dóbr duchownych i opłat duchowieństwa. Przepis ten uregulowano w rok później w ukazie nominacyjnym Siestrzencewicza z dnia 22 listopada 1773 r. Z kolei zawierał niniejszy ukaz grudniowy surowe przepisy i ostrzeżenia, skierowane do duchowieństwa obu obrządków, przed ewentualnemi dążnościami konwersyjnymi na szkodę prawosławia. Nakoniec dobitnie zastrzegał prawo monarszego *placet* przy ogłaszaniu bull lub jakichkolwiek poleceń papieskich i wogóle kościelnych, które uprzednio, za pośrednictwem gubernatorów, miały być przedstawiane na ręce Katarzyny. Drogą apelacyjną w sprawach administracyjno-kościelnych oraz w sprawach, „dotyczących zarządu i dobrego porządku“ w klasztorach i parafiach, miało być w pierwszej instancyi petersburskie *justice-kollegium*, w drugiej zaś senat. ¹⁾

*

*

*

¹⁾ Połn. Sobr. Zak., XIX, № 13,922; Theimer Neueste Zustände. Doc. № 70, str. 224 sq.

Z porządku rzeczy wyjaśnić należy, jak wobec tych postanowień i wkraczania Katarzyny w sprawy ściśle związane z autorytetem głowy kościoła, zachowała się kurya rzymska i jej powołani do akcji przedstawiciele. Na posterunek warszawski, podówczas wielce obciążony odpowiedzialnością w dyplomacyi papieskiej, wysłał Klemens XIV, po odwołaniu nuncjusza Duriniego, Józefa Garampiego, jednego z najzdolniejszych kuryalistów, później nuncjusza w Wiedniu, w dobie najsilniejszej fali józefinizmu, nakoniec kardynała (1785). Z gruntownem historycznem przygotowaniem, nie bez danych o przeszłości kraju i ludzi, wśród których miał stanać, wyjeżdżał Garampi do Polski, wyrwany z pośród swych ulubionych zajęć archiwalnych wołą Klemensa XIV, wbrew własnym chęciom. Archiwum i biblioteka watykańska dostarczyły mu w tym względzie nauczających wiadomości i wskazówek. Pochodził z Rimini, gdzie pod wpływem luminarza ówczesnej wiedzy włoskiej, wszechstronnie ukształconego d-ra J. Bianchego, rozwinął bogato uzdolniony umysł i wytworny smak estetyczny. Powołanie duchowne, umiłowanie nauki skierowało go do Rzymu, gdzie wkrótce zabłysnął w papieskiej akademii, zyskując uznanie i poparcie Benedykta XIV. Rozprawa: „*De nummo argenteo Benedicti III*“ otwarła przed nim podwoje i pierwsze godności skarbnicy watykańskich zbiorów. Niebawem otrzymał Garampi urząd prefekta archiwum watykańskiego. Jego prefektura posiada przełomowe wprost znaczenie dla archiwum. Praca i trud niezmordowany, na jaki nie zdobył się żaden z jego poprzedników, wydały dla archiwum ogromne rezultaty. Jego indeksy na długo jeszcze stanowiąc będą główną linię oryentacyjną w zbiorach watykańskich. Specyalne zasługi położył Garampi jako bibliograf przez swój: „*Index rerum praecipue ecclesiasticarum Regni Poloniae, Magni Duc. Lithuaniae.*“ W r. 1761 wydelegowany został na mający się odbyć kongres w Augsburgu, jako przedstawiciel kuryi. Mimo, iż we właściwej misyi nie mógł rozwinąć działalności z tej prostej przyczyny, że wspomniany kongres nie doszedł do skutku, jednakże kilkumiesięczny pobyt w Niemczech wydał w rezultacie praktyczne owoce tak dla Garampiego, jak i dla kuryi. Delegat jej poznał gruntownie prądy religijne i naukowe w Niemczech, przypatrzył się dokładnie stosunkom mało znanym ówczesnym kuryalistom, z boleścią spostrzegł, jak z każdym dniem wśród tamtejszej ludności przywiązanie do stolicy apostolskiej i duch jedności religijnej słabł i zatracił się. Garampi wyrobił sobie ostry bardzo naogół, nie mniej jednakże prawdziwy sąd o Niemczech i Niemcach, a bogate doświadczenie

i projektu zwalczania zła na drodze naukowej pod postacią poważnych, teologicznych i apologetycznych wydawnictw, złożył kuryi do zastosowania w praktyce i zyskał zasłużone uznanie. Późniejszy, całą duszą oddał się znowu swym ulubionym pracom archiwalnym i naukowym, które wkrótce zabłysnął jako talent literacki, historyczny i filozoficzny. Używano nadto Garampiego do najsubtelniejszych robót dyplomatycznych w sekretaryacie stanu i kongregacjach specjalnych do wygotowywania brewiów, depesz, instrukcyj dla nuncyuszów i t. p. Urzędował stale w owym czasie, jako sekretarz Cyfry (segretario della Cifra). W latach 1767—1768 był sekretarzem kongregacji specjalnej dla spraw polskich, zbierającej się w sekretaryacie stanu dla obrad nad przesileniem dysydenckim. Stolicę apostolską reprezentował w Warszawie od sierpnia 1772 r. do maja 1776. ¹⁾ Później objął nuncyaturę w Wiedniu, dokąd udawał się z największą niechęcią, stęskniony za Rzymem i swojemi pracami. Garampiemu przydany był do boku, jako audytor nuncyatury, M-gr Caleppi, „bystry, przebiegły i wielki komplementysta,“ posiadał „talent negocjowania.“ ²⁾ Towarzyszył on Garampiemu także do Wiednia. Pod koniec pontyfikatu Piusa VI stanął Caleppi w rządzie najwybitniejszych dyplomatów kuryalnych, prowadził w r. 1797 pertraktacje pokojowe z generałem Bonaparte.

W przejeździe do Warszawy zatrzymał się Garampi w Wiedniu, gdzie między innymi miał poruszyć u dworu wiedeńskiego zagrożone interesa kościoła i katolicyzmu w Polsce.³⁾ Nie wdając się narazie w bliższe szczegóły tej pierwszej jego misji nad Dunajem, którą przy innej sposobności w związku z ogólnym stanowiskiem kuryi wobec pierwszego podziału Polski przedstawiemy, przejdziemy od razu do wyświetlenia roli, jaka przypadła Garampiemu w sprawie organizacyi kościoła na B. Rusi.

Z kanonicznego charakteru kwestyi wypadało spodziewać się nieodzownie, że organizacya kościelna tak znacznego odłamu krajów katolickich będzie owocem zgodnego współdziałania i wzajemnego porozumienia na drodze dyplomatycznej dwu bezpośrednio w równej mierze zainteresowanych czynników, t. j. dworu petersburskiego i Watykańu. W rzeczywistości, jak już zzna-

¹⁾ Por. u Moroniego pod Garampi; Dengel: Garampis polit. u. kirchl. Tätigkeit in Deutschland 1761—1763; H. Schlitter: „Die Reise d. Papstes Pius VI nach Wien“; Bibl. warsz. 1905, Dwaj nuncyusze w Warszawie.

²⁾ Pam. Engeströma, str. 23.

³⁾ Bibl. warsz. 1905 t. c.

czono, zgoła inaczej rozstrzygnęła Katarzyna. W takim stanie rzeczy rola nuncjusza warszawskiego musiała ograniczyć się do zajęcia pozycji wyczekującej a czujnej. Czujność ta wskazana zresztą była przez samą naturę zbliżających się wypadków warszawskich. Garampi przybył do stolicy Polski w czas najgorętszy. Było to już po konwencji podziałowej trzech mocarstw z 25 lipca 1772 r. Każde z nich wchodziło w posiadanie faktyczne nowych terytoriów. W Warszawie nastąpiła właśnie w tym czasie, t. j. we wrześniu, zmiana w obsadzie poselstwa rosyjskiego. Ustupający Saldern zdawał sobie dokładnie sprawę z niepośledniej wagi, jaką przynosił z sobą nowy dla cesarstwa czynnik kościelno-polityczny. Hołdując, jak to z jego memoriału poznaliśmy, ugodowym w tym wypadku, a dla cesarstwa, zdaniem jego, najbardziej korzystnym zasadom, nie zaniedbywał widać sposobności i skrętnie informował się o stanie kwestyi kościelnej na B. Rusi. Garampi nie miał możności nawiązania z nim bliższego stosunku, tak pożądanego dlań ze względów wywiadowczych. W cennym dyaryuszu ¹⁾ nuncjusza z tych czasów znajdujemy zaledwie kilka etykietalnych uwag o osobie i odjeździe rosyjskiego posła. Nie przeczuwał snać Garampi, że właśnie Saldern będzie w Petersburgu pierwszym doradcą, którego szkic posłuży za punkt wyjścia i podstawę ostatecznego ukształtowania nowego porządku w rzeczach kościelnych, że to on właśnie poda sposób, jak można z zachowaniem pozorów obejść prawo kanoniczne i pominąć autorytet stolicy apostolskiej przy obsadzie nowego biskupstwa. Ogółem wzięwszy, brak informacji oraz wyczucia tego w sferach interesowanych warszawskich, na co się zanosi w miarodajnych kołach petersburskich, poczytaćby można za ujemną stronę działalności nuncyatury, gdyby rzeczywiste trudności rozpoczęcia jakichkolwiek układów z Katarzyną nie przemawiały za zmniejszeniem w tej mierze odpowiedzialności Garampiego, który tym sposobem znalazł się już wobec faktów dokonanych. Jedną z głównych niewiadomych była między innymi dla Garampiego zapadła w Petersburgu decyzja co do przyszłego biskupa. Miał nim zostać Siostrzencewicz.

Stanisław Bohusz Siostrzencewicz ²⁾ w chwili, kiedy wystąpił na szerszą widownię, był już w sile męskiego wieku. Za so-

1) Archiw. wat. Fondo Garampi 69, str. 288.

2) Por. Dziennik Siostrzencewicza, doprowadzony do r. 1754, przepisany z rękopisu przez Al. Weryhę-Darowskiego. Rkp. Ossolineum 2159; ks. Szan-

bę miał 42 lat życia wietrznego, burzliwego, jakby wyjętego z romansu, przed sobą jeszcze 53 lat działalności szkodliwej, a nawet zgubnej na posterunku wyjątkowo odpowiedzialnym, jakim była godność biskupa, później arcybiskupa i metropolity wszystkich w Rosyi katolików łacińskich. Z tego tytułu nosił on na sobie podwójną odpowiedzialność: kościelną i narodową; kościelną, jako biskup w państwie prawosławnem, uposażony, wbrew woli kuryi, w bardzo obszerny zakres władzy kanonicznej, — narodową, jako pierwszy książę kościoła pod zaborem rosyjskim, którego stanowisko w tamtejszem społeczeństwie polskiem z natury rzeczy było obecnie kierownicze. W obu pomienionych dziedzinach odpowiedzialności publicznej obciążył Siestrzencewicz swoje sumienie w sposób ze wszech miar ujemny, dzięki zaś zupełnie wyjątkowej i zaiste klęskowej długowieczności, rola jego przyniosła dla kościoła i Polski skutki wprost fatalne. Uderzającym w długiem życiu Siestrzencewicza jest samo zestawienie dat urodzin i śmierci: 1731 — 1826. Pierwsza z nich przypada na rządy pierwszego w Polsce Sasa, druga na panowanie cesarza Mikołaja I, działalność zaś publiczna Siestrzencewicza—na panowanie Katarzyny II, Pawła I, Aleksandra I i początki Mikołaja I. Ogromna to przestrzeń czasu. Wypadki, wypełniające ją, same mówią za siebie. Niepodobna jednakże dzisiaj umieścić Siestrzencewicza wyraziście w ramach tej epoki, skoro dzieje kościoła Polski porozbiorowej, które z osobą Siestrzencewicza nierozdzielnie są złączone, zbyt dalekie jeszcze od wszechstronnego naukowego oświecenia, pozostają nadal jedną, niewiadomą, domagającą się jaknajrychlejszego rozwiązania w interesie kościoła i nauki.

Człowiek niezaprzeczenie dużych zdolności, jeszcze większego sprytu i nadzwyczaj rzutkiej orientacyi w stosunkach, obdarzony z natury dobrą pamięcią, która mu ułatwiła nabieranie znacznego zasobu wiadomości, jednakże bez porządku. W tej samej chaotycznej postaci przelał je w następstwie bez metody na papier i bezkrytycznie podał do druku. Charakter nawskroś marny, słaby, a bezgranicznie ambitny i chciwy rządów, gotów na wszystko byle tylko dojść do upragnionego celu, jaknajwięcej skupić w swem ręku wpływów, mózdz rozkazywać, gorączkę wła-

tyr: „Wiadomości do dziejów kościoła w krajach panow. rosyjsk. podległych“; ks. Michał Godlewski: Monumenta ecclesiastica petropolitana I, II; Pamiętniki Józefa Kossowskiego b-pa inflanckiego i in.; Franciew: „Polskoje Sławianowiedienje,“ Praga czeska, 1906.

dzy ugasić i przeciwników swoich pognać. Zdania obcego nie znosił—dla podwładnych był arbitralnym. Zato giętki i przystosowujący się nad wyraz składowanie do zmienionej sytuacji politycznej, usuwał wszystkie przeszkody, jakie mogły stanąć na drodze do jego wyniesienia, bezwzględny posłuchem wobec Katarzyny II i sfer rządowych, serwilizm posuwając do zaprzaństwa. Katarzyna odgadła w nim od pierwszej chwili znakomity materiał na powolnego sługę i narzędzie dla swej polityki kościelnej. Nadawał się on do tego, jak nikt inny, z charakteru i usposobienia i stał się w jej rękach uosobieniem i pierwowzorem tego kierunku, jaki cesarzowa pragnęła zaszczerpić duchowieństwu katolickiemu w Rosji po zaborze B. Rusi. Okaz to tem szczególniejszy, że pierwszy i tak sprytnie do nowych dobrany i przykrojony warunków. Uległość swoją wobec Petersburga, a niekarną i czelną samowolę wobec Rzymu, ujawnioną zaraz w samym początku, zdolny był w następstwie posunąć do otwartej schyzmy, gdyby mu na to okoliczności pozwoliły. Do końca życia miał głowę pełną odszczerpieńczych idei, marzył o zupełnej samodzielności i niezawisłości od stolicy apostolskiej, dlatego ingerencję kuryi w sprawy kościelne w Rosji znosił zawsze z niechęcią i szukał wiecznie dróg, któreby mu umożliwiły rządzić na własną rękę bez Rzymu.

Z kanonika wileńskiego biskup Mallo in partibus, przez Rzym zatwierdzony, samozwańczy biskup białoruski z nominacji Katarzyny i jako taki nigdy przez kuryę nieuznany, arcybiskup mohylewski, niedoszły kardynał, metropolita wszystkich rzymskokatolickich kościołów w Rosji z prawem noszenia purpury, prezydent „Departamentu katolickiego justickollegium,“ nakoniec—po zniesieniu Departamentu — prezydent „Kollegium rzymskokatolickiego,“ komandor orderu św. Andrzeja, św. Anny i św. Włodzimierza I kl., wielkiego krzyża Białego Orła i św. Stanisława, Maltańskiego św. Jana Jerozolimskiego—oto długi szereg godności i tytułów kościelnych i świeckich Siestrzencewicza. W czasie kolejnej zmiany trzech panowań bywał on na wozie i pod wozem, a nawet był blizkim zupełnego rozbicia, by wkrótce potem znowu dzięki swemu szczęściu, cierpliwości i sprytowi, do łask dworskich wrócić. Dodać nadto należy do już wymienionych: tytuły członka honorowego kilku uniwersytetów rosyjskich, Akademii Nauk i Towarzystwa ekonomicznego w Petersburgu, Warszawskiego Przyjaciół Nauk, tudzież rolniczego w Londynie, które dowodnie świadczą o europejskim rozgłosie Siestrzencewicza. Mówił i pisał biegle kilkoma językami, co więcej miał sławę uczonego, w rzeczywistości niezupełnie usprawiedliwioną i niepomiernie przerasta-

jąca jego naukowe zasługi. Dwie główne jego prace historyczne, jedna o Krymie p. t.: „La Tauride,“ napisana dla ks. Potienkina, druga o Sarmatach i początku Słowian p. t.: „Recherches historiques sur l'origine des Sarmates, des Esclavons et des Slaves,“ odsądzoną została przez kompetentnego tych rzeczy sędziego Szafarzyka od wszelkiej naukowej wartości, jako mogąca wzbudzić tylko śmiech i litość, zaś nasz Chodakowski porównał ją ze spalonym lasem, w którym nie można znaleźć ani jednego grzyba. Siegał także Siestrzencewicz po wawrzyny poetyckie, pisząc tragedję p. t.: „Grecya w Tauryce,“ wystawianą często w teatrze prywatnym generał-gubernatora Czernyszewa oraz poemat w 5-iu księgach p. t.: „Król ocalony,“ który prawdopodobnie bez uszczerbku dla języka i literatury polskiej zaginał. Naogół miał Siestrzencewicz tę wadę od wczesnej młodości—jak sam powiada—że „pisał zbyt wiele.“ Pseudo-naukowe prace Siestrzencewicza miały jednakowoż pewien znamieny, wspólny rys — charakterystyczną i tak popularną w dobie Aleksandra I markę słowianofilską. Pragnieniem uczonego metropolity było—jak sam mówi—ujrzeć znowu w państwie Aleksandra I, któremu dzieła swe poświęcał, braterskie związki Słowian, wzajemną ich zgodę i zaufanie. Ta strona uczonych wywodów Siestrzencewicza jest dla nas najciekawszą, gdyż stanowi miarę jego politycznych przekonań i poglądów. Według niej sądząc, był Siestrzencewicz przedewszystkiem panslawistą, a potem dopiero Polakiem, jeśli wogóle pełne poczucie polskości było mu blizkiem, zwłaszcza w drugiej połowie jego życia. „W cieniu najobszerniejszej—pisze on pod adresem Rosyi w przedmowie do pomienionej historii Sarmatów i Słowian—i najgłębszej gałęzi tego wiekowego (słowiańskiego) drzewa, skłaniam dla odpoczynku zmęczoną głowę i zasypiam.“¹⁾

Niektóre znamienne przejścia z pierwszej nieoficyjalnej połowy życia Siestrzencewicza, przed ukazaniem się na arenie publicznej pozostaną zamglone. O ile zaś istnienie ich daje się stwierdzić na podstawie dwustronnych źródeł, o tyle rozmaicie bywają one przedstawiane pod względem towarzyszących im okoliczności i pobudek. Niewiadomo np. dokładnie, kiedy ten arcy-pasterz i metropolita wszystkich katolików w Rosyi przyjął sam katolicyzm? Pochodził z ojca kalwina i matki katoliczki. Ojciec jego, Jan Bohusz Siestrzencewicz, ożeniony z Kornelią Odyńcówną, strażnikówną wilkomierską, był starostą michniewskim. Stani-

¹⁾ Franciew I. c. 67.

sław, drugie z rządu dziecko swych rodziców, urodził się 3 września 1731 r. we wsi Zamkach, województwie nowogródzkim, powiecie wołkowyskim. Podstawy wykształcenia odebrał w szkółce domowej, zwyczajem ówczesnym przenośnej z jednego dworku szlacheckiego do drugiego, wędrującej w wypadku niniejszym od Siestrzencewiczów de sąsiadujących z nimi Konarskich. W trzy-nastym roku życia oddano go do szkół w Kiejdanach, skąd po 2 latach wysłany został zagranicę dla dalszych nauk. Zanim jednakże przybył do Berlina, dokąd go nasamprzód skierowano, postradał całe swoje mienie, okradziony na popasie. Ta niemiła przygoda miała być powodem chwilowej zmiany zamiarów, gdyż skłoniła go, jak sam powiada, do zaciągnięcia się pod znak Marsa. Z kolei więc służył pod ks. Leopoldem Anhalt-Dessau, wziął udział w wojnie sukcesyjnej, ciężko ranny w prawą dłoń, zagrożony utratą ręki i wskutek tego wykreślony z listy, udał się do Berlina z mocnym postanowieniem kształcenia się. Tak opowiada on sam w swoim dzienniku, nie zupełnie zasługującym na wiarę.¹⁾ Aliści według innej wersji zapędziła go w szeregi pruskie nie tyle nieopatrność, co awantura (strwonienie powierzonych przez ojca pieniędzy), która jako błąd młodości zapewne nie plami, ale bądź co bądź świadczy o burzliwym temperamencie Siestrzencewicza i rozbieżności usposobienia z przyszłym duchownym powołaniem. Ta sama wersja głosi, że zranioną rękę wyniósł nie z bitwy, ale z afery pojedynkowej, która go też zmusiła do opuszczenia pruskiej armii. Żołnierki mimo wszystko nie zaniechał jeszcze na stałe i wrócił do niej w następstwie po przyjeździe do Polski, zaciągając się w szeregi gwardyi litewskiej, słynnej z wielkiej liczby oficerów i małej ilości podkomendnych. (Dwa dragony a cztery kapitanowie.) Miał tu dojść do rangi przysłowiowego kapitana. Podobnie nieznane są okoliczności, wśród których zmienił wyznanie. Zrozumiałem jest, że przyszły metropolita unikał zawsze wzmianki, kompromitującej bądź co bądź w oczach gorliwych katolików jego przeszłość i starannie zacierał wszelkie ślady swego kalwińskiego pochodzenia. To też wystarczy zaznaczyć, że akcesorya podawane na ten temat przez ludzi skądinąd wiarygodnych, nie najgorzej ale chaotycznie informujących, są romansowo-anegdotycznej treści.²⁾ Afekt do panny katoliczki, odrzucony z powodu różnicy wiary, miał skłonić Siestrzencewicza do przyjęcia ka-

¹⁾ Rps. Ossolineum, 2159.

²⁾ Szantyr, l. c., 10 sq.

tolicyzmu. Możliwym jest wszakże, iż był katolikiem od dzieciństwa. Sześćcioletni pobyt w Niemczech (w Berlinie i Frankfurcie nad Odrą) dał mu wiele. Wracając do kraju z poszerzonym horyzontem intelektualnym, otarł się i poznał ludzi, nauczył się kilku języków, co w dalszym życiu niezmiernie ułatwiło mu karierę. Karyerowiczem też pozostał całe życie. Ten rys leżał w jego charakterze, przejął go z otoczenia i ducha wychowania, wyrobił go potem i utrwalił w sobie w służbie pańskiej, kiedy zawiśł na czas jakiś u klamki radziwiłłowskiej. W Żyrmunach, w domu Radziwiłła krajczego litewskiego, gdzie dostał się jako nauczyciel jego synów, obiecujący i wymowny zwrócił na siebie uwagę biskupa Massalskiego, który zdecydował o jego losie. Książę biskup w lot odgadnął wartość Sistrzencewicza, ocenił znaczne, jak na owe czasy, wykształcenie, znajomość języków i gładki sposób bycia. Bezwątpienia mógł przedstawić się podówczas Sistrzencewicz Massalskiemu, jako cenny nabytek, godzien, by się nim zająć, zaopiekować i na swoje obrócić usługi. Otworzył więc przed wpatrzonym w biskupie fiolety Sistrzencewiczem widoki na świetną przyszłość, gdyby poszedł za nim, skłonił do studyów teologicznych i obleczenia sukni duchownej i—odtąd go już ze swej nie wypuścił opieki. Nie zastanawiając się wcale nad zadaniami wskazanej mu kapłańskiej służby i osobistem do niej powołaniem (pokolenie ówczesne nie znało zresztą tego rodzaju skrupułów)—S. pospieszył do Warszawy, gdzie niebawem, bo po kilkumiesięcznych studyach teologicznych, otrzymał święcenia kapłańskie (1763 r.). Pod opiekuńczym okiem swego protektora postępował szybko przez niższe godności kościelne ku wileńskiej kanonii, którą otrzymał przy najbliższym wakansie. Massalski, wyjeżdżając po skłóceniu się z kapitułą zagranicę, mianował Sistrzencewicza administratorem dyecezyi, zdając nań cały jej zarząd. Okazał się na tem stanowisku kanonik wileński sprężystym wykonawcą woli ks. biskupa.¹⁾ To też nikogo innego tylko Sistrzencewicza upatrzył Massalski na swego sufragana w mającej odpaść do Rosyi części dyecezyi. W danych okolicznościach jedyny był to sposób reasekuracyi własnej, zapewnienia sobie wpływu na utraconą połąć owczarni, przez wysunięcie na jej czoło swego człowieka. Zdawało się to tem łatwiejszem do skutecznienia, że osoba kandydata spotkała się z aprobatą w miarodajnych sferach w Warsza-

¹⁾ Archiw. wat. Nunz. Pol. Russ. 136, f. 153, Massalski do Klem. XIV, 20/II 1773; Nunz. Pol. 312 Garampi do Pallaviciniego, 3/III 1773.

wie. Saldern był za nim. Nie mniej dobrze był widziany u dworu. Świeżo ozdobiono go orderem św. Stanisława za wymowne, gromiące królobójców kazanie, wygłoszone na urzędzonym w rocznicę napadu na króla nabożeństwie. Stanisław August za pośrednictwem swego sekretarza dla spraw włoskich, kanonika Ghigiottiego, nie omieszkiał polecić Siestrzencewicza względem nuncjusza,¹⁾ zaś przez zastępcę swego w Rzymie, Antyciego, kardynałowi protektorowi Polski, Albaniemu. Wprost już do papieża zwrócił się za Siestrzencewiczem z gorącą prośbą i rekomendacją Massalski, w liście z 20 lutego 1773 r. W nader pochlebnych słowach odzywa się tam biskup o gorliwości i zdolnościach kanonika, których szczególniejsze złożył dowody, jako administrator dyecezyi za jego nieobecności. Z uwagi, iż będąc senatorem Królestwa, zmuszony jest dawać baczenie na bieżące doniosłej wagi sprawy publiczne i skutkiem tego dość często przebywać poza granicami swej rozległej i zewsząd akatolikami otoczonej dyecezyi, prosił biskup o przydanie mu trzeciego sufragana w osobie Siestrzencewicza, tembardziej, iż dwaj pozostali nie są wstanie podolać potrzebom duchownym wiernych. Prosząc o sufraganię, nie wspominał jednakże wcale o predestynowaniu swego kandydata na posterunek zakordonowy, mimo, iż nie mógł nie wiedzieć, iż jeszcze jesienią 1772 r. Saldern, po przybyciu do Petersburga, wytknął już był karierze Siestrzencewicza drogę. Niebawem Klemens XIV dał swoje przyzwolenie i osobiście doniósł o tem Massalskiemu. Nie stało się to oczywiście bez wpływu dworu warszawskiego oraz nuncjusza Garampiego, który, wskazując na wybitną rolę, jaką przypadnie biskupowi wileńskiemu na zbliżającym się Sejmie, kładł nacisk na potrzebę pozyskania sobie w ten sposób Massalskiego.*) Równocześnie polecono Garampiemu z Rzymu rozpocząć proces kanoniczny Siestrzencewicza i zwrócono się doń po bliższe dane i szczegóły z życia kandydata. Już w połowie maja przesłał Garampi kardynałowi protektorowi Polski, Albaniemu, akta procesowe z wnioskiem udzielenia Siestrzencewiczowi dyspensy od doktoratu św. teologii, co ostatecznie podrzędniejszego było znaczenia, oraz dyspensy z powodu pochodzenia z rodziców akatolic-

¹⁾ Archiw. wat. Nunz. Pol. Russ. 136, f. 152, Ghigiotti do Garampiego, 20/II 1773.

^{*)} Archiw. wat. Nunz. Pol. Cifre 312, Garampi do Pallaviciniego, 3/III 1773; Nunz. Pol. Russ. 136, f. 148, Pallavicini do Garampiego, Roma 27/III 1773; tamże f. 149 Pallavicini do Garampiego, Roma 10/IV 1773.

kich.¹⁾ Stało się to wszystko bez zasięgnięcia rady a nawet bez wiedzy kongregacyi de Propaganda Fide i jej prefekta kardynała Castellego, który nie omieszka w następstwie, kiedy osoba Siestrzencewicza zacznie budzić coraz to nowe obawy, wytknąć to nuncyuszowi, zrzucając niejako z siebie odpowiedzialność za skutki tak niepewnego i ryzykownego wyboru.²⁾

Kiedy tak sprawa prekonizacyi Siestrzencewicza, jako sufragana wileńskiego, na podstawie procesu kanonicznego, zbliżała się już ku końcowi, dowiedział się Garampi, dopiero w czerwcu 1773 r. o zamiarach rządu rosyjskiego względem osoby Siestrzencewicza. Zainterpelował więc przedewszystkiem Massalskiego oraz samego kandydata, żądając wyjaśnień. Zakomunikowali mu jasno swój ściśle kanoniczny pogląd na kwestyę, podkreślając, że bez upoważnienia stolicy apostolskiej nie powinna być ona rozstrzygnięta. Równocześnie jednak, obok zapewnień o swej lojalności wobec Rzymu, Siestrzencewicz nie taił przed nuncyuszem trudności, jakie czekają kuryę w pertraktacyach z rządem rosyjskim, a nawet zauważył, że dwór rosyjski bywa nieubłagany w powziętych raz decyzjach. Garampi wszakże w owej chwili zdawał się jeszcze nie tracić wiary w możliwość ustępstw ze strony Katarzyny i główną jego troską była obawa, by Siestrzencewicz nie ustąpił, widząc piętrzące się przeszkody, a jego miejsca nie zajął kto inny, mniej godny i „mniejszych od niego zalet.“³⁾ Stał więc podówczas, jak widzimy, silnie w opinii nuncjusza przyszedł białoruski biskup i to mniemanie ustaliło się o nim w sferach kościelnych na lat kilka.⁴⁾

Niebawem wyjechał Siestrzencewicz z Warszawy do Wilna, gdzie w początku października (1773 r.) otrzymał konsekrację na biskupa Mallo in partibus. Poczem, czyniąc zadość wezwaniu hr. Czernyszewa, podążył do Petersburga i już w początku listopada przedstawił Paninowi swój pierwszy memoriał,⁵⁾ oparty w ogólnych zarysach na instrukcyach, otrzymanych od nuncjusza, bądź też przesłanych mu do Wilna. Memoriał ten zawierał w 3-ch głównych punktach zasadnicze dezyderaty kuryi. Zmierzały one,

1) Nunz. Pol. 312, f. 290 sq. Garampi do Pallaviciniego, 12/V 1773.

2) Nunz. Pol. Russ. 136, f. 165, Castelli do Garampiego, 12/III 1774.

3) Nunz. Pol. 312 p. 383, Garampi do Pallaviciniego, 16/VI 1773.

4) Por. także Nunz. Pol. 308, Garampi do Castellego, 9 VI 1773.

5) Nunz. Pol. 313, f. 431, załącz. do dep. Garampiego do Castellego, 22/XII 1773.

uwzględniając dotychczasowy kościelny stan posiadania: 1) do utworzenia na B. Rusi trzech wikaryatów generalnych, wyszłych z delegacyi trzech biskupów: wileńskiego, inflanckiego i smoleńskiego, oraz ustanowienia jednego biskupstwa in partibus dla całego cesarstwa rosyjskiego. Takiego stanu rzeczy wymagałyby, według słów memoriału, tradycje hierarchii kościelnej, tudzież fizyczna niemożliwość, nastęrczająca się jednemu pasterzowi w nadzorze i administracyi tak olbrzymiej jednostki dyecezyjalnej. Organizacya proponowana nie sprzeciwia się w niczem politycznemu interesowi cesarstwa, bo istniejące przykłady na Ślązku pruskim i Prusiech wschodnich są wymownym precedensem dla faktu, że zmiana granic politycznych nie musi pociągać za sobą nowego porządku dyecezyjalnego. I tak dla ilustracyi wskazał Siestrzenczewicz na prawa jurysdykcyjne biskupa krakowskiego w części Śląska oraz biskupa kujawskiego w Prusach wschodnich. 2) W drugim punkcie wskazuje memoriał na kolizyę prawa kanonicznego z odpowiedniem postanowieniem ukazu z 14 grudnia 1772 r., co do apelacyi do petersburskiego justickolegium od jurysdykcyi biskupiej. Jakikolwiek nastączy musiał porządek rzeczy, odwołanie się duchownych do sądu świeckiego sprzeciwiałoby się wszelkim kanonom. I w tym wypadku okazałaby się wielce zbawienną droga pośrednia, t. j. pozostawienie spraw natury czysto administracyjnej ad hoc kreowanemu u boku biskupa kolegium, złożonemu z jednego duchownego oraz jednego świeckiego przedstawiciela, zaś spraw czysto duchownej natury, wyłącznej jurysdykcyi biskupiej, z odwołaniem się do najbliższego nuncyusza a w dalszej drodze do Rzymu. I tu z kolei wywody powyższe są poparte żywym przykładem kościoła galikańskiego, gdzie władza świecka występuje w sprawach kościelnych tylko w charakterze obrońcy pokrzywdzonych wskutek nadużycia władzy biskupiej, zresztą w niczem nie naruszając strony dogmatycznej. Nakoniec w punkcie 3-cim, podkreślając dogmatyczną zasadniczość prymatu papieża rzymskiego, wyrażał memoriał postulat niekrepowanego komunikowania się kleru z Rzymem, odwoływania się do kuryi oraz swobodnego publikowania rozporządzeń kuryalnych. To ostatnie zwłaszcza żądanie, ze względu na ścisłą, zazdrośnie strzeżoną praktykę monarszego *placet* dworów europejskich, wydać się musiało, zwłaszcza wobec dworu petersburskiego, zbyt wygórowanem i w rzeczy samej spotkało się, jak zresztą cały memoriał, z odmowną odpowiedzią. Taką też odpowiedź zakomunikował Siestrzenczewiczowi tajny radca Tiepłow 12 listopada z rozkazu cesarzowej, zaznaczając lakonicznie, że wywody memoriału sprze-

ciwiają się ad 1) artykułowi trzeciemu, ad 2) artykułowi ósmemu, ad 3) wreszcie, artykułowi dziewiątemu ukazu z 14 grudnia, który Katarzyna uważa za normę przyszłej organizacyi kościelnej.

Nie lepiej powiodło się Siostrzencewiczowi z drugim, w cztery dni później (5/16 listopada 1773 r.) przedstawionym memoriałem,¹⁾ za pośrednictwem tegoż Tieplowa. W zgoła już odmienny uderza tutaj ton biskup in Mallo. Przeświadczony z góry o tem, że wszelkie dalsze zabiegi około urzeczywistnienia zamysłów kurji byłyby bezowocne, prosił o rozstrzygnięcie niektórych kwestyj, nie objętych ani rozporządzeniem 1769, ani ukazem z 1772 r. Najważniejszą była w tym względzie confirmacya papieża, niezbędna do prawowitego wykonywania jurysdykcyi przyszłego biskupa, z której Siostrzencewicz posiadał zaledwie cząstkę drobną mocą delegacyi biskupa Massalskiego nad częścią rosyjską dyecezyi wileńskiej. To też według słów memoriału, gotówby był narazić się raczej na utratę najdroższego dobra, jakim jest dlań poddaństwo J. C. M., aniżeli wykonywać jurysdykcyę biskupią poza udzielonem mu pełnomocnictwem. Przechodząc w następstwie do poruszonej już w pierwszym memoriale sprawy apelacyi do petersburskiego justickolegium zaznacza, że wprawdzie nie może dodać niczego więcej do wyłuszczonej w tym względzie argumentów, na które otrzymał już odpowiedź zwięzłą i niepozostawiającą w swej odmowie żadnych wątpliwości, że jednak mimo to, „całując pokornie ślady pióra, prowadzonego ręką dzierżącą berło,“ ośmiela się ponownie, reasumując swoje wywody, wystąpić z wnioskiem, by sprawy natury duchownej wraz z osobą biskupa mogły podlegać ustalonym instancyom kościelnym, zaś tylko sprawy natury administracyjnej szły drogą, wskazaną artykułem 8-ym ukazu grudniowego 1772 r. Godząc się nakoniec na projekt rządowy jedyne go wszechrosyjskiego biskupstwa, — o czem wszakże zachowuje głuche milczenie w przesłanej Garampiemu kopii memoriału, posuwa się nawet już do propozycyi tytułu nowo mającej powstać dyecezyi, oraz wskazania stolicy biskupiej. Mianowicie biskupstwo to, z rezydencyą w Mohylowie, miało wedle tej propozycyi otrzymać nazwę białoruskiego, wzorowaną na istniejącym zdawna sufraganacie i archidyakonacie tej samej nazwy. Nie pomija też Siostrzencewicz bliższych szczegółów organizacyjnych, oraz sustentacyjnych dla przyszłego biskupstwa, zrzekając się dotychczasowej pensyi i dochodów, płynących z jego urzędu, jako

¹⁾ Numz. Pol. 313, f. 431.

wikaryusza biskupa wileńskiego, pozostawia zaopatrzenie materialne swego stanowiska wspaniałomyślności Katarzyny.

W odpowiedzi na ten memoriał, oświadczył kategorycznie i zwięźle, jak poprzednio, Tiepłow, że po pierwsze o konfirmację papieską powinien Sistrzenczewicz starać się osobiście, po drugie modus apelacji został już dostatecznie i niezmiennie określonym ustawą z 1769 i ukazem grudniowym 1772 r., potrzebie zaś kwestya sustentacyi i rezydencyi rozstrzygniętą zostanie wedle myśli petenta.¹⁾

Końcowym wynikiem tych rokowań, a zarazem ostatecznym rozstrzygnięciem sprawy kościelnej, przeciw któremu kurya na próżno będzie występowała przez 9 lat w następstwie, był ukaz Katarzyny do Czernyszewa z 22 listopada 1773 r., zawierający nominację Sistrzenczewicza na biskupa katolickiego w całej Rosyi, z tytułem „biskupa białoruskiego,“ oznaczenie rezydencyi w Mohylowie, wskazanie źródeł sustentacyi biskupstwa, określenie kompetencyi jego władzy i t. d. Ukaz ten tylko w jednym punkcie odbiegał od wzmiankowanych już postanowień zasadniczego ukazu z 14 grudnia 1772 r., a to co do utrzymania biskupa, które w formie stałej pensyi (10 tysięcy rb.) miał pobierać ze skarbu państwa—podobnie jak duchowieństwo prawosławne w obrębie cesarstwa. Mógł nadto korzystać także z dochodów i opłat kościelnych, przywiązanych do jego urzędu. W zakończeniu omawianego ukazu komunikowała Katarzyna o wydanem poleceniu do senatu sporządzenia fundacyjnego aktu nowego biskupstwa, który 12 maja 1774 r. podany został do publicznej wiadomości.

W ogólnych zarysach był on powtórzeniem i zatwierdzeniem wszystkich poprzednich postanowień, obowiązujących kościoł katolicki w Rosyi.

Osobiście Sistrzenczewicz mógł uważać takie rozwiązanie sprawy za sukces dla siebie. Na wypadek bowiem osiągnięcia dezyderatów kuryi, zgoła skromniejsze otwierałyby się dla jego ambicyi widoki. Godność biskupa białoruskiego z jurysdykcyą nad katolikami całego cesarstwa była daleko ponętniejsza niż problematyczny autorytet biskupa *in partibus*, występującego, jak pragnęła kurya, obok biskupa inflanckiego i generalnych wikaryuszów w charakterze drugorzędnym. To też, gdy Sistrzenczewicz, jak widzieliśmy, w pierwszym memoryale stał jeszcze bez zarzutu na gruncie otrzymanych od Garampiego instrukcyj, w dalszym

¹⁾ Nunz. Pol. 313 l. c.

ciągu swej misyi, wobec nieugiętego stanowiska dworu, z miejsca, bez skrpułów, zawrócił z drogi prawego sługi kościoła, wstępując tym sposobem na kręte tory egoistycznej karyery. Najznamienniejszym dowodem jego dwulicowości i już wtedy występującej pod każdym względem liczej wartości moralnej, jest list do nuncjusza Garampiego, przesłany z Petersburga w tydzień po nominacji na biskupa białoruskiego.¹⁾ Z chytrze udaną nieświadomością tego, co się działo za kulisami i co już się stało dokonany fakt, donosi o swej nominacji na „biskupa katolickich poddanych“ w cesarstwie, zapewniając, że bliższe szczegóły urzędzenia biskupstwa właściwie nie są mu znane i prawdopodobnie przejdą przez ręce samego nuncjusza. W każdym razie prosi o zwolnienie go od czynienia jakichkolwiek uwag, gdyż nie czyni się kompetentnym do ferowania sądu w tym przedmiocie i zadowolnia się satysfakcją wewnętrzną oraz tem przeświadczeniem, że nie do niego w tym wypadku stosować się mogą słowa: „mute canis.“ Załączając do listu kopie wniesionych w Petersburgu memoriałów, oczywiście znacznie okrojonych i ad usum nuncjusza spreparowanych, wyraża w konkluzji nadzieję, że Ojciec św. niezawodnie przyjmie przychylnie ten nowy porządek rzeczy, mogący jedynie położyć koniec okropnościom spowodowanym rozluźnieniem hierarchii kościelnej w cesarstwie i który w tych warunkach dalsze istnienie swoje zawdzięcza mądrości wielkiej Katarzyny.

Jeżeli już list powyższy wskazuje sporą dozę przewrotności Sistrzencewicza, to nie mniej rażąco uwydatnia się dążność do oszukania nuncjusza i kuryi w charakterystycznym pominięciu wszelkich, dotyczących jego osoby, szczegółów drugiego memoriału. I zaiste niewiadomo, co więcej podziwiać, czy giętkość i powolność, z jaką odrazu Sistrzencewicz przystosowywał się do życzeń dworu petersburskiego, czy też zręcznie zamaskowaną czelność, z jaką sobie poczynął wobec kuryi. Stawiając jednocześnie świeczki dwom panom, służył właściwie tylko sobie w nadziei, że wydostawszy jak najprędzej pełnomocnictwa z Rzymu, użyje ich jako atutu w Petersburgu do uzyskania cesarskiego dyplomu — lub też, osiągnąwszy wprawdzie nominację w Petersburgu, zmusi tem samem Rzym do wydania mu facultates, niezbędnych do prawowitego wykonywania jurysdykcyi. Pod tym względem jednakże na razie zawiodły go rachuby. Z jednej strony bowiem odmówiono żądanego dyplomu, każąc mu się zadowolnić odpowiedniem

¹⁾ Nunz. Pol. 313, f. 430, Sistrzencewicz do Garampiego, 1/XII 1773.

postanowieniem organizacyjnego ukazu, z drugiej zaś nuncyusz Garampi cum bona fide przyjął do wiadomości jego raport i w najwinnem przekonaniu, że sprawa znajduje się jeszcze w stadyum, pozwalającym na dalsze negocjacje z Katarzyną, nalegał na Siostrzencewicza w liście z d. 20 grudnia 1773 r., by nie szczędził starań celem nakłonienia dworu petersburskiego do bezpośredniego porozumienia się z kuryą, czy to przez osobnego pełnomocnika w Rzymie, czy też przez jednego z posłów rosyjskich z nuncyuszami. Ojciec św. przychylił się niewątpliwie do spełnienia najdalej idących życzeń dworu, zwłaszcza, jeżeli się upewni, że nowo powstać mające biskupstwo, nie naruszy istniejącego już biskupstwa inflanckiego i nie obejmie całości rozległego imperyum. Zdawało się bowiem Garampiemu rzeczą zgoła niebywałą, by podobny wypadek mógł istnieć, jak z drugiej strony uważał możliwość zniesienia biskupstwa inflanckiego za dotkliwą kościołowi wyrządzoną krzywdę. Cóż jednak - woła z bezradną emfazą—uczynić może Ojciec św. dla sprawy, skoro „nieznane mu są autentycznie dezyderaty cesarzowej.“ To też tem goręcej domagał się bezpośredniego prowadzenia układów, w których upatrywał jedyne ocalenie zagrożonych interesów Kościoła. A wreszcie, nie przypuszczając zgoła, iż Siostrzencewicz otrzymał już formalną nominację, zalecał mu w tymże wspomnianym liście wracać na swój posterunek kościelny, t. j. do rosyjskiej części dycjezyi wileńskiej, dla której posiada już dostateczną delegację z ramienia biskupa Masalskiego i czekać dalszych rozkazów z Rzymu, przyczem w konkluzji zaznaczył, że dycjezya smoleńska w zespoleniu ze wspomnianą częścią wileńskiej byłaby dostatecznym obszarem działalności pasterskiej jednego biskupa, który to obręb miał na myśli, jako przyszły teren działalności Siostrzencewicza.

*

*

*

Nominację swą na biskupa B. Rusi osiągnął nadto Siostrzencewicz dzięki daleko idącym koncesyom w sprawie jezuitów, która właśnie w czasie pobytu Siostrzencewicza w Petersburgu, wystąpiła na czoło całości z organizacją kościoła katolickiego w zaborze rosyjskim związanych spraw. Na dwa tygodnie przed wydaniem ukazu nominacyjnego z 22 listopada 1773 r. zakomuni-

kował Tieplów Czernyszewowi, że przyszły biskup katolicki przed swoją nominacją złożyć musi zapewnienie zupełnie biernego zachowania się w sprawie jezuitów. Takie to zapewnienie, w postaci formalnego, ręką Siestrzencewicza stwierdzonego dokumentu, o którym tenże, jak wogóle o całej swej roli, jaką odegrał w tej drażliwej kwestyi, ani słówkiem nie wspomniał w raportach do Garampiego, dostarczył Czernyszew 19 listopada, a więc niemal w przeddzień wspomnianej nominacji. Obowiązywał się w nim solennie Siestrzencewicz, że ani on, ani podwładne mu duchowieństwo nie będzie czy to w sposób skryty, czy też jawny, pośredni lub bezpośredni uciskało lub wydalalo ojców, którym zostawia się zupełną swobodę imigracyi, osiedlania się i spokojnego, niezemniekrepowanego przebywania na B. Rusi.

Motywy, z których płynęła ta iście wyjątkowa łaska opiekuńcza Katarzyny II, widomej głowy prawosławia, dla zakonu św. Ignacego, są jasne i nie ulegające wątpliwości. Pośród rozbieżnych uczuć, jakie zapanowały w białoruskiem społeczeństwie, jezuitci pierwsi, jawnie i niedwuznacznie stanęli po stronie nowego porządku, pociągając za sobą nie tylko kler, ale także znaczną część ogółu ludności, której byli wychowawcami, pasterzami i spowiednikami. To stanowisko zaznaczyło się, jak już powyżej wspomnieliśmy, przy sposobności składania przysięgi wiernopoddanej i uroczystego obchodu imieniem cesarzowej. Gdy wieść o wydaniu kasacyjnego breve nadeszła do stolicy nadnewskiej, Katarzyna w lot zrozumiała położenie bez wyjścia białoruskich jezuitów, przed którymi otworzyła się alternatywa: albo zupełnej zagłady, albo jedynie możliwego ocalenia z jej łaski. W interesie autokratycznej władczyni, przystępującej z jednej strony do uregulowania stosunku swego państwa do nowych poddanych katolickich, z drugiej znów, mającej na celu wchłonięcie ich pod względem narodowym, leżała wskazówka przeciwdziałania Rzymowi na korzyść i dobro tego poważnego czynnika pośród białoruskiego duchowieństwa, jakim byli i pozostali jezuitci. Zawczasu, bo już 22 września, w odrębnym piśmie do generał-gubernatora Inflant, hr. Browne, przypomniiała Katarzyna wydane jeszcze w ubiegłym roku rozporządzenia, dotyczące ogłaszania bul i wszelkich z kuryi pochodzących pism i stanowczo objawiła, że jezuitci w jej państwie nadal istnieć mogą swobodnie i w nienaruszonym spokoju. „Dla mnie—odzywa się we wspomnianym liście—jezuitci są tylko ludźmi, ludźmi, którzy cierpią i nie mam żadnego powodu do narzekania na nich, owszem jestem bardzo zadowolona z ich zachowania się w białoruskich prowincjach. Jeżeli więc ktokolwiek

z nich zjawi się w obszarze pańskiego zakresu władzy, oświadczyć mu pan, że jezuita znajdują w guberniach białoruskich zupełne bezpieczeństwo osobiste i majątkowe, o czym już dawniej udzieliłam instrukcyj hr. Z. Czernyszewowi, a które właśnie teraz ponownie ściśle przestrzegać poleciłam. (Istotnie hr. Czernyszew na kilka dni przedtem 17 września, pismo podobnej treści wysłał był do gubernatora pskowskiego, Kreczetnikowa.) Gdyby przeto jezuita mieli jakąś sprawę lub prośbę do mnie, niechaj zwróćą się do hr. Czernyszewa a mogą się wtedy spodziewać po mnie humanitarności, która przystoi mi jedynie.⁴ Tym sposobem na przygotowany już osobiście przez Katarzynę teren, w przeciwieństwie do wzburzonej akcją antyjezuicką Europy zachodniej wejdzie niebawem deputacya białoruskich ojców w Petersburgu.

Widzieliśmy uprzednio, jak jezuita umieli obrócić początkową niechęć i nieufność Katarzyny w krótkim przeciągu czasu przez przystosowanie się do zmienionych warunków, pod obuchem grożącej im zagłady, zyskując zrazu względność, w następstwie sympatyę i opiekę, ugruntowaną na realnych korzyściach dla polityki swej protektorki. Nie mniej jednakże wydanie i co więcej stopniowe wykonywanie kasaty na ziemiach Rzpltej, a więc także w bezpośrednim sąsiedztwie białoruskich siedzib zakonu, wywołało piorunujące wrażenie, zwłaszcza między młodszą generacją zakonną i groziło zupełnem rozprzężeniem, nie tylko już dyscypliny, lecz także podstawowych czynników egzystencji. Pojął dobrze to niezwykle trudne położenie i chwilę zaiste hamletowskiego „być albo nie być“ dla zakonu, wiceprowincyał i rektor kolegium połockiego, o. St. Czerniewicz. Przybrawszy do swego boku, dobrze widzianego przez Katarzynę o. Kattenbringa, kaznodzieję z uroczystości imieninowych cesarzowej, obdarzonego przez nią dożywotnią pensją 300 rb., oraz o. Lenkiewicza, towarzyszy z pierwszej swej ekspedycji do Petersburga, wyruszył z początkiem listopada 1773 r. nad Nową, o czym dopiero z drogi w Rydze doniósł nuncyuszowi Garampiemu, usprawiedliwiając zachowanie się jezuitów i zapewniając w wyrazach najpokorniejszych o posłuszeństwie i wierności dla Stolicy św. W Petersburgu życzliwego rzeczownika znaleźli w osobie przyjaciela zakonu hr. Czernyszewa, z którym przez szereg dni tajemnie i długie odbywali narady. Końcowym ich rezultatem był znamienny memoriał deputacyi, w formie listu do cesarzowej, zgola jedyny w swoim rodzaju i zaprawdę bezprzykładny, jako misterny wytwór dyalektyki dyplomatycznej. Brzmiał on jak następuje: „Zawdzięczamy W. C. M. łaskę, iż wolno nam w jej państwach publicznie wyznawać religię

katolicką i publicznie w rzeczach duchownych zachować zawisłość od papieża, który jest widomą głową tej religii. My jezuici, rzymskiego obrządku i wierni poddani W. C. M. upadamy przed najwyższym cesarskim tronem i błagamy W. C. M. na wszystko, co jest świętem, o pozwolenie, abyśmy mogli okazać natychmiastowe i jawne posłuszeństwo naszej władzy, spoczywającej w rzymskim papieżu i mogli wykonać rozkazy, które on wydał celem zniesienia naszego zakonu. Zezwalając na to, by nam ogłoszono kasacyjne breve, wykona W. C. M. tem samym swoją władzę; zaś my, stosując się do tego breve, okażemy się wiernymi poddanymi W. C. M., zezwalającej na jego wykonanie, a równocześnie poddamy się autorytetowi rzymskiego papieża, który nam skutecznienie tego breve nakazuje.“ Innemi słowy ojcowie stwierdzali wprawdzie ostentacyjnie swoje posłuszeństwo dla papieża i znoszącego ich breve, jednocześnie przecie ustanawiali nierozłączne iunctim pomiędzy owem breve a cesarskiem „exequatur“, zapewniwszy sobie, że breve tego „exequatur“ nie uzyska.

Ani słowa. Niczego dodać, niczego ująć z powyższego tekstu niepodobna. Nie wdajemy się na tem miejscu w krytykę legalności czy nielegalności takiego postępku jezuitów ze stanowiska kanonicznych pojęć. To jednak zdaje się być przejrzytem, że taki właśnie krok, po którego zrobieniu decyzya dalszego istnienia zakonu w Rosyi nie leżała już (pozornie) w jego kompetencji, zdejmował z zakonu odpowiedzialność za niepoddanie się wyrokowi papieża i mógł tylko utwierdzić jezuitów w opinii ludności białoruskiej. Obustronna płynęła stąd korzyść: dla cesarzowej i dla zakonu. Dla Katarzyny, która w ten sposób zachowała nadal na usługi państwa i tronu potężny wspólnością interesu związany i wiernie oddany zastęp ludzi o znacznej kulturze umysłowej i erudycji; dla jezuitów, którzy po publicznem złożeniu solennego aktu lojalności i dobrej woli dla kuryi wychodzili czyści i w danej chwili odbierali niezyczelivym możność atakowania ich opartymi na formalnych dowodach zarzutami. Odpowiedź, jaką imieniem cesarzowej dał ojcom hr. Czernyszew, wywiodła ich z tej kłopotliwej kolizyi. „Musicie—powiedziano tam—w rzeczach dogmatycznych słuchać papieża, we wszystkich innych zaś władzę. Widzę jednak, że jesteście skrupulantami; dla rozproszenia więc waszej wątpliwości napiszę do mego posła w Warszawie, aby porozumiał się z tamtejszym nuncyuszem. Papież—dodał hr. Czernyszew, jakby dla uspokojenia wszelkich skrupułów—najbardziej katolicki ze wszystkich katolickich władców nie będzie miał za złe, że w Rosyi są jezuici.“ Zapowiedź ewentualnego nawiązania

stosunków z kuryą służyła tylko za dyplomatyczny i nie obowiązujący zresztą wybieg dla zaokrąglenia powyższej odpowiedzi. W rzeczy samej nie myślano w Petersburgu ani wtedy, ani też długo potem o zbliżeniu się drogą dyplomacyi do Rzymu a co więcej nawet, szczerą w tym względzie inicjatywę kuryi Katarzyna odrzuciła wręcz a limine. Natomiast na swój własny sposób postanowiła urządzić Kościół katolicki w cesarstwie i na ziemiach Polski. Z różnych sobie przedstawionych planów przyjęła i zaaprobowana, jak widzieliśmy, ten, który w sposób najdosadniejszy eliminował wszelką ingerencyę i wpływ Rzymu na kler i wiernych katolickich. Nie zgodnie z uświęconemi postanowieniami prawa kanonicznego, ale wydawanymi ad hoc ukazami kierowała odpychaną przez się gwałtownie od rzymskiego portu łodzią kościelną, przydając jej nad wyraz zręcznie dla swych celów dobrego sternika w osobie smutnej pamięci Siostrzencewicza.

Na ogół, Katarzyna uważała sprawy kościoła katolickiego w Rosyi za czysto wewnętrzne, podporządkowane celom polityki i racyi stanu państwowej i podległe tem samem władzy cywilnej a przede wszystkim własnej woli monarszej. Remonstracye dyplomatyczne kuryi przeciw bezwzględnemu, jednostronnemu rządzeniu się Katarzyny, nie wzięły nadal zgoła żadnego skutku. We wszystkim przyjdzie obecnie stosować się do głosu z Petersburga i godzić się milcząco na to, co postanowi Katarzyna, okupując wielkimi ustępstwami złudną nadzieję mniejszych klęsk w przyszłości. Katarzyna, wierna swej bezwzględnej polityce, okaże się konsekwentną do samego końca i w tym kierunku da przykład trzeciemu ze swych wnuków, który poprowadzi dalej, wreszcie dokona dzieła babki, wzorując się, niemal kopiując odnośne jej rozporządzenia i ukazy.

MACIEJ LORET.

STELLA.

VIII.

Wrześniowy dzień gał powoli nad płaską, rozległą ziemią. Powietrze było zupełnie czyste, a spadły uprzednio deszcz sprawił, że najłżejszy pyłek nie podnosił się z piaszczystej drogi, którą jechał zamysłony dyrektor Klinecki. Niósł go ulubiony, bohaterski Aide-de-Camp, kasztan długi, smukły, czystej krwi Anglik o wspaniałych „chodach.”

Jasny, ledwo dojrzany, splotwiały błękit wyglądał pasami z poza długich, zarumienionych chmur. Dzikie jeżyny, tarki, samopas wyrosła olszynka, czerwieniły się i żółkły po rowach. Ówdzie tuliły się w kępkach białopienne, zadumane brzozy, okryte lekkimi złotymi listkami; wyglądały z sadów, z poza parkanów, z powikłanych opłotków jabłonie syte, wezbrane, obwieszane jeszcze owocem na powspieranych gałęziach.

Klinecki nie lubił jesieni. Przychodziły mu wtedy na myśl smętne refleksye: aczkolwiek zupełnie zdrow, zahartowany i zwinny, jak młodzieniec, nie mógł wybaczyć swoich czterdziestu dwóch lat; widział wszędzie czyhającą starość. Hebanowej czarności włosy i zarost niewiele go pocieszały—oddany przez połowę dnia wyczerpującej pracy w stalowni, przez drugą sportom, ustawicznie ćwiczącym ciało, wyładowywał energię, jakiej czuł jeszcze bardzo wiele i uciekał przed samą myślą o widnie, którego znieść nie mógł. Ciągłe trenowanie się na spacerach pieszych i konnych chroniło go przed tuszą, do czego miał skłonność; ta sztucznie utrzymywana gibkość i wytworność ciała szła zupełnie zgodnie z siłami intelektu i serca, wzbierającemi najzupełniej już na-

turalnie i bez przerwy, jak w najpiękniejszej wiosnie... Przytem były chwile, że dręczyła go samotność. Bardzo młodo stracił żonę, po której została mu córka — obecnie spora już dziewczynka, wychowująca się u krewnych w Szwajcaryi. Tę córeczkę, Joasię, kochał ogromnie, czynił częste, bodaj kilkudniowe wycieczki, żeby ją zobaczyć. Dla rozmaitych przyczyn nie chciał trzymać jej w kraju: słabe zdrowie dziewczynki, ogromne zaufanie do swej siostry (która wyszedłszy za mąż za kolegę po fachu, inżyniera, przezacnego Marka Vignol, mieszkała stale zagranicą), oraz pewne specyalne upodobania szwajcarskie, były powodami, dla których osadził tam, w dalekich górach, swoje jedyne dziecko.

Wspomnienie młodej, wcześniej utraconej żony, było dlań smętnym, ślicznym, drobnym obrazkiem—jak miła miniatura, zamknięta w medalionie, który się zawsze nosi na piersiach.

Zdarzają się ludzie, którzy w takim stanie przechodzą całe życie... Klinecki czuł w sobie zapasy energii do podjęcia większego czynu: jego pozornie oziębłe serce musiało mieć godzinę swej mocy.

Spokojna, wdzięczna jazda przez piękne, ukwiecone łąki i zaciszne gaje nie miała dlań uroku — żywiołami jego był koń rwący, jak wichur, niepewny i zmuszający do walki, droga przez dzikie wyboje, wynijanie ciemnych otchłani w całym napięciu siły i nerwów, gwizd pędu w uszach, szalona pewność swej ręki, swych zwierających się, niezwycięzonych ud i kolan—bój i zwycięstwo!

Upodobanie to wcielał dyrektor Klinecki w życie. Przeżył chłopięcą, najpierwszą młodość, promienne lato, czekając na pierwszą prawdziwą miłość — któraby była jego miłością... Miał niezliczoną ilość romansów bez żadnego znaczenia: jego uroda, siły, temperament, przerzucały go kolejno w objęcia najrozmaitszych kobiet; kulturalny, elegancki, zawsze *correct*, ceniący wysoko konwenans życia, ożenił się wreszcie i był nominalnie szczęśliwy.

Od tego czasu minęło kilkanaście długich, męczących lat. I Klinecki poznał wreszcie kobietę, która otworzyła przed nim olbrzymi świat przestwornego marzenia.

Wtenczas cały dotychczasowy sztuczny i tani pożar codziennych wrażeń, łatwo zdobywanych miłostek—życia dzielonego między dość złudnie intensywną pracę i płytkie, bezwartościowe uciechy, znikł w jednej sekundzie, jak marna, niedbale zdmuchnięta świeca.

Po raz pierwszy w życiu poznał wtedy, co to jest Miłość: cała, niepodzielna, wszechwórcza, niezmożona. Strach przed jesienią zbliżających się lat dodawał bodźca szalowi uczucia, w któ-

re runął jak płonący człowiek w upragnioną niezgruntowaną toń. Teraz walczył z otchłanią, sławiąc rozkosz walki i wyzywając rozkosz zwycięstwa. Znał przecież i kochał tyle kobiet! A jednak uroda tej była czemś tak bardzo i tak boleśnie wyrwanem przed niezgłębionemi falami czasu, w najtajniejszej głębi jego własnego serca, jego nieobjętej i najbardziej skupionej Duszy (którą pobłażliwie szanował, ale w której istnienie nie wierzył), że Klinecki czuł, jak błędnie na samo jej wspomnienie — wszystka krew zbiegała mu wtenczas do serca: bezmiar głuszonych tęsknot całego życia, zamykał się nieodwołalnie i całkowicie w tej nieporównanej, nagle zjawionej i pożądanej nad wszystko.

Ecce Domina! — huczało nawskroś w uginającej się, uragilowej dotąd woli: Klinecki czuł wtenczas, że on, niedbały pogromca, szczęśliwy kondotyer miłosny, gniew się w pokornym lęku i drży z rozkoszy męki. Miłość jego, lekceważona i trzymana zdaleka, stawała się szaleństwem nie do wytrzymania.

Były chwile, że przeklinał tę zawsze „dumną panią,“ że buntował się i zwierzał w piekielnej walce z własnem sercem, które stawało się wytrzymałe na wszelki ból i wszystkie głuche ciosy odbierało z męczeńskim uśmiechem. Ale potem z podwójną siłą wybuchała znowu miłość bezkresna, spiętrzona, jak wszechmiądzająca pierś morza.

I teraz, kiedy wspomniął imię jej i postać — to wszystko, co było tamtą — niedościgłą i nad wszystko drogą; gorąca fala — fala wszechmocnego Ognia przenikała go nawskroś. Nieświadomie dotknęła ostroga gładkiego końskiego boku, Aide-de-Camp poniósł po farysowsku: przelecieli tak prawie całą wiorstę w zapamiętaniu. Ukazała się biegnąca w bok długa wiśniowa aleja — zanikała wśród gęstych zarośli, wysoko wybujałych, zgrupowanych w piękne bukiety drzew ogrodowych. Tamtędy pogalopował teraz jeździec — a minawszy niebawem bramę rozwartą na rozcież, uspokoił Aide-de-Camp'a i zsiadł lekko przed gankiem.

Dom państwa Orszańskich w Jarocinku miał charakter napół wiejskiego dworu — w rzeczywistości był to murowany, zasobny pałacyk wiejski. Z oszklonego przysionka wypadł natychmiast służący, który zajął się koniem — Klinecki zaś, zdjąwszy czapkę z uznojonej głowy, wchodził do wnętrza. Rzucił na stół stik, rękawiczki, biały pół-beret: ocierał czoło chustką, wlepiwszy wzrok w zamknięte środkowe drzwi... Usłyszał poza sobą, od strony bocznego wejścia, spieszące kroki; odwrócił się, jak na sprężynie, wyprostowany, bohaterski, piękny, z sercem chciwem, bijącym jak młot...

Przed nim stała towarzyska wrażeń weneckich, pani Laurka Kraskowska: świeża, uroczą, kwitnąca, z serdecznym uśmiechem na prześlicznych ustach.

Klinecki ochłodził w jednej chwili—po opalonej, ładnej twarzy przeleciał chyży, zhamowany, nieznaczny smutek.

— Cóż za niespodzianka!—mówił już ze zwykłym błyskiem w oczach i konwencyonalną grzecznością.

— Pierwsza usłyszałam galopowanie Aide-de-Camp'a — rodzice są w ogrodzie; właśnie podano kawę... Niechże pan pozwoli...

— Pani z Warszawy, czy z Wierzbinek — na długo?

— Ach, prosto z domu, Miś ma tu po mnie wstąpić, siedzi teraz w Warszawie od kilku dni; są tu rozmaite wielkie projekty, straszne polowania, gonitwy — zobaczy pan!

— Wszystko zobaczę? To już dobrze — dziękuję z góry za policzenie w poczet uczestników tych obiecanych rozkoszy!

— Jakto: sprawy konia i osobistej zrzeczności bez pana, panie Henryku—a to byłoby dobre! Musi pan być królem.

— Królem?! och...

— Ależ tak—w naszej okolicy nikt tak nie jeździ—nikt tak konia nie kocha, nie rozumie rozkoszy jazdy, jak pan. Miś zawsze stawia pana za przykład, unosi się, gdy o tem mówi...

— Ach, doprawdy — jakież dobry jest Miś; niech mi wolno będzie podziękowanie dla męża za jego uznanie złożyć na ręce pani...

Całował wypieszczone podane sobie dłonie, pochyliwszy czarną, odorzająco pachnącą głowę.

— I będzie pan królem...

— A więc dobrze, przyjmuję ofertę plebiscytu: zostanę królem, a jako przyszły władca, mam różne prawa... Primo: niedyskrecya — gdzie jest siostra pani, czy też w ogrodzie? Spodziewałem się ujrzeć zdala na przejażdżce — tymczasem nie.

— Ach, Jola jest obecnie w Warszawie—za kilka dni przyjadą tu z Misiem.

Klinecki przybladł i zgasł.

Szedł teraz za panią Laurką do owego ogrodu już nawskroś inny: czarne brwi zmarszczyły się boleśnie i dziko, oczy patrzyły uparcie w dal, usta przycięte i złe nie mówiły już ani słowa.

Dość daleko od domu, pod cieniem starych, rozłożystych jabłoni ustawiony był stół biało nakryty z przyborami do kawy; siedział już poza nim krągławy, różowy pan Orszański—przy tacy krzątała się sama gospodyni domu, postać niezmiernie miła,

pochylona zabiegliwie o jasnym, niezmiennym uśmiechu na czerstwej, pocziwej twarzy.

Pan Orszański, rozłożywszy ramiona, zdaleka już wołał:

— Witaj-że mi, witaj, panie Henryku dobrodziejju!

Nastąpiły powitania, które pana Henryka dobrodzieja nie rozchmurzyły na jotę.

— Kazałem zrobić sielankę — prawil tymczasem anfitryon, gładząc piękną, wypolerowaną łysinę — z pod lip przeprowadziliśmy się do królestwa Pomony: patrz pan — krasne jabłuszka zaglądnij ci w oczy... Witaj boska Naturo! Aaa — dziękuję ci, kochanie, za kożuszek (ostatnie wyrazy stosowały się do żony), paradna kawuńcia z rączek mamusi dobrodziejki, pożywaj Henryku Walezyuszu, zacny mój gościu — ha, ha, ha!

Pan Orszański był okazale brzydki, jego obszerny nos mógł z powodzeniem gasić świece — gdy się śmiał, oczy ginęły mu w jowialnych szparczkiach, drobniuchne, siwe, przyszczyżone wąsiki ozdabiały szerokie, skłonne do śmiechu usta; okrągły i pulchny podbródek starannie ogolony zakończył oblicze mało klasyczne, ale pełne dobroci. Był to typowy idealista starej daty, wielki amator sielanek, łagodnej, tklivej poezyi i dobrej śmietanki. Klinecki niezmiernie go lubił; jowializmy pana Orszańskiego zdolne go były wydobyć z najgorszego humoru. Tak też było i teraz.

Dyrektor powoli jaśniał.

Tymczasem słońce, znajdujące się tuż nad horyzontem, przebiło chmury i, wydobywszy się pałającą, ognistą kulą, wytrysło snopami promieni, barwiąc gorącą czerwienią cały sad, czubki i pnie drzew — różowiac obrus na stole, zapalając jarzące iskry w zastawie, szklach — srebrze — i źrenicach biesiadników...

— Nie piękniej że u nas — rzekł pan Orszański, wysączając filiżankę — jak tam, za morzami? Widziałaś kiedy, moja Laurko, podobny poemat ciszy, woni, kolorów? U nas najpiękniej.

— Cała natura jest piękna, ale, mój ojczu, morze, morze... Cóż to za cud, taki zachód na wodach weneckich!

— Ii — co prawda na wodach się nie znam, wolę stały, pocziwy ład. Najeździłem się i ja, niech Pan Bóg broni — ale gdziekolwiek byłem: w Szwajcaryi, Francyi, Belgii, na Renie, w Neapolu: wiłem się wprost z tęsknoty za krajem, za naszym polem, borem sinym, strzechą... ot już ciągnęło zawsze człowieka — do sochy!

To „do sochy“ powiedziane było z emfazą postarzałego w trudach rolnika, Klinecki uśmiechał się pobłażliwie, albowiem wiedział doskonale, że „socha“ pana Orszańskiego redukowałą się do

codziennego zapytania: „cóż tam, panie Stefanie, nowego?“ bo takie imię nosił zaufany rządca Jarocinka.

Klinecki przypominał sobie nagle coś i zwróciwszy się do pani Laurki, rzekł:

— Wie pani, przyjechał Adryanek.

— Pan Ordeński, nasz *cicerone*?

— Tak, niema pani pojęcia, jaki spalony, wygląda jak z bronzu, ogromnie wyładniał... Ale bo też całe lato siedzieć we Włoszech.

— Czy powrócił na stałe? Nie odpowiedział nam wcale na tyle kart; obiecał przyjechać do Rzymu—ani się pojawił. Bardzo bym rada go zobaczyć.

— Ach, ja go tu pani przywiozę; teraz ugrzązł w Warszawie, ma tam interesa: spadek odebrał!

I Klinecki parsknął śmiechem.

— Powiadam pani, nie może sobie dać rady z milionami...

Towarzystwo słuchało z zaciekawieniem: rumiały gospodarz wtrącił minochodem:

— Ordeński, pański przyjaciel—to przecież on napisał „Trzy hymny,“ potem „Willa Albani,“ jeszcze coś, a teraz wyszło znów jego, zdaje mi się, w Krakowie, „Bogini morza“—ho, ho, ja młodych czytam—choć oni teraz *piszą*!...

I pan Orszański westchnął, jakby się cały świat walił.

— Tak, to ten sam: Adryanek.

— Ach, panie Henryku dobrodzieju, sprowadź-że go nam prędzej, bardzo lubię poetów!

— Ale przerywasz, duszo kochana, a pan Henryk zaczął mówić o tym spadku—mitygowała męża pani Orszańska.

— Pewnie państwo znali choć ze słyszenia pannę Jastrzębic.

— Tttchie!—prychnął z oburzeniem jowialista staruszek.—Pannę Izabellę—jakże?! W czasie powstania, panie dobrodzieju, nie było dnia... Ho, ho—to była postać, panie... Dzisiaj takich...

— Ależ ona umarła niedawno...—dodała pani Laurka.

— A umarła—ciągnął Klinecki—umarła i wszystko zapisała Ordeńskiemu, który był jej dalekim siostrzeńcem.

— Duży majątek?—zapytał pan Orszański—choć nie sędzę! mój Boże, zacna panna Izabella. Ha, wieczny odpoczynek; wiem wiem—jeździłem przecież na ten pogrzeb; kilku starych jak ja—ot i wszystko. Pche! Pamięć ludzka...

W poczciwych oczach zakręciły się odrazu łzy.

— Ach, to musiał ojciec widzieć i pana Ordeńskiego...

— O nie, Adryana ledwośmy odszukali — depesza wysłana wpieryw leżała we Florencyi tygodnie: poeta zakopał się na jakiejś italskiej wsi, podobno w górach.

— A! — pani Laurka zmarszczyła lekko brwi — tak, zdaje mi się, że pan Ordeński miał tam duże stosunki. Więc staje się bogatym? Cóż za śliczny, powieściowy przypadek.

— A, ogromnie bogaty — śmiał się dyrektor — trochę starych gratów-antykwów, jakieś kilka czy kilkanaście tysięcy, posesyjka na przedmieściu: ot i wszystko. Ale ma z tem chłopak kłopoty, siedzi w tych gratach, aktach — spieszy się, chce zaraz potem wyruszyć.

— No, takie rzeczy to się włoką strasznie — uspokajał gospodarz — jeszcze go tu przedtem, panie dobrodzieju, poznamy, a może na dłużej zatrzymamy; co tam gonić wiatr po cudzych polach! No, ale proszę, to pocziwa nieboszczka panna Żabusia żeby, panie, młodemu poecie właśnie... Aaa — baardzo, bardzo pięknie. Powiedz mu pan, kochany Henrysiu, że się z tego cieszę; on mnie, co prawda, nie zna — ale co tam: radością jeszcze nikt szczęścia nie przelał.

Pan Orszański chciał jeszcze coś zacytować, albowiem lubił popisywać się rzeczywiście erudycją — ale przerwała mu żona, podnosząc się pierwsza od stołu:

— Moi państwo kochani, wybaczcie, ale to już dawno po świętej Hance: wieczory coraz chłodniejsze. Przejdziemy teraz pod dach, w cieplejsze miejsce.

Staruszek podał z galanterją ramię małżonce — dyrektor pani Kraskowskiej.

Szli teraz ku domowi, przez dużą aleję z lip. Ogród ten, kiedyindziej tak pełen czarów i nieoczekiwanych wrażeń, wydał się Klineckiemu dziwnie opustoszały, szary i nudny. Niewiadomo dlaczego, choć już raz słyszał, zapytał znowu towarzyszki:

— A kiedyż wraca panna Jola?

— Za kilka dni, przypuszczam, że w sobotę wieczorem.

— Jola? — pytał, zasłyszawszy coś poza sobą pan Orszański — Ach, ta Jola... Wyobraź sobie, dyrektorze Henrysiu, znów tam jakieś, panie, kółko, czy ki dyabeł, morduje tam jakichś analfabetów, zakłada biblioteki, tego — mości dobrodzieju — awantury, historye; już ta dziewczyna ma za swoje społeczne, panie, sympaty... Aaach!

Westchnął w zaiste piorunujący sposób, dodając jeszcze:

— Oświata, panie, taak — ja to rozumiem, owszem, ale mi dziecka żal, bo to, mówiąc między nami, ona na apostołkę, panie, jak ja do baletu...

— Ale mój ojciec—podjęła pani Laurka—właśnie bardzo dobrze, że Jolę, już samo przeświadczenie...

— Przeświadczenie—poświadczenie; poświadczenie—oświadczenie; oświadczenie—milczenie... Możeby ja, moja imość, zaczął też na starość wiersze układać?

Starzy państwo śmieli się między sobą, bardzo zadowoleni. Klinecki się nieco stropił tą poetycką swadą pana Orszańskiego—pani Laurka usiłowała zagadać:

— Jakże pańska szkoła przy fabryce?

— A jest.

— Zachodzi pan tam?

— Zachodzę.

— Dużo jest?

— Dużo.

Dyalog słabł, przygasł jak kończący się właśnie dzień. W mieszkaniu, gdzie każde miejsce, każdy sprzęt przypominał pannę Jolę, Klinecki posmutniał i sposepniał jeszcze bardziej; posiadziawszy jeszcze kilka chwil razem, pożegnał się i odjechał.

Była już noc zupełna, kiedy znalazł się wreszcie u siebie; zdała, nad Warszawą, płonęła jasna, przesłonięta mgławicą, łuna światła.

Jeździec stał na szosie jeszcze długo; patrzył w świetlane morze—oddając całą duszę w to uparte, chciwie pijące spojrzenie.

— Kocham się jak żak — pomyślał i zawrócił konia ku fabryce.

*

*

*

Tego dnia Adryan zwiedzał mieszkanie ciotki; najdłużej zatrzymał się w salonie.

Pokój ten był duży, ciemnawy, choć o trzech wydłużonych, staroświeckich oknach, pokratkowanych małemi szybami; zasłaniały je rosące za ścianą, stare, wysoko wybujałe drzewa sąsiedniego ogrodu. Pomarańczowy, gorący ton jesiennych kasztanów i klonów zalewał wszystkie te okna i ubarwiał mieszkanie w sposób prawie tajemniczy. Stary zegar szafkowy, wspinały antyk, szedł tak poważnie, jakby odmawiał brewiarz. Pod ścianami z dwóch stron stały oszklone szafy, z których wnętrza wyblęski-

wały niezliczone cacka sewrskie, przepiękne „Kopenhagi“ błękitne, „wedgwood'y“ o białych sylwetkach greckich, kościane figurki florenckie z XV-go wieku, figliki z Murano, powydmuchiwane z powietrza, kamee białe i różowe, przezrocze gemmy...

Słowem, małe muzeum; lecz wszystko to było niczem wobec przepyszego arcybiura, najprawdziwszego i bardzo wczesnego *Bouille*, które stało w rogu salonu, wspaniałe i uroczyste, jak ołtarz. Niesłychanie wymyślne inkrustacje z kości, szyldkretu i srebra wypełniały pola drzewiczek i szuflad z czarnego, głębokiego hebanu. Ornament o zaginionej już gracyi rozwijał się tam naksztalt pnącego wina; ówdzie ze splotów wytryskiwał fantastyczny kwiat róży... Biurko to było prześlizgnięciem i czarowało cały pokój — odbijało się zaś w posadzce wypolerowanej do absurdu, jak w szybie lustrzanej.

Z mrocznej głębi wyłaniały się nieznaczenie, ogromnie spłowiałym adamaszkciem pokryte krzesła i stół owalny na wygiętych w kształt liry lekkich nogach — wszystko Louis XV, wielce szanowne i stare.

Kiedy uchylał drzwi do następnego pokoju, zdawało mu się, że widzi ją samą, tę swoją starą zapomnianą ciotkę Izabelle, jak siedzi pod oknem w dużym wygodnym fotelu, lecz wyprostowana, z książką w rękę, którą czytała bez szkieł, trzymając zdala od oczu; wszystko tu było jakby nietknięte, świeżo urządzone, jak za jej życia... Na dużym weneckim oknie stały ulubione kwiaty, na stolyczku bielił się koszyczek od roboty, lśniły się nożyczki, książka była otwarta na zakładce krzyżowej roboty. Naprzeciw, w alkowie, osłonionej firankami, stało prześlizgane, świeżutko i czysto zasłane, mahoniowe łóżko, wsparte na lwich łapach ze starego brązu — tu wisiała też ogromna kopia Madonny Rafaelowskiej: del Gran Duca. Miękki, niegdyś zielony dywan tłumił kroki. Mijało się jeszcze komodę, która aczkolwiek piękna, po biurku w salonie nie mogła już czynić wrażenia — tualetę jakby wyjętą z sielanki wesołego Fragonarda, całą z różanego drzewa, zastawioną figurynkami i flakonami, aby przejść do jadalni widnej i wesołej.

Tu należało znowu podziwiać kredens, szafy, porozstawiane na półkach starożytne „delfty“—wreszcie portrety antenatów: Jastrzębców, ich żon—skoligaconych Ercolanich (z których to właśnie była babka Adryana), dokoła ścian.

W jadalni znajdowała się „Zaklisia,“ niewiasta równej chyba starożytności, a kustosz tego małego muzeum, zaufana ciotki od niepamiętnych lat. W milczeniu zaprowadziła onu Adryana

ku kredensowi, otworzyła rzeźbione tajemnicze drzwi, pokazywała mu z niemym gestem serwisy oryginalne meisseńskie, cudnie rznięte kryształę, srebro stołowe, wreszcie prawdziwy dziw dla zbieracza: paterę i dwa półmiski *Palissy* o fantastycznym wdzięku...

I to wszystko, łącznie z Zaklisiä (bo jakże inaczej być mogło?) odziedziczył teraz on, Ordęski, skromny poeta, ściągnięty tutaj przez listę, rejentów, adwokatów etc. całą zgrają ludzi rutyny i przestrzegaczy prawa, którzy mu to wszystko bez zastrzeżeń oddawali, albowiem ciotka Izabella była ostatnią z rodu, a jedynym rzeczywiście jej krewnym był właśnie on. Tak zresztą opiewał testament, zastrzegający dożywocie dla Zaklisiä i drobniuchne legaty dla różnej biedę. Pozatem wszystkie te, jak je nazywano, „graty“, niewielki kapitał oraz ruderka na jakimś krańcu miasta — stawały się własnością Adryana.

Rzesza doradców podsuwała mu usilnie myśl sprzedaży wszystkich tych rzeczy, gdyż to jak mówiono, zaokrągłi szczupłą sumkę, zostawioną przez testatorkę. Adryan napoty intuicyjnie, napoty z wyrobionego już przez wędrówki po świecie przeświadczenia, wiedział bardo dobrze, że za samo arcybiuro *Boullę* możnaby piękną wieś kupić; ale pewność ta jeszcze bardziej wzmocniła upór, z jakim odmawiał stale na wszelkie, bodaj najwspanialsze propozycje...

Mieszkanie ciotki musiało zatem zostać nietknięte. Niekiedy przesuwiała mu się przez duszę myśl, że może kiedyś pokaże to wszystko Stelli... I wtenczas czuł, jak serce rozświeśla mu się w jasnym uśmiechu.

Chciał teraz zostać sam, wśród tych pamiątek i wspomnień. Zaklisiä usunęła się bez szelestu.

Zdawało mu się, że ożyła jakaś ogromnie stara, romantyczna historia o pozółkłych, dawno zadrukowanych kartkach; chodził wśród małego muzeum rozciekawiony... Po chwili znalazł się znowu w salonie: podszedł do biurka i ostrożnie otworzył je — buchnęła charakterystyczna woń zwietrzałych perfum, niegdyś mocnych, starego papieru i cedrowego drzewa, którem wyłożone było całe wnętrze. Oprócz licznych szufladek i bocznych szafeczek ujrzał paczki listów poskładane porządnie i powiązane wstążeczkami... Patrzał ze wzruszeniem w to małe sanktuarium staruszeki: cóż to on uczynił? jakim prawem? Panteon Duszy!... Uśmiechnął się smętnie. Nie ruszając nic, wyciągnął jedną z szufladek: była bardzo płaska i mała — znów paczka nie wymownie starych kurt związana na krzyż błękitną wstążeczką. Na niej zamknięte, skórzane pudełeczko.

Adryan wyjął je i pocisnął sprężynę: odskoczyła zaraz pokrywka, a oczom ukazała się miniatura owalna, caceczko: był to portret młodzieńca o tak smutnych, czarnych, głębokich oczach, jakich nie zdarzyło mu się widzieć... Portret był niby to na tle morza—u góry rozwiana wstęga, a na niej drobniachnemi literami napis:

Mon âme est dans votre coeur!

Smętne, w bezkresną dal wpatrzone oczy, zdawały się mówić to samo — była to marząca głowa o szczytnej determinacji. Głowa bohatera.

Jakież musiało być serce, gdzie przebywała ta dusza—nienasycona i pełna tęsknoty?...

Serce osnute milczeniem i ciszą.

Położył zamknięte pudełeczko na swoim miejscu. Zasunął szufladkę i zamknął biurko; poczem doznał uczucia prawdziwej ulgi.

Przechadzając się po staroświeckiem mieszkaniu, przyglądał się z rozkoszą uroczym drobnostkom w oszklonych serwantkach—rozmyślał o tem dziwnem, nieoczekiwanem dziedzictwie: wszystkie te rzeczy ciotka Izabella miała bądź po dziadku jeszcze i rodzicach, bądź dokupywała sama, gdyż było to jej jedyną namiętnością: za piękną kameę, czy gemmę płaciła nieraz bez wahania wysokie sumy, dzięki czemu szczupłał majątek, a powiększały się zbiory „gratów.“

Ciotka żyła w zupełnem odosobnieniu, niegdyś bardzo popularna i czynna—ostatniemi czasy zupełnie prawie zapomniana: oddana swojemu muzeum i jego pielęgnacyi.

Adryanowi przypominała się zapamiętana piękna dewiza nad miniaturą.

O tak—to było serce osnute milczeniem i ciszą.

Czas było opuścić dziwną puściznę: zadzwoniwszy, pożegnał Zaklisię i wyszedł.

*

*

*

„Jakże okropną jest ta pustka! O mój najdroższy:—najpiękniejszą jest bliskość, najpiękniejsze jest wiekuiste, nigdy niewyczerpane „razem...“ Chodzę jak błędna: nie mam miejsca w ca-

łym naszym domu i ogrodzie, które byłyby choć odrobinę dla mnie łaskawe. Wszystkie są nieludzko, ohydnie puste, odarte z całego, dawnego ich uroku, zimne—najzupełniej zabite... Tęsknię! Tęsknię! Tęsknię! O, czyż ta kartka, ten blady papier może to wyrazić *tak*, jak woła cała moja dusza... Adryanie, zabrałeś mnie na zawsze. Nigdy już nie potrafię być nie Twoją! Każda nowa godzina przynosi mi tylko mękę: kiedyż Cię zobaczę?! Chciałabym Cię widzieć ciągle i zawsze, ciągle i zawsze mieć Cię bliskim. Stałam kiedyś długo na tarasie, patrząc na dolinę ku miastu: wiesz, jak dobre mam oczy—dojrzałam waziuchny sznureczek poszczepianych wagonów sunący w mglistej oddali — białe pasemko dymu unosiło się nad nim, biegło nisko w lazurze doliny—wsączyło się w różową masę domków przedmieścia i znikło. Pociąg przybył, pomyślałam—odtąd codzień o tej porze chodzę patrzeć, wyobrażam sobie, że już wracasz, jedyny — i modłę się do białego obłoczka pary jak do gołębia dobrej wieści: wróć mi go — wróć nareszcie!

„Całe moje życie teraz — to tylko jedna tęsknota. Dusza zmęczona oczekiwaniem, wysnuwa marzenie dziwne, coraz zawilsze i droższe. Chwilami zdaje mi się, że niepodobna, ażebyś istniał gdzieś rzeczywiście... Te chwile wszystkie musiały być snem. O tak, miłość jest niedającym się wysławić czarem—ta cudowna zamiana istnień, ta wieczna współobecność, to boskie, niepojęte połączenie, tworzące jakby nową, potężniejszą istotę... Czyż to nie baśń — Jedyny — baśń o tworzeniu się Inteligencji wyższych niż ludzie? Czy Ty odczuwasz tam, daleko odemnie—czy odczuwasz, jak ciągle, ciągle jestem przy Tobie tak blisko, że mógłbyś usłyszeć bicie mojego serca?... Nieraz bezwiednie szukam wokoło siebie Twych drogich, kochanych dłoni — ust szukam ustami, wszystkimi siłami woli wołam Cię i proszę: przyjdź — przyjdź...

„Pamiętasz, kiedy mówiąc o Dancie, dałam Ci różę świeżą: u nas dziewczyna z ludu tak miłość swoją wyraża: nie zrozumiałeś tego odrazu—a nieświadomość Twoja i ta róża w rękach miały dla mnie wdzięk ogromny i w jednej chwili pokochałam Cię wtenczas jeszcze więcej, choć mi się zdawała, że już więcej niepodobna.

„Czyż można wyczerpać prawdziwy cud, coś, co jest nieśmiertelne i boskie? Kwiat otwiera się z kwiatu, rodzi się piękno z piękna: bo miłość jest nieustającym podziwem i olśnieniem... Myślę nad tem całymi dniami, widzę wszystko, jak przez sen —

jestem roztargnioną, może niemłą: zarówno kochany komandor, jak i poczciwa ciotka Klemencya, prześcigają się w pomysłach, ażeby mnie pocieszyć (ach, jak oni Cię kochają, Adryanie), ale te ich wysiłki idą na marne; bywam czasami bardzo smutna, opadają mnie myśli mroczne i niedobre. Zdaje mi się wtenczas, że Ci tam grozi jakaś zguba; że powinnam biedz i ratować Cię przed czemś; to znowu, że się oddalasz, obojętniejesz—śmiechem jedynie przyjmujesz moje listy, moje szczere, serdeczne słowa... Zwalczam to w sobie: usiłuję się rozerwać, chodzę z ciotką Fulgor po gospodarstwie, pracuję ogniście—wieczorami dużo grywam, za co kochany *babbo* jest mi niezmiernie wdzięczny. Myśl o Tobie—jedyny—nie opuszcza mnie ani na chwilę. Śniesz mi się często: ale nie lubię tych snów, w których jesteś obojętny i zły—bo Ty takim być nie możesz, drogi.

„Czasem chodzimy z komandorem drogą ku stacyi — odpoczywamy w starorzymskiej dolinie; siadam wtenczas na naszym kamieniu z kawałkiem starego fryzu i myślę o Tobie. Na stacyi odbieramy pocztę; ach! cóż za radość, kiedy jest list z obcą, rosyjską marką! Wtenczas komandor mówi: *Evviva!* — a ja wtóruję mu z całej duszy i zabieram się do czytania, podczas gdy kochany *babbo* studyuje dzienniki. Marzę o tem, żebyś już raz, mój najmilszy, zakończył swoje nudne sprawy i wrócił do nas—do naszej pięknej Ojczyzny... Tyś tam przecież sam i nudzisz się — a tu wszystko jest tylko Twoje (Pamiętasz, kiedy pierwszy raz do nas przyjechałeś, jak miasto w dolinie strzelało z armat na Twoją cześć? — A widzisz). Czyż Ci nie miło wspomnieć sobie w tym swoim dalekim kraju—że za Alpami, za pasmem Apeninu, jest taka zaciszna dolinka, drobny *pa'chetto*, gdzie mieszka mała Stella-Tytania, która jest Twoją miłością — sercem, co ukochało na zawsze i nie odda już za nic, za nic...

„Pamiętasz *locandę* w Bosco di San Giovanni, gdzie to was, szalona, zawiozłam ponad przepaścią? Byłam wyczerpana i napoły omdlała, cudowne południe rozsunęło się nad nami, jak gorąca mgła. Tyś patrzył we mnie wzrokiem, którego nie zapomina się nigdy... Uczułam, że rozwarło się przedemną coś, jak wielkie wezbrane morze; jedyny mój, czyś Ty czuł wtedy, że *widzę swą miłość?*... Jedyny, jedyny mój! chcę wszeptać w ukochane Twe usta wszystkie tajemnice mego kochania, wszystkie żale tęsknoty—mej miłości słowa nowe, które rozkwitają codzien w mej duszy całemi pękami niespodziewanych, olśniewających kolorów! Chcę Cię mieć blisko, czuć Cię w mojem objęciu, nie rozstawać się nigdy już, nigdy. Powracaj, powracaj — wejdz, jak wecielenie

Prawdy w te mgliiska nudy i tęsknoty: wyrwij mnie żalowi i smutkom — stań się mi rzeczywiście i blizkim — powracaj, powracaj prędzej!”

Stella.

*

*

*

Adryan czytał ten list w dorożce, która, klekocąc, zgrzytając i trzęsąc, wiozła go na daleki kraniec miasta. Był smętny ranek jesiennego, rozplakanego dnia—wyblakłe, szklane, bezwyrzowe niebo przesiewało ustawicznie drobny, uparty deszcz. Ulice były oślizgłe i pełne żałosnej apatyi. W miarę jak oddalali się od śródmieścia, czyniło się coraz puściej i biedniej.

Kominy fabryczne sterczały widmowo wśród sinug deszczu—biała para rozłaziła się powoli po dachach, strzępiła i ginęła w szarocie i wilgoci. Ubogi, ponury, czarniawy pejzaż — ludzie snują się nędzni, znękani, podobni do cieniów...

„i powróć do naszej pięknej ojczyzny....“

Ruderka, ku której zdązał Adryan, leżała u kresu odległej ulicy, niemal pod rogatką—miał jeszcze kawał drogi przed sobą. Schował list i zadumał się.

Zdawało mu się, że widzi Stellę: była sama w ogrodzie, wyrosłym już i przekwitającym. Widział, że mały Tulio, ogrodniczek, krząta się z polewaczką świecącą, jak samo słońce. Stella przechodzi wśród grządek—widzi jej profil na tle zieleni i pęków kwieciana... Chciałby tam być z całej duszy, zdaje mu się, że stąpa za nią tuż, tuż — jeszcze chwila, a Stella odwróci twarz, czując jego spojrzenie błagalne i chciwe...

Jeszcze chwila, chwila...

Nie masz równej radości ponad szczęście w tym dalekim ogrodzie. Ręce jego obejmują niezrównanie drogi i boski kształt ciała gibkiego i czystego jak kwiat, ramiona jego są wezglowiem marzenia—wargi wtulają się w różane, pragnące usta. Wtenczas widzi obcy, smętny wzniesiony świat nad złudną prawdę życia. Wtenczas wyczuwa emanacje władzące nieznanemi przedtem mocami—wtenczas to przychodzi sekunda potęgi—sekunda czynienia cudów w sobie...

Dorożka toczy się w ohydny sposób — zahacza o wyboje, grzechocze blachami z taksą i obluzowanem żelaziwem, zgrzyta i chrzęści, aż wreszcie zatrzymuje się cała obłożona, schlapana, ociekająca wodą i błotem.

Z kozła słycać sentencję:

— Czas, psia-mać, chorobny...

Marzenie przysło nagle, jak spłoszony promień. Adryan począł zwiedzać domostwo. Była to rzeczywiście rudera w całym znaczeniu tego wyrazu. Mały domek parterowy, ongi dwór—dziś buda raczej bezkształtna, pokryta starym, gontowym dachem, połatanym czarną papą; popaczone krzywe okna wrastały już niemal w ziemię—za domem był dziedzińczyk, na nim jakieś szopy i chlewy, obłożony wóz — pod nim kilka kaczek w kałuży. Wokoło ciągnęły się wśród błota parkany różnych składów, zabite na głucho—za nimi było coś, jak wielka przestrzeń: szeroka, szeroka Wisła... Z trudem dopytał się Adryan żywej istoty. W sionce pełnej kur; związanych z tem duszących, obrzydliwych wyziewów, brudu i śmieci, ukazało się czupiradło niewieście, przybrane w tułub watowany bardzo wiekowy, związany fartuchem w pasie—w chustce z włóczki, owiniętej szczelnie koło twarzy starej, zmarszczonej, ostrej, przypominającej oblicze wilków morskich, może czarownic — właściwie pocziwych stworzeń spracowanych i schłostanych przez życie. Patrzała nań podejrzliwie i badawczo. Adryan młody, smukły i wytwornie odziany, wyglądał w tym kurniku jak królewicz. Baba też zwąchała pismo nosem odrazu:

— Pan łaskaw pewno z miasta, z testamentu?..

Lody były przełamane. Zaznajomienie poszło teraz łatwo—dowiedział się zaraz wielu rzeczy. Niewiasta była małżonką stróża, Grzegorza — *ergo* Grzegorzowa; zajmowali stanowisko od niepamiętnych lat, albowiem tu było ich wesele i tu miodowe miesiące, i wesele dzieci, i starość—on, Grzegorz, jest nieobecny, bo ma sprawę w sądzie, jest za świadka, lecz ona, Grzegorzowa, jest *au courant* wszystkich tajemnic domu, opłakuje szczerze nieboszczkę panią, wita całym sercem nowego pana — otwiera przed nim wszystkie boleści i żale...

— Więc, któż tu więcej mieszka, jakże to idzie?—pytał pan z testamentu.

— Ano, przy łaski pana, niby mój — co z urzędu, bo mój i placu pilnuje i składów, co są wynajęte, i desek — a prócz tego mieszka jedna biedna wdowa, praczka, furmany, proszę pana, dwa z rodzinami; szewc, kotlarz, niby mój zięć i więcej już nikt, proszę łaski pana.

— I to za dużo — a gdzież się wszyscy mieszczą?

— A, jak biedne ludzie, proszę pana, jak kto może — płacą też tak samo... dodała ciszej. — Nieboszczka starsza pani to tam nie dbała o to, jeszcze sama wspomagała.

Przeszli przez sionkę, kury uciekały z wrzaskiem — uchyliły się drzwi boczne, wyjrzała jakaś staruszka jeszcze srożej pomarszczona od Grzegorzowej, w kącie wałęsał się dzieciak maciupęńki, blade, nalany, o wielkiej głowie, oczach głębokich i smutnych, jak dwa jeziora.

— To mój wnuczek, Tadzio — objaśniała przewodniczka.

Adryan podniósł chłopca w górę, dziecko patrzyło nań poważnie i z podziwem, jak na słońca.

— Cóż on taki blade, może chory? — zapytał, stawiając chłopca.

— Ano, proszę łaski pana, ledwo się ta wychował, Bogu dzięki. Matka cały dzień w fabryce—wszystko na mojej głowie, sześcioro ich jest...

Kury gdakały niemożliwie, zaduch chwytał za gardło i dławił. Adryan zapragnął wyjść za wszelką cenę. Z rozkoszą wydobyl się zaraz na podwórze, obejrzał niewiadomo po co najrozmaitsze budy — pani Grzegorzowa dreptała za nim w bajecznie przyklapanem obuwiu, udzielając rzetelnych i wyczerpujących objaśnień. Wszystko tu było w stanie nieodwołalnego próchnienia i walenia się. Z poza szybek okien wyglądały czasem starcze, wywiędłe, dawno zgaszone twarze ludzkie — życie tliło się tutaj, jak zapomniane zgliszcze. Adryan miał wrażenie, że zwiedza odkopany grobowiec, jakoweś drewniane, brzydkie Pompei... Nie padał już teraz deszcz, ale powietrze nasycone było wilgocią i stęchlizną. Grzegorzowa stała wprost niego w pełnym świetle: obserwował jej rozczochrane fantastycznie włosy pod ongi pomarańczową chustką, wypełzłe, bystre oczy, nos zuchwały, opalony — nos marynarza, także policzki, pokryte siatką zmarszczek czoła, trzy zęby u dołu — dwa u góry, które przy zwieraniu ust doskonale się mijały. W przeciagu kwadransa poznał dusze wszystkich swoich lokatorów. Widział jasno, jak na dłoni, że wszyscy byli nędzą i żyli gorzej od psów — za to często pili wódkę i bili swoje żony, oraz chorowali na *spleen*, wynikały z powyższych wydarzeń.

— A pan łaskaw nie żonaty?

Pytanie to spadło zupełnie niespodziewanie. Adryan uśmiechnął się, rumieniąc leciuchno, i rzekł:

— Nie jeszcze.

— Ale, pewno już pan ma panienkę jaką śliczną, gdzieś daleko może?... — kombinowało dalej straszdyło, kiwając poważnie głową i wielbiąc w duszy młodość jego i urodę.

Był niemal wdzięczny babie. Przeleciał znów przez serce zjaw najdroższy — nad tę pustkę czarniawą, nędzną, rozmokłą — wśród starzyzny i negacyi życia wyblęśla dumna, rozkochana tęsknota.

Poweselał, obdarzył starożytną przewodniczkę, jej wnuczka, przerażoną obcą staruszkę — przyrzekł wszystkim obniżyć komorne (które już było żadne) i żegnany błogosławieństwami i powinnowaniami (?) wyniósł się wreszcie z żalosnej, opuszczonej wyspy, wydarł z rozkoszą z pośród tych kur, brudu, apatyi, nędzy, starych bab, zmurszałych bud — wsiadł w oczekującą dorożkę i wracał ku miastu.

Zastanawiał się teraz, po co właściwie jeździł oglądać to wszystko, włóczył się w psią, niemożliwą pogodę po zakamarkach, nad którymi opiekę powierzyć mógł przecież swemu doradcy, nie wchodząc w to bliżej?... Myślał nad dolą owych praczek, furmanów, kotlarzy... Czuł, że objął jakiś nikły obowiązek, cień odpowiedzialności za możliwie jaśniejsze chwile tej żalosnej osady.

Miałże dopuścić, podczas gdy on powróci do szczęścia i będzie mieszkał w pięknej willi, w słonecznym, cudownym kraju — aby ci biedacy dręczyli się w zapomnianem *ergastulum* i oddawali mu jeszcze swoje nędzne, opłakane grosze.

Zaśmiał się w duchu z porównań klasycznych — chciał wreszcie uczynić coś z tą rudera i jej mieszkańcami. Należało tu jeszcze zajrzeć, poznać mroczny, grobowy świat...

Taka praczka musi być śladem kobiety, żywą mumią żeńską zabalsamowaną w wyziewach pary, mydła, brudnej bielizny i martej strawy, pitraszzonej na kominie tuż przy kotłach z parzącemi się gałganami przeróżnych ludzi. Dnie obracają się w partyach mniej więcej równych: od prania do nowego prania — od jednej sterty do drugiej. Musi mieć taka niewiasta najrozmaitsze dzieci różnych lat: najstarsza dziewczyna pomaga matce i odnosi z nią bieliznę — marzeniem jej jest, aby mogła zostać prasowaczką w mieście, za wielką szybą gwarnej ulicy. Dwa chłopaki wążsają się poza domem, pracując w dziennikarstwie: roznoszą i sprzedają gazety — chadzają w fantastycznych, srodze obdartych strojach — jeden ubiera się w syberynowy żakiet, który niegdyś obcisnął kobiety, toczony tors... Trzeci chłopiec jest smerdą, ma dopiero pięć lat, krzywe nogi, melancholijne spojrzenie, wiekuisty katar i apetyt niedający się uspokoić — dziewczynka dziewięcioletnia tak

zwana „średnia“ chodzi na całe dni do „pani“ o kilka domów. „Pani“ uczy ją czytania, pisania, rachunków, robót — daje jeść i kupi czasem coś na grzbiet. Jest więc jedna gęba mniej... Wszystko to osnuwa para, odór brudów i gryzącego mydła.

Adryanowi przypomniały się teraz czarne, głębokie oczy, bohaterskie oblicze i napis: „Mon âme est dans votre coeur...“

Tak—jedni mają przeznaczone życie górne pełne dramatycznych przejść, radosnych błyskawic, czarownych rozejrzeń się w cudzie istnienia: inni wloką swą wieczną tragedję, rozłożoną na drobne, codzienne, nie dające się uczuć dawki.

Co się czyni z duszami, których życie przesnuło się nad balią? Jakie mogą być sny tych istot półwodnych, najżałośniejszych onych nereid nędzy, prawie zawsze wdów — kapłanek podwójnej czystości o wiecznie pomarszczonych palcach i spłowiałem, bladym spojrzeniu?...

I Adryan rozmyślał dalej.

Furmani muszą być też zgoła nie ciekawi; autropoidy odziane grubo i niezgrabnie, żujące papierosy z machorki, obrzydliwe przekleństwa, spalone, wiecznie brudne, cuchnące skórą, koniem, nawozem, naftą, olejem, smarą... Ludzie ci mają żony, które pojęły z miłości, lub ze zwyczaju — potomstwo ich mnoży się i napełnia izby: mężowie prowadzą żywot napoły koczowniczy, w ciężkiej pracy—niekiedy miłosierna wódka rozsuwa okowy rzeczywistości; wtenczas marzą—marzenia ich są dzikie, jurnie wesołe lub zabójczo smutne: poezja takich chwil znajduje wyraz w pięści: wtenczas biją dotkliwie swoje żony i najbliższe otoczenie — po wytrzeźwieniu często płaczą i przyrzekają poprawę...

A ów zięć kotlarz? Jest to człowiek zapewne jeszcze względnie młody, ogłuszony przedwcześnie — jeszcze dwa lata temu słyszał nieźle na oba uszy, szczególnie na prawe — dziś jest już jak pień. Spojrzenie ma bystre, duszę zwartą w energii swojej zankniętej pracy. Ma także żonę, w której się kiedyś kochał — dziś jest to biedna, spracowana kobieta, matka jego sześciorga dzieci.

Jaka rezygnacya mieszka pod tym połamanym dachem! Jak to się tam musi tleć nieświadomie, na dnię serca owa tęsknota ku nigdy niewidzianemu i nieznanemu Pięknemu własnej godności...

*

*

*

Dorożka zatrzymała się nagle.

Adryan wyrzwał: opodal stało kilku ludzi, zapewne robotników—ci kiwali rękami i coś wołali. Dalej, przed bramą dużego domu, czerniła się spora gromada najrozmaitszej zbieraniny. Jakiś tęgi chłopiec podszedł do stopni, mówiąc uchyliwszy czapki:

— Przepraszam pana, dzieciak biedny zachorował, nie mogę się dotelefonować do Pogotowia, może pan łaskaw dorożkiby nam pozwolił, panienka sama kazała prosić...

Adryan wyskoczył w jednej chwili.

— Ależ chętnie, gdzież to? Co za panienka?

— Tu zaraz go wyniosą—to je, proszę pana, panienka nasza z komitetu...

— Aha — z jakiego komitetu?

— A z głodowego i rozdawnictwa; zaraz wyjdzie, to pan zobaczy, panienka od matki rodzonej lepsza.

Adryan patrzył ciekawie: była tam wszelaka nędza—od starców niedołężnych, aż do dzieci — wszyscy czekali z kartkami w ręku. Niektórzy już wychodzili, niosąc tobołki z kaszą, mąką, kartoflami, drzewem. Twarze były znękane, pomarszczone, blade, zmizerowane, głodne—oczy błyszczące zajadłe lub już powleczone mgłą apatyi. Istna „Stuzłotówka“ Rembrandta... Nagle uczynił się w bramie ruch — z ciżby ludzkiej wyszło dwóch mężczyzn, dźwigając ostrożnie bladego jak wosk małego chłopca, owiniętego w kołdry i palta — za nimi kobieta płacząca, zapewne matka...

Czapki pozlatywały z głów jak na komendę: ukazało się coś niespodziewanego. Oblicze wyniośle dumne i zarazem bolesne — pod łukami brwi płonęły oczy głębokie, nawykłe do rozkazów: twarz blada, marmur — w niej usta cudne, płonące...

(Gdzież on widział już takie usta? Gdzie? Takie, lecz inne—tante były wobec nich jak kopia przy arcydziele).

Nim się opamiętał, już do niego mówiły:

— Proszę nam wybaczyć, pan będzie łaskaw uwzględnić to, że dziecko trzeba natychmiast przewieźć do szpitala—Pogotowie zajęte, nie może być zaraz—trudno się porozumieć—przepraszam pana najmocniej... Pan wybaczy!

W dorożce sadowili się ludzie z chorym chłopcem i matką.

— Kartkę odemnie macie—zawołało ku nim zjawisko—oddać zaraz doktorowi, przyjmie napewno...

Ruszyli. Adryan patrzył zdumiony na wytworną sylwetkę eleganckiej panny. Była przedziwnie smukła, przez co wydawała się prawie wysoka; niewypowiedzianie zgrabna i wykwintna —

ubrana cała czarno od kapelusza aż do maleńkich, obcisłych bucików; w rękę trzymała torebkę, jakieś książki rachunkowe, pugilares, ołówek... Wiatr oderwał i rozmotał ciemne pasma gładko przczesanych włosów; musiała być wzruszoną i zdenerwowaną, znać było, że siłą woli nad sobą panuje.

Adryan ofiarował się z pomocą, obiecywał przysłać nową dorożkę — pytał, w czym może być...

Przerwała mu szybko i stanowczo:

— Och, nie. Dziękuję panu bardzo. Ja tu jeszcze zostaję, muszę powrócić do zajęcia. Chłopca trzeba było wysłać, każda chwila była prawdziwie drogą... Jeszcze raz przepraszam.

Cofnęła się ku bramie, skinąwszy mu głową. Jej każdy gest był nieporównanie pański. Adryan spojrzął w niezwykle oczy; wyczytał w nich coś jak rozkaz: oddał się i nie pytał.

Sklonił się nisko, widział, jak zniknęła zaraz w bramie.

Zjawisko zasłoniły mu głowy nędzarzy, desperatów, starych bab, zinizerowanych dzieci, przedwcześnie dojrzałych dziewcząt, starców, pijaków...

ANTONI GAWIŃSKI.

IGNACY POTOCKI,

(W setną rocznicę zgonu).

Przed stu laty, w r. 1809, zgasł niespodzianie Ignacy Potocki w Wiedniu, dokąd podążył w doniosłej misji politycznej. Celem jej było wyjednanie u Napoleona przyłączenia Galicyi do Księstwa Warszawskiego. Zgasł mąż, o którym najbardziej wiarogodny świadek jego życia i działania ks. Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, powiedział: „Cnoty, zasługi, ofiary i przymioty Jego żyć powinny w sercach każdego, co go znał i być podane pamięci pobożnych następców...”

Zasługą Ignacego Potockiego było i pozostanie, że w najważniejszych i najtrudniejszych chwilach stanął na widowni dziejowej, gotów i zdolny do ofiar. Podczas W. Sejmu przyłożył skutecznie rękę do Ustawy Rządowej, która była objawem i zapowiedzią narodowego odrodzenia. W r. 1792 stanął w Berlinie oko w oko przed królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem II, aby osobiście przypomnieć królewskie słowa i upomnieć się o dotrzymanie traktatu. Na dymiących ruinach Pragi stanął przed Suworowem, aby ocalić Warszawę, stawał wszędzie, gdzie kazało poczucie obywatelskiego obowiązku. To też żyje i żyć będzie w pamięci narodu.

Pamięć ta nie jaśniała zawsze równym blaskiem. Blizki mu krwią i duchem, jeden z najmłodszych posłów W. Sejmu, Eustachy Sanguszko, wspominał z żalem pod wrażeniem jeszcze świeżej straty: „Niedawno gorliwych przewodników sejmowych, marszałku Potocki, godny wuju mój, Parka twe dni przerwała, a już popioły twoje zaledwo wzruszonemi są wspomnieniem współobywateli. Chciałeś najlepiej, szczęście nie posłużyło, dlatego i wielbicielów mało. Głaz, okrywający grób twój, zamyka prawie już

i pamięć twoją. A ileż to ucierpiełeś prześladowań i niewoli dla dobrej sprawy! Dzieło konstytucyi 3 maja, którego byłeś uczestnikiem, tudzież dzieło o jej upadku unieśmiertelnić cię powinno nie tylko w Polaka sercu, ale i w sercu każdego ludzkości przyjaciela.“

Szczęście nie posłużyło... A czyż to jedyna miara sądów historycznych?

Z dalekiej perspektywy możemy spokojnie i sprawiedliwie ocenić wypadki, odważyć czyny, podnieść zasługi, zrozumieć szlachetne motywy i skutki działania, górne nadzieje i bolesne zawody.

Z życia Ignacego Potockiego, obejmującego epokę pełną wstrząsających wypadków od pierwszego rozbioru Polski do roku 1809, wyjmujemy jedną kartę ¹⁾—z dziejów W. Sejmu. Karta ta, najbardziej znamienita i pouczająca, odkryje może najlepiej człowieka. W tej dobie, w której ważyły się losy Rzeczypospolitej wśród powikłania politycznego na wschodzie Europy, a zrywającej się burzy na zachodzie, Ignacy Potocki zajaśniał tak, że na niego zwrócone były oczy wszystkich w kraju i zagranicą. Wszędzie był uważany i ceniony, jako prawdziwy twórca i przedstawiciel polityki W. Sejmu. Doskonale określają to słowa: *Se parti chi resta, si resta chi partira.*

Tak mówili przyjaciele o Ignacym Potockim w chwili, w której istniała myśl—we wrześniu r. 1790—wysłania przedstawiciela Rzpltej polskiej na wielki kongres mocarstw, aby położyć kres wojnie i przeprowadzić mozolną pacyfikację Europy. Słowa te zawierały najwyższą pochwałę i największe uznanie, że Ignacy Potocki tak w wewnętrznych, jak zewnętrznych sprawach był niezbędny, wprost jedyny.

Ignacy Potocki był też w kraju i zagranicą uważany jako dusza Wielkiego Sejmu. „Marszałek Ignacy Potocki był duszą

¹⁾ Rzecz oparta głównie na korespondencji Ignacego Potockiego z sekretarzem poselstwa polskiego w Berlinie Aloem, ze Stanisławem Jabłonowskim, posłem w Berlinie, Jerzym Potockim, posłem w Sztokholmie, Piattolim, Lucchesinim i Stackelbergiem (arch. hr. Potockich w Krakowie), na korespondencji króla z Debolem (arch. prof. Pawła Popiela), na korespondencji poufnej (immediate) Fryderyka Wilhelma II z Lucchesinim (w tajnym arch. w Berlinie). Ograniczam się do przedstawienia niektórych ważnych momentów działalności I. Potockiego z epoki W. Sejmu, witając z radością zapowiedź obszernej monografii o Ignacym Potockim przez d-ra K. M. Morawskiego. Zob. Pogląd na opozycję magnacką między pierwszym rozbiorem a Sejmem Czteroletnim. Studya hist. ku czci prof. W. Zakrzewskiego. Kraków, 1908.

dzieła, pomagali mu Małachowski i Kołłątaj — napisał naoczny świadek i uczestnik prac sejmowych Niemcewicz, mając na myśli głównie przeprowadzenie Ustawy z dn. 3 maja, ale słowa te, pełne uznania, można odnieść do całej działalności marszałka. Kołłątaj oddawał hołd Ignacemu Potockiemu w słowach, nacechowanych kultem: „Winszuję ojczyźnie, żeś się urodził.“

Tajny, a bardzo czynny współpracownik wielkiego ustawodawczego dzieła, Piattoli, słaWił marszałka w zwrotach, właściwych dworskiemu tonowi XVIII w., stawiając go obok największych prawodawców świata, greckich i rzymskich, obok Solona i twórców Dwunastu tablic; uważał go za jedyne go, którego powszechny głos powoływał do steru. Najbliżsi, codzienni świadkowie pozostawali pod wrażeniem osoby i zasługi marszałka. Jeszcze przed Wielkim Sejmem pisał o nim Wybicki, wspominając o czwartkowych obiadach: „Tam poraz pierwszy poznałem sławnego męża Ignacego Potockiego, którego logika, przyjemne wysłownienie i głębokie myśli zwykle mnie zachwycaly.“ Sława marszałka zajaśniała potem dopiero, podczas pamiętnego Sejmu, zajaśniała nietylko w Polsce, ale i w Europie. „Cała Europa jest w podziwieniu dla Twego patryotycznego zapału i przyklaskuje zasłużonemu zaufaniu, jakie cała Polska pokłada w Twej dzielności,“ taki głos obcy odezwał się już na początku r. 1789. Zaufany przyjaciel Aloe donosił marszałkowi z Berlina, że „wszędzie tylko o nim mówią,“ że zapytują się, jakich Potockich Ignacy jest głową, na co Aloe odpowiedział, że jest „pierwszy z tych Potockich, którzy swój czas poświęcają dobru kraju i jedyne, który jest zdolny państwu oddać ważne usługi przez swój rozum i wytrwałość...“ W Berlinie szczególna uwaga była zwrócona na marszałka, jako na głównego twórcę pruskiego systemu.

Lucchesini wyrażał Ignacemu Potockiemu swe uznanie i uwielbienie, a z czasem i swe podziękowanie, utrzymując, że jego oświecony patryotyzm zapewni mu opinię powszechną i uczyni go „miłością swoich a podziwem obcych.“ Sam czytał i podziwiał jego mowy, kazał je kopiować i drukować, przedstawiał je jako arcydzieła rozumu stanu. Oddając hołd marszałkowi tak wielki, że aż podejrzany, Lucchesini wyraził w piśmie własnoręcznem zapamiętanie, że gdyby Rzplta każdy ważny wypadek sejmu chciała upamiętnić medalem, to imię Ignacego Potockiego powinnyby przynajmniej trzy medale uświetnić. Klasycznie wykształcony Włoch, doskonały łaciński stylistą, obeznany dobrze z epigrafiką, miał już gotowe następujące inskrypcje: *vindex libertatis* z powodu zniesienia Rady nieustającej, *auctor consiliorum optimorum*

z powodu projektu nowej reformy rządu, senator pactorum optimorum z powodu przymierza polsko-pruskiego. A oczekując pomyślnego rozstrzygnięcia przykrej i drażliwej sprawy Ponińskiego, licząc na pojednawczą interwencję marszałka, przeznaczał już z góry dla niego starożytną formułę: *iudex sanctissimus et justissimus*. Tym sposobem miał Ignacy Potocki wyczerpać „wszelkie rodzaje sławy.“

Lucchesinij lubił schlebiać i kadzidłami pochwał odurzać ludzi, aby ich podbić i zaplątać w swą grę. W tym wypadku należy jednak zaznaczyć, że w najtajniejszych wynurzeniach nie poniżał Ignacego Potockiego, owszem cenił go i stawiał wysoko, jako „ministra, godnego każdego gabinetu.“

Na innych dworach Ignacy Potocki był także dobrze znany i uznawany. Król szwedzki Gustaw III zapewniał brata jego, Jerzego Potockiego, posła polskiego w Sztokholmie, że uczucie, talent i odwaga, jakie marszałek rozwinął w chwilach odrodzenia Rzpltej, zjednały mu szczególny szacunek, zachęcał go w duchu swej polityki do stanowczości i wytrwałości wobec Rosyi. Kiedy wznagała się burza przeciw Rosyi, odezwał się i w Petersburgu pewien żal, że nie umiano w swoim czasie zjednać tak wpływowego męża dla rosyjskiego systemu politycznego; przekonali się w Petersburgu, że Ignacego Potockiego „trzeba się więcej bać, niż to sobie wyobrażali.“ Przyjaciela i nieprzyjaciela nie mogli mu tedy odmówić uznania. Stał on wśród wiru ważnych dziejowych prądów i doniosłych wypadków z wielką moralną siłą u steru słabej Rzpltej, pełen otuchy i wiary, że ją wydobędzie z toni, chociaż sam nie mógł się zawsze oprzeć smutnym myślom. Dom jego był ogniskiem życia, „prawdziwym klubem,“ co fortune dotkliwie uczuć się dało.

Ignacy Potocki wysunął się na czoło narodu niezawodnie „z soli i roli,“ ale także „z tego, co to boli,“—przez własny swój trud i własną zasługę. Praca wyteżona wyczerpywała siły. Nie było chwili wytchnienia. Kiedy po trzech latach ustawicznego napięcia nerwów, już po dokonaniu największego dzieła, Ustawy z dn. 3 maja, Ignacy Potocki udał się na wieś dla wypoczynku, do swego Kurowa, w upalnych dniach lipca r. 1791, Stanisław August, który przez długi czas nie miał w nim przyjaciela, a sam też nie był jego przyjacielem, odczuwał nieobecność jego jako „prawdziwe zło,“ chociaż przyznawał, że po takich trudach należał się spokój.

Świadectwo króla stwierdza wymownie, że marszałek stał się istotnie niezbędnym. W jego rękę schodziły się nici akcyi

wewnętrznej i zewnętrznej. Patrząc na rozległą korespondencję, na liczne projekty praw, bruliony mów, na całą rozległą jego działalność, trzeba hołd oddać tej ogromnej energii ducha, tej wszechstronnej pracy, obejmującej całokształt wielkich zadań, które Wielki Sejm rozwiązać zamierzył.

Kiedy Ignacy Potocki stanął na tym Sejmie, był w sile wieku, w pełnym rozwoju swych władz i zdolności. Po nim wysunęło się już na widownię nowe, młodsze pokolenie, które poraz pierwszy zetknęło się z realnymi zagadnieniami życia. Król mówił nie bez krytyki o Solonach i Likurgach, nie mających jeszcze 24 lat.

Ignacy Potocki miał za sobą już znaną przeszłość, związaną ze sprawami publicznymi, wewnętrznymi walkami stronnictw i z całą grą zewnętrznej polityki, której punkt ciężkości był nad Newą. Przez ród swój wysunięty odrazu na pierwszy plan, a niemniej przez związek z Lubomirską, córką marszałka Lubomirskiego i żony jego z ks. Czartoryskich, z natury bogato uposażony, dorodny, świetny, wykształcony, czynny i ambitny nie mógł i nie chciał stać na uboczu. Nauka, filozofia, cała kultura oświecenia wycisnęła wyraźne piętno na jego duchowej fizyognomii, dużo mu dała, ale też zabrała dawny drogi klejnot gorącej wiary ojców. Przeznaczony do duchownego stanu cofnął się, bo nie czuł do tego prawdziwego powołania, nie poszedł przeciw przekonaniu i nie naraził też siebie na przykre konflikty między wewnętrznym głosem a obowiązkiem. Rzucił suknię duchowną, bo był szczerzy wobec siebie i ludzi. Życie publiczne pociągało go widocznie i tu znów różnił się od swego krewnego Jana Potockiego, głośnego podróżnika, oryginalnego pisarza i badacza, który odezwał się czasem samodzielnie i mądrze, nieco fragmentarycznie, o politycznym położeniu kraju, a w rzadkich chwilach wysuwał się sposobem dorywczym nawet na widownię polityczną, ale do stałego działania nie był usposobiony i w końcu zamknął się w ponurem zacisku, nękany melancholią. Ignacy Potocki był człowiekiem czynu i pomimo swej zależności od prądów i teoryj XVIII w. zachował trzeźwy sąd o potrzebach narodu, pomimo literackich, filozoficznych upodobań miał zdolność skupienia i zwrócenia swych władz ku praktycznym zadaniom chwili. Zadania chwili były też wielkie.

Do czynu nawoływał grom, który uderzył w Rzpltą. Ignacy Potocki wyraził podczas W. Sejmu zapatrywanie, płynące z głębi duszy, że dzień pierwszego rozbioru Polski powinien być uważany jako dzień żałoby. *Dies illa* wyryla niezatarte ślady w je-

go duszy. Myśl obywatelska zwracała się głównie ku temu, aby przez narodową edukację przygotować do życia i do służby kraju przyszłe pokolenie. Ta myśl górowała w całym okresie od pierwszego rozbioru do W. Sejnu nad innymi zabiegami, które niekiedy zużywały energię na walki opozycji z królem. Problematy wychowawcze były wtedy w całej Europie żywo omawiane, a łączyło się to najściślej z krytyką obyczajów i kultury XVIII w. i kultury wogóle, zaczepionej przez zbołałego apostoła stanu natury, Rousseau'a. W Polsce sprawa wychowania przybrała odrazu konkretny charakter, bo miała prowadzić do bezpośredniego celu, do narodowego odrodzenia od podstaw do szczytów społecznej budowy. Ignacy Potocki przejął się duchem, który powiał na zachodzie, a doświadczenie swe i naukę stosował do narodowej potrzeby.

Cała praca, zmierzająca do wewnętrznego odrodzenia, prowadziła z konieczności do poświęcenia głównego wysiłku zdobyciu samodzielności politycznej. To była główna troska Ignacego Potockiego podczas W. Sejnu.

Najważniejsza karta jego życia łączyła się z najważniejszą kartą dziejów Polski w XVIII w. Wszystkie pochwały odnosiły się do ważnej roli, pełnej odpowiedzialności, jaką odegrał podczas W. Sejnu. Krytyka i zastrzeżenia późniejszej historyografii, zwłaszcza Kalinki, odnoszą się do tej samej roli, a przede wszystkim do jego przemożnego udziału w zagranicznej polityce, opartej o Prusy.

Ignacy Potocki nie zwracał się odrazu stanowczo przeciw Rosji. Zwrot nie nastąpił nagle. Mamy też przekonanie, bacząc na całą indywidualność Ignacego Potockiego, że mąż taki w przełomowej dobie dziejów ojczyzny w ostatecznych celach działał z wyższych pobudek. Obrażona duma, podrażniona miłość własna i rodu mogła wywołać chwilowe niezadowolenie i pchać do opozycyjnego obozu, ale w ciężkiej dziejowej chwili, w której wypadło poważny uczynić z sobą obrachunek, decydowały momenty doniosłego politycznego znaczenia.

Opuszczając Kijów, nie ujrawszy oblicza Imperatorowej rosyjskiej, Ignacy Potocki nie palił za sobą mostów; utrzymywał stosunki ze Stackelbergiem, którego stanowisko chciał podkopać w Petersburgu nie tak dawno temu — w r. 1776. Gdy chodziło o łaskę marszałkowską przed W. Sejmem, Stackelberg donosi Ignacemu Potockiemu, że król w tej mierze żadnych nie będzie robił trudności, aby godność ta przypadła Piotrowi Potockiemu, staroście szczyrzeckiemu. W końcu wzywa go: „Mon cher maréchal

allez en avant et vous aurez une nouvelle obligation.“ Innym razem pisze do niego w tej samej sprawie: „De grâce, arrangez ce chapitre des maréchaux par amitié pour moi.“ Rodowa kandydatura upadła, ale była poważnie brana pod rozwagę.

Nastrój Sejmu objawił się z wielką siłą przy samem otwarciu. Królowi zdawało się, że najmożniejszy pan polski, Szczęsny Potocki, spodziewany z wyteżoną uwagą, najważniejszą odegra rolę. Pokazało się jednak wkrótce, że dla Szczęsnego nie było tu miejsca; „duch republikański“ gnał go z kraju, z nad Wisły nad Tybr. Natomiast w Warszawie stanął w pierwszym szeregu Ignacy Potocki. Słowa jego, wypowiedziane na sesji dn. 24 października 1788 r.: „Czas przyszedł zrzucić zastonę,“ odpowiadały zupełnie chwili. Ignacy Potocki wstąpił jeden z pierwszych w szranki przeciw „ciemnocie praw z r. 1776,“ przeciw Radzie nieustającej, a zapewniał przytem, że „krzywdę czynią narodowi ci, którzy najczystsza myśl zabezpieczenia wolnej konstytucyi Rzpltej... nieufności i niedowierzaniu w królu swoim przypisują,“ zapewniał, że „serca Polaków są dobre.“ A jednak te serca wrażliwe, zdolne do uniesień, niepokoiły później bardzo samego Ignacego Potockiego. Patryotyczny prąd rwał tak nagle naprzód, że Ignacy Potocki, głowa patryotów, poczuwał się do ostrożności. Kiedy Lucchesini w krytycznej chwili, w przededniu zniesienia departamentu wojskowego i bezpośrednio potem rozżarzał ogień i przygotowywał wkroczenie pruskich wojsk w granice Polski, kiedy zapaleni patryoci dążyli do gwałtownego zerwania z Rosyą, Ignacy Potocki zachowywał rezerwę. W pierwszej chwili nie zbliżył się Lucchesini do marszałka, łudząc i podżegając ks. Wirtemberskiego i ks. Józefa Czartoryskiego, stolnika litewskiego; pozostawał też w blizkich stosunkach z marszałkiem konfederacyi litewskiej, ks. Sapiehą. Przypuszczamy, że Ignacy Potocki był obecny na nocnej, tajnej naradzie pod koniec października 1788 r., na której ważyła się ważna sprawa interwencji i inwazyi pruskiej, ale Lucchesini go nie wymienia i nie wyróżnia. Potocki wspominał potem sam o nieporozumieniach z Lucchesinim. Temperament jego, istnego Orlanda Szalonego, jak go nazywał Stackelberg, prowadził do ostrego konfliktu, wywoływał groźną burzę. Ignacy Potocki pragnął jej uniknąć, bo trudno było ręczyć, gdzie grom uderzy. Stanisław August miał dobre informacye, kiedy pisał do Debolego 12 listopada 1788 r.: „To tylko daje się pomiekąd poznawać, że szefowie opozycyi, jak Potocki marszałek i ks. Adam Czartoryski, są sami w ambarasie ze zbytniego zagrzania swych dependentów, którymi władać teraz

jest dla nich samych ciężko...“ W tydzień później król pisze znów: „Po długich dysceptacjach przyznał sam Potocki, że roztropność nie pozwala zrywać z Moskwą całkowicie, ani niszczyć wcale Rady, owszem trzeba koniecznie wrócić ad statum negotiandi.“

Istotnie marszałek nie chciał obecnie całkiem z Moskwą zrywać nawet, a może właśnie po groźnej nocy Stackelberga z dn. 6 listopada 1788 r., protestującej przeciw naruszeniu gwarantowanej konstytucyi, Potocki zakomunikował ambasadorowi projekt odpowiedzi Sejmu na drugą pruską deklarację z dn. 18 listopada. Dziękując za ten dowód zaufania w piśmie z dn. 3 grudnia, Stackelberg poczuwał się do tem większej otwartości, że marszałek zapewniał, iż jest „mniej autorem niż redaktorem wszystkich tych pism“—vous m'avez fait l'honneur de me le dire, vous êtes moins l'auteur que le redacteur de tous ces écrits. Stackelberg uważał „replikę na pruską deklarację nietyle za dzieło, zredagowane według dyplomatycznych zasad, ile za krytykę wielkiego państwa...“ „Jestem przekonany, Panie Marszałku,—pisał dalej—i powtarzam to, że nie dajesz rad tego rodzaju, ale nie kładąc już nacisku na ton skandaliczny, który uderza wszędzie na uroczysty akt gwarancyi, którego Polska nie może jednostronnie tłómaczyć, który uznała jeszcze w r. 1776, zwróć tylko uwagę na konkluzję odpowiedzi, wypowiadającej się co do niemoralności polityki mego dworu. Bądź sędzią, Panie Marszałku,... widzisz, jak daleko rzeczy posuwacie i nie nalegajcie na gwałtowną krytykę, która obraża dwór szanowny, zawsze interesowany dobrem Rzpltej.“ Treść i forma pisma nie mogła wpłynąć na zwrot polityki Ignacego Potockiego, ale i później, chociaż przykładał rękę do zburzenia Rady niustającej, usiłował zachować miarę w dyplomatycznej akcji i nienarażać się Rosyi.

Niepokoiliła go wiele drażliwa sprawa ewakuacyi rosyjskich wojsk, grożąca wybuchem wojny. Ignacy Potocki sądził, że „Warszawa powinna być tak samo ostrożną, jak Berlin.“ Brak przeczności nasuwał mu poważne refleksye nad głównymi prawidłami polityki i istotą polskiego charakteru. Cieszył się objawami obywatelskiej gorliwości, która, jak to dumnie podnosił, kłam zadawała przewidywaniom i podejrzeniom Potiemkina, Kaunitza i innych politycznych spekulantów, uprzedzonych i z góry wątpiących o możności zgodnego uchwalenia podatków na armię, ale przestrzegął przed zbyt wielkim zapalem, który wydawał się obosieczną bronią, bo „nie nie jest piękniejszego, nie straszniejszego, jak zapal“ — rien n'est plus beau ni plus terrible que le zèle.

„Strzeżcie się przed zbyt wielkim zapalem“ — taki napis Ignacy Potocki chciał umieścić na bramie sali obrad w republikach. Marszałek sądził, że nie było ani mądrzem, ani politycznem (ni sage, ni politique) odmawiać przejścia rosyjskim wojskom. I to go bolało, że mowa, którą w tym sensie wygłosił, nie spotkała się z jednomyślnem uznaniem, niepokoiło go, że mimo przestróg ujawniała się dążność, aby działać z największym pośpiechem (d'agir avec la plus grande précipitation). Niema żadnej hańby bać się wojny, rozumował, chcą jednak przekonać publiczność, że jest to wstydem, chociażby nawet wojna była jaknajbardziej hazardowną. „To bardzo piękne dla balkonu albo jeżeli chcesz dla parteru Rzpltej, zwierzał się Aloemu, ale to właśnie wypadek, w którym trzeba się nieco sprzeciwić popularnej opinii.“ Uważał politykę, zabraniającą przejścia wojsk przez terytoryum Rzpltej, za przeciwną publicznemu prawu i stanowisku neutralnych państw. Mniecił też, że pozwolić na przejście wojska, ale nie na transport amunicyi, jest wprawdzie bardzo patriotyczne, ale nie konsekwentne, bo transport amunicyi jest daleko bardziej niewinny. Marszałek sądził też, że „zapaleńcy“ bez potrzeby zwracali się przeciw kontraktom, zawartym z rosyjską komendą o dostarczanie żywności, że skorzystali tylko ze sposobności, aby pofolgować swemu uczuciu i animozyi przeciw tym, którzy układ zawarli. Marszałek, jeden z głównych patriotów, oświadczał się przeciw „arcypatriotom,“ rozróżniał między gorliwymi obywatelami a zapaleńcami, którzy wszelkie uniarkowanie uważali za zdradę dobrej sprawy, podnosił też „wielką różnicę między opinią popularną a narodową.“ „Zapaleńcom potrzeba niebezpieczeństw, potwornych zjawisk, walk, zwycięstw, a przedewszystkiem wiele hałasu,“ zwierzał się nie bez goryczy swemu zaufanemu przyjacielowi.

Krytyka ta odnosiła się i do ważnych zagadnień wewnętrznej polityki i zamierzonych reform, zwracała się przeciw rozpalonym głowom, olśnionym proklamacją praw człowieka, wzorami francuskimi lub amerykańskimi. Przemawiał przeciw ślepemu naśladownictwu, rzucając uwagę, że „przezorny Dekert niepodobny do Kromwella.“ Ignacy Potocki chciał zapal zwrócić ku temu, „abyśmy stali się rozważniejszymi i doszli do lepszych rządów.“ Stojąc u steru, zdawał sobie jasno sprawę z trudności położenia i z pewnych właściwości polskiego charakteru, które, zdaniem jego, przeszkadzały polityce. Z niechęcią mówił o demagogach, polujących w Izbie za poklaskiem, i był zadowolony, że biskup kamieniecki obszedł się z nimi, jak Sokrates z sofistami,

uważał też popularnych bohaterów za nierozsądnych i bardzo niebezpiecznych.

Ignacy Potocki widział i uznawał, że w Polsce przybywało światła, a jednak miał uczucie, że było go jeszcze za mało, jak na tak ważną i trudną chwilę. „Wojna obecna przyszła bardzo w porę — pisał do Aloego dn. 20 października 1789 r. — aby nas ożywić i nadać nam sił..., ale śmiem powiedzieć, że przyszła dla nas trochę za wcześnie, dla naszego oświecenia, a w ciągu jej trwania bardzo się nie wykształciliśmy; chwala Bogu, że usunęliśmy dawną formę rządu, ale mamy potrzebę nauczyciela tak w wojnie, jak w pokoju. Chciałbym, aby Fryderyk Wilhelm był naszym mentorem.“

Ważna polityczna racja, przeświadczenie, że dźwigająca się Rzplta potrzebuje obcej, przyjaznej pomocy, prowadziło Ignacego Potockiego do szukania oparcia o Prusy. W działaniu jego i przeprowadzeniu politycznego systemu daje się jednak uczuć pewne wahanie. I tu zaznaczyła się różnica zapatrywań między Ignacym Potockim a patryotami.

Myśl przymierza z Prusami zjawiła się zaraz na początku Sejmu i znalazła gorący poklask. Większość patryotów oświadczyła się odrazu za zawarciem formalnego traktatu nie tylko z Prusami, ale z Rzeszą niemiecką, z Anglią i Holandją, w końcu z Turcją. Najwięcej zależało oczywiście na przymierzu z pruską potęgą. Ignacy Potocki nie podzielał gorączkowych dążeń traktatowych. „Kiedy mi mówili o swych projektach — pisał (20 maja 1789) o arcypatryotach — daleki od tego, żeby im przeczyć, prosiłem ich, aby mi swój projekt dokładnie rozwinęli, ponieważ jestem głęboko przekonany, że słowo to jest tylko słowem w ich głowach.“ Widząc ich zakłopotanie, dodał jeszcze, że czy król pruski jest przyjacielem czy sprzymierzeńcem Szwecyi, nie mógłby i tak więcej uczynić, gdyby *nazywał* się jej sprzymierzeńcem. Zakonkludował wreszcie: „Wspólne interesa, uczciwość wielkiego króla, oto narazie najlepsze dla nas przymierze.“ Ignacy Potocki czynił wprost zarzut głowom nielogicznym, że idei przymierza poświęcają istotną polityczną zażyłość (*intimité politique*). Jak sobie tłumaczył logikę marszałka, który tak stanowczo brak logiki zarzuca „arcypatryotom“? Logika jego opierała się głównie na etyce pruskiego króla, na zaufaniu do indywidualnej uczciwości i osobistego moralnego charakteru „wielkiego króla,“ Fryderyka Wilhelma II; opierała się na przeświadczeniu, że wspólność interesów więcej znaczy od formalnego związania się traktatem. A jednak logika ta ustępowała niebawem innym

racyom, tak że zarzut braku logiki możnaby zwrócić przeciw samemu krytykowi. Ważna ta zmiana tłumaczy się sekretem pruskiej polityki.

Dwór pruski, zaniepokojony i oburzony projektem przymierza Rzpltej z Rosyą, ofiarował w pierwszej chwili własne przymierze, ale tylko pozornie, bo faktycznie nie chciał przez dłuższy czas wiązać się traktatem. Trwało to do listopada 1789 r. Lucchesini otrzymał wyraźną instrukcyę, aby w tej mierze dawać wymijającą odpowiedź i wogóle unikać poruszenia tej delikatnej kwestyi. Przyjaźń wspaniałomyślnego króla miała sama przez się wystarczyć i stanowić rękojmię obrony i bezpieczeństwa Rzpltej. Lucchesini mówił wciąż o bezinteresownej życzliwości dla Polski i szlachetnym charakterze Fryderyka Wilhelma II.

Tym moralnym argumentem oddalał formalne propozycye, powtarzające się często w ciągu r. 1789. Między tą wyczekującą pruską taktyką, a logiką Ignacego Potockiego był niezawodnie związek. Lucchesini starał się coraz bardziej o zaufanie i przyjaźń marszałka; nieporozumienia zostały usunięte. Potocki nie chciał, ujęty i widocznie przekonany przez przebiegłego Włocha, nalegać na zawarcie traktatu, skoro to w Berlinie nie było w tej porze pożądanę i mogłoby osłabić „serdeczność“ stosunku, zamiast ją właśnie zacieśnić i węzłem zewnętrznym utrwalić. Marszałek salwował nieufność do polityki państwa pruskiego wiarą w króla Fryderyka Wilhelma II, wiarą złudną i zawodną.

Pod koniec r. 1789 zmieniło się położenie. Dwór pruski przekonał się, że wyczekująca polityka nie wywołała w Petersburgu upragnionego zwrotu, że natomiast w Polsce mogłaby spowodować zwrot i podkopać zaufanie do Prus. Zawarcie przymierza, rok cały zwlekane, stawało się koniecznością, bo już trudno było gołosłownemi deklaracyami i poufnemi zapewnieniami uspić podejrzania. Przed grożącą wojną potrzeba było jawnego czynu.

Ignacy Potocki przykładał obecnie rękę do polsko-pruskiego przymierza. Ale były chwile, w których szczerłość pruskich intencyj nie była mu jasną. Z Berlina nie przychodziły dobre i pewne wiadomości. Ks. Józef Czartoryski, gorący zwolennik Prus, opuścił Berlin zrażony i zachwiany w swej ufności. Na jego miejsce przychodził młody, płochy i niedoświadczony ks. Stanisław Jabłonowski, upatrzony przez samego Lucchesiniego, właśnie dla tego, że był mało ukwalifikowany, a zrazu bardzo Prusom oddany. W łonie poselstwa polskiego w Berlinie nie było zgody. Pruska polityka łamała się też sama w sobie, z czego Potocki zdawał sobie sprawę; widział, że między Hertzbergiem a Lucche-

sinim były różnice, że Hertzberg jest, jak się wyraził, za amputacją, Lucchesini i król w zasadzie za wielkim ruchem, a wreszcie poseł angielski — Ewart, którego wpływ w Berlinie był znaczny, za paliatywami. Dobrze obeznany z różnemi sekretami politycznej gry pruskiej, Aloe donosił o różnych jej odcieniach, chociaż do głębi głównego sekretu nie dotarł, bo też sam był zajęty i zbyt przejęty swą własną pozycją i nikłą rywalizacją z Jabłonowskim, na co łagodząco starał się wpłynąć Ignacy Potocki. Na początku r. 1790 Aloe zwracał jednak uwagę na to, że w Berlinie pracują nad zbliżeniem się do Rosyi, że między faworytem króla Bischoffwerderem, który coraz wyraźniej wysuwał się na widownię, a nadzwyczajnym posłem rosyjskim Alopeusem toczą się częste rozmowy. Co z tego politycznego szachrajstwa wyniknie, kogo w końcu Rosya wyprowadzi w pole, pyta Aloe, zastanawiając się równocześnie nad tem, czy Lucchesini jest szczery. A właśnie miał Lucchesini przybyć do Berlina, aby wyjaśnić sprawę przymierza.

Nadzieje mieszały się z podejrzeniami. Kiedy Aloe przedstawiał, że „*aliens* jest uważany, jako podejrzany w swych początkach, a bardzo korzystny w swych konkluzjach“ (*l'alliance est considerée comme suspecte dans le début et très dangereuse dans les conclusions*), Potocki odpowiedział: „Nie rozumiem nic z tych nadziei, zmieszanych z nieufnością.“ Marszałek patrzył pogodnie w przyszłość w przekonaniu, że obrona droga jest najlepszą. Konferencye z Alopeusem nie wydawały mu się podejrzanemi wobec charakteru takiego króla, jak Fryderyk Wilhelm II, „wyższego ponad ponętę“ rosyjską. I do Lucchesiniego nie tracił zaufania, sądząc, że wróci z dobrymi wiadomościami. Tymczasem powrót margrabiego opóźniał się nadspodziewanie. Potocki trwał w pogodnym nastroju, „raczej ciekaw prawdziwych motywów zwłoki, niż niecierpliwy.“ Rezydent austriacki w Warszawie przestrzegał przed Prusami, marszałek tonem protekcyjnym odpierał obiekcyje „biednego posła z Wiednia,“ z humorem, pełnym sarkazmu, prowadząc z nim „polityczno-komiczną rozmowę.“ De Caché powiedział: „Wy, Polacy, lubicie pochlebstwa,“ na co Potocki odparł: „One więcej warte, niż obelgi.“

Pełen samowiedzy marszałek bronił stanowczo pruskiej polityki. Sam podnosił, że w rozmowie ze Stanisławem Augustem zwycięzko zbił wszelkie argumenty przeciw przymierzui i rozproszył wszelkie wątpliwości. Król bał się wojny z powodu zawarcia przymierza, na co marszałek odparł pięknie ułożonym zwrotem, że alians musi być uważany nie jako źródło wojny, ale jako

pomoc w wojnie—non comme la source, mais comme la ressource d'une guerre. Ta gra słów, wyrażająca jasno pogląd na walor przymierza, miała na królu szczególne zrobić wrażenie. „Nie możesz sobie wyobrazić efektu tego zwrotu,“ pisał z zadowoleniem do swego powiernika.

Ale po „polityczno-komicznych“ rozprawach, po tryumfujących zwrotach i pogodnych horoskopach, przyszedł prawdziwy „paroksyzm.“ Lucchesini, wyczekiwany przez marszałka tylko z ciekawością, a bez niepokoju, wrócił do Warszawy. Przy pierwszym spotkaniu po kilku ogólnikowych pytaniach, na które również ogólnikowe nastąpiły odpowiedzi, Potocki odniósł wrażenie, że dwór pruski ma ukryte względy dla Rosyi (des égards réservés). Kilka dni później Lucchesini wyjawiał wreszcie pruskie żądania. Pokazało się, że myśl „amputacji,“ przypisywana wyłącznie Hertzbergowi, była wogóle zasadą pruskiej polityki. A chociaż Potocki mniemał, że Gdańsk i Toruń nie przedstawiają wielkiej finansowej wartości, to jednak wyznawał, że „straszną rzeczą jest cesya jakiegokolwiek terytorjum.“ Wprawdzie przypisywał alarmujące żądanie zupełnie niepolitycznemu postawieniu całej sprawy przez Stanisława Augusta, chcącego traktat handlowy koniecznie połączyć z przymierzem, co, zdaniem jego, było wprost niedorzecznem, ale mimo to pozostawał pod przygnębiającem wrażeniem, a im więcej o tem myślał, tembardziej to odczuwał.

Potocki odkrywa nam tu sam znamieny rys swego charakteru, że pierwsze wrażenie było u niego zawsze słabsze, że dopiero refleksya i medytacya sprawiała u niego „sensacyę.“ Była to wogóle natura nietyle intuicyjna i impulsywna, ile refleksyjna. Refleksya odkrywała coraz przykrzejsze strony pruskiej polityki. Potocki pocieszał się tem, że przebił się w niej tylko duch Hertzberga, ubolewał też nad tem, że wpływ Lucchesiniego na Hertzberga nie jest dość silny i przypuszczał, że „marchese“ musiał przechodzić „piekielne męki.“ Ale i sam marszałek cierpiał niemało. Pomimo całego optymizmu wydawało mu się jednak przymierze podejrzanem, wyznawał, że il y a du louche dans l'alliance, że określenie niepodległości było bardzo dwuznaczne. Proponowany handlowy traktat wywołał przykrą refleksyę, że gdyby wszyscy sąsiedzi Polski tak kalkulowali, jak Hertzberg, to traktaty handlowe zamieniłyby się w traktaty rozbiorowe. Zaufanie do „moralnego charakteru“ Fryderyka Wilhelma II nie zostało zachwiane mimo wszystko, bał się tylko jego „satelity“—Hertzberga. Potocki, chcąc swoją wiarę i ufność przelać na wszystkich, pragnął, aby „nieba natchnęły“ króla pruskiego do wydania jakiej dekla-

racyi, mogącej uspokoić umysły. Nieba nie natchnęły króla i czyż deklaracya miała bardziej uspokajająco działać od formalnego zawarcia i podpisania traktatu?

Paroksyzm minął narazie szczęśliwie. Ignacy Potocki nie tracił, jak to sam powiedział, ani odwagi, ani nadziei. Wogóle jednak zaczynała się coraz bardziej wytwarzać atmosfera podejrzeń.

Poseł polski w Berlinie ks. Jabłonowski, zrazu Prusom oddany i wierzący, przysyłał obecnie wiadomości, które budziły niepokój i nieufność. „Na Boga, niech Jabłonowski wstrzyma się odtąd od podejrzliwego i trwożliwego tonu, od złej wróżby, bo w końcu doprowadzi do tego, że będziemy kochali Rosyan,“ błagał Ignacy Potocki już na początku kwietnia 1790 r., bezpośrednio po zawarciu przymierza. Dawał przytem naukę, że „alarmować, nie znaczy uświadamiać, podejrzewać wszystkich, nie znaczy być przezornym, a wszystko pisać, znaczy tyle, co nic nie powiedzieć.“

Istotnie trzeba było wśród naprężonego położenia odważyć każde słowo, aby zachować miarę między niepotrzebnym alarmem a potrzebną przestrogą. Ważna chwila wymagała wielkiej czujności i rozwagi, męskiego skupienia i rzadkiej w Polsce dyskretycyi. Wojna wisiała w powietrzu. Zanosilo się wreszcie na wielki ruch. Każdy krok był ważny. Zaczęła się tajna akcyja z Galicyanami, pragnącymi się dowiedzieć, „co też Bóg i Warszawa z nimi dalej robić będzie.“ Po deklaracyach i notach pruskich, po mowach i uchwałach polskich miały nastąpić czyny.

Ignacy Potocki pracował z wytężoną energią; ze wszystkich stron przychodziły naglące wiadomości, wszyscy zwracali się do niego i na niego przedewszystkiem liczyli. W obozie pruskim na granicach Ślązka spotykali się ze sobą, a czasem ukrywali się przed sobą polscy dyplomaci, urzędowi i nieurzędowi, jawni i tajni. Wszyscy znoszą się z Ignacym Potockim i na podstawie trafnych lub złudnych informacyj oczekują instrukcyi. Marszałek czuł całą doniosłość chwili, czuł, że więcej niż kiedykolwiek trzeba w swych rękach skupić delikatne nici powikłanych negocyacyj. W przededniu ważnych decyzyj przysłała mu myśl—jeszcze na początku kwietnia—że „dyktatura jest absolutnie potrzebną w obecnem przesileniu, że byłaby to jedna z największych usług, jaką możnaby oddać narodowi.“ Sądził nawet, że myśl ta nie jest tak daleką od wykonania.

Marszałek mógł w tej chwili istotnie poszczycić się w pewnej mierze moralną dyktaturą. Negocyacye pruskie trzymały uwa-

gę wszystkich na uwięzi. Potocki sądził, że oręż rozstrzygnięciem naprężone położenie daleko wyraźniej, niż demonstracye i negocyacye, uważał też wojnę za konieczną i zbawienną. Sam powiedział: „Nie boję się niczego tak, jak pokoju: Polska przestałaby istnieć, gdyby przyszło do szybkiego zawarcia pokoju.“ „Wszystko to fraszki, ale wojna grunt...“ pisała p. Kossakowska do swego ukochanego bratanka Ignacego Potockiego, modliła się o wojnę, a raczej wytrącała z modlitwy: „Św. Boże, Św. Mocny,“ słowa: „uchowaj nas od wojny,“ śpiewając: „daj Boże wojnę.“

Położenie było niepewne i chwiejne; pruski rozmach wojenny łamał się z pacyfikacyjnymi projektami. Potocki był dobrej myśli, chociaż przyznawał, że „bez takiego charakteru, jak króla pruskiego, polityczny egoizm Anglii i jej arytmetyczna polityka przyprawiałyby go o wielki niepokój.“ Główną ostoją bezpieczeństwa był zawsze w jego mniemaniu charakter króla. Dla „serca i zasad Fryderyka Wilhelma II miał marszałek szczególne uznanie, które odbiło się na politycznych kombinacjach. Zwyciężyła przecież arytmetyczna polityka. Wśród naprężonego wyczekiwania i rozbudzonych nadziei, wśród alarmów wojennych zrodziła się konwencya w Reichenbachu, wykazująca dowodnie, że chwiejny i wyczekujący Fryderyk Wilhelm II był gotów do układów, nie licząc się bardzo ze sprzymierzoną Rzpłtą. Wrażenie jej w Polsce było też przykre. „Chyba alians ni śmierdzi ni pachnie,“ pisała po swojemu Kossakowska. Ignacy Potocki spochmurniał i ze smutną zadumą przyznawał, „choć Polak, że nie uczyniliśmy wszystkiego, aby zasłużyć na lepszy los,“ zwierzał się też, że miał przeczucie ostatecznie średniego skutku działania. Pierwszy raz wyrwały mu się słowa, że nie zna się bardzo na polityce pruskiego dworu, ale mimo to nie chciał przypuszczać wraz z publicznością, że zachodzi tu grube oszustwo, bo trzeba by zrzec się opinii o mądrym królu i o tych, którzy cieszą się jego zaufaniem.

Raz po raz wyrażał się marszałek krytycznie o polskim charakterze, podnosząc zwłaszcza, że niedostaje narodowi trzeźwego i zdrowego sądu; porównywał Rzpłtą z kobietą, skłonną do spazmów, wobec czego mądry lekarz powinien czuwać, aby uchylić wszelki powód do konwulsyj. Jako mądry lekarz myślał Potocki o gruntownem uzdrowieniu organizmu i o stworzeniu warunków prawidłowego życia przez dobrą formę rządu i przeprowadzenie najbardziej naglącej sprawy sukcesyi. Uważał doniosłą tę sprawę za barometr politycznej dojrzałości narodu, a przychylności zagranicy. Marszałek szukał, pomimo że zagadka pruskiej polityki zaczęła go męczyć, w Berlinie pomocy w rozwiązaniu trudnego

zadania. W przekonaniu, że Polska „zupełnie sama nie może dojść do dobrej formy rządu“ (ne peut pas parvenir à une bonne forme de gouvernement toute seule), Potocki przeznaczał na pierwszego króla mającej powstać konstytucyjnej monarchii sukcesyjnej Fryderyka Ludwika Hohenzollerna, chcąc przez dynastję Hohenzollernów utwierdzić sukcesję i ubezpieczyć Polskę.

Piattoli podążył do Berlina, jako mąż zaufania marszałka, w sierpniu 1790, aby postawić pruską kandydaturę i dokładnie poznać intencje króla. Fryderyk Wilhelm II rzeczywiście myślał obecnie przez krótką chwilę o tronie polskim dla jednego ze swych synów, wbrew przekonaniu Hertzberga. Są poszlaki, że generał Kalkreuth w sekrecie nawet przed Lucchesinim, zazdrosnym o monopol swego wpływu i znaczenia, w tej mierze miał zbadać teren w Polsce. Ale był to tylko przelotny pomysł w głowie pruskiego króla, podczas kiedy polski dyplomata uważał to za przewodnią ideę swej polityki. W skreślonym własną ręką marszałka „Pro memoria“ czytamy: „Po najdłuższem życiu panującego króla, gdyby zgon jego osierociłał zostawił ojczyznę, ewentualnie korona polska zabezpieczoną będzie jednemu z synów króla Jmci Pruskiego z warunkami, jakich wymaga samowładność i bezpieczeństwo Rzpltej.“ Równocześnie była mowa o tem, że „jeżeli Elektor Saski nie podejmie się korony, król szczęśliwie panujący — Stanisław August proszony będzie pojąć za małżonkę ks. Fryderykę pruską z zapewnieniem dla potomstwa płci męskiej następstwa w prostej linii.“ Dziwny ten związek nie rokował podług ludzkiej rachuby potomstwa. Inna kombinacya, więcej realna, polegała na tem, że infantka saska miała poślubić ks. Ludwika Hohenzollerna. W każdym razie dynastya Hohenzollernów wchodziła poważnie w różnorodne sukcesyjne projekta. Panowie polscy śpieszyli bez żadnego mandatu, z własnej ochoty, do Berlina, a jeden z nich—Adam Rzewuski, poseł polski przeznaczony do Danii, wznosił nawet po cichu toast na obiedzie dworskim na cześć przyszłego króla ks. Ludwika ku niemałemu zakłopotaniu obecnych.

Piattoli czynił, co mógł, aby powierzony mandat dobrze spełnić; bywał u ministrów i faworytów. Do Bischoffwerdena chciał trafić przez córkę; pisał po swojemu rozwlekłe memoriały, omawiając szeroko różne ewentualności. Dużo niezawodnie się nauczył w pałacach, które sumiennie zwiedzał, i w Akademii Umiejętności, ale ostatecznie wracał z niczem, chociaż trzymał to w tajemnicy. Jednemu tylko Potockiemu zwierzał wszystkie sekrety. Ignacy Potocki spostrzegł na miejscu także, że Lucchesini jest

nieszczery i niejasno mówi o sukcesyi, co rzuciło przykre światło na dobrą wiarę pruskiego dworu. Ugruntowanie bytu Polski przez dziedziczny tron i dobrą, trwałą formę rządu, sprzeciwiało się też głównym zasadom polityki pruskiej. Chcąc jednak osłabić podejrzenia i zapobiedz zwiększaniu się „kliki apostatów,” Potocki wzywał zaufanego przyjaciela w Berlinie, zwracającego uwagę na istniejące tu ukryte względy wobec Rosyi, aby w pismach do Deputacyi spraw zagranicznych mówił o złej wierze i złej woli rosyjskiej, a „nie wspominał o opinii pruskiej co do konstytucyi.” Potocki musiał uznać, że Prusy same przyczyniły się do obudzenia nieufności, nie uczyniwszy niczego bezpośrednio po zawarciu przymierza, coby mogło zrobić wrażenie *par un grand coup d'équité*, pomimo że zaklinał o to Lucchesiniego. Tymczasem Prusy ograniczały się do „ogólnych zapewnień przyjaźni, dobrej woli i czystych intencji.” To też marszałek uważał skargi na polską podejrzliwość za niestuszne, sam osobiście wierzył zawsze, że uczucia pruskie są szczerze, ale rozumiał, że powinny objawić się w czynach konsekwentnych, któreby świadczyły o stałej, dobrej woli, o systemie. Przecież nie po to podjął Sejm tak wielką pracę, aby „po długiej żegludze rozbić się w pruskim porcie.”

Ufność marszałka, okazywaną Prusom, spotkała się jednak na Sejmie ze znamieną krytyką w dyskusyi o nierozdzielności krajów Rzpltej. Wyłoniło się żądanie, aby osobno wymienić miasta Gdańsk i Toruń, co wprost godziło w sprzymierzone Prusy. Seweryn Potocki, lubo popularny, „odważył się” wystąpić przeciw temu żądaniu, utrzymując, że Gdańsk i Toruń prędzej czy później i tak przypaść muszą Prusom. Ignacy Potocki zwalczał wniosek, jak sam podnosił, z ogólnego, zasadniczego stanowiska, dowodząc, że przezorny rząd jest jedynie zdolny gwarantować narodowi swe dzierżawy, że żadne społeczeństwo nie pozbawia swej naczelnej władzy prawa cesyj terytoryalnych, aby zachować i ubezpieczyć resztę kraju; powoływał się na alkoran, który zakazywał odstępowania ziemi, a jednak nie krępował W. Porty w transakcyach politycznych. Ignacy Potocki miał uczucie, że żadna jego mowa nie wywarła większego wrażenia, bo przeciwnicy nie wiedzieli, co odpowiedzieć, i nastąpiło długie milczenie. Milczenie było wielkim sukcesem świetnego mówcy, ale nie zwycięstwem polityka. Wbrew zasadniczemu argumentom przyszło do uchwały o nietykalności dzierżaw, do uchwały patryotycznej przeciw przekonaniu głównego przewódcy patryotów. Marszałek uważał patryotyczną uchwałę za wysoce niepolityczną, za dowód, że

„naród polski nie jest stworzonym, aby być wolnym“ (n'est nullement fait pour être libre). Z goryczą zwracał się przeciw „szykanom i tatarskiemu duchowi w polityce.“ Pod bezpośredniemi wrażeniami wyrwały mu się przykre słowa: „rabuliści są naszymi mandarynami i prowadzą horde.“ W poczuciu wyższości odezwał się: „Od jakiegoś czasu rozumiem Horacego Odi profanum vulgus i Tristes Owidiusza.“ Smutek nękał jego duszę. Był to już drugi bolesny paroksyzm.

W Berlinie uważano uchwałę za objaw „czarnej niewdzięczności.“ W atmosferze podejrzeń gmatwało się polityczne położenie. Niespodziewane zawarcie pokoju Szwecyi z Rosyą, wbrew przewidywaniom i stanowczym radom pruskim, było ciosem dla Prus i dla Polski, było podważeniem całego systemu. Zaniepokojony i zniecierpliwiony pisał Potocki: „Eh! Qui diable trompe-t-on ici.“ Stawał się „mizantropem,“ do czego przyczyniały się także trudności, jakie trzeba było zwalczać w pracy nad wewnętrzną budową. Skarżył się poufnie: „Nie mając nienawiści do swych bliźnich, cierpię bardzo, że nie mogę ich szanować, a czyż to nie bolesne, nie mogąc, jak tylko bardzo rzadko, żywić uczucie tak zwykłe, jakim powinien być szacunek?“

Ignacy Potocki popadał w tragiczny konflikt, który tkwił głęboko w zasadniczej różnicy między polską a pruską polityką, między patryotycznym roznachem a polityczną rachubą, między rozbudzonem narodowem uczuciem a duchem konjektur, rodzących się w głowach dyplomatów. Narodowe uczucie przemawiało za nietykalnością granic i całością dzierżaw Rzpltej. Całość, zarówno jak niepodległość, stanowiła główny postulat patryotyczny. Bolesną było też rzeczą okupywać niepodległość kosztem całości. Odczuł to Potocki, skoro w przededniu przymierza sam z głębi duszy powiedział, że to straszna rzecz odstępować ziemię, a jednak tę straszną rzecz musiał brać w polityczną rachubę, bo było to nieuniknioną konsekwencją związku Polski z Prusami. Uczucie kłóciło się z racją stanu i szarpało jego duszę. Lucchesini chwalił Ignacego Potockiego między innymi za to, że nie miał „przesądów,“ a pochwała ta odnosiła się niezawodnie do tego, że marszałek był ostatecznie gotów uwzględnić w pewnej mierze zaborczą żądę pruską. Liczył się z Prusami i nie chciał ich zrażać; dlatego też tak bardzo stanowczo opierał się uchwale o nierozzerwalności Rzpltej. A pomimo dumnego Odi profanum vulgus, słusność była w tym wypadku po stronie tych, którzy trzymali się oburącz całości i chcieli zagrozić drogą szarpaniu ziemi, zamierzonemu przez Prusy. Przecież dwa miasta, Gdańsk i Toruń,

i tak nie były w Berlinie uważane za dostateczną zapłatę za „przyjaźń.“ Marszałek rozróżniał między narodowymi a popularnymi prądami, ale uchwała, napiętnowana przez niego jako „niepolityczna,“ była i popularną i narodową.

Uchwała o całości terytoryalnej była porażką Ignacego Potockiego. Drugą porażką było rozbitcie projektu przymierza Rzeczypospolitej z Turcyą, popieranego gorąco, zbyt gorąco i zbyt na własną rękę, przez Piotra Potockiego, posła w Konstantynopolu. Tłumiąc wobec Prus własne uczucie i wszelkie podejrzenia, Ignacy Potocki chciał obecnie polityce polskiej wobec Rosyi nadać śmiały kierunek, nie wiedząc, że właśnie Prusy pierwsze przez posła swego stawiały na poprzek samodzielnej politycznej akcji polskiej pomimo zaprzeczeń Lucchesiniego, który zapewniał marszałka: „Moja polityka jest prawa, jedyna, która odpowiada memu moralnemu charakterowi i miejscu, jakie zajmuję w dyplomatycznym świecie.“ W sprawie traktatu przyszło do stanowczej wymiany myśli między marszałkiem a Stanisławem Augustem, który utrzymywał, że alians, choćby obronny, a tembardziej zaczepny, „wystawiłby nas zaraz na pewną zemstę Austrii i Moskwy bez żadnej obrony, gdyż ani Prusak, ani Anglia, ani niktby się za nas nie ujął.“ Ciekawą jest rzeczą, że myśli króla i krytyczne uwagi sformułował w osobnym wywodzie przyjaciel i wielbiciel Ignacego Potockiego Piattoli, wtedy ściśle z królem związany. Potocki nie utrzymał się ze swym programem, a jeżeli go wogóle bronił, powodował się niezawodnie pewnymi względami wobec krewnego swego, starosty szczyrzeckiego, który nad Bosforem pchał w tym kierunku politykę polską.

Ignacy Potocki miał wysokie poczucie rodowe. Najwięcej go bolała istna tragedia rodu, która nieszczęście zaciążyła nad dolą kraju, tragedia Szczęsnego Potockiego. Ignacy donosił mu o politycznych widokach Sejmu, na co Szczęsny z szyderczą skromnością „wieśniaka i żołnierza“ najuniższej kuzynowi dziękował, dodając, że nie może radzić tym, którzy w subtelnościach dworów są wychowani. Ignacy chciał przekonać i rozbroić Szczęsnego, idąc za publiczną potrzebą i uczuciem rodowem. W mechęci do Stanisława Augusta przebijiała się też dawna rodowa animozya, podniecana ustawicznie przez rodzoną ciotkę Kossakowską, która rzucała gromy, że sesye odbywają się w Łazienkach „bez aproba-cyi stanów skonfederowanych,“ wzywała do oporu, sądząc, że „chyba byłyby osły nie posły, żeby ich to nie zabolalo.“ Ignacy Potocki był wyższy nad zawzięć i zaciekłość, nie myślał o rodzie, tylko o narodzie; niekiedy objawił się rodowy sentyment, jednak

nigdy ze szkodą Rzpltej. Obywatel pokonał w nim wielkiego pana i pełnił publiczną służbę, pełną trudu i troski.

W zewnętrznej polityce spotykały marszałka zawody, które tkwiły głęboko w położeniu Rzpltej, w sprzecznościach i fałszach politycznej gry. Polska wpadała z jednego niebezpieczeństwa w drugie. „Port pruski“ nie dawał ochrony przed gromem. Wśród różnych wahań busola pruskiej polityki wskazywała skrycie na północ, na Petersburg. Pełen dobrej wiary, Ignacy Potocki nie był podejrzliwy. „Narażając się na to, że uchodzić będzie za niepolityka,“ chciał „narody i panujących widzieć jaknajbardziej uczciwymi.“ Wyraził szczerze swe przekonanie, że „uczciwy sposób postępowania jest zawsze najprostszy i najbardziej polityczny.“ Ufał ludziom, chciał ich widzieć takimi, jakim był sam. Trafnie zauważył ks. generał Czartoryski: „... optymizm jego i przekonanie o wysmienitości ludzi, co go otaczają, i rzeczy, które posiada, są skutkiem dobroci serca i uprzejmości humoru.“ Przekonanie było złudne. Ignacy Potocki miał uczucie, że znał się na ludziach, że nigdy nie zmieniał raz wypowiedzianego zdania o ich wartości i charakterze. Polegając jednak na moralnym charakterze Fryderyka Wilhelma II, popełnił tragiczną pomyłkę.

Marszałek poczuwał się też do osobistej odpowiedzialności za politykę, którą z dobrą wiarą popierał. W krytycznej chwili podąży do Berlina z własnej inicjatywy, aby stanąć przed królem, któremu długo — zbyt długo ufał, i odwrócić nieszczęście, grożące krajowi. Potocki dał dowód, że posiadał odwagę cywilną, że w sprawie publicznej nie cofał się i przed największą przykrością. Była w tej duszy rycerskość, było poczucie honoru, które nigdy nie zawiodło, było to, czego właśnie tak bardzo niedostawało Stanisławowi Augustowi. Ignacy Potocki nie miał daru, aby w zawodnej dyplomatycznej, powikłanej akcji przewidzieć wypadki i przeniknąć ludzi, ale zajął zawsze stanowisko, pełne godności własnej i narodowej, nie poniżył nigdy swej osoby ani sprawy publicznej, której poświęcił wyteżoną pracę, nie pozbawioną goręczy i wewnętrznej, męczącej walki. W trudnych chwilach łamał się sam ze sobą. Mąż stanu walczy w nim z wrażliwym i uczuciowym człowiekiem. Czasem miał poczucie i potrzebę dyktatorskiej władzy, a znów przychodziła refleksya, że nie zna sekretów polityki i tej sztuki nie rozumie. Budził uczucie i płynął z falą popularną, a kiedy ta się wznosiła, cofał się i chciał ją powstrzymać. Stąd nierówność w usposobieniu i zmienne nastroje. Z optymisty staje się „mizantropem.“

Ignacy Potocki nie był postacią z jednego kruszcu. Stał na przełomie, należąc do dwóch pokoleń. W duszy jego kłócił się duch dwóch epok, duch racjonalistyczny XVIII w., przebijający się w kombinacjach politycznych, wysnutych z błędnego, nie historycznego podkładu epoki, ze świeżym powiewem narodowościowym, jaki już przenikał Wielki Sejm. Głosy te z dwóch przeciwnych epok wywoływały niekiedy wewnętrzny rozstrój i przykre konflikty. Zimna rachuba przemawiała za „straszną rzeczą,” a uczucie przeczyło.

Zawiodła polityka światowa, ale nie zawiodła wielka praca nad wewnętrznym odrodzeniem. I tu spotykał Ignacy Potocki trudności. Miał czasem przykre chwile wątpliwości i skarżył się, że „Sarmaci myślą tylko na metę jednego dnia,” a jednak przeważała wiara, że „cara patria ma dużo dobrych ludzi” i że ci ostatecznie wezmą górę. Z dobrymi, najlepszymi ludźmi stanął w jednym szeregu, aby dokonać dobrego i wielkiego dzieła. Już w sierpniu 1790 r. wyraził nadzieję, że „nowa forma rządu przejdzie, ale siłą młotu; każde prawo jest gwoździem, który trzeba wbić.” Uchwycił też silną dłońią młot, kuł prawa i stał się jednym z głównych twórców konstytucji 3 maja.

I to potomni, na których sędzie Ignacemu Potockiemu bardzo zależało, mogą mu szczerze poświadczyć — w setną rocznicę jego zgonu.

BRONISŁAW DEMBIŃSKI.

PLEMIONA PIERWOTNE

Wschodniej Sumatry.

W lasach i górach Azji zwrotnikowej żyją dotychczas szczątki dziwnych plemion o wyglądzie pierwotnym i pierwotnej kulturze. Plemiona te, liczące niekiedy kilka tysięcy, lub nawet kilkaset osobników tylko, tworzą drobne wysepki, ginące powoli pod naporem sąsiadujących z nimi ludów i niewątpliwie blizki jest czas, gdy znikną one zupełnie z powierzchni ziemi, ulegając w części wymarciu, w części zaś wsiąkając w otaczające je plemiona o kulturze wyższej.

Wobec trudności, jakie nasuwa badanie dzikich obszarów leśnych lub górskich, będących schronieniem tych wygasających szczepów, dopiero od niedawna, gdyż w ostatnim dwudziestoleciu, dowiedzieliśmy się o istnieniu w Azji zwrotnikowej podobnych „żywych skamielin,“ jak je nazywa znakomity podróżnik-etnolog, F. Sarasin. Najdawniej są nam znani *Weddowie* cejlońscy, o których liczne i cenne wiadomości zawdzięczamy braciom Sarasinom. Wkrótce potem, również dzięki ich badaniom, poznaliśmy *Toalów* i pokrewne im szczepy na Celebesie, a jednocześnie znakomita monografia R. Martina dostarczyła nam ciekawych danych o *Senojach* i innych plemionach pierwotnych półwyspu Malakki. Lecz i bardziej na północ, w Annamie, Kambodży i Siamie badania Martina, Fritscha i Hagena wykazały istnienie drobnych szczepów dzikich. Również i na Borneo, Sumatrze, na wyspie Billiton, Banka, na archipelagu Riuw i na innych wyspach Indonezyi znaleziono szczątki plemion pierwotnych, szybko wygasających przy zetknięciu z kulturą wyższą.

Dokładne zbadanie tych ginących szczepów, zarówno w zakresie ich właściwości fizycznych, jak w zakresie ich obyczajów,

poglądów i wierzeń, byłoby nieocenionym dorobkiem tak dla antropologii jak dla etnologii; niestety, większość ich pozostaje dotychczas bądź zupełnie niezbadana, bądź zbadana pobieżnie i niedokładnie. Tem cenniejszą staje się wobec tego każda nowa praca, będąca przyczynkiem do poznania tych ciekawych plemion.

Z badań prowadzonych ostatnio zasługują między innymi na szczególniejszą uwagę badania M. Moszkowskiego, który podczas dwukrotnego swego pobytu we wschodniej Sumatrze zdołał przeniknąć daleko w głąb sułtanatu Siak, aż do okolic dotychczas nieznanych, pokrytych wielowiekowymi lasami i przeciętych biegiem rzeki Siak i wpadających w nią dopływów. Na podstawie obserwacji, poczynionych nad ludnością tej właśnie wschodniej części Sumatry, Moszkowski rozróżnia tu kilka odrębnych grup etnicznych. Jedną z nich stanowią *Sakeiowie* z górnego biegu rzeki Mandau i jej dopływów, oraz plemię *Orang-Talang*, które jednak uległo już islamizacji i malaizacji. Do grupy drugiej należą *Akeci* z wybrzeża i dolnego biegu rzek; do trzeciej wreszcie zalicza Moszkowski plemiona, powstałe ze zmieszania Malajów z plemionami wybrzeży i wnętrza wyspy. Plemiona te stoją bezporównania wyżej kulturalnie od Sakeiów i Aketów, wyznają przeważnie islamizm, lecz wiek urządzeń im właściwych spotykamy w związku u tych właśnie szczepów pierwotnych.

Orang-Akeci, właściwiej zwani *Orang-Raketani* (raket = tratwa), zachowali się do czasów obecnych w niewielkiej już tylko liczbie; pozostało ich bowiem zaledwie około 300-u ludzi, zamieszkujących trzy osady. Nazwa „mieszkańców tratw“ jest dla nich najzupełniej odpowiednia, ponieważ chaty swe budują przeważnie na wielkich tratwach z pni drzewnych, przymocowanych do wybrzeża powrozami z rotangu. Chaty te zbudowane są z kory; dach tworzą liście palmowe. Ognisko składa się z ramy drewnianej, wypełnionej gliną, w której tkwią trzy kamienie, służące za podstawę dla kociołka. W osadach położonych dalej w głąb lądu spotykają się również i budowle na palach. Zdaniem Moszkowskiego trudno wyobrazić sobie coś bardziej od nich nędznego; są to właściwie nie chaty, lecz szałas, o dachu tak pochylonym w tył, że ściany tylnej niema wcale, a dach spoczywa bezpośrednio na podłodze. Częstokroć brak również i ściany przedniej, tak że szałas jest z przodu zupełnie otwarty. Wnętrze takiego domostwa jest niezmiernie ciasne i niskie. Wogóle szałas, te czynią wrażenie raczej kurników, niż mieszkań ludzkich. Wskutek znacznego braku kobiet Akeci żenią się często z dziewczętami Sakeiów, jednakże wobec ustroju matryarchalnego, panującego

u tych plemion, dzieci powracają do szczepu macierzystego. Rzecz prosta, że takie łączenie się obu plemion powoduje zacieranie się znamion rasowych, właściwych każdemu z nich, jednakże elementy Aketów zazwyczaj silnie przeważają u mieszańców. Akeci są przeważnie krótkogłowcami (brachycephalos), o twarzy szerokiej, włosach krętych, prognatyzmie zębów średnio wyrażonym, bródce dobrze rozwiniętej. Przy niewielkim wzroście (od 144—158 cm.) budowa ich jest krępa i silna; w stosunku do tułowia ramiona są długie, a nogi krótkie. Barwa skóry jest bardzo ciemna, brunatno-żółtawa. Wogóle mamy tu niewątpliwie do czynienia z elementem negryckim.

W zakresie ergologii Aketów niewiele jest do powiedzenia. Główne ich zajęcie stanowi rybołówstwo. Żelaza dotychczas nie umieją kuć i zarówno haki na ryby, jak noże i siekiery otrzymują drogą handlu wymiennego od kupców chińskich wzamian za ryby i rotang. W ten sam sposób nabywają również i odzież, składającą się przeważnie tylko z krótkich spodni nie sięgających kolan. Z przedmiotów wyrobu miejscowego posiadają kosze plecione z rotangu (calamus), butelki i miski z tykw, maty, wyrabiane z liści pewnego gatunku pandanu, wreszcie bardzo charakterystyczne dmuchawki drewniane, z których bardzo zręcznie wyrzucają drobne strzałki zatrute. O ile jednak podobne dmuchawki u Dajaków z wyspy Borneo przeważnie zakończone są ostrzem żelaznym, służącym jako dzida, o tyle u Aketów ostrze żelazne bądź zastąpione jest drewnianem, bądź nawet tępą główką. Główną zwierzynę Aketów stanowią małpy, których mięso, podobnie jak Senoiowie, uważają za bardzo smaczne. Do niedawna jeszcze Akeci rozniecali ogień wyłącznie sposobem tarcia dwóch kawałków drzewa, obecnie używają już krzesiwa i hubki; użycia zapalek nie znają, a nawet boją się ich. Usposobienie Aketów jest łagodne, lękliwe i ciche. Wobec braku kobiet z żonami obchodzą się dobrze i małżeństwa rzadko kiedy się rozwodzą. W zakresie pojęć religijnych Aketów Moszkowski zdołał zgromadzić bardzo niewiele wiadomości; zresztą podobny rezultat osiągnął on również i w stosunku do Sakeiów. Zdaniem Moszkowskiego pojęcia religijne plemion, stojących na tak niskim szczeblu kultury, są zazwyczaj niezmiernie ubogie i częstokroć wiele z tego, co niedość umiejętny i niedość ostrożny badacz pisze o wierzeniach danego szczepu, zostało przezeń raczej wnówione w opowiadającego prymitywa, niż rzeczywiście opowiedziane. Dzicy bowiem często wprost przez grzeczność nie przeczą, a nawet potakują na zadawane im pytania. Im wyższa kultura — pisze Moszkowski — tem

potrzeby etjologiczne wzrastają, tem silniej objawia się dążenie do wykrycia przyczyn rozmaitych zjawisk, do wyszukania odpowiedzi na wiele zagadnień. Przeciwnie, u plemion pierwotnych potrzeby w tym względzie są bardzo ograniczone i prymityw zastanawia się przeważnie nad tem tylko, o co bezpośrednio się ociera, co najściślej związane jest z warunkami jego istnienia. W zawiązku każdej religii leży nieświadomość i strach, przeto najpierwotniejszą jej formą jest *animizm* — wiara w duchy, uosabianie każdego zła, każdego nieszczęścia: śmierci, choroby, ognia, burzy, nieurodzaju w postaci złych i szkodliwych duchów. *Manizm*, to jest kult zmarłych, odpowiada już nieco wyższemu rozwojowi pojęć etiologicznych, gdyż tu duchy zmarłych występują jako siła działająca, a w zawiązku z tem powstaje kult dla nich, mający na celu ułaskawienie ich lub zabezpieczenie się od nich. U Aketów spotykamy najniższy stopień rozwojowy pojęć religijnych, mianowicie czysty animizm. Niema nieszczęścia, którego by tu nie przypisywano złemu duchowi „Antu.“ W razie choroby naprzykład chory uważany jest za opętanego przez złego ducha. Wówczas czarodziej „komentan,“ ma za zadanie uwolnić chorego od dokuczającego mu gościa. W tym celu przy monotonnym dźwięku bębnow komentan tańczy dokoła pacjenta i wprowadziwszy się w rodzaj transu, wygłasza przepowiednie, przemawia do ducha, żąda od niego opuszczenia chorego, a nawet walczy z nim, wymachując nożem lub mieczem drewnianym, wreszcie nakłada choremu przepaskę leczniczą na ramię. Dla ułaskawienia składane im są ofiary w postaci owoców i korzeni, wieszanych w koszykach z rotangu na gałęziach drzew nadwodnych. W wierzeniach Aketów cień odgrywa również wybitną rolę, uchodząc za jednego z potężniejszych duchów. Powrócimy jeszcze do tego przedmiotu, mówiąc o religii Sakeiów.

Orang-Sakeiowie zachowali się do czasów obecnych w znacznie większej ilości niż Akeci, jest ich bowiem na Sumatrze około 3000, tworzących dwa wielkie szczepy: Batin-Selapan, złożony z ośmiu klanów (selapan = 8) i Batin-Lima — z pięciu (lima = 5). Sąsiedzi Malajowie zwą Sakeiów Orang-utanami, czyli „ludźmi leśnymi,“ sami oni jednak uważają tę nazwę za obelżywą i zwą się Orang-batinami, czyli „ludźmi batinów“ od wyrazu „batin“ = stary, którem to mianem oznaczają swych naczelników. Osady Sakeiów ukryte są w głębi olbrzymich, niemal niedostępnych lasów; dostanie się do ich wiosek zawdzięcza Moszkowski jedynie tylko temu, że przewodnikiem wyprawy był urzędnik z policyi sułtana Siaku, zbierający corocznie daninę od Sakeiów i pozosta-

jący z nimi w przyjaznych stosunkach. Jednakże za zbliżeniem się obcych ludność wiosek pierzchała w lasy i dopiero na wyraźny rozkaz urzędnika powracała do opuszczonych siedzib. Wszystkie wioski Sakeiów otoczone są dokoła rodzajem olbrzymiej barykady ochronnej, utworzonej ze zwału drzew, których pnie i konary w połączeniu z obrastającymi je krzewami i pnączami tworzą nieprzebytą zaporę dla słoni, tygrysów, a również i ludzi, mogących zaledwie z wielkim trudem torować tu sobie drogę siekierą. Chaty, tworzące osadę, nie są skupione, lecz przeciwnie, rozrzucone na znacznej przestrzeni. Domy zbudowane są na palach, mniej więcej na wysokości $2\frac{1}{3}$ metrów nad ziemią; na noc drabina, służąca do wchodzenia, wciąga się dla bezpieczeństwa. Nad czterema ścianami chaty wznosi się dach z liści, śpiczasto zbiegający się ku środkowi. Podłoga z kłoców drewnianych, układanych w odstępach dwucentymetrowych, przykryta jest matami. Wnętrze domu składa się z izby i galerii otwartej; niekiedy izba bywa przedzielona ścianami z liści na dwie części, a raz nawet Moszkowski widział izbę boczną zupełnie oddzieloną i zaopatrzoną w drzwi. Ognisko urządzone podobnie, jak u Aketów, znajduje się wprost naprzeciw wejścia. Nad niem, na wysokości mniej więcej półtora metra, wznosi się na czterech drażkach rodzaj blatu z liści; jest to śpizarnia domowa, w której mieszkańcy przechowują jadalno, zabezpieczając je dymem od owadów. W nocy wokoło domów palą się wielkie ogniska, zarówno z powodu dojmujących nocnych chłódów, jak dla ochrony od moskitów i dzikich zwierząt. Widok takiej wioski z płonącymi ogniskami jest niezmiernie fantastyczny.

W przeciwieństwie do Aketów Sakeiowie posiadają nadmiar kobiet, wskutek czego mężczyźni nie są zmuszeni do szukania sobie żon wśród plemion obcych; dziewczęta natomiast częstokroć wychodzą za Aketów lub za Malajów. W ostatnim jednak przypadku dzieci, zrodzone z małżeństwa mieszanego, są zawsze mahometanami, uważają się za Malajów i stronią, a nawet pogardzają Sakeiami. Rzecz się tu więc ma podobnie, jak z mieszancami Europejczyków i ras kolorowych. Dzięki temu właśnie typ fizyczny Sakeiów zachował się dotychczas bardzo czysty. Sakeiowie są wybitnie długogłowcami (*dolichocephalos*); prognatyzm zębów jest u nich bardzo silny, natomiast bródka słabo rozwinięta. Włosy mają faliste, barwę skóry dość jasną, oliwkową, jaśniejszą niż Malajowie. Wzrost waha się od 147,5 cm. do 165 cm. Zdaniem Moszkowskiego identyczność Sakeiów Sumatry z Senoiami półwyspu Malajskiego jest rzeczą niewątpliwą; nawet podania Sa-

kieiów wskazują półwysep Malajski jako pierwotną ojczyznę, z której wyszli. Zachowanie pomimo to jednak większej odrębności rasowej przez Sakeiów niż przez Senoiów tłumaczy się tem, że ci ostatni ulegali i ulegają ciągłym połączeniom z sąsiadującymi i z nimi Semangami i Malajami. Wielkie zbliżenie Sakeiów do Weddów cejlońskich zaznacza się również bardzo wyraźnie; stąd Moszkowski przypuszcza, że i Sakeiowie należą do tak zwanej „grupy Weddyjskiej,” do której F. Sarasin zalicza oprócz Weddów, Senoiów z Malakki, Toalów z Celebesu i wiele plemion Indonezyi. Gdy Sarasin zobaczył poraz pierwszy fotografię Sakeia, sądził, że jest ona fotografią Weddy.

Pod względem ergologicznym Sakeiowie stoją bezporównania wyżej niż Akeci; ci ostatni bowiem dotychczas pozostali wyłącznie tylko rybakami, Sakeiowie natomiast choć wiele bardzo czerpią z lasu, jednak oddawna już trudnią się rolnictwem. Właściwie mówiąc, to, co widzimy u nich, jest dopiero zaraniem rolnictwa. Uprawa pola odbywa się tu w sposób następujący. W miejscu obranem, na przestrzeni lasu wynoszącej mniej więcej 10,000 □ sążni, zostają przede wszystkim wycięte krzaki i mniejsze drzewa i po upływie 20-u dni spalone; wówczas przystępuje się do wyrąbania drzew większych. Te ulegają spaleniu po upływie dni 40-u, poczem niedopałki zostają bądź usunięte z pola, bądź też rozrzucone równomiernie na całej jego przestrzeni. Innego przygotowania roli do siewu Sakeiowie nie znają, natomiast sąsiednie szczepy zmalajzowane umieją sztucznie zaważniać pola przed uprawą. Przy siewie praca mężczyzn i kobiet jest podzielona, mianowicie mężczyźni kijem robią dołki w ziemi, kobiety zaś wrzucają w nie nasiona. Z chwilą, gdy pole staje się nieurodzajne, co przy tym systemie gospodarki następuje zazwyczaj po upływie roku, a najdalej dwóch lat,—lub gdy przypadki śmierci zbyt się mnożą w osadzie, lub wreszcie gdy liczba jej członków zbyt się powiększa,—Sakeiowie porzucają dawną siedzibę i przenoszą się dalej w las, obierając nowe miejsce na budowę chat i założenie pola; opuszczoną zaś osadę wkrótce pochłania z powrotem puszcza. Główne pożywienie Sakeiów stanowi tapioka. Ryż i kukurydza również są jadane, lecz w znacznie mniejszej ilości. Z innych roślin uprawiają tu trzcinę cukrową, banany, melony, dynie i tykwy, pieprz turecki i niektóre korzenie. Wszędzie koło chat rośnie dziko *passiflora foetida* (z rodziny męczennicowatych), o owocu żółtym, słodkawym, bardzo orzeźwiającym. Wielu jagód i owoców dostarcza Sakeiom las; jest on również dla nich dostawcą dwóch głównych artykułów handlu za-

miennego, mianowicie kauczuku i rotangu, a także surowego materiału do wielu wyrobów. Chlebowiec naprzykład (*artocarpus*) i tak zwane drzewo „antou“ dostarcza im łyka, z którego wyrabiają powrozy, a do niedawna jeszcze tkali nawet odzież; z drzewa żelaznego (*mesua ferrea*) robią dzidy oraz podłogi swych domostw, a z *alstonia costata*—trzonki siekier i toporków. Rozmaite gatunki pandanowatych dostarczają im materiału na maty i kosze; liśćmi palmowemi pokrywają dachy, a także używają ich jako talerzy. Las wreszcie dostarcza Sakeiowi zwierzyny: sarn, dzików, małp, jeżozwierzy, waranów, żółwi. Obecnie jednak, za przykładem Malajów, Sakeiowie coraz bardziej zatracają dawny sposób polowania i zamiast czatować na zwierzynę, lub gonić za nią, chwytają ją w sidła i potrzaski.

Widziny przeto, że Sakeiowie zasługują w zupełności na miano „leśnych ludzi“, nadawane im przez inne plemiona, gdyż rzeczywiście z lasu czerpią niemal wszystko, co potrzebne im jest do życia.

Sakeiowie umieją kuć żelazo; jednak młoty i kowadła, a także noże wielkie i małe otrzymują drogą handlu zamiennego od Chińczyków. W ten sam sposób nabywają również odzież i chustki, które noszą na głowach. Z broni wyrobu własnego Moszkowski widział u nich tylko włócznie, długie na jakie 2½ metra, zakończone ostrzem żelaznem; natomiast dmuchawki, właściwe Ake-ton, są tu zupełnie nieznanne. Wobec tego, Moszkowski przypuszcza, że dmuchawki Senoiów z Malakki są nabytkiem lokalnym, przejętym przez nich od plemion sąsiednich już po odłączeniu się Sakeiów. Sakeiowie nie znają jeszcze garnca~~stwa~~; wszelkie naczynia, z wyjątkiem kociołków żelaznych, wyrabiają z tykw rozmaitego kształtu i rozmiarów; natomiast są zręcznymi snycerczami i rękojęści nożów ozdabiają zazwyczaj mniej lub więcej kunsztowną rzeźbą. Farb mają trzy: czarną — z węgla drzewnego, białą—z wapna i żółtą—z korzenia pewnej rośliny. Ciekawy jest fakt, że wszelkie wyroby subtelniejsze są wykonywane przez mężczyzn, nie zaś przez kobiety, np. maty służące do spania plotą kobiety, natomiast bardzo ładne woreczki, odgrywające rolę kieszeni, są wyrobem mężczyzn. W czasach dawniejszych, wówczas gdy Sakeiowie żyli jeszcze wyłącznie z tego, co im dawał las, podział zajęć na męskie i kobiece zaznaczał się u nich wyraźnie: mężczyźni trudnili się rybołówstwem i myślistwem, kobietom zaś przypadł w udziale całokształt roboty koło domu i odzieży, gromadzenie opału, noszenie wody, zbieranie jagód i owoców. Z czasem kobieta również stała się pierwszą wytwórcą gospodarki rol-

nej. Słowem, to, co nazywa się „własnością,“ zostało stworzone przez kobietę. Pomimo że dzisiaj podział pracy u Sakeiów nie jest tak wyraźny i wiele zajęć wykonywują mężczyźni i kobiety pospołu,—to jednak pamięć dawnego porządku rzeczy zachowała się u nich dotychczas, a wyraża się tem mianowicie, że dom i całe gospodarstwo uważane jest za własność kobiety i w razie rozvodu małżeństwa pozostaje wyłącznym jej udziałem. Mąż ma prawo używalności, lecz niema prawa zarządu mieniem.

Wobec tego, że całe wnętrze Sumatry pokryte jest olbrzymimi lasami, wśród których jedyne drogi komunikacyi stanowią liczne systematy rzeczne, użycie wozów jest tu dotychczas zupełnie nieznaną, a użycie koni wierzchowych dopiero w czasach ostatnich zaczęło się powoli przyjmować. Główny środek komunikacyi stanowi tu czółno. Typ jego najpierwotniejszy spotykamy u Orang-Talangów, sąsiadujących z Sakeiami; ich czółna są bądź wyrabiane z kory, bądź drążone w całości w pniach drzewnych.

Od ergologii Sakeiów przejdźmy teraz do ich kultury duchowej. Przedewszystkiem uderza nas tu niezmiernie mały zakres potrzeb duchowych tego plemienia, oraz zupełny brak polotu fantazyi. Ze drogą pytań Moszkowski nic nie był w stanie dowiedzieć się od ludności miejscowej w zakresie jej wierzeń religijnych, jej podań i mytów — w tem niema nic dziwnego, gdyż pod tym względem ludy pierwotne są częstokroć bardzo powściągliwe i skryte. Lecz autor przeżył wśród Sakeiów czas dłuższy, nieraz spędzając noc przy ognisku i przysłuchując się ich gawędom, lub słuchając rozmów tragarzy w czasie kilkodniowych wędrówek przez lasy. Otóż—zdaniem Moszkowskiego—o ile Sakeiowie są niezmiernie gadatliwi i korzystają z każdej zdarzającej się sposobności, by rozmawiać i opowiadać coś sobie nawzajem, o tyle temat ich rozmów dotyczy wyłącznie bądź jadła, bądź przypadków śmierci wśród krewnych i znajomych, bądź innych zdarzeń z życia osady. Jakiegokolwiek zagadnienia religijne, legendy lub baśnie, nigdy nie bywają poruszane w rozmowie. Podobnie jak u Akeatów, tak samo u Sakeiów, w religii panuje wszechwładnie animizm, t. j. wiara w duchy. Jednakże pewne obrządku pogrzebowe wskazują tu już na zaczątki manizmu, czyli kultu zmarłych. Wybitną rolę w religii Sakeiów odgrywa cień, uważany przez nich za władcę wszystkich duchów. Przed rozpoczęciem budowy domu lub założeniem pola odbywa się ceremonia, mająca na celu wypędzenie duchów złośliwych, mogących szkodzić mieszkańcom chaty lub właścicielom pola. W tym celu różnorodnie odpadki,

kał, rdza żelazna, niektóre korzenie zostają spalone na ołtarzu kamiennym, a następnie zakopane w ziemi. W tem miejscu wygrzebuje się pięć dołków, z których cztery tworzą czworokąt, piąty zaś leży pośrodku; dołki te zostają skropione mieszaniną wody z mąką, przyczem czarodziej wymawia zaklęcia, mające zmusić złe duchy do opuszczenia danej miejscowości. Niezmiernie potężnym duchem w wyobrażeniu Sakeiów jest tak zwany „Datu-Bataraguru”—rodzaj dzikiego strzelca, który z psami goni po puszczy. Jego dwaj synowie: „Siuru“ i „Siaru“, mieszkają jeden w chatkach, drugi zaś w lesie. Otóż z liczby owych pięciu dołków, o których była wyżej mowa, środkowy przeznaczony jest właśnie dla „Datu-Bataraguru“, z pozostałych zaś dwa poświęcone są jego synom, dwa zaś—dwóm różnym postaciom cienia, odpowiadającym porze dnia przedpołudniowej i popołudniowej. Według wierzeń Sakeiów, oprócz duchów złośliwych również i niektóre zwierzęta przynosić mogą nieszczęście; do takich zaliczają oni między innymi: kruka, sowę i puszczyka. W celu obrony od wszystkich tych złych potęg, na domach Sakeiów porozwieszane są rozmaite zaklęcia; najbardziej rozpowszechnione jest następujące: „Wiem, kto jesteś, skąd przychodzisz i dokąd idziesz.“ Wreszcie i niektórym liczbom przypisują Sakeiowie pewne specjalne znaczenie, naprzykład 3 i 5 są według nich liczbami nieszczęścia, gdyż 3 oznacza wroga, a 5 — śmierć. Stąd też wszędzie we wschodniej i środkowej Sumatrze ofiarowanie komuś podarku, składającego się z trzech lub pięciu przedmiotów, uważane jest za postępek bardzo niewłaściwy.

Wspomnień historycznych Sakeiowie niemal zupełnie nie posiadają; stosuje się to zresztą i do szczepów mieszanym, sąsiadujących z nimi, a stojących znacznie wyżej kulturalnie, niż oni. Wprawdzie istnieją tu pewne mgliste wspomnienia z czasów minionych, z czasów wędrowek i zaborów, lecz ograniczają się przeważnie do szeregu suchych nazw, dotyczących miejscowości i osób. Główną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest wrodzona Sakeiom obojętność dla wszystkiego, co nie ma związku bezpośredniego z życiem codziennym i jego potrzebami; jednak, zdaniem Moszkowskiego, i brak własnego pisma przyczynił się niewątpliwie do tego, gdyż Batakowie, naprzykład, posiadający pismo własne, posiadają zarazem bogate skarby podań i wspomnień dziejowych.

Przyjrzyjmy się teraz rozmaitym obrządkom, towarzyszącym najgłówniejszym momentom życia Sakeiów. Narodziny dziecka odbywają się tu w obecności męża i przy pomocy „znającej“ kobiety. Rodząca nie leży, lecz siedzi, zwrócona plecami do wiel-

kiego ogniska i podtrzymywana przez męża. Po urodzeniu dziecka sznur pępkowy nie odrazu zostaje przecięty, lecz dopiero po odejściu łożyska, przyczem kobieta obecna przy porodzie wyciska krew z pępowiny nie w stronę niemowlęcia, lecz w stronę placenty, a to wskutek mniemania, że krew ta jest siedliskiem złych duchów. Stąd też i łożysko zostaje wnet po urodzeniu bądź zakopane w ziemi, bądź utopione w rzece. W ciągu dni czterdziestu po odbytym porodzie kobiecie nie wolno jest się położyć, a tylko może odpoczywać i spać siedząc w kucki przed ogniskiem; stosunek płciowy jest również zabroniony w tym okresie. Bardzo uroczyste obchodzony jest u Sakeiów obrzęd obrzezania. Podlega mu młodzież płci obojga, chłopcy mniej więcej około 13-go roku życia, dziewczęta znacznie wcześniej. Zarówno u Aketów, jak u Sakeiów praktykowane jest *incisio*, nie zaś *circumcisio*. Operacji dokonywa kapłan-czarownik, a podlega jej równocześnie cała młodzież męska osady. Uroczystości, towarzyszące obrzędowi, trwają częstokroć dopóty, póki cały zapas jada nie zostanie wyczerpany. Nieodzowną i ulubioną częścią składową tych uroczystości są walki kogutów. Niektóre obyczaje, istniejące dotychczas u Aketów i Sakeiów, świadczą, że dawniej wolna miłość była zupełnie swobodnie praktykowana wśród młodzieży. Obecnie, z chwilą gdy rodzice zauważą stosunki łączące dwoje młodych, mężczyzna musi się ożenić. Ceremonij ślubnych niema żadnych zarówno u Sakeiów, jak u Aketów; dawniej wystarczało proste pozwolenie matki dziewczęcia, obecnie młodzieniec płaci pewną sumę pieniężną. Sakeiowie bardzo zważają na wierność swych żon i pobicia, spowodowane zazdrością, bynajmniej nie są tu rzeczą rzadką. Pomimo to rozwody są częste, przyczem procedura rozwodowa jest równie prosta, jak procedura ślubna. Para poprostu rozchodzi się, z tem jednak, że dzieci, dom i cały inwentarz żywy i martwy pozostają przy kobiecie, a nawet, o ile mąż żeniąc się nie wybudował domu dla przyszłej rodziny, jest on obowiązany zwrócić wszelkie koszta instalacyi, poniesione przez rodzinę żony. Stosunki takie są wynikiem ustroju matryarchalnego, panującego zarówno u Aketów i Sakeiów, jak u wielu szczepów sąsiadujących z nimi; u nich jednak ustrój ten istnieje w formie bardzo pierwotnej, zaczątkowej, wówczas, gdy u szczepów o kulturze wyższej, zislamizowanych i zmalajzowanych, spotykamy się niekiedy z ustrojem feodalno-matryarchalnym bardzo wysoko rozwiniętym.

Jednak to połączenie obyczajów matryarchalnych z islamizmem stwarza w życiu rzeczonych szczepów niezmiernie wiele za-

wikłań, a częstokroć nawet wywołuje sytuacje wprost bez wyjścia. Weźmy przykład: według praw matryarchalnych młodzieńiec żeniąc się wchodzi do klanu żony; lecz islamizm pozwala na wielożeństwo i oto zjawia się problemat, jak rozstrzygnąć przynależność klanową mężczyzny, mającego dwie, trzy, a nawet cztery żony? Wobec przypadków takich wynikła konieczność pozostawania mężczyzny i kobiet we własnych, rodzinnych klanach. Częstokroć zdarza się również, że mężczyzna żeni się z dziewczęciem i spędziwszy jedną noc przy żonie opuszcza następnie osadę, by nigdy już do niej nie powrócić. W przypadkach takich nieszczęśliwa kobieta nie może nawet odzyskać wolności, gdyż islamizm jedynie tylko mężczyźnie przyznaje prawo udzielania rozwodów. Naturalnie, iż podobne stosunki dają szerokie pole do prostytucji, która rzeczywiście wśród tych właśnie szczepów jest bardzo rozwinięta. Wprawdzie istnieje wybieg, pozwalający nawet mahometance uzyskać rozwód, mianowicie może ona oświadczyć, że chwilowo porzuca islamizm; wówczas rozwód zostaje jej natychmiast udzielony, równocześnie jednak zmuszona jest zapłacić znaczną karę pieniężną. Ta okoliczność czyni uzyskanie rozwodu tą drogą wyłącznie tylko dostępnem dla bogatych. W celu utrudnienia w tych warunkach wielożeństwa i związanych z niem powikłań, sułtan Siaku ustanowił na całej przestrzeni ziem, sobie podległych, obowiązkowe kupno żon.

Pozostało nam jeszcze powiedzieć słów parę o bardzo charakterystycznych obrządkach pogrzebowych Sakeiów, tem ciekawszych, że wskazują one na pewne elementy manizmu, tkwiące w wierzeniach tego plemienia. Po śmierci ciało zmarłego pozostaje przez jedną dobę w chacie, poczem zbierają się krewni nieboszczyka, najstarsi z pośród nich nacinają sobie nożem skórę na głowie i skrapiają krwią zwłoki. Następnie niosą ciało do grobu. Jeśli zmarły jest mężczyzną, kładą obok niego nóż, a czasami i jaką drobną monetę, jeśli przeciwnie jest to kobieta, wówczas dają jej do grobu lub stawiają na grobie trzecią część odzieży i sprzętów domowych. Ciało spoczywa w grobie na wznak, głową zwrócone na wschód, nogami na zachód, ręce bądź leżą wyciągnięte wzdłuż ciała, bądź są zgięte w stawach łokciowych. Na ciele zostaje położony pal drewniany lub deska w kierunku skośnym przez piersi. Gdy już zmarły został złożony w grobie, obecni zasypują dół, równając go z powierzchnią ziemi, poczem miejsce zostaje obramowane jednym lub paromami rzędami desek tarasowato ułożonych i przykryte dachem z liści palmowych, wspartym na czterech lub sześciu drążkach. Teraz wkoło grobu roz-

palają ogniska, zastawiają stypę i rodzina spędza tu trzy, a ewentualnie, jeśli zmarły był naczelnikiem szczepu—siedem dni i nocy. To przesiadywanie u grobu wywołane jest wiarą, że tyle właśnie czasu potrzeba jest nieboszczykowi na to, by mózdz rzeczywiście umrzeć. Po upływie dni określonych zwyczajem, rodzina powraca do domu, nie troszcząc się już więcej o zmarłego. W obrządkach pogrzebowych Sakeiów ujawnia się przeto najwyraźniej obawa przed nieboszczykiem i chęć zapobieżenia jego powrotowi lub jego zemście; taki cel ma niewątpliwie kładzenia deski na piersi zmarłego, a także dary grobowe, krew ofiarna i przebywanie rodziny u grobu. W obrządkach tych ujawnia się również ustrój matryarchalny plemienia, a mianowicie to przekonanie, że właściwym posiadaczem nagromadzonego za życia mienia jest kobieta, nie zaś mężczyzna, a wskutek tego należą jej się znacznie liczniejsze i bogatsze dary grobowe.

Z pobytu swego wśród Sakeiów Moszkowski wyniósł wogóle wrażenia dodatnie. Na razie Sakeiowie zachowują się względem człowieka obcego bardzo nieśmiało i podejrzliwie, wkrótce jednak nabierają zaufania i okazują się przychylnymi i usługnymi; szczególnie łatwo pozyskać ich wdzięczność drogą rozmaitych porad lekarskich. Usposobienie Sakeiów jest pogodne; lubią muzykę i tańce. Z instrumentów muzycznych lokalnych mają tylko bębny, natomiast parę innych jest zapożyczonych od Malajów. Melodye Sakeiów są bardzo ubogie i nieliczne, a to samo stosuje się i do tekstu ich pieśni: najczęściej składa się on z jednego tylko zdania, powtarzanego rytmicznie przy akompaniamencie wrzaskliwej muzyki. Moszkowski zdołał zapisać zaledwie trzy pieśni Sakeiów: dwie miłosne i jedną czarodziejską.

Ciekawa monografia Moszkowskiego stanowi cenny przyczynek do poznania dwóch pierwotnych nie malajskich plemion Indonezyi, zanim ulegną one zupełnemu zanikowi i pochłonięciu przez plemiona ościenne.

K. STOLYHWO.

Archiwum Filomatów.

Młodość-rzeźbiarka, co wykuła nie jeden już pomnikowy w Polsce żywot, dała nam wspaniałe zbiorowe posąg, nie w marmurze, ale we wdzięcznej pamięci narodu wzniesiony — grupę Filomatów i Filaretów.

Mickiewicz sam wcześniej przeczytał i ocenił wiecznotrwały cios dłuta swej rzeźbiarki, kiedy pierwszy tomik poezji poświęcał w r. 1822 Czeczotowi, Zanowi, Jeżowskiemu i Malewskiemu „na pamiątkę szczęśliwych chwil młodości.“ W dwa lata potem już tych przyjaciół rozrzucił los nieubłagany na resztę życia po niezmiernych przestrzeniach...: ale duchowo spojeni byli już raz na zawsze. Sprawiała to wspólna, epokowa ich młodość.

Rozumiano to zawsze, od początku niemal historii naszego romantyzmu, od Mochnackiego jeszcze. I dlatego tak wszystkim historykom myśli i uczuć polskich w XIX wieku zależało na dokładnem poznaniu tej młodości—rzeźbiarki. Wszyscy czuli, że tam są zawiązki samodzielnego, narodowego odrodzenia, nie mówiąc już o tem, że tam kolebka wieszczych natchnień największego naszego poety.

Od kilkudziesięciu lat zatem próbowano przeniknąć zagadkowe początki filomatyzmu i filaretyzmu wileńskiego. Sięgano do żywej wówczas tradycji: pisali o Filomatach i Filaretach Domeyko, Zdanowicz (z opowiadań Kaz. Piaseckiego), prof. Wierzbowski, M. Gawalewicz, St. F. Momidłowski, Józef Bieliński, Z. Wasilewski i w. in. Pomimo nagromadzenia wielu ciekawych dokumentów z czasów procesu, do jądra sprawy dojść nie można było: pozostawały braki duże. Nowym promieniem światła, który uwydatnił dawniejsze ciemności, był artykuł p. H. Mościckiego w „Bibliotece Warszawskiej“ (1904, tom II, str. 504 — 530).

Autorowi udało się dotrzeć do papierów komisji śledczej Nowosilcowa i wydobyć na jaw bardzo cenne zeznania Józefa Jeżowskiego, prezesa Filomatów, z d. 19 kwietnia 1824, w którym „przebiega on — jak sam pisze — historycznie egzystencję Filomatów.“ Zeznania te, bardzo cenne zresztą i ważne, należy brać „oczywiście *cum grano salis*,“ jak to słusznie p. Mościcki zauważył (l. c. 511). Jeżowski ani myślał ze wszystkiego się spowiadać. O stosunku Filomatów do Filaretów wyraził się tak, jakoby „świeżo powstałi Promieniści i Filareci pochłonęli w siebie resztki Towarzystwa“ Filomatów (str. 510). Było to — jak dziś wiemy — bardzo zręczne sprowadzenie komisji śledczej na bezdroża. P. Mościcki trafnie uwydatnia w zeznaniu Jeżowskiego „brak pewnych informacji w szczególności zaś o roli Filomatów podczas istnienia Towarzystwa filareckiego.“ Pozostawały mroki nie do rozproszenia; autentycznych świadectw i dowodów brakowało nam ciągle jeszcze, a p. H. Mościcki ubolewał, że „część największa owych dowodów zginęła dla nas *niepowrotnie*, zniszczona ręką samych twórców...“ (l. c. str. 504).

Na szczęście, nie wszystko zaginęło, a właśnie wtedy, kiedy zaczynaliśmy już tracić nadzieję rozjaśnienia kiedykolwiek mroków, otaczających organizację Filomatów, zaczęły rozchodzić się wieści o wydobyciu na jaw Archiwum Filomatów, ukrywanego przez lat ośmdziesiąt z pokolenia na pokolenie.

Już Domeyko w známym swym liście o Filomatach i Filaretach pozwalał się domyślać, że nie wszystkie papiery związkowe młodzieży wileńskiej zostały spalone, że „niektóre szpargały przez długi czas jeszcze przeleżały podobno pod strzechą w jakiejś stodole“ — że wreszcie „papierów filomackich i pod torturą nie byłby wydał pan Onufry...“

Onufry Pietraszkiewicz, znany z historii Filomatów i Filaretów, przyjaciel Mickiewicza, Zana, Malewskiego i in., był archiwistą głównym Towarzystwa filomatycznego i tak dzielnie potrafił przechować cenne papiery, że nie zaszkodziło im ani długoletnie jego zesłanie do Moskwy, w r. 1824, ani późniejsze, dalsze jeszcze, na Sybir, po roku 1831. Nim go zesłano w r. 1824, miał czas powierzyć skarb Filomatów młodszemu bratu swemu, Michałowi, który ukrył Archiwum w zaciszu wiejskim. Kiedy wreszcie po latach kilkudziesięciu z Syberyi do Wilna wrócić mógł posiwiały i znękany tęsknotą Pan Onufry, zamieszkał w domu brata swego, Józefa, doktora medycyny. Nadchodziły, zdawało się, lepsze czasy w początkach panowania Aleksandra II-go. Onufry Pietraszkiewicz sprowadził Archiwum z ukrycia wiejskiego do

Wilna i tu je w r. 1861 pokazał w tajemnicy największej synowi Adama, Władysławowi Mickiewiczowi, zobowiązując go do zupełnego sekretu. P. Władysław Mickiewicz, odbywając wtedy większą podróż po Litwie, nie mógł korzystać z ofiarowanego mu dostępu do tak cennych źródeł archiwalnych, a nie przypuszczał, że niebawem zmienią się najokropniej stosunki polityczne.

Onufry Pietraszkiewicz umarł w końcu roku 1863. Bracia jego przechowali Archiwum w czasie najtrudniejszym śledztw i rewizyj.

Kiedy w r. 1871 umarł brat Onufrego, ś. p. Józef Pietraszkiewicz, przejął straż nad Archiwum starszy jego syn, Feliks, prawnik. On to w r. 1872 pokazał kilka zeszytów z Archiwum Filomatów pani Władysławowej Mickiewiczowej podczas jej krótkiego pobytu w Wilnie. Pani Wł. Mickiewiczowa przepisała wtedy kilka nieznanych listów Adama Mickiewicza, przechowanych w Archiwum Filomatów. I znowu na lat kilkadziesiąt zapadło jakby wieko trumny nad cenną spuścizną. Nie wydawało się bezpiecznem nawet w pół wieku przeszło po procesie Filaretów, wydobyć na jaw autentycznych dokumentów. Kiedy w r. 1900 Feliks Pietraszkiewicz przeniósł się do wieczności; przeszło Archiwum do rąk jego młodszego brata, Jana, znanego i cenionego w Wilnie doktora medycyny, gynecologa.

On dopiero doczekał lepszych względnie czasów i postanowił wydać na jaw papiery, z takim poświęceniem przez stryjów jego i ojca przechowane. Zabrał się przedewszystkiem do uporządkowania zbiorów, które po tylu latach nie ucierpiały wprawdzie ani od ognia, ani od wody i zewnętrznie przechowały się doskonale; pod względem jednak układu i pierwowotnego porządku doznały (skutkiem przewożenia i przeładowywania) znacznego zamieszania i nieładu. D-r Jan Pietraszkiewicz zadał sobie trud niemały, aby setki porzucanych listów uporządkować według autorów chronologicznie, co nie było wcale łatwą rzeczą, jeśli się zważy, że mnóstwo listów było albo bez daty, albo z datą nie dokładną (dzień miesiąca tylko), lub bez daty wogóle. Przytem zajęcie zawodowe (wielka praktyka lekarska) odrywało często d-ra Pietraszkiewicza od porządkowania Archiwum.

Kiedy z początkiem roku 1906 Archiwum Filomatów. Kiewiczem korespondencyjnie rozpocząłem z d-rem Pietraszkiewiczem sprawę tego Archiwum, porządkowanie papierów było zaledwie rozpoczęte; dopiero w końcu września r. 1906 rozdzielenie materiału postąpiło o tyle, że d-r Pietraszkiewicz mógł już zaprosić mnie do Wilna, abym obejrzał tak ważne papiery. Jakkolwiek z poprzednich listów

jego mogłem już wnosić, że bogactwo materiału dochowanego jest istotnie wielkie, to przecież dopiero dwutygodniowe (październik 1906 r.) usilne rozczytywanie się w papierach archiwalnych przekonało mnie, iż Archiwum przewyższało najsmielsze nawet oczekiwania. Dochowały się tam bowiem nietylko autentyczne protokoły posiedzeń Towarzystwa filomatycznego, poczynając od r. 1817, ustawy Filomatów, protokoły posiedzeń Związku Przyjaciół pisma, dotyczące Promienistych, Filaretów i Filadelfistów—ale także liczne rozprawy i prace Filomatów, przemówienia, instrukcje i referaty, dotyczące wewnętrznego rozwoju tak Filomatów samych, jak i związków od nich zależnych. Ukryta dotychczas organizacja filomatyczna wyszła z papierów tych na jaw. Ze wzruszeniem, niedającym się opisać, brałem do ręki te nieoszacowane pamiątki myśli, uczuć i nadziei najszlachetniejszej młodzi litewskiej, patrzałem na pożółkłe karty protokołów, wertowane ręką Zana, Mickiewicza, Czeczota i in. Stały na raz przed oczyma memi prawdy, co jak owe klejnoty, z pokładów głębokich dobyte, leżały przez lat tyle w utajeniu, jakby skamieniałe:

Ze snów stuletnich niemal ten przeszłości goniec
Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.
Wieść nowa jako cudo, a jako świat stara.
Prawdziwa jak rachunek i dziwna jak mara.

.

Podwójna jest wartość, podwójne znaczenie tego Archiwum. Raz, dla dziejów oświaty polskiej na Litwie—jako dowód ważny i autentyczny cichej, rozumnej, świadomej celu i sposobów pracy nad odrodzeniem unysłowem i społecznem Litwy; powtóre, jako materiał pierwszorzędny dla rozjaśnienia dróg, któremi zrazu kroczył młodzieniec, będący duszą Filomatów, a z czasem duszą narodu całego: Adam Mickiewicz.

Te dwie strony doniosłego znaczenia Archiwum tak się wzajem przenikają, tak są niemal od siebie nieodłączne, jak dwie stronicie tej samej kartki papieru. Przeważna rola, jaką Mickiewicz w życiu towarzystwa Filomatów odegrał, jego pracowitość wielka, widoczna na każdej niemal karcie protokołów z lat 1817—1820, mnóstwo dochowanych jego referatów, projektów i przemówień, sprawia, że młodość jego uniwersytecka staje teraz dopiero w jasnym i prawdziwym świetle: filomatyzm objaśnia nam Mickiewicza i na wzajem Mickiewicz oświeca drogi tajne rozwoju filomatycznej organizacji.

Gdyby w Archiwum Filomatów przechowały się były tylko same protokoły posiedzeń, wykazy prac czytanych i ocenianych, projekty ustawodawcze, przemowy przy przyjmowaniu członków, nieznanne wiersze Mickiewicza, Zana, Czeczota i in. — jużbyśmy znacznie pomnożyli tym nowym materiałem ułamkową dotychczas wiedzę o czasach uniwersyteckich Mickiewicza i jego towarzyszy. Ale przyznać trzeba, że pomimo to statuty same i protokoły nie powiedziałyby nam jeszcze wszystkiego. Wszak gdyby kto dzisiaj wziął *tylko* ustawy i protokoły posiedzeń jakiegoś istniejącego towarzystwa młodzieży i z papierów tych chciał się domyślać istotnej treści duchowej zebrań, narad, uchwał — czy udałoby mu się to i czy dałby obraz wierny i pełny życia istotnego, obraz zgodny z rzeczywistością, nietylko co do *formy* zewnętrznej? Podobnie rzecz się ma z Archiwum Filomatów. Same tylko statuty i protokoły, przemowy i referaty, projekty zmian ustawowych tworzyłyby wybornie zasuszony preparat anatomiczny, z doskonałym uwydatnieniem każdej kosteczki, każdego mięśnia, żyły i nerwów organizmu — ale bądź co bądź byłby to preparat bez krwi żywej i bez duszy! Na szczęście, w Archiwum Filomatów dochowało się więcej; dochował się jakby żywy głos, który przemawiać może dziś jeszcze martwym literom ustaw i protokółów. Dochował się szczery i barwny komentarz, jedyny w swoim rodzaju, bo i autentyczny nawskroś, i nie podejrzany w niczem, skoro nie *ad hoc* pisany. Tym żywym głosem i komentarzem, to *olbrzymia korespondencya Filomatów* z lat 1819—1823, obfita w najciekawsze szczegóły, a zawierająca jakby klucz do otwierania statutowych skrytek. Najgłówniejszymi korespondentami są: Mickiewicz, Zan, Czeczot, Malewski, Jeżowski i Pietraszkiewicz, a zatem prawie cały Rząd Towarzystwa filomatycznego, a ile nazwisk tu wymienionych, tyle będzie w druku okazałych *tomów*, bo korespondencya to obfita, przeszło *tysiąc* listów obejmująca. Filonaci, serdecznie związani przyjaźnią, korespondują z sobą pilnie i nieprzerwanie; wystarczy, by jeden z nich był w Kownie (Mickiewicz), drugi w Trokach (Jeżowski), trzeci w Berlinie (Malewski), czwarty w Warszawie (Pietraszkiewicz) — a już listy krążą między nimi i przenoszą od jednego do drugiego wiadomości bieżące, tak ciekawe dziś dla nas, tak pouczające dla poznania i życia Filomatów wogóle, a każdego z nich w szczególności. Dopiero teraz będzie się można pokusić o prawdziwe duchowe portrety Filomatów i zamiast dotychczasowych, szablonem trącających komunałów, dać istotne wizerunki ludzi z krwi i kości, nie fantomów tylko, ale młodzieńców, którzy

w ksiąg rzymskich steki wleźli nie żeby gnić, ale po to, by z nich iskrę ożywczą, prometejski płomień wynieść dla rozgrzania oziębłych i stygnących.

I tacy dopiero prawdziwi, żywi Filomaci, z ludzkimi wadami, ale też z nadludzkim heroizmem, nie wolni od słabostek młodzieńczych, lecz zahartowani ciężkiem życiem na wszelkie trudy i pokusy — tacy Filomaci potrafią przeniknąć do sere dzisiejszej młodzieży naszej. wstrząsnąć nią, ocucić zarówno z letargu mistycznego, jak otrzeźwić z czadów doktryny, zatruwającej wszelki nerw narodowy...

Niech więc błogosławioną będzie chwila, w której po wiekowem niemal milczeniu rozlegnie się wśród nas znowu ożywczy głos najlepszej i najdzielniejszej młodzieży litewskiej! Wstają oni z martwych zaiste w porę! Może nigdy jeszcze na polskiej ziemi nie potrzebowało pokolenie dorastające więcej otuchy i pocieszenia, jak w dniach pogromów wszelkich i zupełnego bankructwa ideałów. Wstają z martwych Filomaci, aby jak za życia, tak i po śmierci raz jeszcze dać świadectwo nieprzedawnionej prawdzie, aby opowiedzieć wnukom i prawnukom pokoleń filareckich, jak to przed laty oni pojmowali miłość ojezyny i jak na ukochanej Litwie umieli służyć Polsce.

*

*

*

Obok tej ogólnospołecznej wartości, Archiwum Filomatów ma inną jeszcze, nie mniejszą doniosłość dla historii ewolucji duchowej Mickiewicza. Dopiero z tego Archiwum dowiadujemy się o twórczości młodzieńczej poety z lat jego uniwersyteckich; słyszemy poraz pierwszy o pracach nieznanach nikomu przedtem, bądź dochowanych między papierami filomatycznymi, bądź też niedochowanych, o których jednak są wyraźne wzmianki w protokółach posiedzeń wydziałowych. Teraz nareszcie będzie można wypełnić w historii rozwoju poety brakujące dotychczas ogniwa z lat 1817 — 1820: okażą się pierwsze zarodki utworów, później dojrzewających, pierwsze skłonności poetyckie, czekające sposobnej pory, aby zajaśnieć w pełni natchnienia. Wreszcie współdziałal jego w organizowaniu i doskonaleniu Towarzystwa Filoma-

tów, liczne referaty i projekty w zakresie ustaw dla dalszych związków pochodnych i zależnych od Filomatów, przemowy przy przyjmowaniu nowych członków — to wszystko nowe, zajmujące, ważne, ukaże też nam Mickiewicza dotąd nieznanego, w zaraniu czynności obywatelsko-społecznych. Kiedy zaś w końcu r. 1819 uda się on do Kowna jako nauczyciel początkujący, jego listy do przyjaciół jakże ciekawe światło rzucają na pedagogiczną działalność Filomata, jego zabiegi o dobrą metodę uczenia, jego poważne pojmowanie obowiązków zawodowych. Jak ten nauczyciel przede wszystkim sam się pilnie doucza, jak nie zasypia w małym mieście, ale wszechstronnie uzupełnia nabytą w uniwersytecie wiedzę ciągłym rozczytywaniem się w klasykach greckich i rzymskich, w filozofii i estetyce niemieckiej i dąży statecznie do utrzymania się na wysokości nauki europejskiej. Korespondencya jego kowieńska, to skarb prawdziwy i źródło niewyczerpane dla wszystkich, co w młodości Mickiewicza widzą nietylko rzeźbiarkę jego duszy, ale także niewyczerpaną szafarkę olbrzymiej erudycyi, którą zainponuje po latach profesor łaciny w Lozannie i literatur słowiańskich w Collège de France.

*

*

*

Takie to myśli przenikały mnie w październiku 1906 roku w Wilnie, kiedy przebiegał się przez gęsty bór papierów filomatycznych, czekających wydania. D-r Jan Pietraszkiewicz zamierzał pierwotnie sam w Wilnie przystąpić do kolejnego ogłaszania drukiem statutów, protokółów, referatów filomatycznych, wreszcie całej olbrzymiej korespondencyi. Ale wydawnictwo to wymagałoby zupełnego oddania się drukowi przez lat szereg i nie dałoby się pogodzić z równoczesną, rozgałęzioną praktyką lekarską. Odrązu namawiałem właściciela Archiwum, aby wydawnictwo całe powierzył gronu ludzi fachowych, skoro jeden człowiek po latach chyba kilku, wyłącznie tylko wydawnictwu takiemu się poświęciwszy, zdołałby wywiązać się godnie z trudnego zadania.

Wskazywałem mu Akademię Umiejętności, jako instytucję, posiadającą wszelkie warunki podjęcia takiego wydania zbiorowemi siłami przy stosownym podziale pracy. W zasadzie zgodził

się na moją myśl d-r Pietraszkiewicz. Podjąłem się tedy pośrednictwa i na posiedzeniu Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności (w końcu października 1906 r.) w Krakowie zdałem sprawę szczegółową z bogactwa Archiwum Filomatów; różne względy nakazywały wtedy jeszcze zachować ostrożność i nierozgłaszać w dziennikach całej sprawy. Zarząd Akademii bezwzględnie nawiązał rokowania z d-r J. Pietraszkiewiczem co do warunków i sposobu zamierzonego wydawnictwa. Właściciel Archiwum pragnął oddać je w czasowy depozyt Akademii, co pociągało za sobą konieczność dokładnego przedtem skatalogowania wszystkich papierów. Przez cały rok 1907 porządkował i inwentaryzował tak papiery, jako też i korespondencyę Filomatów d-r J. Pietraszkiewicz, w czym mu od samego początku pracy wielką pomocą była córka jego, panna Stanisława Pietraszkiewiczówna, która równocześnie na podstawie materiałów opracowywała zarys organizacyi i wewnętrznych dziejów Towarzystwa filomatycznego. D-r J. Pietraszkiewicz zamierzał sam przewieźć Archiwum do Krakowa i wręczyć je, według dokładnego katalogu i wykazu listów, Akademii Umiejętności w depozyt na czas druku. Tymczasem stan zdrowia jego pogorszył się w ciągu roku 1907. W grudniu tego roku ułożył projekt umowy z Akademią Umiejętności, a 29 stycznia 1908 r. niespodziewanie z powodu aneurizmu serca zakończył przedwcześnie życie w Wilnie, przeżywszy lat 60. Imię swe złączył on chlubnie na zawsze z Archiwum Filomatów, a to, co było długoletnią troską i wielką zasługą ś. p. Onufrego Pietraszkiewicza, to bratanek jego społeczeństwu naszemu wiernie do druku przekazał. Cześć Jego pamięci!

Rodzina, wypełniając wolę zmarłego, zawarła przygotowaną przez nieboszczyka umowę z Akademią Umiejętności co do sposobu wydania całego Archiwum Filomatów. Umowę tę w imieniu Akademii, jako jej delegat, podpisałem w Wilnie i całe niemal Archiwum (do roku 1823 włącznie) przewiozłem w czerwcu 1908 do Krakowa. Wydział filologiczny powierzył wydawnictwo swej stałej Komisji do badań w zakresie historii literatury i oświaty w Polsce. Praca przygotowawcza już rozpoczęta: sporządzają się kopie ogromnej korespondencyi Filomatów, poczem Komisya przystąpi do druku. Uznano za odpowiednie wyłączyć wszystkie nieznanne utwory młodzieńcze Mickiewicza, tudzież jego korespondencyę kowieńską i utworzyć z cennego tego materiału dwa tomy, których wydaniem zajmują się obecnie.

Statuty, protokoły i utwory Filomatów skopiowano jeszcze w Wilnie staraniem ś. p. d-ra Jana Pietraszkiewicza tak, że praca

nad tą częścią Archiwum różniej postępować może. Jak już wspomniałem, ukaże się niebawem osobne studyum o Towarzystwie filomatycznym, pióra panny Stanisławy Pietraszkiewiczówny. Zanim zaś nieznanne utwory i listy Mickiewicza zostaną ogłoszone drukiem, podam tu w najogólniejszym zarysie krótką informację, o ile te nowe materyały wpływają na rozszerzenie dotychczasowych wiadomości o latach wileńskich i kowieńskich Mickiewicza.

JÓZEF KALLENBACH.

Ruch literacki w Niemczech.

Nagroda państwowa imienia Schillera, udzielona dwóm prawie nieznanym autorom dramatycznym, była jednym z najbardziej omawianych i najgoręcej dyskutowanych wydarzeń literackich ostatniej doby w Niemczech. W r. 1902 komisya, zajmująca się tą sprawą, nie znalazła utworu dramatycznego, nadającego się do tego rodzaju odznaczenia. Ostatnią nagrodę państwową imienia Schillera otrzymał w r. 1896 Ernest von Wildenbruch. Smutny byłby stan ogólny twórczości, jeżeliby rzeczywiście literatura niemiecka, literatura narodu, prawie że 60-cio milionowego nie była w stanie wydać w ciągu dwunastu lat lepszych płodów, jak dramat Ernesta Hardt'a: „Tantris der Narr“ i komedia Karola Schönherr'a: „Erde“ (Ziemia). Ci, których rezultat ten mógłby zaniepokoić, mogą się jednakże pocieszyć tem, że podobnego rodzaju komisye i areopagi arbitrów nie odznaczają się nigdy zbyt dużą bystrością wzroku i że omylność ich jest już prawie przyszłościowa. Komisya, zajmująca się wyznaczaniem nagród państwowych imienia Schillera, posiada mniej może nawet kwalifikacyj, niż wiele innych, składa się bowiem z członków, mających bardzo luźny związek ze sztuką i literaturą. Ale nawet i ta okoliczność nie tłómaczy dostatecznie jej wprost kompromitującego wyroku.

Dramat Ernesta Hardt'a: „Tantris der Narr“ jest jedną z licznych parafraz na temat od czasów Ryszarda Wagnera tak popularnej tragedyi miłosnej Tristana i Izoldy. Właściwie obudzenie do życia tematów tych prastarych, pełnych wiekowej żywotności, zawdzięczamy romantykom. Zanim Heine zdobył serca narodu niemieckiego swym śpiewem o nimfie-czarodziejce Lorelei, śpiewał już o niej romantyk Klemens Brentano. Eichendorff, von Arnim, bracia Grimm, Fouqué, Tieck, Uhland są szczęśliwymi odkrywca-

mi tego rodzaju klejnotów, które zdołają połyskiem swym jasnym złotą przepaskę muzy niemieckiej. A ileż ciekawych i owocnych analogij dostarczają zapłodnione fantastyką wschodu opowieści i baśnie E. T. A. Hoffmanna, jeżeli osnowy ich napozór egzotyczne porównamy z treścią i istotą dramatów muzycznych Wagnera. Taki archiwaryusz Lindhorst np. ze „Złotego garnka,“ tej najpiękniejszej niemieckiej baśni romantycznej, w porównaniu z Wotanem, jak go nam charakteryzuje Pierścień Niebelungów Wagnera, jest jedną z owych wysoce interesujących analogij, otwierających dalekie perspektywy. To też nie bez słuszności możnaby nazwać Ryszarda Wagnera jednym z wielkich niemieckich romantyków, który cały szereg prastarych podań i mytów potrafił wypełnić nowem życiem. W obszernem dziele, wydanem niedawno w nakładzie lipskim S. Hirzel'a, daje znany germanista i komentator dzieł Wagnera, profesor Wolfgang Golther, wyczerpujący przegląd utworów literatury europejskiej, traktujących o dziejach miłosnych Tristana i Izoldy. Dzieło to, obejmujące 460 stronice druku, nadaje się znakomicie, jako udatne zestawienie źródeł dla każdego pragnącego zasięgnąć pewnych i wyczerpujących informacji, dotyczących tematu, który znalazł oddźwięk we wszystkich prawie literaturach europejskich. Poza tem styl tego naukowo wartościowego dzieła tak jest potoczny i piękny, że można je czytać jakby powieść jaką. W dziewięciu rozdziałach opisuje profesor Golther wszystkie fazy, jakie przechodziła owa legenda miłosna od pierwszego swego wcielenia w starofrancuskich poematach do nowego odrodzenia pod gorącym tchnieniem muzyki Wagnerowskiej; opisuje, jak nareszcie, dzięki norweskiej Sadze, wszystkie stare fragmenty niemieckie, francuskie, angielskie i włoskie znalazły tło swoje, na którym skrzętne ręce uczonych i badaczy poczęły grupować ocalone szczątki, układając z nich mozaikę olbrzymiej epoki wszechludzkiej. Sięgając więc po temat do swego dramatu, nie mógł poeta-laureat, Ernest Hardt, skarżyć się na brak pierwszorzędných źródeł, na brak podniosłych tematów, na brak szlachetnego kruszcu, z którego powstać miał posąg wykuty potęgą jego natchnienia. Ponowne opracowywanie w formie poetycznej tematów tak odwiecznych i tak bogatych, jak np. miłość Tristana i Izoldy, wymaga naturalnie niepospolitych zdolności, wielkich perspektyw i niezwykłej ekspresji. Są to dziedziny, na których tylko mistrz obok mistrza ostać się może. Tembardziej rażące są w takim razie usterki i wady, będące oczywiście dodatkiem osobistym poety-epigona. Dzieło partackie, wykonane w marmurze, złocie i kości słoniowej, bardziej razić musi, niż toż

samo dzieło, jeżeli je zobaczymy zrobione z gliny lub drzewa, gdyż sam widok szlachetnych materyałów nasuwa nam cały szereg najprzedniejszych wzorów. O ileż bardziej rażący musiałby być dysonans, gdybyśmy u podnóża takiego posągu znaleźli napis: „Nagrodzony złotym medalem.“ Podobne wrażenie otrzymujemy, widząc na scenie uwieńczone nagrodą państwową imienia Schillera dzieło Ernesta Hardt'a: „Tantris der Narr.“ Dramat jest waryacją na temat następnego epizodu w tragedji miłosnej Tristana i Izoldy. Po przysiędze, złożonej królowi Marke przez młodą piękną żonę jego, Izoldę złotowłosą, przysiędze bardzo dwuznacznej, że nie złamie wiary temu, który pierwszy otoczył ją swem ramieniem miłosnem, po pakcie, zawartym pomiędzy tymże królem Marke, a „ukochanym“ siostrzeńcem jego, Tristanem, zabraniającym temuż ostatniemu pod karą śmierci powrotu do Kurnwalu, po wieści o ślubie Tristana z Izoldą o białych dłoniach, która zajmuje miejsce dawnej kochanki Izoldy złotowłosej, zakłóca cichą melancholijną powierzchnię życia małżeńskiego króla Marke i żony jego, Izoldy złotowłosej, niespodziana wiadomość, że Tristan przestąpił zakaz, że go widziano w pobliżu zamku królewskiego. Rolę zdrajcy z zazdrości odgrywa wojewoda Denowalin, szablonowa postać intryganta. Król Marke, nie mogąc zemścić się niezwłocznie na Tristanie, oddaje jedynie na zasadzie tej głuchej wieści i przysięgi Denowalina żonę swoją na pastwę trędowatych. Epizod ten jest dzieckiem fantazyi Hardt'a. Naga Izolda na stopniach, wiodących do tunu, którego wrota są dla niej zamknięte, otoczona zgrają pożądlivych trędowatych—oto jedna z głównych sensacyj dramatu, sensacyj obrachowanych jedynie na efekt. W chwili krytycznej zjawia się w tłumie Tristan, oswobadza Izoldę i zabija Denowalina. Izolda kochanka swego nie poznaje. Najlepszym względnie jeszcze jest akt 4-ty, w którym Tristan występuje w roli błazna Tantrisa na dworze króla Marke, starającego się po swem nieludzkiem okrucieństwie znów przejednać żonę. Akt ten, posiadający coś z bolesnego sarkazmu scen błazeńskich z króla Leara, jest jedynym pięknym ustępem w nienaturalnej, pretensjonalnej i konwulsyjnej akcji, która ku końcowi dramatu znów traci wszelkie uzasadnienie psychologiczne. Po wielorakich dowodach, z których każdy pojedynczy mógłby wystarczyć, aby przekonać Izoldę, kim jest błazen Tantris, który z okrucichów imienia Tristan zlepil swą dziwną nazwę (Tris-tan — Tan-tris) otwiera jej wreszcie oczy pies Tristana Husdent—jedyna istota, która odrazu poznaje pod szatą błazeńską kryjącą się prawdę. Teraz i Izolda daje się przekonać.

O wyższości psich instynktów ponad wszelką wrażliwością serc kochających! Poznanie atoli, ogarniające skamieniałe z bólu serce nagłą rozkoszą nowych przeczuć, przychodzi zapóźno. Tristan wraz z psem swoim, którego wyzwolił z więzienia, przeskoczywszy mur zamkowy, znika głuchy na prośby i wołania kochanki. Oto w ogólnych zarysach treść dramatu Hardt'a. Pomijając nienaturalność większej części postaci, biorących udział w dramacie, pomijając ocieężałość akcji, popychanej gwałtownie naprzód przez sensacye, jest się przedewszystkiem zmuszonym zwrócić uwagę na bynajmniej nie usprawiedliwione, trącające manią podkreślenie pewnych rysów okrucieństwa płciowego, które ani odpowiada rzeczywistej treści, ani nawet nie daje się wytłómaczyć chociażby najbardziej barbarzyńskimi instynktami. Oba fakty wystawienia nagiej Izoldy na pośmiewisko motłochu, jeden z nich widziny na scenie (Izolda i trędowaci), o drugim opowiada Tantris w scenie błazeńskiej, opisując królowi Marke i jego dworowi, pośród którego znajduje się również Izolda, uroki jej nagości—są wymysłem autora, oba zarówno niesmaczne, zarówno źle usprawiedliwione, naciągnięte i w przesadnem swem napięciu zmysłowem niesympatyczne, charakteryzują wymownie rodzaj poezyi Hardt'a. Zaliczyć go można do tych w dniach dzisiejszych tak licznych autorów, którzy „zdobywają“ dla realizmu tematy romantyczne. Nie należy ich naturalnie utożsamiać z takimi twórcami, jak Oscar Wilde lub Hugo von Hofmannsthal, gdyż ani Salome, ani Elektra nie są dziećmi serc acyi, ale prawemi dziełami sztuki; najzupełniej niezasadnione są również analogie, dotyczące nagości Mony Vanny, analogie, które krytyka czuła się zniwolona niewiadomo poco przeprowadzać. „Zdobywcy“ ci, o których mowa, uproszcili sobie wszystkie zagadnienia psychologiczne do jednego jedyne go, a mianowicie: płciowego. Niema objawu psychicznego, któryby w ich oczach nie był wyłącznie emanacją tego lub owego powikłania, tej lub owej perwersyi lub hipertrofii płciowej.

Najkonsekwentniejsze a zarazem najbardziej jednostronne wcielenie tych poglądów znajdujemy w filozofii Weininger'a i to nie tylko w jego głównem dziele „Płeć i charakter,“ znającym i uznającym li tylko krańcowości płciowe, ale w owych fragmentach pośmiertnych, które wskazują dalszy kierunek myśli jego. Pośród tych fragmentów warto by zwrócić uwagę na aforyzmy Weininger'a poświęcone psychologii Sadyzmu i Masochizmu, oraz zbrodni i grzechu. W jednym z tych aforyzmów czytamy dosłownie po obszernych wywodach, określających istotę sadyzmu i ma-

sochizmu (str. 65 „Ueber die Letzten Dinge,“ nakł. Wilhelma Braumüllera w Wiedniu) następujący podział. „Mistyk (bądź teozof, jak np. Jakób Boehme, bądź racjonalista, jak Kant) identyczny jest z masochistą; człowiek nie posiadający mistycznych skłonności jest sadystą. Masochistami są narody północne (również Żydzi); sadystami południowcy. U Niemców i Greków znajdujemy oba typy; u pierwszych atoli przeważa masochizm. Wszelkie epigramy, Herman i Dorotea Goethego, noszą cechy sadyzmu; Ifigenia, Tasso, Werther, Faust (z wyjątkiem częściowo epizodu miłosnego Małgorzaty) posiadają charakter masochizmu. Autor Odyssei był sadystą; jedynie Circe jest naturalnie ideałem masochistycznym (t. j. ideałem masochisty, który nie walczy przeciw swemu masochizmowi, lecz poddaje się każdej odrębności), Eschylos, Ryszard Wagner, Dante, przedewszystkiem zaś Beethoven i Schumann są masochistami; Verdi (równie jak Mascagni i Bizet) posiadają więcej cech sadystycznych, podobnie jak poeci anakreontyczni i Francuzi w wieku 17 i 18-ym, dalej Tycyan, Paolo Veronese, Rubens, Rafael. Shakespearowi nie brak cech sadyzmu, względem kobiety jednakże jest bardziej masochistą i nie odgranicza tak ostro płciowości od miłości, jak np. Goethe, Dante, Ibsen, Ryszard Wagner. Najzupełniejszym masochizmem odznacza się pierwszy akt „Tristana i Izoldy;“ słabszym „Tannhäuser,“ „Rienzi,“ „Statek upiór.“ Oto obraz świata i najwyższej jego twórczości pod kątem widzenia psychopaty sexualis! Po „Geniuszu i obłąkaniu“ Lombrosa doczekaliśmy się „Geniusza i perwersyi.“ I doprawdy, to nie objaw sporadyczny, nie wybryk jakiegoś zwyrodniałego filozofa-młodzieniaszka, to cecha naszego czasu. Trudno wystawić sobie radość i zachwyt krytyki przy każdym nowem tego rodzaju zdemaskowaniu jakiegoś wiekopomnego dzieła lub wielkiego twórcy. Monografie o perwersjach płciowych wielkich ludzi: Wagnera, Schumanna, Napoleona, Nietzschego, są na porządku dziennym, a pośród nich celują np. te, które zuany profesor Moebius drukował. Że Francuzi w tej gałęzi od pewnego czasu przodują, jest rzeczą znaną. Dziś atoli i Anglicy i Niemcy ubiegają się wraz z Francuzami o palmę pierwszeństwa na tym oślizgłym placu niesławy. Mamy dziś w Niemczech Wedekinda, Bierbauma, Hans'a, Heinz'a, Ewersa i cały szereg pseudo-Wilde'ów i pseudo-Hofmannsthal'ów, siłujących się na uwydatnienie demonizmu swej perwersyi lub perwersyjki płciowej. Wszak i Ryszard Dehmel, którego wulkanicznie namiętna nuta nie jest bynajmniej pozą i który, jak mało kto wśród współczesnych, potrafił przeświełcić ciemność swoich przepastnych namiętności, składa haracz te-

mu duchowi czasu w swych Przemianach Wenery, będących pod względem tętna i rozmachu poetyckiego jednym z najsilniejszych jego utworów. Ale pokolenie Dehmelów, Przybyszewskich i Strindbergów, które właściwie odkryło dla nowoczesnej sztuki te przepastne ciemności płci, zupełnie jeszcze inaczej traktuje tematy owe, jak terażniejszość. Płeć i jej bluszczowe powikłania przedstawiają się im zawsze jeszcze sub specie aeternitatis, czy to w wizjach o ich twórczej potędze, jak u Dehmela, czy to w ich mistycznych apoteozach i fantasmagoryach, jak u Przybyszewskiego, czy też w ich genialnej definicyi i potężnem oskarżeniu, jak u Strindberga. Terażniejszość, t. j. powiedzmy raczej, trzymając się ściśle granic rzeczywistych, wszechwładna moda dnia i jej wyraziciele patrzą nawet na wieczność pod kątem płci. Wieczność, metafizyka, heroizm, wielkość — są dla nich mrzonkami, mglistą alegoryą, niczem w porównaniu z ową realną, nazbyt realną aktualnością, która całkowicie pochłania i ujarzma ich myśli i uczucia.

Do tej grupy trzeba będzie zaliczyć dramat Ernesta Hardt'a „Tantris der Narr,“ utwór będący pod godłem i jarzmem tej mody. „Hardt—jak powiada słusznie wrocławski profesor Max Koch w swej ostrej krytyce dramatu, ogłoszonej w czasopiśmie „Der Türmer“—naruszył najlepszą i najgłębszą treść starej legendy miłosnej, wyłamał jej serce. Zachowawszy ogólne zarysy legendy, potęguje jej groteskowość, zacierając jednakże prawdziwą istotę i wszystkie subtelności duchowe.“ Legenda opowiada o skazaniu Izoldy i Tristana na śmierć, o ucieczce Tristana i wyzwoleniu przez niego Izoldy, stojącej na stosie. W jednej z wersji jest też wzmianka o trędowatych, którzy zastępują orszakowi, wiodącemu Izoldę na stos, drogę, prosząc króla o oddanie im na pastwę skazanej, na co się król Marke w swej bezgranicznej goryczy i nienawiści zgadza. Trędowaci chwytają Izoldę i wprowadzają. Tristan jednakże wraz z Gorvenalem ją wyzwala i ukrywa w lesie Morrois. Porównanie tej osnowy z treścią dramatu Hardt'a wystarczy, aby scharakteryzować rodzaj twórczości tego uwiecznzonego najwyższą nagrodą państwową poety, którego utwór Adolf Bartels, znany krytyk niemiecki, słusznie nazywa „eine sadistische Hofmannsthaliade.“

Mniej słuszna i trafna jest uwaga tegoż krytyka, że odznaczenie dramatu Hardt'a nagrodą imienia Schillera jest „oficyalnem zwycięstwem ducha żydowskiego.“ Krańcowy antysemityzm Bartelsa, którego tak wymownym wyrazem było przed kilkoma laty dzieło jego antyheynowskie, tłumaczy dostatecznie tę przedwzecie-

szą, na żadnych pozytywnych danych nie opartą wycieczkę, gdyż jak sam nawet przyznaje, nie wie, czy urodzony w Grudziądzu Ernest Hardt jest Żydem lub nie. W czasach procesów eulenburskich podobne zwalanie objawów, będących znamięm dnia, na barki cudze należałoby co najmniej nazwać bezczelną ślepotą. Nie wpływowi Żydów, ale własnemu stanowi bezwoli, własnemu stanowi anarchii wewnętrznej zawdzięcza teraźniejszość niemiecka takie objawy jak dramat Hardt'a. Jest on typowym wykwittem tej literatury, która patrzy na sztukę, jak na pewnego rodzaju nowrozę z silniejszym lub słabszym dodatkiem psychopatii płciowej, która natrzęsa się ze wszelkich nieuchwytnych idealizmów i symbolizmów, i sto razy gotowa jest sięgnąć po trywialność, zanim się zdecyduje oddać należną cześć tajemnicy. I trzeba się jeszcze dziwić, że cechy tej nowrozy mają pewne analogiczne podobieństwo z objawami dziedzicznej niemal wśród Żydów neurastenii, której źródeł szukać jednakże trzeba nie w usposobieniu rasowym, lecz w całym położeniu Żydów? Na szczęście i nauki ścisłe, szczególnie zaś biologia, dzięki ważnym odkryciom Wilhelma Fliessa (opisanym w jego dziele „Der Ablauf des Lebens“), przygotowują nowe drogi i nowe poczynają rzucać światło na zagadnienia płciowe i niejedną z perwersyj, która dziś jeszcze czuje się w prawie pozować na demonizm, znajdzie może wkrótce mniej sensacyjne, ale nieskończenie głębsze wyjaśnienie, które zarazem wyznaczy jej to miejsce, jakie zajmować powinna.

*

*

*

Wielu z tych, którzy powstają ostro przeciw dramatowi Hardta, utrzymuje, że przynajmniej druga sztuka sceniczna, komedia życia, Karola Schönherra rehabilituje do pewnego stopnia komisję, rozdającą nagrody imienia Schillera i ratuje honor nadwreżony współczesnej poezji dramatycznej w Niemczech. Kto jednakże w Karolu Schönherze spodziewa się znaleźć zwiastuna nowego dramatu niemieckiego, ten—obawiam się—prędzej lub później bardzo się rozczaruje. Autor tyrolczyk, który poraz pierwszy przed laty zwrócił na się uwagę świeżemi bezpretensjonalnymi i pełnymi humoru piosnkami: „Tiroler Trutzlieder,“ „Innthalerschnalzer,“ „Tiroler Marterln,“ oddawna już porzucił swoją natu-

ralność, nie dotarłszy jednakże wzamian za to do mistrzostwa. Dysonanse wielkoświatowe, które podczas dłuższego pobytu w środowisku wielkomijskim, gdzie Schönherr zmuszony był odbywać swe studia medyczne, odbiły się na całym jego sposobie widzenia życia, pozostawiły w twórczości jego rys, który poeta napróżno stara się ukryć pod maską sarkazmu. W utworach, w których sarkazm ten nie złagodzony żadną koncesją, żadnym sentymentalizmem występuje na jaw, jak np. w pięknym zbiorze nowel „Caritas“, w dramatach „Sonnenwendtag“ (1902) i „Der Bildschnitzer“ (1906) udają się Schönherr'owi ustępy rzeczywiście poetyczne i silne. Do takich należy przedewszystkiem zakończenie dramatu „Sonnenwendtag“, w którym matka chłopka poświęca wszystko, aby syn jej ukochany został księdzem i pełna ufności zdoła ołtarz Matki Boskiej, w której pomocy pokłada całą ufność. Gdy narreszcie syn ten zawodzi jej nadzieje i życie jej traci treść, znękana, złamana staruszka bez słowa skargi wlecze się przed ołtarz nadziei swoich i poczyna go powoli rozdziewać z przepychu, którym go tęsknota jej ozdobiła. Jest w tej względnie ubogiej i nie zawsze dostatecznie pogłębionej akcji zapewne spora doza sentymentalizmu, są jednakże równocześnie i silne napięcia. Zdaje się jednakże, jakoby poeta nie był w stanie przezwyciężyć szczęśliwie tych braków, gdyż ani tragedyi dziecka włóczęgi, które zdradza ojca żandarmowi dla kawałka chleba (Karnersleut), ani śmierci męża, który widząc, że żona ukochana zdradza go z najlepszym przyjacielem, nie daje się operować i umiera (Der Bildschnitzer), ani późniejszych bardzo już sztucznych i nieszczerych dramatów „Familie“ (1906) i „Königreich“ (1908)—nie podobna nazwać postępem. Pośród nowel Schönherr'a znajduje się jedna, opisująca operację na śmierć skazanego zbrodniarza, który, połknąwszy oś, poczyna się dławić i któremu po wielu zabiegach ocalają życie, aby go móżdżek wedle przepisów powiesić. Nowela ta najwydatniej charakteryzuje sarkazm Schönherr'a, nie bez słuszności porównywanego z sarkazmem Courteline'a. Uwieńczona nagrodą imienia Schillera komedia życia „Ziemia“ posiada obie cechy odrębności Schönherr'a: sarkazm i sentymentalizm. Sarkastyczny jest humor, z którym autor nie bez przesady maluje swoich chłopów, sentymentalnem jest wszystko, co służy temu sarkastycznemu humorowi za tło. Tło więc wypada chwilami bardzo nienaturalnie, postać zaś główna, stary chłop Grutz, który ma być uosobieniem chłopskiej zaciętości i bezgranicznej żądzy ziemi, do której posiadania tęsknią wszystkie osoby komedyi, mimo momentów dobrych, jest jednakże tylko chłopem teatralnym. Trudno dajmy na to, aby

przytoczyć jeden przykład z wielu, znaleźć uzasadnienie dlaczego chłop o charakterze i przezorności starego Grutza rąbie, wyzdrowiawszy, trumnę modrzewiową, którą sobie był obstałował, a która mu się kiedyś jednak przydać może. To bynajmniej nie chłop ska kalkulacya, to efekt teatralny, który nawet na najbardziej naiwnego widza działać musi, jako poszukiwanie efektu. Pozatem i akcyja zależna jedynie od stanu zdrowia starego Grutza, od tego czy wyzdrowieje lub nie i czy mu znów kilka funtów ubyło lub przybyło, niema najmniejszego napięcia dramatycznego i mogłaby się tak ciągnąć ad infinitum jeszcze przez trzy lub cztery akty, nie zmieniając ani o włos stanu, który nam przedstawia akt pierwszy. Tak więc i ta druga nagroda imienia Schillera jest fiaskiem kompletnem, bo nawet, jako utwór lokalny, komedia Schönherra wykazuje braki, uniemożliwiające zaliczenie jej do gatunku poezyi rodzajowej, do szeregu takich utworów, jak dramaty chłopskie Anzenrubera, Roseggera lub opowiadania Ganghoffer'a, mimo wielkiej zręczności, z jaką poeta ten potrafi grupować materyał swój sceniczny.

Zresztą niepowodzenia komisyi, udzielającej nagrody imienia Schillera, nie są jedynym faktem niepomyślnym w dziejach współczesnych dramatu niemieckiego. Cała twórczość dramatyczna w Niemczech znajduje się obecnie w stadyum pewnego letargu. Wydany niedawno w nakładzie lipskim Breitkopfa i Haertla plan przedstawień na wszystkich scenach niemieckich w ciągu ubiegłego roku daje możność skonstatowania równocześnie stosunku teatru do sztuki dramatycznej. Pośród klasyków zajmuje naturalnie i nadal Fryderyk Schiller pierwsze miejsce (1,441 przedstawień, z których na samego „Wilhelma Tella“ przypada aż 292 przedstawień), na Goethego przypada 705 wieczorów (z tych 213 na „Fausta“ I-szą część). Większem powodzeniem, niż Goethe, cieszy się Szekspir (945 przedstawień), który dzięki znakomitym przedstawieniom Deutsches Theater w Berlinie święcił znów wielkie tryumfy. Pośród innych wybitnych autorów przeszłości wypada wymienić Lessinga (376), Hebbła (409), Grillparzera (363) i Molière'a (185). Pomędzy nowoczesnymi poetami dramatycznymi palmę pierwszeństwa otrzymał, niestety, znów Herman Sudermann (1,202 przedstawień), podczas, gdy o wiele głębszy Hauptmann grany był tylko 476 razy, a Ibsen doczekał się 876 przedstawień. O wiele lepiej naturalnie powodziło się farsom. Blumenthal był panem aż 1,021 wieczorów, von Schönthan (931), L'Arronge (684), francuska farsa „Mademoiselle Josette“ (812), „Złodziej“ Henri Bernsteina (510), a i starsze już znane i oklaski-

wane rakiety teatralne „Husarenfieber“, „Alt-Heidelberg“ figurują znów pokazanymi cyframi. Jedyne rzeczywście zasłużony sukces teatralny przypadł w udziale tragedji niedawno zmarłego Ernesta von Wildenbrucha „Die Rabensteinerin“, którą dawano w ciągu ubiegłego sezonu teatralnego aż 938 razy. Ale czemżeż są wszystkie te liczby w porównaniu ze statystyką świadczącą o wszechwładnem panowaniu operetki „Wesoła wdówka“, „Ein Walzertraum“, „Die Dollarprinzessin“, „Derf idele Bauer“, „Die Förster-Christl“, oto siły magiczne, działające niechybnie i dające zawsze pełne kasy. Wobec 1,778 przedstawień „Wesołej wdówki“ lub 1,741 przedstawień „Walzertraum'u“ są cyfry przedstawień, przypadających na tak nawet popularne opery, jak „Carmen“, „Lohengrin“, „Fidelio“, drobnostką, a i ostatnie sensacyjne operowe, znakomita opera „Tiefland“ d'Alberta i interesująca „Salome“ Ryszarda Straussa ze swemi 463 i 217 przedstawieniami mierzyć się z nimi nie mogą. Sam Ryszard Wagner, pomimo swej dziś bezprzykładnej w Niemczech popularności, ze swemi 10-ciu dramatai muzycznymi dopiero dosięga cyfr tak wysokich (1,936 przedstawień).

W nowościach dramatycznych ostatnich czasów też niezbyt wiele dobrego jest do powiedzenia. Dramat Maksa Halbego „Niebieskie góry“, jako nowy dowód niedojrzałości tego autora, nie pozatem nowego nie przyniósł. Bardzo trafnie nazywa go Eloesser „nędzą sudermanowską, zebrzącą u starego Ibsena o kilka zużytych symbolów“ (sudermanische Misère die beim alten Ibsen betteln geht uns ein paar abgelegte Symbole). Najstraszniejszą jednakże zaletą tej komedyi jest jej polifonia, obejmująca całą skalę ekspresji od Ibsena do Oskara Blumenthala i jej język uczniowski, który w „Młodości“ był do pewnego stopnia na miejscu, w późniejszych jednakże utworach razi niewymownie. Wyśiłki Halbego pogłębiania symbolicznego dyalogu działają wprost komicznie.

Większem powodzeniem cieszy się komedyja znanego nowelisty Ludwika Thomy „Moral“, utwór, w którym w przeciągu całych trzech aktów nikt nie mówi o miłości, a który mimo to interesuje i bawi nawet wybredniejszą publiczność. Tajemnica tego powodzenia leży w jej satyrycznych zaletach, które autor posiada w wysokiej mierze, a które we wspomnianej komedyi zastosowuje z należytytym taktem, aczkolwiek trochę konwencyjonalnie. Wistocie komedyja „Moralność“ nie jest dziełem scenicznem w tradycyjnem tego słowa znaczeniu. Możnaaby ją nazwać zdramatyzowaną satyrą, dowcipną, elegancką, ale nie nazbyt głęboką, trzaskającą mufym biczykiem, trochę złośliwej uszczypliwości ponad wielkiem

uchem instytucyj policyjnych i stowarzyszeń, opiekujących się moralnością publiczną.

Jednem z prawdziwie wartościowych dzieł scenicznych ostatniej doby jest tragedia zazdrości Stefana Zweiga: „Tersites.“ Tragedya jest opracowaniem tematu wziętego z „Iliady“ Homera. Stanowisko, jakie autor względem swego bohatera i dramatu zajmuje, różni się atoli znacznie od stanowiska Greków lub Szekspira. Zweig stara się przedstawić świat pod kątem widzenia Tersitesa, przytem jako kontrast i duchowe uzupełnienie jednostronności swego bohatera, daje nam świetnie odczuta postać Achillesa. Psychologia tych dwóch krańców odsłania przed wzrokiem bogate skarby poznania natury ludzkiej. Tersites kocha Achillesa, kocha całą miłością swej nienawiści, podziwia, ale i zazdrości, ale i zazdrość ta jest znów miłością. Achilles czuje się dziwnie zaniepokojony słowami tego dziwaczego cienia swej wielkości i swego bohaterstwa. Rzadko można mieć sposobność widzenia dwóch tak pysznie uzupełniających się typów. Achilles w głębi swej duszy czuje nieświadomie, że w problematycznym Tersitesie drzemie coś z problemów jego własnego bohaterstwa, przecucie to jest łącznikiem pomiędzy synem bogów i szpetnym Judaszem-zdrajcą, trawiącym się w tęsknocie za pięknem i bohaterstwem. Pełny niespodzianych przeblysków i subtelnej psychologii jest również epizod miłosny pomiędzy Tersitesem a Telają, niewolnicą Achillesa. Dramat ten pisany pięknym, bogatym wierszem i odznaczający się znakomitą językiem jest na drodze do wielkiej sztuki piękną obietnicą i stawia młodego poetę Zweiga w rzędzie najbardziej obiecujących twórców dramatycznych doby współczesnej w Niemczech.

*

*

*

Przy względem ubóstwie twórczości dramatycznej dziwnie uderza ożywiony ruch na polu twórczości epickiej. Przedewszystkiem zaś w dziedzinie powieści i noweli. Pośród utworów beletrystycznych doby ostatniej znajdujemy nawet cały szereg powieści, których autorami są znani poeci dramatyczni. Powieść Hermana Sudermanna: „Das Hohe Lied“ należy do nienajlepszych w tym szeregu. Wiadomość, że Sudermann po latach milczenia,

jako poeta epicki, zamierza wydać nową powieść, była nawet przez pewien czas sensacją dnia i budziła pewne nadzieje, że zwrot ten wyda lepszy plon, niż niefortunna twórczość dramatyczna lat ostatnich. Powieść jednak rozczarować musiała nawet tych, których takie elukubraty, jak „Sturmgesele Sokrates,“ das „Blumenboot“ i inne nie rozczarowały. Jakaż olbrzymia przepaść pomiędzy autorem „Frau Sorge“ i „Katzensteg,“ a ojcem „Pieśni nad pieśniarni,“ tego dziecka niskich instynktów i naiwnej bezcelności. Powieść „Das Hohe Lied“ niczem nie różni się od owej literatury kolportowanej pokątnie w zeszytach 10-cio fenigowych, przeciw której dziś w Niemczech pod hasłem „Nieder mit der Schmutz- und Schundliteratur“ prasa i krytyka toczą tak zacietą, ale jak na razie bardzo mało skuteczną walkę. Cóż można chcieć od ludzi, którzy z tego rodzaju literatury żyją, jeżeli jeden z członków „Göthebundu,“ stowarzyszenia stawiającego sobie zadanie bronięcia interesów sztuki i piękna, człowiek posiadający tantiemy teatralne w Niemczech, wynoszące rocznie około 200,000 marek, pisze rzeczy, które pod względem formy i treści kwalifikują się na śmietnik. Szczerłość Sudermanna bez żadnej pozy, trywialność, która w swej nagości jest dziwnie naiwną, działają na czytelnika, jak opowiadania starych wyjadaczy w brudnych, zakopconych kawiarenkach, ukrytych w pobliżu centrów ruchu wielkomiejskiego, w których przy świetle lamp odbywają się transakcje na towar żywy. Powietrze tych przesiąkniętych jakimś wstrętnym fluidem jaskiń tworzy dziwną harmonię z szarą pomarszczoną cerą takich pokątnych donżuanów, na młdo uśmiechniętych twarzach, których światło dzienne z całą swą słoneczną bezwzględnością odsłania zmarszczki i szczyrby zgnilizny. Coś z tego nastroju wieje z każdej niemal strony powieści Sudermanna, opisującej młodość córki kapelmistrza Czepanka (prawdopodobnie Szczepanka) i delektującej się każdą fazą jej dojrzewania z apetytem i pożądlivością właściciela kurnika, który żarłocznym okiem śledzi z dnia na dzień skutki procesu tuczenia swych gęsi lub indyczek. Monotonia żadną inną barwą nie ożywionego nastroju, grubiańskie traktowanie tekstu, zupełny brak perspektywicznych skrótów, stereotypowość postaci i język niedbały nie przyczyniają się bynajmniej do podniesienia wartości tego bezwartościowego, dwutomowego—mlaskania językiem.

Powieść Otto Ernst'a „Semper Annus,“ który też, jako dramaturg, zdobył sobie uznanie i majątek, należy do owych na poły autobiograficznych powieści, których liczba w ostatnich czasach wzrosła niepomieranie. Najpiękniejszymi utworami tego gatunku

są powieści Hermana Hessego i Ludwika Finkl'a: „Peter Camer-gind“ i „Rosendoktor.“ W tymże rodzaju napisana jest powieść Finkl'a „Rapunzel,“ zachwycająca, subtelna historia cichego życia, której delikatny koloryt romantyczny przypomina obrazy Henryka Voglera. Otto Ernst należy do tych ulubieńców fortuny, którym się zawsze powodzi, nawet jeżeli niema najmniejszego powodu do tego. Powodzenie jego utworów scenicznych „Jugend von Heute“ i „Flachsmann als Erzieher“ pozostanie dla krytyki zagadką, podobnie jak niezwykle powodzenie jego powieści „Asmus Semper.“ Widocznie ten solidny, trochę ciężki, domorosty styl zabarwiony od czasu do czasu niedźwiedziami podrygami nieszkodliwego humoru, przypada szerszym kołom publiczności niemieckiej do gustu. Pomysły jego mają zapach mydła i coś z owej nudy dni niedzielnych w wyszorowanym mieszkaniu skle-pikarza lub rzeźnika. A fantazyja jego krąży wkoło ogniska do-mowego. Dwutomowa powieść, nie odznaczająca się niczem in-nem, poza temi wyżej wymienionemi cechami, jest dla każdego miłośnika literatury pięknej strawą kwalifikującą się zanadto do kategorii: groch z kapustą, aby ją móżdż bez poprzednich zastrze-żeń polecać. O ileż bardziej interesujące i wartościowe są trak-tujące tematy pokrewne pamiętniki robotników: Karola Fischera „Denkwürdigkeiten und Erinnerungen eines Arbeiters“ i Mauryce-go Bromnego „Lebensgeschichte eines modernen Fabrikarbeiters,“ utwory, które zaznajamiają nas wyśmienicie z życiem duchowem i materyalnym pracującej ludności w epoce naszego wszechwład-nego kapitalizmu i przemysłu, i pomimo swej prostaczey dobitno-ści, pełne są owej naturalnej, świeżej poezyi, którą nacechowane jest życie nawet tam, gdzie dym kominów i pomazane smołą ścia-ny kamienic wielopiętrowych zasłaniają widok ożywczy nieba i tłumią radość serca, które i pod bluzą robotnika tęskni cza-sami za pięknem.

Do dramatycznych poetów, którzy wstąpili w szranki poezyi epickiej, należy również Schnitzler, który po romantyczno-natura-listycznych i fantastyczno-sceptycznych swych nowelach „Dämmer-seelen,“ wystąpił obecnie z większą powieścią: „Der Weg ins Freie.“ Powieść ta, odznaczająca się niewątpliwie wysokimi zaletami stylu, pięknym językiem i szeregiem pysznie oddanych opisów życia wiedeńskiego, jest jednakże, jeżeli się jej uważnie przy-patrzyni, niczem innem, tylko do rozmiarów powieściowych wy-dętą nowelą, która i pod względem tematu przypomina bardzo jeden z dawniejszych, a może nawet najlepszy utwór nowelistycz-ny tegoż autora: „Sterben.“ Beletrystyczna twórczość zdaje się

nie odpowiada w tej mierze uzdolnieniu Schnitzlera, co twórczość dramatyczna, jego również na tle życia wiedeńskiego powstałe dramatyczne poezye: pełne smętku komedye „Freiwild“ i „Liebelein“, połyaskująca i dowcipna „Der Grüne Kakadu“, z francuską gracyą napisane jednoaktówki „Literatura“ i „Kolacya pożegnalna“, zasnuta mgłą prawie że marzycielskiego nastroju jednoaktówka „Marionetten“, o wiele dosadniej i pod względem artystycznym lepiej malują życie i o wiele głębszą odznaczają się charakterystyką ludzi tegoż świata. Ostatnia powieść przedstawia epizod miłosny z życia młodego arystokraty-muzyka barona von Wergenthin, który w końcu, ponieważ życie to nie służy jakoś jego talentowi—baron jest kompozytorem—zrywa ten stosunek i znajduje znów drogę wiodącą na wolność w mniemaniu, że wolność da mu urzeczywistnienia, których miłość mu dać nie mogła, albo których raczej nie był wstanie zaczerpnąć swą bezsilną dłonią ze źródła miłości. Zdziwiająca jest, że autor przy całej rozwlekłości, z jaką traktuje ten błahy temat, nie czyni najmniejszych choćby usiłowań, aby nam psychologicznie wyjaśnić stosunek tych dwojga ludzi, stajemy się w ten sposób tylko widzami faktów dokonanych, które nam poeta przedstawia po kolei, jak gdyby wszystko, co się w jego powieści dzieje, było rzeczą najzwyczajniejszą w świecie, jak gdyby córka z uczciwego domu nie miała żadnych skrupułów, decydując się na krok tak stanowczy, jak zostanie kochanką człowieka, nie mającego zamiaru pojąć jej za żonę, jak gdyby kobieta, która stawszy się matką dziecka, umierającego w kilka godzin po przyjściu na świat, nie widziała i nie czuła, jak coraz bardziej rozluźniają się łączące nici wzajemnego zrozumienia pomiędzy nią a kochankiem. Jedną z dalszych wad tej powieści są braki kompozycyi. Z dokładnością i ścisłością, godną lepszego celu, opisuje autor szeregi całe niezliczonych dyalogów, z których niejeden wydaje się zupełnie zbytecznym. Stek zaś podobnych dyalogów, chociażby najciekawszych, nie jest naturalnie w stanie zastąpić toku akcji epickiej, której brak daje się silnie odczuwać. Nieustanne wahanie się bohatera pomiędzy miłością a tęsknotą za kompletną swobodą osobistą, nie jest jeszcze dostatecznym łącznikiem, mogącym luźne dyalogi połączyć w jeden całokształt artystyczny. W żadnym organicznym związku z tą główną osnową powieści nie znajduje się drugi motyw, który Schnitzler stara się wpleść w tok swego opowiadania. Motywem tym jest kwestya żydowska. Nie ulega żadnej wątpliwości, że to, co Schnitzler pisze o tej kwestyi, odznacza się nietylko głęboką znajomością przedmiotu, ale i ceną bezstronnością i niepospolitą spostrzegaw-

czością, że wszystkie za i przeciw rozważane, dyskutowane i roztrząsane w dyalogach Żydów i nie Żydów, filosemitów, obojętnych i antysemitów przyczyniają się do trafnego sformułowania tej sprawy. Głównym motywem tych dyalogów jest beznadziejność. Poeta Beermann, Żyd, przyjaciel barona, w następujących słowach formułuje tę beznadziejność: „Asymilacya? A wiesz pan co w końcu świat skonstatuje? Że my, Żydzi, byliśmy pewnego rodzaju fermentem ludzkości. Tak, ale może skonstatują to dopiero po upływie jakiego tysiąca lub dwóch tysięcy lat, pomyśl pan, co za pociecha.“ Bądź co bądź wielka szkoda, że tak cenny materiał zużyty został na najzupełniej zbyteczne kulisy, których związek z tematem głównym pozostanie zagadkowym, gdyż ani baron von Wergenthin, ani jego kochanka Anna Rosner nie należą do sfer żydowskich. Ciągłe wplatanie w ich losy Żydów i wyłącznie tylko Żydów działać w końcu musi nienaturalnie. W związku z tym tematem należy zwrócić uwagę na nowele żydowskie Szaloma Asza wyszłe w dwóch tomikach „Das Städtchen“ i „Aus dem Gettho.“ Szalom Asz, którego dramat żydowski „Sabbatai Zewi“ znalazł ogólne uznanie nawet wśród tych, których „Bóg Zemsty“ raził jeszcze swoim naturalizmem, byłby może wstanie dać z czasem epopeję żydowską o spokojnem, rozlewnem tempie. Nowele jego zawierają ogromne bogactwo tematów z życia Żydów w Polsce, które w swej względnie mało skrępowanej oryginalności, w swej idylicznej niemal pierwotności nadaje się wyśmienicie na tło epickie. Narazie jednakże stoi autorowi na przeszkodzie do pogłębienia jego charakterystycznych tematów pewien zbyt powierzchowny naturalizm, który przeszkadza mu skoncentrować się; a stąd zamiast obrazów z życia, otrzymujemy zdjęcia momentalne, mające jedynie wartość szkiców. Pozatem i styl tych luźnie pomiędzy sobą połączonych szkiców jest bardzo a bardzo niedbały. Język niemiecki w nich mocno szwankuje.

JAN KACZKOWSKI.

BOSFOR I DARDANELLE

wobec aneksyi Bośni i Hercegowiny.

III.

Konwencya o cieśninach z roku 1841, nazwana słusznie „wielką kartą“ tej kwestyi międzynarodowej, tak samo jak umowa z roku 1840, której stanowi uzupełnienie i przeróbkę, nie zawiera międzynarodowej gwarancyi całości i nietykalności państwa ottomańskiego. Jednakże na życzenie Austrii i Francyi zgodzono się zamieścić we wstępie do niej oświadczenie, że akt niniejszy ma dać sułtanowi „dowód oczywisty poszanowania przez mocarstwa nietykalności jego praw zwierzchniczych“ (*une preuve manifeste du respect qu'elles portent à l'inviolabilité de ses droits souverains*), jak i szczerego pragnienia utrzymania pokoju w Europie. W rzeczywistości jednak przy zredagowaniu tego ustępu chodziło tylko o kwestyę etykiety, co do której Wysoka Porta jest, jak wiadomo, bardzo drażliwą, albowiem nie ulega kwestyi, że konwencya o cieśninach zawiera bardzo dotkliwe ograniczenie praw zwierzchniczych sułtana. Tekst zobowiązania został wprawdzie ułożony w sposób, zapewniający najzupełniej uratowanie pozorów, ale zasadnicza treść ograniczenia nie uległa żadnej zmianie.

Konwencya o cieśninach nie zawiera, jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło, jednostronnego oświadczenia sułtana, ale dwustronną umowę bezterminową, zawartą pomiędzy sułtanem z jednej, a pięcioma wielkimi mocarstwami z drugiej strony; treścią tej umowy jest ograniczenie sułtana w prawie rozporządzania wejściem do wewnętrznego morza tureckiego. Pod tym względem konwencya 1841 r. różni się zasadniczo zarówno od umów turecko-rosyjskiej 1805 r. i turecko-angielskiej 1809 r., jak

i od traktatu turecko-rosyjskiego, zawartego w Unkiar-Iskelessi w r. 1833. Na mocy umowy 1805 r. Wysoka Porta zobowiązała się wobec Rosyi w ciągu lat ośmiu przepuszczać przez cieśniny jej okręty wojenne, w r. 1809 Anglia obiecała Wysokiej Porcie stosować się do odwiecznej zasady państwa ottomańskiego, o ile do niej stosować się będą inne mocarstwa, a traktat rosyjsko-turecki 1833 r., zawarty również na lat osiem, zobowiązywał Turcyę do zamknięcia cieśnin wrazie wybuchu wojny pomiędzy Rosyą i któremkolwiek bądź z państw obcych. We wszystkich tych wypadkach sułtan mógł stosować odwieczną zasadę swego państwa nieprzepuszczania przez cieśniny obcych statków wojennych, lub nie stosować jej podług własnego uznania, z wyjątkiem wypadków ściśle określonych i przewidzianych w odpowiednich wypadkach.

Tymczasem w konwencji 1841 r., zawartej nie z jednym poszczególnym, ale ze wszystkimi ówczesnymi wielkimi mocarstwami, sułtan z jednej strony oświadcza swoje niezłomne postanowienie utrzymania bez zmiany odwiecznej zasady państwa ottomańskiego, w myśl której okrętom wojennym obcych państw wzbronionym był zawsze wstęp do Bosforu i do cieśniny Dardanelskiej. Z tego też względu i na przyszłość obiecuje trzymać się tej zasady i nie dopuszczać do cieśnin żadnego obcego statku wojennego z wyjątkiem lekkich okrętów, pozostających do rozporządzenia poselstw zagranicznych. Z drugiej strony mocarstwa obowiązują się przestrzegać również to odwieczne prawo monarchii tureckiej i stosować się w zupełności do powyższego postanowienia sułtana. Tym sposobem konwencya o cieśninach krępuje wolę sułtana pod względem rozporządzania podług swego uznania wstępem do zamkniętego morza tureckiego, nakazując mu bezwzględnie stosowanie „odwiecznej zasady“ zamykania cieśnin w czasie pokoju dla wszystkich cudzoziemskich okrętów bez wyjątku.

Chociaż konwencya 1841 r. nie zawierała wyraźnego poręczenia całości i nietykalności państwa ottomańskiego, to jednak nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że uznanie tej zasady było właściwą podstawą zobowiązań, przyjętych przez wielkie mocarstwa w sprawie cieśnin. Podpisując konwencyę o cieśninach, mocarstwa milcząco zgodziły się na to, że istnienie Turcyi uznanem zostało za niezbędne i konieczne dla utrzymania równowagi politycznej, i że żadne z państw nie może rościć prawa do stanowienia o losie państwa ottomańskiego, nie narażając się na interwencyę mocarstw, współpodpisanych na tym akcie międzyna-

rodowym. Takim był niewątpliwie zamiar stron umawiających się, a chociaż zamiar ten ze względów dyplomatycznych nie został ujęty w odpowiednią redakcyę piśmienną, to jednak w myśl ogólnej zasady *in rebus dubiis spectanda est voluntas contrahentium*.

Dla tego też, kiedy skutkiem nieporozumienia, wybuchłego pomiędzy Rosyą i Turcyą w t. zw. kwestyi miejsc świętych i zerwania stosunków dyplomatycznych przez księcia Mienszykowa, wojska rosyjskie w d. 22 czerwca 1853 r. przeszły Prut i wstąpiły do księstw naddunajskich, eskadry francuska i angielska, które już przedtem na wezwanie zagrożonej Turcyi otrzymały rozkaz skonsygnowania się w bliskości Smyrny, wpłynęły do cieśniny Dardanelskiej i zarzuciły kotwicę na morzu Marmara. D. 4 października Turcyą wydała wojnę Rosyi, a w końcu listopada eskadra czarnomorska zniszczyła pod Synopą flotę turecką. Wtedy eskadra francusko-angielska przepłynęła Bosfor i weszła na morze Czarne. Posłowie rosyjscy w Londynie i Paryżu otrzymali od swego rządu rozkaz opuszczenia swoich stanowisk. Anglia i Francya, połączywszy się ze sobą, zawarły przymierze z Turcyą (12 marca 1854 r.), do którego w r. 1855 przyłączyła się Sardynia. Austria, porozumiawszy się z Turcyą, zażądała od Rosyi ewakuacyi księstw naddunajskich, i w sierpniu 1854 r. wojska rosyjskie cofnęły się za Prut. W grudniu 1854 roku zwołana została w Wiedniu z inicjatywy hr. Buola konferencya w celu zażegnania niebezpieczeństwa wojny europejskiej. Na konferencyi tej poseł francuski Drouyn de Lhuys zaproponował, w imieniu Napoleona III, przeprowadzoną następnie na kongresie paryskim neutralizacyę morza Czarnego, lub ewentualnie ograniczenie sił morskich Rosyi i Turcyi na tem morzu, a pełnomocnik rosyjski książę Gorczakow — otwarcie cieśnin i wolną żeglugę dla statków wojennych wszystkich państw na morzu Czarnem. Konferencya wiedeńska nie doprowadziła jednak do żadnych rezultatów, tymczasem 22 września 1855 r. Sewastopol, po uporczywej jedenastomiesięcznej obronie, został zdobyty przez wojska sprzymierzone, poczem, dzięki dobrym usługom Austrii, podpisano preliminarz pokoju w d. 1 lutego 1856 r., a kongres przedstawicieli wielkich mocarstw, zebranych w Paryżu, opracował ostateczne warunki w t. zw. traktacie paryskim, podpisanym w dniu 30 marca 1856 r.

Na mocy postanowień traktatu paryskiego Rosya została zupełnie odsunięta od morza Czarnego, na którym dotąd, ze względu na słabość floty tureckiej, panowała prawie niepodzielnie. Morze Czarne przestało być jeziorem rosyjskiem, jak za czasów traktatu w Unkiar Iskelessi, i stało się morzem neutralnem, pod-

ległem specjalnym ograniczeniom, ustanowionym w drodze porozumienia się międzynarodowego. Otwarte dla żeglugi handlowej wszystkich narodów, jego wody i porty zostały stanowczo i na wieczne czasy zamknięte dla statków wojennych wszystkich państw bez wyjątku, z wyjątkiem lekkich okrętów tureckich i rosyjskich, przeznaczonych do służby nadbrzeżnej, tudzież statków innych państw, przeznaczonych do pilnowania ujść Dunaju. Ponieważ wobec tego utrzymywanie i wznoszenie na jego wybrzeżach fortyfikacyj morskich stało się nadal zupełnie bezcelowem, przeto zarówno Rosya, jak i Turcya zobowiązały się nie wznosić na przyszłość i nie utrzymywać nadbrzeżnych arsenałów morskich, innemi słowy, zrzekły się prawa zarówno utrzymywania floty wojennej na morzu Czarnem, jak też i fortyfikowania jego wybrzeży. Dawna propozycja rosyjska przejrzienia konwencji 1841 r. nie była wobec tego rozpatrywana: tekst konwencji o cieśninach został zamieszczony w specjalnym aneksie, dołączonym do traktatu, z dodaniem uzupełnienia, upoważniającego sułtana do wydawania firmanów na przejście cieśnin lekkim okrętom wojennym obcych mocarstw, przeznaczonym do pełnienia służby policyjnej u ujść Dunaju.

Neutralizacya morza Czarnego, t. j. zakaz utrzymywania na niem floty wojennej i fortyfikowania jego wybrzeży, stanowiła dotkliwe ograniczenie zwierzchniczych praw Rosyi, na które państwo to, osłabione przegraną wojną krymską, musiało z konieczności się zgodzić, ale które sprzeciwiały się zasadniczemu prawu każdego państwa — prawu do istnienia. Ustanowione pozornie w interesie równowagi politycznej postanowienia traktatu paryskiego nie tylko raniły boleśnie miłość własną Rosyi, lecz jednocześnie zagrażały poważnie jej bezpieczeństwu. Rosya musiała wyrzec się prawa utrzymywania floty wojennej na morzu Czarnem i fortyfikowania jego wybrzeży, Turcya natomiast zachowywała swoją flotę na Archipelagu i na morzu Marmara, co więcej, nic nie stało na przeszkodzie Anglii i Francyi, skoro cieśniny na mocy konwencji, dołączonej do traktatu paryskiego, były zamknięte tylko podczas pokoju, wprowadzić w razie wojny swoje eskadry na morze Czarne i napaść na bezbronne wybrzeża rosyjskie. Ztąd też pierwszym zadaniem polityki rosyjskiej musiało być dążenie do uwolnienia się od ograniczeń traktatu paryskiego, środkami zaś po temu miały być — podług testamentu politycznego hr. Nesselrodego, stanowiącego, nawiasem mówiąc, surowe potępienie jego własnej polityki — wewnętrzny rozwój sił materialnych i duchowych, wytworzenie odpowiedniej kon-

stellacyi w polityce międzynarodowej, wreszcie wybór właściwej chwili do działania. Jak dalece cesarz Aleksander II był ożywiony pragnieniem przekreślenia upokarzających postanowień traktatu paryskiego, świadczy fakt, opowiedziany baronowi Brunnowi przez długoletniego współpracownika hrabiego Nesselrodego, a późniejszego bezpośredniego pomocnika księcia Górczakowa, starszego radcę ministerium spraw zagranicznych bar. Jominiego. W połowie 1863 r. cesarz Aleksander II na posiedzeniu Rady Państwa zwrócił się do zebranych ze słowami: „*il y a sept ans à cette table j'ai fait un acte que je puis qualifier, puisque c'est moi qui l'ai accompli. J'ai signé le traité de Paris, et c'était une lâcheté.*“ A gdy obecni oniemieli ze zdziwienia, cesarz uderzył ręką w stół i dodał: „*oui, c'était une lâcheté, et certes je n'en ferai plus.*“ Poglądy cesarza Aleksandra II na traktat paryski podzielała niewątpliwie rosyjska opinia publiczna, i książę Górczakow, występując w październiku 1870 r. do walki dyplomatycznej z Europą, mógł śmiało twierdzić, że uczucie jego podziela cała Rosya („*c'est un sentiment qui a de l'écho en Russie*“).

Lord Palmerston miał się podobno wyrazić, że traktat paryski nie przetrwa nawet lat dziesięciu. W każdym razie już w dwa lata po jego zawarciu austriacki minister spraw zagranicznych, pragnąc zapewnić sobie pomoc Rosyi wobec grożącej wojny włosko-francuskiej, proponował księciu Górczakowowi rewizyę postanowień, krępujących zwierzchnicze prawa Rosyi co do morza Czarnego, a w osiem lat później z takim samym projektem wystąpił hr. Beust. Jednakże gabinet petersburski przyjmował dość chłodno propozycyę państwa, które, zdaniem jednego z dyplomatów, w roku 1854 zadziwiło świat swoją niewdzięcznością, zmuszając Rosyę do wycofania się z księztw naddunajskich w nagrodę za pomoc, okazaną w 1848 r. przeciw Węgrom. Jak w swoim czasie hr. Nesselrode dawał się prowadzić na pasku ówczesnemu „furmanowi Europy,“ tak książę Górczakow był pod silnym wpływem męża stanu, który po zwycięskiej kampanii francuskiej zyskał miano „żelaznego kanclerza,“ liczył więc w tej sprawie przede wszystkim na pomoc pruską. Węzły przyjaźni i zaufania, łączące kierowników polityki zagranicznej nad Newą i nad Sprewą, zawiązane jeszcze wtedy, kiedy Prusy na kongresie paryskim, jakby umyślnie unikały nawet cienia pozoru należenia do koalicyi przeciw Rosyi, wzmocniły się jeszcze bardziej z powodu stanowiska, zajętego przez rząd pruski wobec powstania polskiego: nie tylko bowiem Prusy nie wzięły udziału we wspólnej akcji mocarstw przeciw Rosyi, odpartej zwyciężko przez ks. Górczako-

wa, ale w najtrudniejszej dla niej chwili ofiarowały jej swą pomoc, zawierając konwencyę wojenną przeciw powstańcom. W sierpniu 1866 r. cesarz Aleksander II zdecydował się zakomunikować przysłanemu do Petersburga hr. Manteufflowi, zaufanemu generał-adjutantowi swego wuja króla Wilhelma I pruskiego, w prywatnej rozmowie „swoje tajemne myśli o niemożności dla tak wielkiego państwa jak Rosya pozostawania nadal pod ciężarem postanowień, obrażających jej honor i stanowiących dla niej groźne niebezpieczeństwo;“ książe Gorczakow, dumny z zaufania, którem go obdarzał jego kolega z gabinetu z nad Sprewy, czekał sposobności, aby otrzymać od niego dowód „*dass wir einander treu geliebt sind.*“ Ufny w pomoc pruską, ciesząc się nieograniczonym zaufaniem cesarza Aleksandra II i czując, że opinia publiczna w Rosyi bezwarunkowo stoi po jego stronie, książe Gorczakow odrzucił nawet projekt rosyjskiego posła w Konstantynopolu hr. Ignatjewa bezpośredniego porozumienia się z Wysoką Portą w tej sprawie, chociaż wielki wezyr Aali-basza, uważając za niemożliwe otwarcie cieśnin dla cudzoziemskich okrętów wojennych, wyraził się, że nie widzi przyczyn, dla których Rosya nie miałaby uzyskać prawa fortyfikowania swojej linii obronnej na morzu Czarnem. Kanclerz rosyjski obawiał się poddania tej kwestyi pod rozpatrzenie konferencyi międzynarodowej, która mogłaby zatwierdzić powtórnie ograniczenia praw zwierzchniczych Rosyi na morzu Czarnem, wyczekiwał więc nadejścia sposobnej pory, aby śmiało pociągnięciem na szachownicy dyplomatycznej stworzyć jednostronnie fakt dokonany, z którym musiałyby się liczyć Europa.

W dniu 31 października 1870 r., a więc w chwili zupełnego pogromu Francyi i największego tryumfu Prus, w momencie dziejowym, tak trafnie scharakteryzowanym przez hr. Beusta w słowach „nie widać już Europy,“ książe Gorczakow w nocy okólnej, wystosowanej do przedstawicieli Rosyi, uwierzytelnionych przy dworach państw, które podpisały traktat 1856 r., oświadczył stanowczo, że wobec zmienionych okoliczności „Jego Cesarska Mość cesarz Aleksander II nie może uważać się nadal za związanego zobowiązaniami z d. 30 marca 1856 r. o tyle, o ile zobowiązania te ograniczają Jego prawa zwierzchnicze na morzu Czarnem.“ Oświadczenie powyższe kanclerz rosyjski popierał całym szeregiem argumentów faktycznych i prawnych. Wskazując na zachwianie równowagi politycznej w Europie, na nierówność sił morskich, wynikającą z postępów w technice budowy okrętów, na zaprowadzenie przez Anglię i Francję na morzu Śródziemnem pancerników, o których nikomu się jeszcze nie śniło w roku 1856, pod-

czas gdy Rosya na mocy konwencji morskiej z Turcyą, dołączonej do traktatu paryskiego, musiała zadawałniam się na morzu Czarnem utrzymywaniem sześciu parowców o linii kilowej 50 metrów długości i dwóch lekkich statków pojemności po 200 tonn każdy. Przytaczając fakt pogwałcenia traktatu paryskiego przez utworzenie z księstw naddunajskich niepodległego królestwa Rumunii, książę Gorczakow znajdował, że bezpieczeństwo Rosyi nie może zależeć nadal od fikcyi prawnej, która w dodatku nie wytrzymała próby czasu. Z drugiej zaś strony, z prawnego punktu widzenia Rosya również nie może zgodzić się na to, aby traktat, którego postanowienia w ważnych i zasadniczych kwestyach zostały niejednokrotnie pogwałcone, obowiązywał ją w dalszym ciągu w części, dotyczącej bezpośrednio jej najżywotniejszych interesów państwowych. Postanowienie cesarza Aleksandra II nie uważać się nadal za związane uchwałami traktatu paryskiego w sprawie neutralizacyi morza Czarnego, kanclerz rosyjski motywował jeszcze i tym względem, że poszanowanie przyjętych na siebie zobowiązań międzynarodowych nie może nigdy iść tak daleko, aby państwo ujrzało się w obliczu niebezpieczeństwa, zagrażającego wzrost jego istnieniu.

Nie ulega kwestyi, że z prawnego punktu widzenia teoria ks. Gorczakowa nie wytrzymuje poważnej krytyki. Z faktu pogwałcenia traktatu paryskiego przez inne mocarstwa, które go podpisały, a więc przedewszystkiem przez Prusy w r. 1866, wpływać mogło tylko żądanie rewizyi czy rozwiązania tej umowy w drodze nowego porozumienia się międzynarodowego, nigdy zaś jednostronne jej rozwiązanie przez Rosyę. Nie można też twierdzić, jak to czyni prof. Martens, urzędowy obrońca rosyjskiego ministerium spraw zagranicznych, że każdy traktat zawiera t. zw. *clausula rebus sic stantibus*, to znaczy, że mocarstwa podpisują go z tem zastrzeżeniem, iż umowa pozostanie w swej mocy tylko dopóty, dopóki nie zmienią się okoliczności, wśród których została zawartą. Zapewne, państwa zawierają umowy w pewnym celu politycznym, a w każdym zobowiązaniu, z wyjątkiem zobowiązań wekslowych, cel przeważać winien nad formą. Ale twierdzić, że każda ze stron umawiających się ma prawo *motu proprio* zrywać podpisaną przez siebie umowę, skoro jej wykonywanie stało się dla niej niewygodnem, znaczyłoby to samo, co twierdzić, iż umowa posiada wogóle moc obowiązującą tylko o tyle, o ile wykonywanie jej jest korzystnem dla strony, która ją zawarła. Rozwiązanie lub zmiana warunków umowy międzynarodowej powinny nastąpić w zasadzie nieinaczej, jak za zgodą stron, które ją podpi-

sały, lecz nie mogą być wynikiem jednostronnej woli lub kaprysu: bronić odmiennego punktu widzenia znaczy zaprzeczać istnienia prawa międzynarodowego.

Zupełnie zatem słusznie, odpowiadając w dniu 10 listopada na rosyjską notę październikową, zaznaczył lord Granville, że zapatrywanie się na istotę zobowiązań międzynarodowych winno być zupełnie niezależnem od kwestyi, czy żądania Rosyi są lub nie są uzasadnione. Ważną jest tylko odpowiedź na pytanie, w czyich rękach znajduje się władza rozwiązywania stron umawiających się od wykonywania przyjętych na siebie zobowiązań? Otóż zawsze uznanem było ogólne prawidło, iż prawo to należy do mocarstw, będących stronami w akcie, który ustanowił te zobowiązania. Przeciwny pogląd stawia autorytet i skuteczność traktatów w zależności od samowoli każdego państwa, które je podpisało, a skutkiem takiego poglądu byłoby zniesienie wszelkiej mocy zobowiązań międzynarodowych, podczas gdy jedynym celem traktatu jest właśnie związanie woli stron umawiających się.

Skutkiem protestu Anglii, Austrii i świeżo zjednoczonych Włoch (to ostatnie państwo było chyba najmniej uprawnione do założenia protestu, gdyż przed sześciu tygodniami zaledwie zajęciem Rzymu samo pogwałciło postanowienia traktatów w Villafrańca i Zurychu i tak zwanej konwencji wrześniowej 1864 r.) Rosya zgodziła się poddać sprawę zniesienia neutralizacyi morza Czarnego pod obrady konferencyi międzynarodowej, złożonej z przedstawicieli państw, które podpisały traktat paryski, z tem jednak zastrzeżeniem, że postanowienia konferencyi nie będą miały mocy wstecz obowiązującej, „*que déclaration n'aura pas d'effet rétroactif*,” jak w przeddzień pierwszego posiedzenia telegrafował do barona Brunnowa książę Gorczakow. Zgodzenie się gabinetu rosyjskiego na zwołanie konferencyi było właściwie ustępstwem czysto-formalnym, do którego zresztą kanclerz rosyjski był przygotowany przed rozpoczęciem stanowczej akcji, sama zaś konferencya w tej sprawie zasługiwała na nazwę „komedyi.” Rosya zrobiła swoje, oświadczyła, że umowa międzynarodowa w sprawie neutralizacyi morza Czarnego nie istnieje dla niej, zawiadomiła o swojej decyzyi rządy mocarstw, podpisanych na traktacie paryskim, nie prosząc nikogo o pomoc albo radę, lecz stwierdzając tylko fakt dokonany. Książę Gorczakow, dopiąwszy celu, jaki sobie był od początku założył, nie miał nic przeciw temu, aby usankcjonować fakt dokonany w drodze porozumienia się międzynarodowego. Wierząc niezachwianie, że całe zajście skończy się na wojnie papierowej—*„une guerre de plume,”* jak się

wyrażał — a ufny w pomoc Bismarcka, gotów był wprowadzić „otworzyć konwencji drzwi na rozcień, ale pod warunkiem, że Rosya wejdzie na nią, nie potrzebując schylać głowy.“

Otwarcie konferencji zostało nieco opóźnionem wskutek nieprzybycia na czas pełnomocnika rządu obrony narodowej: Jules Favre'owi nie śpieszno było opuszczać obleżony Paryż, pomimo, że rząd pruski gotów mu był wydać przepustkę, aż go wreszcie zastąpił ks. de Broglie. Na naradach przedwstępnych postanowiono załatwić się przedewszystkiem z oświadczeniem gabinetu petersburskiego o zniesieniu neutralizacji morza Czarnego, a że w stosunkach międzynarodowych jedynie skutecznym protestem jest protest, poparty siłą, do takiego zaś protestu żadne z państw nie było przygotowanem, przeto zgodzono się na „oddanie honorów dyplomatycznych zasadzie prawa międzynarodowego.“

Na pierwszym posiedzeniu konferencji pełnomocnicy wszystkich państw postanowili, nie przystępując do dyskusyi nad postanowieniem, powziętem przez cesarza Aleksandra II w sprawie zniesienia neutralizacji morza Czarnego, powziąć uchwałę, ustanawiającą na przyszłość zasadę, że zmiana postanowień, zawartych w traktatach międzynarodowych, może odbyć się nie inaczej, jak za wspólną zgodą państw, które je podpisały. Projekt takiej uchwały, zredagowany przez lorda Granville'a, a przyjęty przez barona Brunnowa, spotkał się z protestem ks. Gorczakowa, który proponował w nim rozmaite zmiany, wreszcie obawiając się, że cała sprawa pójdzie w odwłokę, kanclerz cofnął swoje zastrzeżenia, polecając jednocześnie ostrożnemu Brunnowowi spieszyć się, nie odwoływać się w szczegółach do Petersburga i podpisywać na własną odpowiedzialność, „car les hautes positions impliquent rigoureusement cette éventualité.“ W dniu 17 stycznia 1871 r. pełnomocnicy mocarstw podpisali protokół otwarcia konferencji, zredagowany w słowach następujących: „Uznajemy jako istotną zasadę prawa międzynarodowego, że żadne państwo nie może zwolnić się z zobowiązań traktatu, lub też zmienić jego postanowienia inaczej, jak za zgodą stron umawiających się w drodze przyjacielskiego porozumienia,“ poczem przystąpiono do rewizyi postanowień konwencji o cieśninach z r. 1841, dołączonej, jak wiadomo, do traktatu paryskiego, gdyż uznane już w zasadzie zniesienie neutralizacji morza Czarnego wywołało konieczność przejrzania przepisów, zamykających dla wojennych okrętów europejskich wejście do cieśniny Dardanelskiej i do Bosforu.

Pośpiech, z jakim postanowiono przejść do porządku dziennego nad samą sprawą zniesienia neutralizacyi morza Czarnego przez jednostronny akt Rosyi, tłumaczy się nietylko poparciem polityki gabinetu petersburskiego przez zwycięzkie i stojące u szczytu swojej potęgi Prusy, lecz i pragnieniem rządu angielskiego załatwienia kwestyi cieśnin przed zebraniem się izb. Stojące podówczas u steru rządów ministryum Gladstone'a nie cieszyło się wielką popularnością w kraju: opinia publiczna zarzucała mu zbyt daleko idący radykalizm w polityce wewnętrznej, a w polityce zagranicznej brak odwagi i stanowczości. Gladstone i jego koledzy rozumieli dobrze, że gabinet liberalny upadnie, jeśli przed otwarciem sesyi parlamentu nie wytarguje przynajmniej ustępstw w sprawie cieśnin wzamian za ustępstwa w sprawie neutralizacyi morza Czarnego. Ustępstwa te miały polegać na obmyśleniu dla Turcyi pewnych rękojmi bezpieczeństwa na zewnątrz, a więc pewnej kompensaty, pewnego ekwiwalentu dla zrównoważenia strat, jakie poniosła skutkiem otwarcia morza Czarnego dla rosyjskiej floty wojennej.

Żądać takiego ekwiwalentu miała niezaprzeczone prawo Turcyi, zainteresowana bezpośrednio w utrzymaniu pewnej równowagi sił na morzu Czarnem. Dla tego też sułtan Abdul-Azis na audyencyi, udzielonej posłowi rosyjskiemu, oświadczył wyraźnie hr. Ignatjewowi, że, mając nieograniczone zaufanie do pokojowej polityki gabinetu petersburskiego, musi się domagać pewnej kompensaty, skoro bowiem dotychczasowa neutralizacya morza Czarnego uważaną była słusznie jako rękojmia bezpieczeństwa Turcyi, to Wysoka Porta może zrzec się tych rękojmi tylko pod warunkiem otrzymania równomiernych gwarancyj bezpieczeństwa na wypadek zamieszek wewnętrznych.

Jeszcze przed zebraniem się konferencyi londyńskiej hr. Beust zaproponował zwołanie w Konstantynopolu narady z przedstawicieli mocarstw z wyjątkiem Rosyi i Prus, która miałyby zająć się obmyśleniem takiej kompensaty. Narada nie doszła do skutku głównie z powodu opozycyi Anglii, gdyż lord Granville wołał o pośpiech i bał się zwłoki: zdaje się jednak, że Austria w porozumieniu z Włochami miała zamiar zaproponować bądź otwarcie cieśnin dla okrętów wojennych wszystkich państw, bądź też urządzenie na morzu Czarnem stałej stacyi dla europejskich statków wojennych.

Oba te projekty nie mogły jednak liczyć na powodzenie. Urządzenie stacyi morskiej dla cudzoziemskich okrętów, bądź w Synopie, jakby pragnęła Anglia, bądź u ujścia Dunaju, jakby

chciała Austria, musiałoby pociągnąć za sobą konieczność ustanowienia pewnej kontroli państw europejskich nad zbrojeniem się Rosyi na morzu Czarnem, skoro liczba statków europejskich, stojących na kotwicy w Synopie lub u ujścia Dunaju, musiałaby ściśle odpowiadać liczebności rosyjskiej floty czarnomorskiej, a na tego rodzaju kontrolę nie zgodziłaby się Rosya. Projekt bezwarunkowego otwarcia cieśnin dla okrętów wojennych wszystkich państw, jak to jeszcze w r. 1854 na konferencji wiedeńskiej proponował sam książę Gorczakow, a na co w Londynie gotów był później zgodzić się baron Brunnow, wywołały stanowczy protest zarówno Turcyi jak i Anglii. Nie mówiąc już o tem, że sułtanowi byłoby bardzo nieprzyjemnie widzieć obce pancerniki, przechodzące po zamkniętem morzu tureckiem, tuż pod oknami własnego pałacu, Wysoka Porta wpadłaby w zupełną zależność od dwóch największych potęg morskich, to jest Anglii i Francyi; zresztą Anglia nie mogłaby nigdy spoglądać obojętnem okiem na rosyjskie okręty wojenne, stojące na kotwicy u Złotego Rogu, lub opływające t. zw. „język koci,“ czyli półwysep Gallipoli.

W każdym razie na drugim posiedzeniu konferencji londyńskiej w dniu 24 stycznia pełnomocnik turecki Mussurus-basza w odpowiedzi na przemówienie barona Brunnowa oświadczył, że Wysoka Porta, aczkolwiek zupełnie zadowolona z dotychczasowego stanu rzeczy, nie ma nic przeciw zniesieniu neutralizacyi morza Czarnego pod warunkiem jednak otrzymania „równorzędnych gwarancyj bezpieczeństwa państwa ottomańskiego.“

Gwarancye te—jak widać z pierwotnej instrukcyi pełnomocnika Wielkiej Porty — miały polegać na utrzymaniu „odwiecznej zasady państwa ottomańskiego,“ to jest zamknięciu w czasie pokoju cieśnin dla cudzoziemskich okrętów wojennych z nadaniem jednak sułtanowi prawa otwierania ich flotom „państw zaprzyjaźnionych i sprzymierzonych,“ (*puissances amies et aliées*) w razie niebezpieczeństwa, zagrażającego Turcyi. Tym sposobem Wysoka Porta mogłaby w razie potrzeby zwracać się o pomoc albo do któregośkolwiek z państw zachodnich, albo też do Rosyi. Tej ostatniej ewentualności nie chciał dopuścić lord Granville, który też zaproponował zmianę redakcyi w ten sposób, aby słowa „*puissances amies et aliées*“ zastąpić słowami „*puissances non-riveraines*,“ to jest „państwa nienadbrzeżne;“ właściwymi autorami tej redakcyi byli pełnomocnicy austriaccy, hr. Apponyi i hr. Szechen, którym w myśl instrukcyj, otrzymanych z Wiednia, chodziło o bezwarunkowe odsunięcie Rosyi od Bosforu i Dardanellów.

Poprawka lorda Granville'a mogła mieć podwójne znaczenie w zależności od tego, jak rozumieć słowo „państwo nienadbrzeżne.“ Jeżeli przymiotnik „nienadbrzeżny“ odnosi się do morza Czarnego, to Rosya byłaby z góry wyłączoną z liczby państw, do których Turcyja miała prawo zwracać się o pomoc, i taką była właśnie myśl lorda Granville'a. Gdyby jednak przymiotnik ten miał odnosić się do cieśnin, to jedynem państwem „nadbrzeżnem“ będzie Turcyja, posiadająca w swem ręku oba brzegi Bosforu i Dardanellów, i przy tej interpretacji Wysoka Porta mogłaby w razie potrzeby zwracać się o pomoc nietylko do państw zachodnich, ale i do Rosyi. Tak też w gruncie rzeczy redakcyę lorda Granville'a zrozumiał baron Brunnow, który, podejrzewając zresztą, dzięki wrodzonej ostrożności, zasadzkę na interesy polityki rosyjskiej w kwestyi wschodniej, odniósł się w tej sprawie do ks. Górczakowa. Kanclerz rosyjski również nie zauważył ukrytej myśli poprawki lorda Granville'a i ułożył tekst depeszy do barona Brunnowa, zakończonej słowami: „*signez sans référer.*“ Na marginesie depeszy cesarz Aleksander II dopisał własnoręcznie: „*cette dernière phrase doit être biffée,*“ pomimo to jednak ks. Górczakow ostatnich słów nie wykreślił, i baron Brunnow, otrzymawszy od kanclerza upoważnienie do podpisania poprawki, zawiadomił Granville'a, że zgadza się na jego redakcyę.

Niebawem jednak spostrzeżono się w Petersburgu, że proponowana przez lorda Granville'a redakcyja jest niczem innem, tylko bardzo sprytną pułapką, zastawioną na Rosyę. Ks. Górczakowski otworzył pod tym względem oczy telegram hr. Ignatjewa, posła rosyjskiego w Konstantynopolu, który zwrócił uwagę kanclerza, że przyjęta przez barona Brunnowa redakcyja „*paraît impliquer notre exclusion du Bosphore.*“ Klamka jednak już była zapadła: ratować sytuacyę można było tylko przez odwołanie barona Brunnowa z Londynu pod pozorem, że przekroczył swoje pełnomocnictwa, ale krok taki mógłby pociągnąć za sobą rozbitcie konferencyi, a zarazem odłożenie zatwierdzenia przez mocarstwa zniesienia neutralizacyi morza Czarnego, czego Rosya pragnęła uniknąć za wszelką cenę. Na szczęście jednak dla gabinetu petersburskiego na poprawkę Granville'a nie zgodził się pełnomocnik turecki Mussurus-basza ze względu na to, że sułtan, jako nieograniczony zwierzchnik obu cieśnin, nie może być ograniczony w prawie rozporządzania niemi podług własnego uznania: narzucanie mu przeto przyjaciół i sprzymierzeńców tylko z pomiędzy mocarstw zachodnich, z wyłączeniem innych państw, stanowiłoby bardzo dotkliwe ograniczenie jego praw, jako niezależnego i sa-

modzielnego panującego. Po długich i nużących pertraktacjach, prowadzonych w przeciągu dwóch miesięcy, zgodzono się wreszcie na przyjęcie poprawki, zaproponowanej przez włoskiego pełnomocnika hrabiego Barbolani; po podkreśleniu „odwiecznej zasady cesarstwa ottomańskiego,“ w myśl której Wysoka Porta zamyka cieśniny dla statków wojennych wszystkich państw, sułtan pozostawił sobie możność „otwierania cieśnin w czasie pokoju dla statków wojennych mocarstw zaprzyjaźnionych i sprzymierzonych w wypadkach, w których Wysoka Porta uznawałaby to za konieczne dla zapewnienia wykonania postanowień traktatu paryskiego 1856 r.“

Tym sposobem na mocy postanowień traktatu londyńskiego z dnia 13 marca 1871 roku kwestya cieśnin przedstawia się w nieco odmiennem świetle w porównaniu z uchwałami konwencji londyńskiej z dnia 13 lipca 1841 r. Konwencya londyńska ograniczyła dotkliwie prawa zwierzchnicze sułtana, zobowiązując go względem pięciu wielkich mocarstw do zachowywania „odwiecznej zasady cesarstwa ottomańskiego,“ to jest do niewpuszczania do Dardanellów i do Bosforu cudzoziemskich okrętów wojennych, co więcej, konwencya ta ustanowiła kontrolę pięciu wspomnianych państw nad wykonywaniem tego zobowiązania przez Wysoką Portę. W roku 1871 wskutek zniesienia zakazu utrzymywania floty wojennej na morzu Czarnem i fortyfikowania jego wybrzeży, narzuconego Rosyi na mocy traktatu paryskiego, a więc wskutek przywrócenia w drodze umowy międzynarodowej praw zwierzchniczych cesarza rosyjskiego w całym zakresie, Wysoka Porta zażądała odpowiedniej dla siebie kompensaty, to jest zniesienia dotychczasowych przepisów, ograniczających prawa zwierzchnicze sułtana względem Bosforu i Dardanellów. Koncert europejski, wychodząc z zasady zrównoważenia sił, przychylił się do słusznych i uprawnionych żądań Wysokiej Porty. Jeśli Rosya otrzymała prawo utrzymywania floty wojennej na morzu Czarnem i fortyfikowania linii nadbrzeżnej, a jeśli Turcya była zbyt słabą, aby uzbrojenia własne przeciwstawić uzbrojeniom Rosyi, nie pozostało nic innego mocarstwom, jak w interesie utrzymania równowagi politycznej pozwolić Wysokiej Porcie przywoływać w razie potrzeby mocarstwa zaprzyjaźnione i sprzymierzone i otwierać cieśniny ich okrętom wojennym. Traktat londyński 1871 roku zastąpił dawną umowę zbiorową pięciu mocarstw z Wysoką Portą poszczególnymi zobowiązaniami Wysokiej Porty względem sześciu wielkich mocarstw europejskich, to jest Anglii, Austrii, Niemiec, Francyi, Rosyi i świeżo zjednoczonych Włoch, które przyłączyły się

również do koncertu europejskiego w sprawie cieśnin. Traktat londyński przywrócił sułtanowi w całkowitym zakresie jego prawa zwierzchnicze, ograniczone w swoim czasie na mocy konwencji o cieśninach 1841 r., jako słuszną kompensatę za przywrócenie Rosyi jej praw zwierzchniczych względem morza Czarnego, ograniczonych w swoim czasie na mocy traktatu paryskiego, dlatego też zupełnie słusznie artykuł 63 traktatu berlińskiego 1878 r. zatwierdza w tej sprawie tylko postanowienia traktatu londyńskiego 1871 r. i unowey o cieśninach, dołączonej jako anneks. № 1 do traktatu paryskiego 1856 r., nie wspominając o konwencji 1841 r., a więc znosząc ją *eo ipso*.

Pisarze rosyjscy, broniący odmiennego poglądu, zmuszeni są jednak uznać, że sama Rosya niejednokrotnie dopuszczała się pogwałcenia zasady zamknięcia cieśnin dla okrętów wojennych, posyłając w ciągu wielu lat, chociaż pojedynczo i na mocy każdorazowego pozwolenia sułtana, swoje okręty wojenne z morza Bałtyckiego na morze Czarne i z powrotem, wbrew ogólnemu duchowi uchwał międzynarodowych, wiadomo zaś, że w prawie międzynarodowym tak zwane fakty dokonane posiadają znaczenie nie tylko precedensów, ale nawet do pewnego stopnia znaczenie tytułu prawnego. Zresztą, jak mieliśmy sposobność zaznaczyć na innem miejscu, gabinet petersburski nie zawsze interpretował konwencję o cieśninach 1841 r. w znaczeniu zobowiązania solidarnego, i dopiero w 1863 r. przyjął pogląd barona Brunnowa na treść i istotę zobowiązań, wypływających z umów międzynarodowych, do których przyłożyła rękę i Rosya.

IV.

Podług poglądu rosyjskiego ministryum spraw zagranicznych solidarny charakter tych zobowiązań w kwestyi cieśnin polega na tem, że żadnemu z państw, które podpisały traktaty 1856 i 1871 r., nie wolno, chociażby nawet z zezwolenia sułtana, wprowadzać swoich okrętów wojennych na wody cieśniny Dardanelskiej lub Bosforu bez uzyskania na taki krok zgody pozostałych mocarstw. Natomiast podług poglądu urzędu do spraw zagranicznych na Downingstreet w Londynie rzecz ma się wręcz przeciwnie: jedynym i wyłącznym stróżem cieśnin jest sam sułtan, który podług własnego uznania może pozwolić flocie każdego

z mocarstw europejskich przepłynąć cieśniny w tym czy owym kierunku, nie uprawniając żadnego z państw pozostałych do założenia protestu. Pogląd angielski podziela naturalnie Wysoka Porta, która, stojąc na gruncie nieograniczonych praw zwierzchniczych sułtana, nie zgadza się na poddanie tych praw pod zbiorową kontrolę mocarstw europejskich. Kwestya ta w dalszym ciągu pozostaje sporną, nie rozstrzygnął jej ani traktat londyński, ani traktat berliński, na którym różnice zdań w kwestyi cieśnin ujawniły się jaknajjaskrawiej. Należy dodać, że Anglia od samego początku zaprzeczała zobowiązaniom, wypływającym z umów międzynarodowych w kwestyi cieśnin, charakteru zobowiązania solidarnego. Wychodząc z tego punktu widzenia, w styczniu 1878 r., kiedy wojska rosyjskie podeszły pod Konstantynopol, dowódca eskadry angielskiej na morzu Śródziemnem, admirał Hornby, otrzymał rozkaz wpłynięcia do cieśnin i zatrzymania się w bliskości Konstantynopola pod pretekstem obrony ludności chrześcijańskiej od możliwej rzezi sfanatyzowanej tłuszczy; jakoż eskadra angielska przepłynęła Dardanelle i, wpłynawszy na morze Marmara, zarzuciła kotwicę u wysp Książęcych, a w kilka dni później stanęła w zatoce Mudżana w bliskości brzegu azyatyckiego. Ponieważ krok ten był uczyniony w porozumieniu z Wysoką Portą, przeto z anglo-tureckiego punktu widzenia nie stał bynajmniej w sprzeczności z postanowieniami traktatu paryskiego.

Rosya, dla której solidarna gwarancya międzynarodowa nie-tykalności cieśnin stanowiłaby pośrednie zabezpieczenie południowych wybrzeży państwa tudzież floty czarnomorskiej od ewentualnego napadu nieprzyjacielskiego na morzu Czarnem, usiłowała, bezowocnie zresztą, przeforsować swój pogląd na kongresie berlińskim. Na jednym z ostatnich jego posiedzeń książę Gorczakow, powołując się na rozkaz, otrzymany od cesarza Aleksandra II, wystąpił z propozycją obnyslenia gwarancyj, zapewniających wykonanie postanowień, powziętych za wspólnem porozumieniem się, a więc mogących stanowić rękojmię trwałego pokoju. Propozycja taka musiała brzmieć dość dziwnie w ustach męża stanu, który w pamiętnej nocy październikowej z przed ośmiu lat oświadczył, że w stosunkach międzynarodowych przyrzeczenie o tyle tylko posiada moc obowiązującą, o ile dotrzymanie jego przynosi korzyść przyrzekającemu. Ale też księciu Gorczakowowi nie chodziło bynajmniej o otrzymanie gwarancji prawdziwie trwałego pokoju. Jako wytrawny dyplomata, wiedział on dobrze, że jedyną formą gwarancji traktatu międzynarodowego może być tylko podpisanie go przez strony umawiające się *bona fide*, o ile są zde-

cydowane wykonać go w dobrej wierze, jeżeli zaś propozycję swoją sformułował tak obszernie, to tylko dla tego, aby ukryć w niej właściwy cel swego wniosku i skłonić kongres do uznania solidarnego charakteru zobowiązań, wypływających z umów międzynarodowych w kwestyi Dardanellów i Bosforu.

Zgodnie z procedurą, przyjętą na konferencyach międzynarodowych, wniosek księcia Gorczakowa został postawiony przez księcia Bismarcka na porządku dziennym przyszłego posiedzenia kongresu. Na posiedzeniu tem, w d. 10 lipca pełnomocnik turecki, Karatheodori-Basza, odpowiadając kanclerzowi rosyjskiemu, oświadczył w imieniu Wysokiej Porty, że uchwały kongresu będą przez nią wykonane w całej rozciągłości, co powinno stanowić zupełnie dostateczną gwarancję ich powagi i trwałości. Niektóre z tych uchwał będą wprowadzone w życie niezwłocznie po podpisaniu traktatu, co do innych będą ustanowione specjalne komisye ze ściśle określonymi atrybucyami. Na zapytanie księcia Bismarcka, w jakiej formie pragnęłaby Rosya uzyskać rękojmię wykonania postanowień kongresu, książę Gorczakow odrzekł, że jako najodpowiedniejszą formę uważałby uznanie zbiorowego charakteru zobowiązań, wypływających z przyszłego traktatu, którego artykuł 63 zatwierdza, jak wiadomo, postanowienia traktatu paryskiego i londyńskiego w kwestyi cieśnin. Książę Bismarck, nie jako przewodniczący kongresu, ale w charakterze przedstawiciela Niemiec, oświadczył na to, że osobiście nie wystawia sobie możliwości ustanowienia zbiorowej, solidarnej gwarancyi mocarstw, gdyż mogłoby to pociągnąć za sobą niepożądane skutki dla pokoju europejskiego. Na następne posiedzenie ks. Gorczakow przyszedł już z gotowym wnioskiem, który z poprawką hr. Andrassy'ego brzmiał następująco: „Wysokie strony umawiające się uważają wszystkie artykuły niniejszego traktatu, jako stanowiące całość zobowiązań, tudzież podejmują się kontroli nad nimi i czuwania nad ich wprowadzeniem w życie, kładąc nacisk na zupełne ich wykonywanie zgodnie z zamierzeniami.“ Wniosek ten jednak zarówno w pierwotnej swej formie, jak i z poprawką austryacką, nie został przez kongres przyjęty.

Chociaż po dyskusyi i głosowaniu w dniu 9 lipca nie mogło już podlegać żadnej wątpliwości, że interpretacya rosyjska umów międzynarodowych, dotyczących kwestyi cieśnin konstantynopoli-tańskich, stoi w rażącej sprzeczności z zapatrywaniem się większości członków kongresu, to jednak drugi pełnomocnik angielski, margrabia Salisbury, uznał za stosowne na posiedzeniu z d. 11 lip-

ca zadyktować do protokołu w imieniu rządu J. K. M. oświadczenie następujące:

„Zważywszy, że traktat berliński zmienił znaczną część porozumień się, usankcjonowanych przez traktat paryski 1856 r., i że interpretacya artykułu II traktatu londyńskiego może również podlegać sporom, oświadczam ze strony Anglii, że zobowiązania Jej Królewskiej Mości, dotyczące zamknięcia cieśnin, ograniczają się do zobowiązania względem sułtana w przedmiocie poszanowania w tym względzie samodzielnych postanowień Jego Cesarskiej Mości zgodnie z duchem istniejących traktatów.“

W odpowiedzi na to, drugi pełnomocnik rosyjski, hr. Szuwałow, zadyktował do protokołu następnego posiedzenia (12 lipca) w imieniu swojego rządu następującą odpowiedź Rosyi.

„Pełnomocnicy Rosyi, nie mogąc zdać sobie dokładnie sprawy z propozycyi drugiego pełnomocnika Wielkiej Brytanii w kwestyi zamknięcia cieśnin, ograniczają się do zażądania ze swej strony zamieszczenia w protokóle uwagi, że, ich zdaniem, zasada zamknięcia cieśnin jest zasadą europejską, i że umowy, zawarte w tym względzie w latach 1841, 1856 i 1871, zatwierdzone obecnie przez traktat berliński, posiadają moc, obowiązującą wszystkie mocarstwa stosownie do ducha i do litery istniejących traktatów, nietylko względem sułtana, lecz także i względem wszystkich państw, które podpisały te umowy.“

Tym sposobem kwestya sporna pozostała nierozstrzygniętą i każda ze stron pozostała przy swojej interpretacyi charakteru zobowiązań, wypływających z umów międzynarodowych w kwestyi cieśnin. Kiedy w 1885 r. wybuchł pamiętny zatarg anglo-rosyjski z powodu zdobycia Kuszki i zajęcia Merwu na pograniczu Afganistanu, margrabia Salisbury w izbie lordów złożył wyjaśnienie co do politycznego znaczenia swojej deklaracyi na kongresie berlińskim. „Deklaracya ta — oświadczył szlachetny lord podczas dyskusyi nad sporem anglo-rosyjskim — miała na widoku wypadek, w którymby sułtan, dzięki zbiegowi niepomyślnych dla nas okoliczności, działał nie samodzielnie, ale pod naciskiem wrogiego nam mocarstwa“ (oczywiście Rosyi); w tym wypadku rząd angielski, nie uznając się za związanego umową o cieśninach, nie zawahałby się wysłać swoje okręty na wody konstantynopolitańskie. W dziesięć lat później na dorocznym bankiecie w Guildhall

lord Salisbury uzupełnił swój pogląd w kwestyi cieśnin w ten sposób, że właściwem zadaniem Anglii powinno być utrzymanie dotychczasowego *status quo* w Turcyi, gdyż w interesie pokoju europejskiego leży, aby Bosfor i Dardanelle pozostawały wyłącznie w ręku tureckiem.

W listopadzie 1877 r., kiedy losy kampanii tureckiej zaczęły przechylać się wyraźnie na stronę Rosyi, były poseł rosyjski w Konstantynopolu Nelidow przedstawił ks. Gorczakowowi memoriał w sprawie warunków przyszłego pokoju; w memoryale tym, wskazując na niedogodność dotychczasowego stanu rzeczy na wodach Bosforu dla polityki rosyjskiej, Nelidow proponował wymówienie na przyszłość dla rosyjskich okrętów wojennych prawa przechodzenia cieśnin zarówno w jednym jak i drugim kierunku. Odpowiedni artykuł zamierzał Nelidow zreagować w sposób następujący: „cieśniny mają pozostać zamknięte dla cudzoziemskich okrętów wojennych: mocarstwa pobrzeżne morza Czarnego (*les puissances riveraines de la mer Noire*) mają jednak prawo żądać od sułtana firmanów na przepuszczanie swoich okrętów wojennych pojedynczo i w pewnych odstępach czasu.“ Kiedy po wzięciu Plewny lord Derby zaproponował pośrednictwo Anglii przy zawarciu pokoju, książę Gorczakow przesłał posłowi rosyjskiemu w Londynie hr. Szuwałowowi ewentualne jego warunki: jednym z tych warunków miało być zagwarantowane dla rosyjskich okrętów wojennych prawo przechodzenia cieśnin w myśl memoriału Nelidowa. Pośrednictwo Anglii nie doszło do skutku: Wysoka Porta zwróciła się niebawem wprost do Rosyi, a w trakcie narad przed podpisaniem preliminarza pokoju w Adrianopolu ks. Gorczakow postawił warunek zawarcia z Rosyą specjalnej umowy co do cieśnin; co więcej warunek ten znalazł się w samych punktacyach adryanopolskich z d. 31 stycznia 1878 r., chociaż w przeddzień ich podpisania kanclerz rosyjski pod naciskiem Anglii złożył oświadczenie, iż „kwestya cieśnin jest kwestyą europejską, która może być załatwiona nieinaczej, jak za wspólnem porozumieniem się mocarstw europejskich.“ Wskutek stanowczej opozycji gabinetu londyńskiego przeciw usiłowaniu Rosyi porozumienia się w tej sprawie bezpośrednio z sułtanem, artykuł 24 traktatu pokojowego w San-Stefano z d. 23 marca 1878 r. zawiera tylko postanowienie, zapewniające wolną żeglugę statków handlowych na Bosforze i Dardanellach; artykuł ten, jak wiadomo, został wykreślony na kongresie berlińskim, jako zupełnie zbyteczny, skoro wszystkie mocarstwa wypowiedziały się w kwestyi cieśnin za utrzymaniem dotychczasowego stanu rzeczy.

Po nieudanej próbie jednostronnego zerwania zobowiązań międzynarodowych w sprawie cieśnin przy zawarciu pokoju w roku 1878, książę Gorczakow, jak wiemy, stał się na kongresie berlińskim gorliwym obrońcą solidarnego charakteru tych zobowiązań, ale kongres i w tym wypadku pokrzyżował jego plany i nadzieje: kwestya cieśnin została utrzymana *in statu quo ante*. Po kongresie berlińskim pogodzono się w Rosyi z istniejącym stanem rzeczy, rz. t. r. Giers nie poruszał kwestyi cieśnin, zadawałnając się platonicznem oświadczeniem swego poprzednika, złożonem na posiedzeniu 12 lipca 1878 r. Natomiast od czasu objęcia ministeryum spraw zagranicznych przez księcia Łobanowa-Rostowskiego w polityce rosyjskiej względem cieśnin daje się spostrzedz zupełna rozbieżność teoryi z praktyką. W teoryi, w komunikatach półurzędowych, w oświadczeniach dyplomatów, w publikacjach, inspirowanych przez ministeryum spraw zagranicznych Rosya w dalszym ciągu stoi na gruncie teoryi barona Brunnowa, uświęconej deklaracją ks. Gorczakowa z r. 1878 o solidarnym charakterze zobowiązań, wypływających z umów międzynarodowych w kwestyi cieśnin. Natomiast w praktyce polityka rosyjska usiłuje tworzyć fakty dokonane, albo przynajmniej przyczyniać się do ich tworzenia, stara się mnożyć wypadki, zmuszające Wysoką Portę do otwierania swoich cieśnin dla cudzoziemskich statków wojennych. Tak np. w 1895 r. z powodu rzezi ormiańskiej w Konstantynopolu irade sułtańskie wprowadziło na wody Bosforu nowe krążowniki stacyjne, oddane do rozporządzenia poselstw sześciu wielkich państw, po jednym na każde mocarstwo (przyczem tylko Niemcy nie skorzystały z tego przywileju). W 1899 roku świeżo zbudowany w Newcastle-on-Tyne krążownik rumuński „*Elisabetha*“ otrzymał pozwolenie wpłynięcia na morze Czarne, w tym samym roku zbrojna siła rosyjska pod dowództwem admirała Skrydłowa przepłynęła cieśniny w celu czasowej okupacyi międzynarodowej Krety. W rok później, świeżo wyszła z francuskich doków okrętowych kanonierka bułgarska „*Nadieżda*“ dzięki poparciu Rosyi dostała się na morze Czarne, udając się do Burgas dla utworzenia zawiązku przyszłej floty tego państwa, pomimo energicznego protestu Wysokiej Porty, wreszcie Rosya uzyskała prawo wstępu do cieśnin dla statków swojej t. zw. „floty dobrowolnej“, która, będąc flotą handlową podczas pokoju, lecz pozostając pod dowództwem oficerów rosyjskich w służbie czynnej, i odpowiednio uzbrojona, może być zamienioną w razie wojny na flotę wojenną. W sierpniu 1902 r. cztery kontrtorpedowce rosyjskie, wchodzące w skład floty bałtyckiej, otrzymały od Wy-

sokiej Porty prawo przepłynięcia przez cieśniny, z uwagi, „że życzeniem Najjaśniejszego Pana było, aby te okręty wzięły udział w projektowanej rewii eskadry czarnomorskiej,“ a nacisk, jaki pod tym względem wywarła na Wysoką Portę dyplomacya rosyjska w Konstantynopolu, świadczy wyraźnie, jaką wagę przywiązywano w Rosyi do stworzenia tego właśnie faktu dokonanego.

Podczas wojny japońsko-rosyjskiej prowadzone były pertraktacye w celu uzyskania dla eskadry czarnomorskiej prawa udania się na teatr wojny przez Bosfor i Dardanelle: pertraktacye te nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem, skoro eskadra czarnomorska pozostała na miejscu, a na Daleki Wschód popłynęła eskadra bałtycka, zdążając do Cuszyny przez znane zejście pod *Dogger-banks* na brzegach angielskich. Natomiast kilka statków „floty dobrowolnej“ („*Petersburg*“ i „*Smoleńsk*“), przepłynąwszy cieśniny, udało się na wody morza Czerwonego, na ocean Indyjski, gdzie zatrzymały bezprawnie kupiecki statek handlowy („*Knight Commander*“), płynący pod flagą angielską. Wskutek protestu gabinetu londyńskiego, Wysoka Porta zażądała od Rosyi, aby statki, należące do „floty dobrowolnej,“ a przechodzące cieśniny pod flagą kupiecką, wywieszały banderę wojenną dopiero po wypłynięciu z neutralnego portu. W kilka miesięcy później Rosya zażądała w Konstantynopolu przepustki dla siedmiu statków „floty dobrowolnej,“ naładowanych węglem, a udających się na Daleki Wschód: Wysoka Porta zażądała wzamian piśmiennego zobowiązania, że statki te po przejściu cieśnin nie wywieszą flagi wojennej. Tymczasem eskadra angielska, krążąca przy wyspie Lemnos w bezpośrednim sąsiedztwie Dardanellów, otrzymała rozkaz sprzeciwienia się siłą wypłynięciu statków rosyjskich na wody Archipelagu: po dłuższych pertraktacyach zgodzono się wreszcie na przepuszczenie rosyjskich węglowców przez cieśniny, ale pojedynczo i w pewnych odstępach czasu, t. j. w porządku, ustanowionym dla przechodzenia statków wojennych przez kanał Suezki w czasie wojny na mocy traktatu międzynarodowego z d. 29 października 1888 r., a proponowanym w swoim czasie względem Bosforu i Dardanellów zarówno przez memoriał Nelidowa, jak i w pokojowych punktacyach adryanopolskich z dnia 31 stycznia 1878 roku.

Przechodząc do rozpatrzenia z prawnego punktu widzenia istoty zobowiązań, wypływających z postanowień traktatów paryskiego 1856 r. i londyńskiego 1871 r., zatwierdzonych przez traktat berliński 1878 r., musimy zaznaczyć, że chociaż w myśl ogólnej zasady i wobec braku trybunałów międzynarodowych przy in-

terpretacyi umów międzynarodowych każda ze stron umawiających się jest sędzią we własnej sprawie, to jednak interpretacya taka w dziedzinie stosunków pomiędzy narodami cywilizowanymi opierać się winna na ogólnych zasadach teoryi prawa *in abstracto* i z zasadami temi nie może stać w sprzeczności. Otóż ogólną zasadą teoryi zobowiązań jest bezwzględne prawidło, że solidarny charakter zobowiązania musi wypływać bądź z brzmienia przepisów prawa, bądź z umowy stron umawiających się, i nigdy domniemywać się nie może. Tymczasem w żadnej z umów międzynarodowych w kwestyi cieśnin niema wzmianki o solidarności zobowiązań, wypływających z tych traktatów i konwencyj, co więcej, pertraktacye i narady, jakie poprzedzały zawarcie tych umów, nie upoważniają również do wniosku, że zamiarem stron umawiających się było związać się zobowiązaniem solidarnem. Treść konwencyi 1841 r. była od samego początku interpretowaną przez Anglię w znaczeniu pięciu oddzielnych zobowiązań poszczególnych mocarstw względem Wysokiej Porty i takich samych oddzielnych zobowiązań Wysokiej Porty względem pięciu poszczególnych mocarstw; interpretacya rosyjska, datująca dopiero od roku 1863, zatem nazajutrz po pogromie krymskim i zawarciu upokarzającego traktatu paryskiego, stanowi najlepszy dowód, że słabi ukrywają się zazwyczaj chętnie poza postanowieniami umów zbiorowych. Kiedy w roku 1871 wzmocniona Rosya oświadczyła Europie, że przestaje uważać się za związaną postanowieniami traktatu paryskiego, krępującemi jej samodzielność, Turcyca zażądała obmyślenia odpowiedniej kompensaty dla siebie wzamian za przywrócenie potęgi Rosyi na morzu Czarnem: taką kompensatą mogło być uniezależnienie Wysokiej Porty od zgody wszystkich mocarstw w drażliwej kwestyi cieśnin. Przebieg obrad na konferencyi londyńskiej wskazuje wyraźnie, że przewodnią myślą stron umawiających się było właśnie stworzenie zwykłego zobowiązania sułtana względem mocarstw i mocarstw względem sułtana. Interpretacya rosyjska konwencyi 1841 r. była już podówczas znaną zarówno na Zachodzie, jak i w Konstantynopolu; w interesie Wysokiej Porty i wielkich mocarstw musiało więc leżeć wyjaśnienie rzeczywistego charakteru ich wzajemnego stosunku prawnego. Z tego więc względu artykuł 2 traktatu londyńskiego, utrzymując zasadę zamknięcia cieśnin, jako odwieczne prawo cesarstwa ottomańskiego, zezwala jednocześnie sułtanowi otwierać je statkom wojennym państw przyjaźnionych i sprzymierzonych w razie niebezpieczeństwa, grożącego Turcyi, immemio słowy, stawia tę kwestyę w zależności od

porozumienia się Wysokiej Porty z rządem tego mocarstwa, którego statkom ma zamiar otworzyć wstęp do Dardanellów czy Bosforu.

Zwolennicy solidarności powołują się na artykuł VII traktatu paryskiego, na mocy którego mocarstwa, zobowiązując się, każde za siebie, do przestrzegania zasady nietykalności i całości terytorium państwa otomańskiego, zagwarantowały wspólnie ścisłe wykonywanie tego zobowiązania (*garantissent en commun la stricte observation de cet engagement*). A że na mocy konwencji o cieśninach 1871 r. sułtan zastrzegł sobie prawo otwierania wstępu do Dardanellów i do Bosforu okrętom wojennym państw przyjaźnionych w wypadkach, gdy uzna to za konieczne dla zapewnienia wykonania postanowień traktatu paryskiego, przeto wypadki te należy rozumieć w znaczeniu artykułu VII tego traktatu, to jest tylko wtedy, kiedy całość i nietykalność Turcyi zostałaaby zagrożona przez którekolwiek bądź z mocarstw, podpisanych na traktacie 1856 r.

Argumentacya taka nie wytrzymuje jednak poważnej krytyki. Traktat paryski nie poręczył bynajmniej całości i nietykalności Turcyi; unowę, gwarantującą całość i nietykalność cesarstwa otomańskiego podpisały tylko Austria, Anglia i Francya, i to w dodatku dopiero w dniu 15 kwietnia 1856 r., a więc w dwa tygodnie po podpisaniu traktatu paryskiego. Traktat paryski zawiera tylko wspólne oświadczenie wszystkich mocarstw, że każde z nich ma zamiar uszanować całość i nietykalność Turcyi. Fakt usankcyonowania przez kongres berliński w sprawie cieśnin stanu rzeczy, istniejącego od roku 1856, również nie może być miarodajnym w danym wypadku, najpierw bowiem art. 63 traktatu berlińskiego usankcyonował nietylko postanowienia traktatu paryskiego, ale i uchwały traktatu londyńskiego, pod wielu względami od poprzednich odmienne, powtórę zaś, jak się o tem z protokółów kongresu przekonać możemy, Anglia zgodziła się na odnowienie swoich zobowiązań w kwestyi Dardanellów i Bosforu tylko dla tego, że Batum uznany został jako port wolny, co dowodzi, że w przeciwnym razie zdecydowaną była te zobowiązania swoje wypowiedzieć jednostronnie. Zadowolenie, z jakim książe Bismarck stwierdził jednomyślne zdanie mocarstw w sprawie cieśnin, jest najlepszym dowodem, jak niebezpiecznem było poruszanie tej kwestyi na kongresie berlińskim, a jeśli w samym tekście traktatu berlińskiego nie znajdujemy wyraźnej odpowiedzi na interesujące nas pytania, to nie należy zapominać, że dyplomaci mają zwyczaj redagować swoje postanowienia w sprawach dra-

zliwych w języku, który, nie przestając być wytwornym co do formy, staje się tembardziej niezrozumiałym co do treści, im drażliwszą jest kwestya, o którą chodzi.

O kwestyi Bosforu i Dardanellów, jak wogóle o całej kwestyi wschodniej, można powiedzieć, że istotę jej stanowi odwieczny spór pomiędzy Rosyą i Turcyą, poza którą stanęła Europa. Tem właśnie tłumaczy się jej charakter międzynarodowy, pozostający w rażącej sprzeczności z faktem, że obie cieśniny stanowią wewnętrzne wody tureckie, a jako takie podlegać winny wyłącznej władzy Wysokiej Porty z absolutnem wyłączeniem wszelkiego udziału obcych mocarstw. Należy bowiem pamiętać, że oba wybrzeża należą do Turcyi, że szerokość tych cieśnin nie przenosi sześciu mil morskich i że wody Bosforu i Dardanellów znajdują się pod osłoną armat tureckich. Są to więc wody zamknięte, nad którymi, w myśl ogólnej zasady, panować powinna Turcyja, podobnie jak Rosya panuje niepodzielnie nad morzem Azowskiem. Dla tego też wszystkie umowy międzynarodowe, poczynawszy od układu anglo-tureckiego z roku 1809, podkreślają wyraźnie „odwieczną zasadę cesarstwa ottomańskiego,“ polegającą na bezwzględnem zamknięciu cieśnin dla obcych statków wojennych i na uznaniu tej odwiecznej zasady starają się oprzeć system ograniczeń międzynarodowych w sprawie cieśnin.

Z drugiej strony nie trzeba jednak zapominać, że Bosfor i Dardanelle stanowią klucz do dwóch wielkich mórz, morza Śródziemnego i morza Czarnego, a na tych morzach ścierają się sprzeczne interesy największych potęg morskich starego świata. Niezbędnem jest przeto w interesie pokoju i równowagi politycznej pewne porozumienie się pomiędzy zainteresowanemi mocarstwami. Najprostszem i jednocześnie najśluszniejszem z teoretycznego punktu widzenia byłoby niewątpliwie zastosowanie do Bosforu i Dardanellów przepisów ogólnego prawa, to jest bezwzględne otwarcie tych cieśnin dla wojennych okrętów wszelkich narodowości, tak jak pokój adryanopolski otworzył je dla żeglugi handlowej. Wystarczy powołać się w danym wypadku na analogiczne położenie geograficzne obu Beltów, stanowiących wraz z Zundem klucze do morza niemieckiego i do Bałtyku, a jednakże otwartych dla statków kupieckich i dla okrętów wojennych. Faktycznie jednak powyższe rozwiązanie kwestyi cieśnin konstantynopolitańskich pociągnęłoby za sobą poważne niebezpieczeństwo dla pokoju europejskiego.

Niebezpieczeństwo takie grozi przedewszystkiem ze względu na słabość Turcyi, która nie byłaby w stanie własnymi siłami

bronie skutecznie zasady bezwzględnej swobody żeglugi na wodach Bosforu i Dardanellów. Stwierdziły to najzupełniej badania generała Brialmonta, jednej z najgruntowniejszych powag w dziedzinie strategii i fortyfikacji, któremu Belgia zawdzięcza swój system obrony państwowej przez utworzenie linii obronnej w dolinie rzeki Mozelli. Na wezwanie sułtana Abdul-Hamida generał Brialmont osobiście badał szczegółowo kwestyę ufortyfikowania cieśnin i doszedł do przekonania, że „gdyby stolica cesarstwa ottomańskiego mogła skutecznie oprzeć się nieprzyjacielowi zarówno ze strony lądu, jak i ze strony morza, dzisiejsze stałe niebezpieczeństwo konfliktu międzynarodowego zniknęłoby samo przez się.“¹⁾ Tak jednak nie jest; fortyfikacye Bosforu i Dardanellów znajdują się dziś niemal w tym samym stanie, w jakim je zastała w r. 1807 eskadra angielska admirała Duckwortha, która bez najmniejszego oporu sforsowała cieśniny i ustąpiła tylko przed ogniem eskadry francuskiej, przywołanej na pomoc przez generała Sebastianiego. Odpowiednie ufortyfikowanie cieśnin pociągnęłoby za sobą już nie milionowe, ale wprost miliardowe wydatki. Należałoby bowiem nie tylko ufortyfikować najwęższe miejsca obu cieśnin, a więc Kilid-Bar i Czanak-Kalessi w Dardanellach i Anatoli-Kazak na Bosforze, nie tylko wzmocnić istniejące fortyfikacye w Seddul-Baz i Kuzu-Kale, lecz przedewszystkiem wznieść pomiędzy nimi w morzu, głębokiem w tem miejscu na 60 — 70 metrów, na sztucznych fundamentach fort, długości do 3500 metrów, którego zbudowanie pociągnęłoby za sobą wydatki, niedające się obliczyć. Wydatki te pozostałyby pomimo wszystkiego bezcelowymi, skoro wobec braku kolei żelaznych w Azji Mniejszej, Syrii i Arabii zmobilizowanie armii tureckiej we właściwym czasie jest rzeczą niemożliwą. Dlatego też zniesienie gwarancyj międzynarodowych w sprawie cieśnin wydałoby Turcyę na pastwę sąsiadów, jako łup łatwy do zdobycia, podczas gdy dziś cesarstwo ottomańskie, nawet gdyby Egipt wyszedł zupełnie z pod jego władzy, może, posiadając w swoim ręku kanał Suezki, główną arteryę handlu międzynarodowego z Dalekim Wschodem, a także Palestynę, Syryę i Arabię, wywierać skuteczny wpływ na ukształtowanie się stosunków na morzu Śródziemnem, na morzu Czerwonem i w zatoce Perskiej i tym sposobem okazywać przeciwwagę pokojowemu pochodowi na Wschód Niemiec, Rosyi lub Austrii w celu zdobycia rynków miejscowych.

¹⁾ Brialmont. *La défense des côtes et des têtes de pont permanentes 1896*, str. 149 — 153.

Z drugiej strony utrzymanie dzisiejszego stanu rzeczy bez zmian zasadniczych staje się coraz trudniejszym, a ogłoszenie niezależności Bułgarii nie pozostanie bez wpływu na nowe ukształtowanie się stosunków w sprawie cieśnin konstantynopolińskich. Już ukazanie się na morzu Czarnem przed kilkunastu laty związku przyszej wojennej floty rumuńskiej było zwiastunem niezbędnej rewizji postanowień traktatu londyńskiego 1871 roku. Z ogłoszeniem niepodległości Bułgarii wrodzone każdemu państwu prawo do istnienia zatryumfowało nad względami polityki, wyłączającej na kongresie berlińskim możliwość rozwinięcia na morzu Czarnem wojennej flagi bułgarskiej. Chociaż Rumunia posiada tylko jeden krążownik opancerzony, siedem kanonierek, sześć statków do obrony brzegów i kilka torpedowców, a Bułgaria zdobyła się dotychczas zaledwie na jedną zbudowaną we Francji łódkę kanonierską, „Nadzieję,“ której wypłynięcie do cieśnin bez pozwolenia sułtana narobiło w swoim czasie dużo wrzawy w świecie dyplomatycznym, nie zmienia to jednak bynajmniej postaci rzeczy z prawnego punktu widzenia. Zarówno Rumunia jak i Bułgaria posiadają dostęp do jednego tylko morza Czarnego, i uniemożliwienie tym państwom zaprowadzenia floty wojennej dla obrony swoich wybrzeży byłoby równie niesłusznem, jak i niepolitycznem. Dość wspomnieć panikę, jaką wywołało w Europie zbuntowanie się w lipcu 1905 r. pancernika „Książ Potiemkin,“ który przez dłuższy czas krążył po morzu Czarnem pod czerwoną flagą rewolucyjną, zagrażając nietylko wybrzeżom rosyjskim, ale także Rumunii i Bułgarii, aby zrozumieć, że państwa te mają niewątpliwe prawo w celu obrony swej niezależności politycznej do utrzymywania floty na morzu Czarnem, a co za tem idzie do przeprowadzania swoich okrętów wojennych przez cieśniny. W wiekowym sporze rosyjsko-tureckim wypadnie liczyć się z nowym czynnikiem, z prawami osób trzecich, co niewątpliwie wpłynąć musi z czasem na zasadniczą zmianę dzisiejszych stosunków, skoro okręty tych dwóch państw już uzyskały w kilku wypadkach prawo przechodzenia cieśnin pod flagą wojenną.

Słaba Turcja nie może bronić skutecznie swobody żeglugi w cieśninach, dlatego też bezwzględne otwarcie Bosforu i Dardanelłów na wzór cieśnin duńskich musi być w dzisiejszych warunkach wyłączonem z szeregu ewentualnych sposobów rozwiązania tej skomplikowanej kwestyi międzynarodowej. Jakiegokolwiek będą losy konstytucjonalizmu tureckiego, który, nawiasem mówiąc, wydaje nam się już dziś poważnie zagrożonem wobec tworzenia się w parlamencie tureckim bloku chrześcijańsko-arabskiego, skie-

rowanego wyraźnie przeciw dotychczasowej przewadze żywiołu tureckiego w cesarstwie otomańskim, dużo jeszcze czasu upłynąć musi, zanim Turcyja będzie w stanie zorganizować odpowiednio swoją obronę państwową. W dzisiejszych warunkach, w razie braku gwarancyj międzynarodowych w kwestyi Bosforu i Dardanellów Wysoka Porta musiałaby wcześniej czy później ulegz przeważającemu wpływowi któregokolwiek z wielkich mocarstw, co musiałoby pociągnąć za sobą poważne niebezpieczeństwo dla równowagi politycznej i pokoju europejskiego. Z drugiej strony, ze względu na zmienione okoliczności, dzisiejszy stan rzeczy również nie może być uważany jako zadawalniający. Umowy międzynarodowe w sprawie cieśnin wychodzą z założenia, że mocarstwa europejskie uznają „odwieczną zasadę cesarstwa otomańskiego.“ Ale o zamknięciu dostępu do morza Czarnego można by mówić tylko wówczas, gdyby jego wybrzeża należały w rzeczywistości tylko do jednego państwa. Tak jednak już nie jest od r. 1774, a w ostatnich latach dotychczasowa sytuacja zmieniła się zasadniczo. Dziś Austria i państwa bałkańskie, leżące na wybrzeżach morza Czarnego, mają bezwarunkowo prawo żądać, aby zarówno wejście do tego morza jak i wyjście z niego były otwarte nie tylko w czasie pokoju, lecz nawet i w czasie wojny, nie mówiąc już o tem, że takie same prawo przysługuje i Rosyi od czasu, kiedy, zrzuciwszy upokarzające więzy traktatu paryskiego, przywróciła flotę wojenną na morzu Czarnem.

Należy wreszcie zaznaczyć, że postępy techniki w wojnie morskiej zmieniają dziś zasadniczo warunki, przewidziane przez obowiązujące umowy międzynarodowe w kwestyi Bosforu i Dardanellów. W myśl przepisów, ustanowionych na kongresie paryskim dla skuteczności blokady portów i wybrzeży nieprzyjacielskich koniecznem jest rzeczywista ich obserwacja przez okręty wojenne przeciwnika, ale, o ile kwestya używania min podwodnych nie zostanie ostatecznie rozwiązana w drodze porozumienia się międzynarodowego ¹⁾, wybrzeża morza Czarnego i jego porty mogą być blokowane skutecznie przez zasianie cieśnin konstantynopolitańskich minami stałemi i pływającemi co uniemożliwi wszelką cyrkulację okrętów handlowych i wstrzyma odrazu cały handel morski państw neutralnych. Łatwo wystawić

¹⁾ Na konferencyi pokojowej w Hadze 1907 r. sprawa ta, jak wiadomo, nie została zdecydowaną, głównie z powodu opozycyi Niemiec. Zob. urzędową niemiecką „Białą księgę“ (*Weiss buch über die Ergebnisse der zweiten internationalen Friedenskonferenz 1907*).

sobie, jak poważne skutki z międzynarodowego punktu widzenia pociągnąć mogą przy dzisiejszej pojemności okrętów handlowych i wysokiej wartości ich ładunku wypadki wysadzenia w powietrze neutralnych statków na pełnym morzu, i jak niezbędnem staje się obmyślenie bezpieczeństwa ruchu handlowego w komunikacji morza Śródziemnego z morzem Czarnem wobec możliwości ewentualnych komplikacyj wojennych na Wschodzie.

Pożądanem byłoby przeto, skoro kwestya cieśnin na przyszłej konferencji niewątpliwie poruszoną będzie, aby dzisiejsze prezarzałe postanowienia międzynarodowe w sprawie Bosforu i Dardanellów zastąpione zostały ustawodawstwem, mającem na celu skuteczne zabezpieczenie kulturalnych i ekonomicznych interesów narodów cywilizowanych. Gotowy wzór takiego ustawodawstwa znajdujemy w konwencji międzynarodowej 29 października 1888 r., dotyczącej praw i obowiązków mocarstw europejskich względem kanału Suezkiego zarówno podczas pokoju jak i w czasie wojny. Już w pierwszej koncesyi, wydanej przez kedywa Egiptu Ferdynandowi Lessepsowi, wskazanem zostało, że kanał ten ma służyć rzeczywistym potrzebom wszystkich narodów cywilizowanych, i tym sposobem sam rząd egipski zrzekł się przysługującego mu niewątpliwie prawa wyłącznej eksploatacyi tej arteryi komunikacyjnej. Instytut prawa międzynarodowego na zjeździe brukselskim w r. 1879 wskazał ogólne zasady prawa międzynarodowego, które należałoby zastosować względem kanału Suezkiego, a gabinet londyński notą okólną z dnia 4 stycznia 1883 r. wezwał wszystkie państwa do wypowiedzenia się w tej kwestyi. Rezultat pertraktacyi, ujęty w formę konwencji 1888 r., przedstawia się w ogólnych zarysach w sposób następujący. Kanał Suezki ma być otwarty dla żeglugi międzynarodowej zarówno w czasie pokoju jak i podczas wojny; w razie wybuchu wojny okręty wojenne państw, prowadzących wojnę, obowiązane są opuścić wody kanału w przeciągu pewnego ściśle określonego terminu. Zarówno na wodach kanału jak i w ich bezpośrednim sąsiedztwie nie mogą być rozpoczynane kroki wojenne, chociażby jedną ze stron wojujących była Turcyja. Wzdłuż kanału i przy wejściach do niego zakazaniem jest wznoszenie fortów i prowadzenie robót fortyfikacyjnych, blokada kanału Suezkiego jest absolutnie wyłączoną. Okręty wojenne mocarstw, prowadzących wojnę, mogą wprawdzie przepływać kanał w obu kierunkach, nieinaczej jednak jak pojedynczo, i z takim wyliczeniem, aby pomiędzy wpłynięciem i wypłynięciem dwóch nieprzyjacielskich okrętów przeszło conajmniej 24 godziny. Dzięki powyższym przepisom, rosyjska eskadra bałtycka, pozosta-

jąca pod rozkazami admirała Rożestwieńskiego, musiała podczas ostatniej wojny japońskiej wybrać dłuższą drogę około przylądka Dobrej Nadziei, ponieważ przepuszczenie jej przez kanał Suezki zabrałoby zbyt dużo czasu.

Wobec dzisiejszego rozwoju stosunków handlowych, przy wzmóżonej wymianie międzynarodowych świadczeń obecnej doby, główne arterye komunikacyjne przedstawiają zbyt wielkie znaczenie zarówno ekonomiczne jak i kulturalne, aby wolno było w interesie pokojowego postępu ludzkości ograniczać możność korzystania z dróg wodnych względami zazdrośnych rywalizacji politycznych. Zasadę tę uznała już Europa względem kanału Suezkiego, i byłoby ze wszech miar słusznem, aby zdecydowano się nareszcie zastosować ją także do cieśnin, łączących morze Śródziemne z morzem Czarnem. Zapewne, ze stanowiska handlu międzynarodowego Bosfor i Dardanelle nie mogą równać się z kanałem Suezkim, tą najbliższą drogą wodną pomiędzy portami Europy i rynkami Dalekiego Wschodu. Nie należy jednak zapominać, że pomimo rozwoju żeglugi na morzu Indyjskiem handel angielski z północną Persją odbywa się przez Synopę i Batum, a z rozwojem ekonomicznym Azji Mniejszej, któremu dotychczas stoi na przeszkodzie konwencya turecko-rosyjska 1899 r., zawierająca zakaz budowania kolei żelaznych w pogranicznych z Rosją wilażetach, wzmoże się na morzu Czarnem żegluga międzynarodowa, i rozwinie się dziś prawie zupełnie nieistniejący kabotaż turecki. Traktat adryanopolski poręczył wprowadzić swobodę żeglugi na morzu Czarnem, ale wobec słusznej, naszym zdaniem, angielskiej interpretacyi postanowień traktatu londyńskiego, niewyłączoną jest możliwość ukazania się na wodach Dardanellów i Bosforu statków wojennych państw, prowadzących ze sobą wojnę, co, oczywiście, pociągnęłoby za sobą unieruchomienie całego ruchu handlowego w tej arteryi komunikacyjnej.

Wiek XX zapowiada się, jako okres ekonomicznej rywalizacyi wielkich mocarstw, tak jak ubiegłe stulecie było okresem ich rywalizacyi państwowej. Względy dynastyczne przestały już zupełnie odgrywać rolę we wzajemnem ustosunkowaniu się państw, w ukształtowaniu współczesnych stosunków politycznych, a w polityce wszechświatowej i względy narodowe zeszyły także po części już na drugi plan, ustępując miejsca współzawodnictwu w dążeniu do zdobycia wielkich rynków zbytu. Zgodnie ze zmianą warunków, treść i istotę traktatów politycznych określają dziś względy ekonomiczne.

Te względy właśnie powinny posiadać miarodajne znaczenie i w kwestyi cieśnin konstantynopolizańskich. Chęć zagwarantowania swobody żeglugi międzynarodowej, potrzeba ustalenia stosunków handlowych na wypadek wybuchu wojny europejskiej, która w 1907 r. na drugiej konferencyi pokojowej w Hadze doprowadziła państwa do pewnego ustalenia zasad międzynarodowego prawa morskiego w czasie wojny w celu obrony własności prywatnej, wreszcie konieczność zrównoważenia sprzecznych interesów, niedających pogodzić się wobec dziś istniejącego stanu rzeczy — to wszystko wcześniej czy później musi doprowadzić do neutralizacyi Bosforu i Dardanellów na mocy wzajemnego porozumienia się mocarstw zainteresowanych.

Nie potrzeba dodawać, że ogłoszenie neutralizacyi cieśnin, łączących morze Śródziemne z morzem Czarnem, stanowić będzie krok naprzód na drodze pokojowego rozwoju Europy. Przyszła konferencya międzynarodowa, mająca się zająć uregulowaniem kwestyj, związanych z aneksją Bośni i Hercegowiny, ma do spełnienia pod tym względem zadanie pierwszorzędного znaczenia.

BRONISŁAW BOUFFAŁŁ.

DZIAŁALNOŚĆ PAŃSTWOWA wobec potrzeb rolniczych Królestwa Polskiego.

Powszechnem jest w Rosyi mniemanie, że rolnictwo w Królestwie w kwitnącem jest położeniu, że gospodarstwa rolne właścian doskonale zadowolniają ich potrzeby, a folwarki prowadzą uprzemysłowione intensywne gospodarstwa, wysoką rentę przynoszące.

Jest to oczywiście jedno z tych licznych, przesadnych o nas mniemań, które się składają na wytworzenie zupełnie błędnego pojęcia o naszym kraju, jako o takim, któremu wogóle niczego nie brakuje i które na żadne wobec tego względy nie zasługuje. Mniemanie to podtrzymują ogólne względem nas uprzedzenia w myśl tego, że nam już za wiele dano i utwierdza w postanowieniach, by nam więcej ponad to, co mamy, nie dawać.

W zakresie jednej specjalnej gałęzi życia publicznego, mianowicie rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego, pragnę wyświecić możliwie wszechstronnie zagadnienia:

1. Jakie jest napięcie naszych potrzeb rolniczych w porównaniu z innemi częściami państwa.
2. Co czyni rząd dla zadośćuczynienia nowych potrzeb rolniczych w zestawieniu z tem, co czyni w Rosyi.
3. Czego domagać się winniśmy.

Dla wyświecenia tych pytań wypadło mi zgromadzić wielką ilość danych, z których dotyczące się potrzeb rolnictwa zaczerpnięte są z ogólnych statystycznych źródeł, a dotyczące się działalności rządu z danych budżetu 1909 r. i objaśnień departamentu

rolnictwa przy budżecie. Objaśnienia te otrzymałem—jako referent etatu departamentu rolnictwa w komisji budżetowej Izby państwowej. Ogólne szczegółowe opracowanie wszystkich danych, z których podaję tylko niektóre ogólne cyfry, zrobiłem w osobnym dodatku do referatu dla Izby państwowej o etacie departamentu rolnictwa na 1909 rok.

I. Potrzeby rolnicze Królestwa.

W celu oświetlenia naszych potrzeb rolniczych, w stosunku do ich intensywności w Cesarstwie, podaję zestawienie odnośnych cyfr dla Królestwa, Rosyi Europejskiej bez Królestwa, jako centralnej części państwa, oddzielnych okręgów tej części państwa i Rosyi Europejskiej łącznie z Królestwem. Dla charakterystyki intensywności potrzeb rolniczych Królestwa brałem te dane, które okazało się możliwem zestawiać. Oczywiście, że są one niedostateczne, niemniej rzucają światło dość wyraźne na rozpatrywane przez nas zagadnienie.

Podział Rosyi Europejskiej na okręgi przyjąłem taki, jaki stosuje do swojej statystyki rolniczej centralny Komitet statystyczny. Podział ten ma wiele braków, rzucających się w oczy: daje on okręgi bardzo nierównomierne. Niemniej nie uznawałem za możliwe odstępować od tego podziału, gdyż inne podziały, przyjmowane w nauce, nie okazały się lepsze, a byłoby niewłaściwem tworzyć dla celów zestawienia danych nowy system takiego podziału. Cyfry statystyczne dla Cesarstwa zaczerpnięte są głównie z „Rocznika Rosyi“ („Jeżegodnik Rossii“) na 1907 rok, wydanego przez Centralny Komitet Statystyczny i zawierający zestawienie wszystkich najświeższych danych statystycznych, oraz ze „Zbornika statisticzeskich świedienij“ za 1908 r., wydanego przez Oddział ekonomii rolniczej. Ceny gruntu przyjęte są podług wydawnictwa Ministerjum finansów: „Matieryały po izczyślenju narodnaho dochoda.“ Liczba ludności rolniczej oparta jest na zastosowaniu do 1907 roku procentu ludności rolniczej ze spisu jednodniowego (Obszczyj swod danych perepisi 1900 goda). Podatki podane są podług etatu departamentu podatków stałych oraz wyżej wspomnianych materiałów wyliczenia dochodu społecznego. Cyfry co do Królestwa zestawione są podług warszawskiego Komitetu statystycznego.

Tablica drugostronna daje nam możność wyprowadzenia następujących wniosków. Ilość gruntów, stanowiących podstawowy

	Ilość dziesiętyn gruntów włościańskich, prywatnych i rządowych za wyłączeniem lasów rządowych	Wartość dziesiętyny w rublach	Ogólna wartość wszystkich gruntów w rublach	Ilość ludności rolniczej	Liczba dziesiętyn na rolnika
Królestwo Polskie	10,491,788	114	1,196,063,832	6,304,592	1.7
Rosya Europejska bez Król.	243,648,295	71	17,359,462,386	81,607,358	3
Procentowy stosunek Królestwa do Rosyi bez Królestwa	4.3%	—	6.9%	7.7%	57%
Rosya Europ. z Król. łącznie	254,130,033	73	18,555,526,218	87,911,930	2.9
Procentowy stosunek Król. do Rosyi z Królestwem łącznie	4.1%	—	6.45%	7.2%	58%
Okręgi Rosyi:					
I. Północny	5,592,397	1	89,478,352	1,684,755	3.3
II. Jeziorny	18,648,493	38	708,642,734	3,203,414	5.8
III. Nadbaltycki	6,531,099	55	359,209,235	1,489,606	4.4
IV. Północno-zachodni	23,769,262	55	1,307,309,410	8,663,932	2.7
V. Centralny	24,016,527	95	2,520,735,335	8,203,136	2.9
VI. Środkowo-wołżski	26,721,855	50	1,336,092,750	10,270,304	2.6
VII. Zawołżski	51,152,352	31	1,595,722,912	9,180,880	5.6
VIII. Zadnieprowski	21,936,252	138	2,027,202,776	11,952,500	1.8
IX. Południowo-stepowy	25,759,388	101	2,601,698,188	6,606,650	3.9
X. Dnieprowsko-wołżski	25,394,307	132	3,352,084,524	14,021,121	1.8
XI. Wołżsko-doński	14,326,335	102	1,461,286,170	6,331,040	2.2

Okręg I obejmuje gubernie: Archangielska; Wologodzka. II: Oloniecka, Petersburska, Nowgorodzka, Pskowska. III: Estlandzka, Inflandzka, Kurlandzka. IV: Kowieńska, Wileńska, Grodzieńska, Witebska, Mohylewska, Mińska. V: Morskiewska, Twerska, Smoleńska, Kałużska, Tułska, Riazkańska, Władimirska. VI: Jarosławska, Kostromska, Nizniegorodzka, Kazańska, Simbirska, Wiątska.

	Wartość liczby dziesiątyn na rolnika w rubl.	Ilość dziesiątyn zasianych wszelkimi zbożami spożywczeimi prócz owsa i kartofli w 1907 r.	Ilość zasianych dziesiątyn na 1 rolnika	Sprzet, zboż roczny w przecięciu za ostatnie pięćciolecie	Przeciętny sprzet dziesiątyn w pudach	Ogólny sprzet zboż na 1 rolnika w pudach	Ilość inwentarzy (koń od 4 lat = 1/2, do 4 lat = 3/4, bydło = 1, swinie = 1/100, owce = 1/10)	Ilość inwentarzy na 1 rolnika	Ilość podatków bezpośrednich z gruntów w rublach	Na 1 rubla wartości gruntów wypada podatków w kopiejkach
189	3,140,007	0.49	190,459,900	60.6	30.2	4,347,007	69	8,867,466	0.74	
213	55,580,157	0.68	2,518,269,700	45.3	30.8	66,172,185	81	13,434,300	0.077	
89%	5.6%	72%	7.6%	134%	98%	65%	85%	66%	—	
211	58,720,164	0.67	2,708,729,600	46.1	30.7	70,519,192	80	22,301,766	0.12	
89%	5.3%	73%	7%	133%	98%	61%	86%	40%	—	
55	413,715	0.25	18,999,500	43.6	11.3	1,371,119	81	59,700	0.067	
221	921,535	0.29	35,581,600	36.7	11.1	2,570,484	80	254,300	0.035	
241	672,652	0.45	42,265,400	62.8	21.7	1,787,105	120	722,200	0.20	
150	3,747,733	0.43	158,692,700	42.3	18.3	7,226,294	83	988,100	0.076	
308	3,479,950	0.42	160,225,400	46	19.5	6,774,369	82	1,393,400	0.055	
130	5,532,066	0.54	231,396,300	41.8	22.5	6,398,152	62	1,353,400	0.10	
174	7,941,924	0.86	301,383,300	37.9	32.7	11,066,933	120	844,800	0.054	
253	9,481,418	0.79	547,298,100	57.7	45.7	8,037,979	67	2,380,600	0.079	
394	10,094,001	1.52	395,682,500	39.4	59.8	7,587,341	115	605,200	0.024	
239	8,491,930	0.60	428,006,300	50.4	30.6	8,774,529	62	3,187,800	0.079	
231	4,803,233	0.76	198,678,600	41.4	31.4	4,577,880	72	1,644,800	0.12	

VII: Permska, Ufimska, Orenburska, Samarska. VIII: Kijowska, Podolska, Wołyńska, Bessarabska, Chersońska. IX: Jekaterynosławska, Taurydzka, Astrańska. X: Czernigowska, Połtawska, Orłowska, Kurska, Charkowska, Woroneńska. XI: Tambowska, Penzeńska, Saratowska.

warsztat pracy ludności miejscowej, jest w Królestwie (4.1%) w stosunku do Rosyi Europejskiej wraz z Królestwem nieznaczny. Ponieważ jednak dlatego warsztatu ma znaczenie nie sama rozległość gruntu, a właściwie jego wartość, przeto uwzględniać winniśmy przede wszystkim rozmiar tej wartości, która w Królestwie stanowi 6½% Rosyi z Królestwem łącznie. Produkcya tego warsztatu w zakresie zbóż, daje nam dla Królestwa proporcję nieco wyższą—7%. Ilość inwentarza w Królestwie stanowi 6.1%. Poza wartością warsztatu i jego produkcją drugi probierz rozległości terenu pracy rolniczej jest to ludność, zajęta w tej gałęzi wytwórczości; w tym względzie Królestwo okazuje procent jeszcze wyższy—7.2%. W ten sposób, przy niewielkiej przestrzeni, ale za to bardziej wartościowych gruntach, produkujących nawet w stosunku do swojej wartości więcej od gruntów w Cesarstwie, przy średniej ilości inwentarza, ale gęstem zaludnieniu rolniczym, Królestwo przedstawia, w stosunku do całej Rosyi Europejskiej, (bez Finlandyi i całego Kaukazu) pod względem rozległości potrzeb rolniczych 1/13 część.

Rozległość potrzeb rolnictwa naszego oczywiście nie może bynajmniej być dostatecznym probierzem ich ogólnego rozmiaru. O ileby bowiem przy pewnej rozległości terenu rolniczego i względnie licznej ludności rolniczej teren ten okazywał wysoki dobrobyt—oczywiście rozmiar potrzeb byłby słaby.

Jeżeli przeciętne napięcie potrzeb rolnictwa oznaczymy, jako „100,“ to napięcie słabsze da nam procent, który, zastosowany jako mnożnik rozległości potrzeb w postaci ułamku, wpływa na znaczne umniejszenie sumy tych potrzeb w stosunku do rozległości. Otóż widzimy, że na 1 rolnika w Królestwie przypada gruntu mało co więcej, niż połowa tego, co przypada w Cesarstwie (57), a gdy weźmiemy pod uwagę większą wartość u nas gruntów, okazuje się, że wartość gruntu na rolnika u nas jest również mniejsza, niż w Cesarstwie (89%). Jakkolwiek urodzaj z dziesiątyny gruntu u nas jest większy (133%), niż w Cesarstwie, jednak na 1 rolnika urodzaj ten wypa da nieco mniejszy (98%). Ilość inwentarza u nas wypada także mniejsza, niż w Cesarstwie (86%). Wszystkie te dane zatem wskazują, że napięcie potrzeb rolnictwa u nas nie jest w żadnym razie mniejsze od napięcia tych potrzeb w Cesarstwie, pomimo wyższej kultury, która wcale nie jest w stanie równoważyć większej gęstości zaludnienia rolniczego. Oczywiście jest bowiem, że jeżeli w danej miejscowości produkcya jest względnie do przestrzeni wysoka ale stanowi dorobek pracy znacznej liczby ludności, to ludność ta właśnie odczuwa silniej potrzebę podniesienia jeszcze wy-

żej produkcji, niż tam, gdzie mniejsza produkcja jest owocem pracy ludności jeszcze mniej licznej.

Musimy zatem uznać, że napięcie potrzeb rolniczych w Królestwie jest przynajmniej równe przeciętnemu napięciu tych potrzeb w całym państwie. Właściwie dane nasze wskazują nam, że jest ono wyższe, ale dla ostrożności naszych wywodów przyjmujemy je za równe. Wówczas wypadnie, że rozmiar naszych potrzeb powinniśmy wyliczać na zasadzie ich rozległości. Utrzymamy w ten sposób 7^o/₁₀ (lub ¹/₁₃), jako wskaźnik stosunku potrzeb rolniczych u nas względnie do Rosji Europejskiej. Jeżeli zwrócimy uwagę na inne okręgi Rosji Europejskiej, to okaże się, że co do rozległości potrzeb rolniczych większość okręgów przewyższa Królestwo. Mniejszą wartość gruntów, mniejszą ilość inwentarzy, mniejszą ilość ludności rolniczej widzimy tylko w okręgach: północnym, jeziornym i nadbałtyckim. Natomiast, co do ogólnego sprzętu zbóż przewyższa Królestwo tylko 6 okręgów, a 5 mu ustępuje, mianowicie prócz wymienionych jeszcze: północno-zachodni i centralny. Na ogół znacznie przewyższają Królestwo, co do cech rozległości, potrzeb rolniczych, okręgi: dniewprowsko-wołyński, zadnieprowski i zawołyński; znacznie ustępują okręgi: północny, jeziorny i nadbałtycki. Najbliższe stoją Królestwu, co do rozległości potrzeb rolniczych, okręgi: północno-zachodni, centralny i wołyńsko-doński.

Dane, co do intensywności potrzeb rolniczych, dają nam inny porządek okręgów: na jednego rolnika przypada więcej wartości gruntu, niż w Królestwie, w okręgach: jeziornym, nadbałtyckim, centralnym, zadnieprowskim, południowo-stepowym, dniewprowsko-wołyńskim i wołyńsko-dońskim; z wyliczonych jednak okręgów przewyższają produkcję zbożową na jednego rolnika w Królestwie tylko: południowo-stepowy, zadnieprowski, zawołyński i wołyńsko-doński. Dniewprowsko-wołyński prawie się równa z Królestwem, co do produkcji na rolnika. Ustępuje mu zaś, co do ilości inwentarzy na rolnika. Co do ilości inwentarzy na rolnika ustępują Królestwu, prócz wymienionego, tylko okręgi środkowo-wołyński i zadnieprowski.

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę zarówno cechy rozległości potrzeb rolniczych, jak i cechy ich intensywności, to otrzymamy, że rozmiar potrzeb rolniczych jest znacznie wyższy, niż w Królestwie w okręgach:

1) Środkowo-wołyńskim (VI), który ma z górą półtora raza większą ilość ludności rolniczej, grunty małej wartości (na jednego rolnika 130 r., to jest prawie ²/₃ tego, co w Królestwie), plony

słabe (41.8 pudów z dziesiątyny = $\frac{2}{3}$ tego, co w Królestwie) i produkcję na rolnika małą (22.5 pud. = $\frac{2}{3}$ tego, co w Królestwie), ilość inwentarzy nieznaczną (mniejszą nieco, niż w Królestwie). W ten sposób rozmiar potrzeb rolniczych w tym okręgu musimy uznać parokrotnie większym, niż w Królestwie.

2) Okręg dnieprowsko-wołyński (X) przewyższa więcej niż w dwójnasób Królestwo liczbą ludności rolniczej, natomiast wartość gruntów na jednego rolnika jest w nim wyższa, niż w Królestwie; ponieważ jednak produkcja na rolnika jest mało co większa, niż u nas, a ilość inwentarzy mniejsza, więc uznać musimy, że rozmiar potrzeb rolniczych jest w tym okręgu znacznie (w dwójnasób) większy, niż w Królestwie.

3) Okręg północno-zachodni (IV) ma liczniejszą ludność rolniczą, niż w Królestwie, mniejszą wartość gruntów i znacznie mniejszą produkcję na rolnika, oraz małą wydajność gruntów, ale więcej inwentarzy. Rozmiar jego potrzeb prawie w dwójnasób okazuje się większy, niż w Królestwie.

4) W mniejszym stopniu stosuje się to do okręgu centralnego (V), gdzie ludności rolniczej mniej, niż w okręgu IV, wydajność gruntu większa, produkcja na rolnika nieco większa, a głównie większa wartość gruntów na rolnika, ilość inwentarzy prawie równa z IV-ym okręgiem, ale większa niż w Królestwie. Co do wartości gruntów na rolnika okręg V przewyższa nie tylko okręg IV, ale i Królestwo. Niemniej ogólnie rozmiar potrzeb rolniczych w nim widzimy większy, niż u nas.

5) Okręg zawołyński (VII) ma półtora razy więcej ludności rolniczej, niż Królestwo, wartość gruntu na rolnika nieco mniejszą, plony małe, ale produkcję na rolnika większą, niż w Królestwie (skutkiem bardzo znacznej ilości gruntów na rolnika), również znacznie wyższą ilość inwentarzy (prawie dwa razy więcej). Przewyższa on rozmiarem potrzeb rolniczych Królestwo w każdym razie.

6) To samo należy stwierdzić, co do okręgu zadnieprowskiego (VIII), który, jakkolwiek ma znacznie większą produkcję na rolnika, ale ma prawie dwa razy więcej ludności rolniczej.

Inne okręgi natomiast musimy zaliczyć do takich, w których rozmiar potrzeb rolniczych mniejszy jest, niż w Królestwie.

7) Okręg wołyńsko-doński (XI) ma ilość ludności rolniczej prawie taką samą, jak i Królestwo, ale na rolnika wypada w tym okręgu więcej gruntu, stanowiącego większą wartość i dającego nieco większą produkcję, pomimo mniejszych plonów niż w Królestwie. Inwentarzy też widzimy trochę więcej, niż u nas. Okręg

ten, ustępując co do rozmiarów potrzeb Królestwu, jest mu bardzo blizki.

8) Okręg południowo-stepowy (IX) ma mało co więcej ludności rolniczej, niż w Królestwie, ale na rolnika wypada sporo gruntu dużej wartości i przy małych plonach duża produkcya, największa ze wszystkich okręgów. Ilość inwentarzy bardzo duża. Intensywność potrzeb rolniczych tego okręgu jest przeto mała i rozmiar tych potrzeb musimy uznać za mniejszy, niż w Królestwie.

9) Okręg jeziorny (II) ma ludności dwa razy mniej, niż w Królestwie, wartość gruntów na rolnika większą, ale mniejsze plony, najniższe ze wszystkich okręgów i produkcję zbożową też najniższą. Inwentarzy więcej, niż w Królestwie. Intensywność potrzeb rolniczych w nim jest niewątpliwie większa, niż w Królestwie, ale przy małej liczbie ludności rozmiar tych potrzeb oczywiście należy uznać za mniejszy. W tym okręgu z powodów klimatycznych zboża nie mogą odgrywać roli głównego wskaźnika produkcji gruntów, a znaczna wartość gruntów na rolnika wykazuje pewną ich zasobność.

10) Okręg północny (I) ma plony wyższe, niż w okręgu II i nawet nieco wyższe sprzęty na rolnika, ale znacznie mniej i przytem mniej wartościowego gruntu (którego jednak większa, niż w okręgu II, część idzie pod obsiew zbóż). Intensywność potrzeb rolniczych w tym okręgu jest znaczna, ale niemniej, tak samo, jak w okręgu II, rolnictwo jest tu jednym tylko rodzajem zajęcia ludności wiejskiej, która w innych gałęziach pracy twórczej znajduje środki utrzymania (rybołówstwo, polowanie). Ludność rolnicza w tym okręgu stanowi zaledwie $\frac{1}{4}$ część ludności rolniczej w Królestwie. Rozmiar potrzeb rolnictwa oczywiście jest mniejszy.

11) Okręg nadbałtycki (III) ma mniej niż $\frac{1}{4}$ część ludności rolniczej Królestwa, ilość gruntu i wartość jego na rolnika wysoką, plony wysokie, ale produkcję zbożową na rolnika niższą, niż w Królestwie, skutkiem obsiewania nieznacznej części gruntów. Ilość inwentarzy widzimy tu prawie dwa razy większą na rolnika, niż w Królestwie. Intensywność potrzeb rolniczych w tym okręgu jest mniejsza, niż w Królestwie, rozległość ich znacznie mniejsza, rozmiar więc potrzeb rolniczych wielokrotnie okazuje się zatem mniejszym, niż w Królestwie.

Z zestawienia wszystkich okręgów widzimy, że Królestwo zajmuje wśród nich środkowe miejsce. Jedne, co do rozmiaru po-

trzeb znacznie go przewyższają, drugie znacznie mu ustępują, niektóre blisko niego stoją.

W tablicy powyżej podanej obok danych, charakteryzujących rozmiar potrzeb rolniczych, podałem dane co do ciężaru podatków bezpośrednich, spadających na rolników. Ponieważ w dalszym ciągu mamy zamiar rozpatrzyć wydatki skarbu na cele rolnicze różnych okręgów, dane zatem, co do ciężarów, idących na korzyść skarbu, pozwolą nam dać oświetlenie tych wydatków nie tylko ze stanowiska potrzeb rolników, ale i ze stanowiska tego, o ile rolnicy różnych okręgów przyczyniają się bezpośrednio do wytworzenia funduszy skarbu, warunkujących możliwość czynienia wydatków.

Potrzeby rolnicze Królestwa wyrażają się, jak widzieliśmy, w stosunku do potrzeb całej Rosyi Europejskiej proporcją 7%, środki, jakie rolnicy Królestwa dostarczają bezpośrednio skarbowi, 40%; zobaczymy teraz, jak wyrażają się wydatki skarbu na korzyść Królestwa.

II. Działalność rządowa na korzyść rolnictwa.

Działalność rządowa na korzyść rolnictwa wyraża się w całym szeregu rozlicznych zarządzeń i czynności w różnych działach gospodarki państwowej. Te czynności, które mają z rolnictwem związek najbliższy są ześrodkowane głównie w departamencie rolnictwa. Pozycye tego departamentu mogą służyć za wskaźniki tej działalności, zarazem pozwalają one nam określić miejsce jej zastosowania i rozmiar.

Cały szereg pozycyj tego etatu dotyczy wydatków ogólnopañstwowego znaczenia, które z tej przyczyny usuwamy z pod naszego rozbioru. Zaznaczamy tylko, że do ogólnopañstwowych wydatków zaliczamy utrzymanie Instytutu rolniczego moskiewskiego. Właściwie w Rosyi, stanowiącej co do przestrzeni i różnorodności warunków rolniczych całą oddzielną część świata, *wyższe zakłady rolnicze* powinny służyć celom rolnictwa danych okręgów. Ale dziś tak nie jest. Dziś instytuty w Moskwie i Puławach, oraz wydziały agronomiczne w Kijowie i Rydze służą całemu państwu, program nauk w nich jest zastosowany do warunków całego państwa (najmniej to się stosuje do wydziału w Rydze, który nosi charakter środowiska, wśród którego się znajduje), siły naukowe są powoływane na katedry bez względu na to, czy

znane im są warunki pobliskich okęgów i często o dalszych miejscowościach może się student instytutu więcej dowiedzieć, niż o najbliższych. O specjalizacji katedr w związku z potrzebami okęgu, wśród którego instytut się znajduje, niema mowy. Skutkiem tego dziś zarówno Instytut w Moskwie, który znajduje się w zawiadywaniu departamentu rolnictwa, jak inne wyższe zakłady naukowe rolnicze, pozostające w zawiadywaniu innych ministrów, musimy rozważać jako urządzenia ogólnopañstwowe, a nie miejscowego pożytku.

W Rosji wśród jej uczonych agronomów są gorliwi obrońcy takiego właśnie charakteru wyższych zakładów naukowych. Uważają oni, że średnie tylko zakłady mogą się stosować do miejscowości, a wyższe powinny stać wyżej ponad takie przystosowanie. Twierdzą oni, że i w Niemczech wyższe zakłady naukowe nie noszą charakteru lokalnego, wskazują, że do zakładów niemieckich zjeżdżają się rolnicy z całego świata, z Ameryki, Japonii i swoją drogą korzyść odnoszą; więc i w Rosji wyższe zakłady winny każdy ściągać słuchaczy z całego państwa i wykładać się winny w nich także przedmioty, któreby jednakowo były ważne dla mieszkańców stepów wschodu i południa, jak i moczarów północy.

Póki panować będzie ten przesąd, tak charakterystyczny dla umysłowości uczonych rosyjskich, póty śmiało powiedzieć możemy, że wyższe zakłady naukowe w Rosji płodzić będą urzędników, ale nie uczonych i czynnych a twórczych agronomów. Wiadomo, że geologia, botanika, chemia, fizyka — toć to nauki, wspólne dla całego świata i o właściwym ich lokalizowaniu, jako dyscyplin i metod wiedzy, mowy być nie może. Ale przy wykładzie tych przedmiotów pożyteczną jest lokalizacja konkretnych przedmiotów, podlegających badaniu, służących za przykład stosowania metod i objaśniania praw przyrody. Amerykanin lub Japończyk mogą skorzystać z instytutów rolniczych, jeśli szukają w nich poznania metody badania zjawisk. Gdy jednak wrócą oni do swoich krajów, będą oni znacznie mniej przygotowani do pracy nietylko praktycznej, ale i naukowej na własnym terenie, znacznie mniej przysposobieni do twórczości w zakresie zjawisk konkretnych i oddziaływania na nie człowieka przy pomocy wiedzy, od Niemca-studenta, który dla tego oddziaływania otrzymał w instytucie nietylko ogólne drogowskazy, ale i gotowe ścieżki. Niemiec dowiedział się w instytucie swoim szczegółowo o formacji i właściwościach gleby w Niemczech, a o glebach w Japonii mogła być najwyżej ogólnikowa wzmianka. Niemiec dowiedział się o gatunkach swoich żyt, pszenic, jęczmienia, o ko-

niczynie, seradelli, łubinie. Codzień obijały mu się o uszy miejscowe rośliny, to przy botanice, to przy fizyologii roślin, to przy nauce o nawozach. Rośliny te stanowiły dla niego przedmiot nauki, stanowiły przykład w ogólnych dyscyplinach naukowych. A o roślinach właściwych Japonii, choćby o ryżu, jakże mało Japończyk mógł się dowiedzieć.

Rasy miejscowe bydła, koni i t. p., stosowane na miejscu narzędzia, sposoby uprawy miejscowych gruntów, rozwój miejscowych instytucyj rolniczych, rachunkowość w miejscowych gospodarstwach i instytucjach, nawożenie miejscoweni lub dostarczaniem na miejsce nawozami dla osiągnięcia plonów miejscowych roślin na miejscowym gruncie, wszystkie te przedmioty wychowawiec instytutu niemieckiego zna dobrze w zastosowaniu do środkowej części Europy. Wychowawiec instytutu rosyjskiego nie zna tego w zastosowaniu do okręgu, odpowiadającego jednolitością warunków naturalnych państwu niemieckiemu. On zna te przedmioty w zastosowaniu do całego państwa rosyjskiego a zatem obszaru mieszczącego w sobie tak wiele oddzielnych okręgów rolniczych, że trzeba by posiadać wiedzę kilkanaście razy większą, by każdy okręg poznać tak dobrze, jak mogą to czynić Niemcy w stosunku do swego kraju. Stąd prosty wniosek: wychowawiec instytutu rosyjskiego nie zna żadnego okręgu, nie umie się zastosować do warunków w żadnym okręgu, nie jest w stanie posunąć naprzód rolnictwa w żadnym, jest w stanie tylko w każdym z nich pełnić urzędy. Departament rolnictwa za podstawę swej działalności wziął mnożenie urzędów rolniczych. Nie odczuwa więc on wcale całej szkody, jaka płynie z tego, że wyższe zakłady naukowe w Rosyi nie są wcale zlokalizowane. Uczni rosyjscy nie lubią rachować się z potrzebami życia. Ale wśród nielicznych w Rosyi działaczy na polu agronomii „ziemskiej“ myśl o potrzebie zastosowania nauki w wyższych zakładach naukowych do warunków miejscowości, wśród której zakład jest położony, pojmując miejscowość, jako obszerny bardzo okręg, myśl ta coraz bardziej się utrwala. Powrócimy do tego przedmiotu, gdy o lokalizacji całej działalności państwa w sprawach rolnictwa będziemy mówili.

Wydatki departamentu rolnictwa znaczenia miejscowego, do rozpatrzenia których teraz przechodzimy, możemy w ogólnym zarysie, który ułatwi nam orientację, podzielić na następujące kategorie: 1) zarząd miejscowy sprawami rolnictwa; 2) zakłady naukowe, kursy i prelekcye rolnicze; 3) badanie i doświadczenia, sta-

cye rolnicze, meteorologiczne i t. p.; 4) środki bezpośredniego oddziaływania na stan rolnictwa.

Zarządu osobnego sprawami rolnictwa w Królestwie, jak zresztą i w połowie Rosyi, niema. W 26 guberniach ziemskich zarząd ten sprawują *inspektorzy gospodarstwa wiejskiego*. W innych guberniach zawiadywanie sprawami rolniczemi spoczywa w ręku miejscowych zarządów dóbr państwa. Inspektorzy gospodarstwa wiejskiego tam, gdzie są, wchodzą w skład tych zarządów. Gdzie ich niema, naczelnik zarządu daje swoją opinię departamentowi co do miejscowych spraw i stosunków.

Departament rolnictwa pragnie rozpowszechnić swoich inspektorów na całe państwo. Oczywiście i na nas przyszłaby kolej. Komisya budżetowa Izby państwowej odrzuciła jednak kredyty na powiększenie liczby inspektorów o pięć nowych posad. Izba prawdopodobnie tę decyzję komisji potwierdzi. Będzie to postanowieniem krzyża nad tą instytucją w dotychczasowej jej formie.

Inspektorzy rolnictwa są dzisiaj jedynymi agentami departamentu dla zarządu miejscowego w sprawach rolniczych. Pierwsze powstaje zasadnicze co do nich pytanie: czy wogóle są niezbędni miejscowi osobni agenci departamentu dla zarządu sprawami rolnictwa.

Nie może ulegać wątpliwości, że departament powinien być bezstronnie i sumiennie powiadomiony o wszystkim, co w zakresie spraw i działalności rolniczej się odbywa. Również jasnym jest, że działalność rolnicza zarówno organów rządu i samorządu, jak towarzystw rolniczych i osób prywatnych powinna ulegać pewnemu wspólnemu zarządowi miejscowemu. Powierzenie jednak tych dwóch zadań urzędnikowi, przysłanemu z departamentu i działającemu wyłącznie na mocy instrukcyi tego departamentu, choćby te instrukcyje były jak najlepsze,—okazało w praktyce ujemne rezultaty. Inspektorzy przeważnie ani informować departamentu nie umieli, ani wpływu korzystnego na rozwój miejscowego rolnictwa wywierać nie mogli. Natomiast istnienie inspektorów, jako instytucyi dla zarządu rolnictwa, dało podstawę dla wielu ujemnych tendencyj w zakresie rozwoju departamentu. Widząc, że inspektorzy na miejscu nie mają co robić, że nikt się do nich nie zwraca, ich nie potrzebuje, departament

1) Rozwinął całą sieć bezpośrednich ich pomocników, którymi by mogli oni komenderować.

2) Oddał im do dyspozycyi różne drobne sumy, przeznaczone na rozmaite cele rolnicze, by inspektorzy mogli sami różne sprawy załatwiać, bez zwracania się do organów miejscowych.

3) Uzależnił wydawanie subwencji i zasiłków pieniężnych miejscowym organizacjom rolniczym od subiektywnej opinii inspektora, zabezpieczając mu w ten sposób wpływ na te organizacje.

W niektórych miejscowościach nawiązał się ścisły stosunek między inspektorami i miejscowymi organizacjami pod wpływem ostatnio przytoczonej okoliczności. W innych zaś, skutkiem okoliczności № 2 i 1, inspektorzy próbowali przeciwstawić się tym organizacjom. W wyjątkowych tylko wypadkach umieli oni stać się rzeczywiście pożytecznymi.

Jeżeli uznamy, że działalność rolnicza jest działalnością nawszkroś miejscowego charakteru, że wyższa kompetencja co do niej nie jest bezpośrednim zadaniem rządu, a tylko i właśnie samorządu, wówczas zgodzić się musimy na to, że informować departament i jednoczyć działalność miejscową we wspólnym zarządzie, nie może zwyczajny urzędnik departamentu. Czynić to może tylko organ miejscowy. Organ ten może mieć w swoim składzie agenta departamentu (wybieralna rada okręgowa rolnicza z przedstawicielem rządu w swoim łonie), agent ten może układać, projektować i posyłać raporty do departamentu, ale nie od siebie, lecz od tego organu. Departament powinien cenić zdanie właśnie tej rady. Rada taka jedynie będzie mogła stanowić czynnik kierowniczy w zakresie spraw rolnych, a agent departamentu, wchodzący w jej skład, może korzystnie oddziaływać na to kierownictwo tylko o tyle, o ile działać on będzie zgodnie z ogólnym planem tego kierownictwa, planem przeprowadzanym przez samą radę. Póki zarząd miejscowy sprawami rolnictwa w Rosyi nie przybierze takiego zdecentralizowanego charakteru, póty urząd inspektorów nie będzie przynosił właściwych korzyści i, jak u nas przynajmniej w Królestwie, wcale go sobie życzyć nie możemy. Departament, chcąc pozyskać zwolenników dla swoich inspektorów, wysuwa naprzód ten motyw, że wszak oni ułatwiają otrzymywanie różnych subwencji. Ale wartością takiej doraźnej korzyści nie należy się ludzi, tembardziej, że instytucja inspektorów niewątpliwie ulegnie wkrótce reformie. Powróćmy do tego przedmiotu, gdy o reformie ogólnej zarządu sprawami rolnictwa mówić będziemy.

W następnym dziale wydatków znaczenia miejscowego na cele rolnicze, mianowicie w dziale *nauczania rolniczego* kraj nasz jest niewątpliwie zainteresowany. Do działu tego odnoszą się następujące pozycje budżetowe:

§ 6 r. 1. Średnie zakłady naukowe rolnicze rządowe (z wyjątkiem kursów dla geometrów, które zaliczam do wydatków ogólnopństwowych)	492,404	rb.	60	kop.
§ 6 r. 2 p. 1, 2 i 4. Subwencje dla średnich szkół rolniczych	31,679	"	—	"
§ 7 r. 1. Niższe szkoły rolnicze rządowe	246,850	"	—	"
§ 7 r. 2. Subwencja dla niższych szkół roln.	597,117	"	03	"
§ 7 r. 3. Kursy rolnicze (z wyjątkiem kursów przy Muzeum Rolniczym w Petersburgu, jako ogólnopństwowych)	69,500	"	—	"
§ 13. Reparacja budynków szkolnych i nowe budowle szkolne	413,249	"	—	"
Ogółem 1,850,790 rb. 43 kop.				

Na ogół, jak widzimy, jest to pozycja dość poważna, jeżeli wziąć pod uwagę, że wszystkie wliczone tu wydatki skarbu idą na potrzeby ściśle miejscowe. W tej pozycji na Rosję Europejską na 182 szkoły i 56 kursów praktycznych przypada 1,639,554 rb. 28 kop., z tego zaś na Królestwo zaledwo 9,280 to jest 0.56%, podczas gdy rozmiar potrzeb rolniczych Królestwa wynosi, jak widzieliśmy 70%, czyli na Królestwo idzie 12 razy mniej w stosunku do jego potrzeb.

Oceniać będziemy to zaniedbanie potrzeb Królestwa szczególnie wówczas, gdy rozejrzemy się w poszczególnych pozycjach wydatków na Królestwo. Stanowią one: 1,500 rb. na kursy przy Towarzystwie ogrodniczym. Nadmienić należy, że w 1907 i 1908 r. suma ta nie była Towarzystwu wyasygnowana ze względu na to, że kursy były prowadzone po polsku. Pozycję tę wobec tego należy uważać, jako fikcyjną. Główne wydatki na szkolnictwo rolnicze w Królestwie są: 3,000 na szkołę żeńską gospodarstwa domowego przy klasztorze w Leśnej, na taką szkołę przy klasztorze w Czekanowie 2,000 rb. obydwie w siedleckiej gubernii i wreszcie nowa pozycja 1909 r.: 1,700 rb. na trzecią szkołę żeńską, tym razem ogrodnictwa, przy klasztorze w Radeckim. Trzy klasztory prawosławne, mające zadania misyjne i wychowujące młode pokolenia dla celów propagandy prawosławia, otrzymują zasiłek 6,700 rb. od departamentu rolnictwa z funduszy na cele rolnicze.

Co do szkoły w Czekanowie przy rewizji ze strony departamentu okazało się, że żadnej nauki szkolnej tam nie prowadzono, nie było nawet żadnego personelu nauczycielskiego: wycho-

wanice klasztoru wprost gotowały, szyły i spełniały tego rodzaju czynności z zakresu gospodarstwa domowego pod nadzorem zakonnic. Niemniej subwencya została utrzymana i zadowolono się w departamencie zapewnieniem, że nauczycielka fachowa zostanie sprowadzoną.

Podczas gdy trzy klasztory prawosławne misyonarskie dostają dla swoich wychowanic 6,700 rb., nie idzie ani jedna kopiejka dla szkół rolniczych w Królestwie. Przykład kursów przy Towarzystwie ogrodniczem nie jest zachęcający: okazuje się, że koniecznym warunkiem pomocy skarbu na cele szkolnictwa rolniczego jest prowadzenie wykładów w języku rosyjskim. Życie samo daje odpowiedź na to, o ile to wymaganie jest uzasadnione i prowadzi ono do tego, że w Królestwie nie korzysta z pomocy skarbu ani jedna szkoła, że w Królestwie szkół rolniczych jest niezmiernie mało. A w innych okręgach Rosyi? W okręgach o większych potrzebach rolniczych niż Królestwo widzimy: w środkowo wołżskim (VI) na 17 szkół rolniczych wydatki skarbu 122,409 rb. 91 kop., nie licząc kosztu budowli, w okręgu dniewprowsko wołżskim na 33 szkoły 202,776 rb. 95 kop., a w okręgach o mniejszych potrzebach rolniczych, jak w południowo stepowym, (IX) na 20 szkół rubli 167,301 rb. 6 kop., w okręgu jeziornym (II) na 18 szkół rolniczych 104,123 rb. 33 kop.

Wydatki skarbu na kursy rolnicze, nie stanowiące wykładów stałych szkolnych, stanowią na Królestwo bardzo skąpą sumę 600 rubli na 2 kursy: na suwalską gub. 400 rb. i lubelską 200 rb. przy ogólnej sumie wydatków skarbu na ten cel w Rosyi Europejskiej 59,080. W tej zatem poszczególnej pozycji wydatków na cele nauczania rolniczego udział Królestwa stanowi 1%, to jest 7 razy mniej od stosunku jego potrzeb. Choć względy językowe nie stoją na przeszkodzie, upośledzenie jednak i tu jest niezmierne. Tymczasem w okręgu X widzimy na 9 kursów 10,615 rb., a w okręgu o mniejszych potrzebach niż Królestwo, jak wołżskodoński (XI) na 7 kursów 4,200 rb., a w jeziorowym o potrzebach o wiele mniejszych na 8 kursów 9,475 rb.

Z wydatków na szkolnictwo znaczna część idzie na szkoły rządowe, a mniejsza znacznie część na subwencye dla szkół zakładanych i utrzymywanych przez ziemstwa, towarzystwa rolnicze i osoby prywatne, a mianowicie na instytucye rządowe przypada 834,016 rb. (średnie 492,404, a niższe 342,012), na ziemstwa 262,793 rb. (średnie 9,212, a niższe 253,589), towarzystwa rolnicze 142,188 rb. 87 kop. (na średnie 22,465 i na niższe 120,723 rb. 87 k.),

na osoby prywatne 171,817 (na niższe szkoły rolnicze) i na klasztory prawosławne żeńskie 6,700 (w Królestwie). Średnie szkolnictwo rolnicze w Rosyi jest prawie wyłącznie rządowe, przyczem ziemstwa udzielają zasiłków skarbowi. Niższe szkolnictwo jest w rękę zarówno rządu, jak ziemstw i osób prywatnych, względnie najmniej w rękę towarzystw rolniczych. Uderzającym jest udział w niższem szkolnictwie osób prywatnych, które w innych działach wydatków skarbu na cele rolnicze uczestniczą bardzo słabo.

Subwencye skarbu na niższe szkoły rolnicze są dość obfite i na łatwych warunkach dają się osiągnąć. Niższe szkoły rolnicze wyższego typu otrzymują subwencyi minimum 2,000, najczęściej 3,000, często 7,000, a niekiedy po 10,000 (zależy to od liczebności personelu nauczycielskiego).

Niższe szkoły rolnicze drugiego rzędu, to jest szkoły praktyczne, polegające na pracy uczniów w folwarkach pod osobnym zarządem z udzielaniem wiadomości i urządzaniem kursów oddzielnych otrzymują subwencye od 1,000 do 2,000 rb., czasem jednak i znacznie wyżej. Kursy praktyczne dla kultur-techników w gub. kurskiej, t. zw. „Kuczerowskie,“ otrzymują zasiłek 8,000 r. Liczne są w Rosyi kursy dla monterów (subwencye 1,500, 1,800 r.), dla robotników ogrodniczych (1,500), szkoły praktyczne ogrodnictwa (do 6,000 rb. subwencyi). Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tego kursu szkoły w Królestwie powinny ze strony skarbu otrzymywać zasiłek, a o prowadzeniu ich w języku rosyjskim, nie może być mowy.

Z zakresu wydatków *na cele miejscowych badań rolniczych, doświadczeń i obserwacji* widzimy następujące pozycye:

§ 10 art. 2, 3 i 4	rządowe stacye doświadczalne, laboratoria i ogrody doświadczalne (nie biorąc pod uwagę Muzeum rolniczego, ogrodu botanicznego w Petersburgu, laboratorium bakteriologicznego w Petersburgu i selekcyjnego przy Instytucie w Moskwie, jako instytucyj ogólnopństwowych)	290,644	rb. 50 k.
§ 10 art. 5.	Subwencye skarbowe na instytucye doświadczalne	142,615	„ —
„ art. 6.	Stacye meteorologiczne rolnicze	20,463	„ —
„ art. 7.	Instytucye doświadczalne rybactwa (z wyjątkiem ogólnopństwowych)	4,750	„ —
§ 11 art. 1 i 4.	Organizacya pól doświadczalnych (po za ogólnemi kosztami) miejscowych	13,000	„ —
§ 13	Reparacya budowli i nowe budynki	75,603	„ —
	Ogółem	547,075	rb. 50 k.

Suma ta rozpada się na instytucje rządowe 401,693 rb. 50 k., na ziemstwa 75,090 rb. 50 kop., na towarzystwa rolnicze 59,023 i na osoby prywatne 11,268 rb. 50 kop. Ogólna suma wydatków na cele doświadczalne na Rosyę Europejską przypada: 329,251 rb. 50 kop. na 90 instytucyj doświadczalnych i 42 meteorologiczne, a na Królestwo 2,999 rb. czyli 0.9%, to jest 8 razy mniej względnie do potrzeb. Stosunkowo najwięcej idzie pieniędzy na instytucje doświadczalne w Rosyi poza europejskiej gdyż 217,824 rb. na 29 instytucyj. W Królestwie skarbowe pieniądze na cele doświadczalne idą wyłącznie w postaci subwencji na 4 instytucje mianowicie: stacye rolnicze kutnowska, chruszczewska i radomska otrzymują po 750 rb. każda, a stacya oceny nasion w Warszawie 600 rb. Prócz tego skarb wydaje 149 rb. na obserwacje meteorologiczne Zarządu dóbr państwa łomżyńsko suwalskiego. Poza ostatnią pozycyą sposób wydatkowania pieniędzy skarbowych na cele doświadczalne w Królestwie jest zupełnie odpowiedni, gdyż rządowe instytucje doświadczalne w Rosyi, na które idzie tyle pieniędzy, niewiele korzyści przynoszą. Wysokość wydatków na Królestwo jest za to nieproporcjonalnie mała.

W okręgach o znacznie mniejszym rozmiarze potrzeb rolniczych jak jeziorny (II) skarb wydaje na 3 instytucje doświadczalne 10,025 rb., w okręgu nadbałtyckim (III) na 3 instytucje (subwencye) 7,100, w okręgu IX o mniejszych też potrzebach na 8 instytucyj doświadczalnych i 9 stacyj obserwacyjno-meteorologicznych—23,638 rb., a w okręgu o niewiele większym rozmiarze potrzeb, jak zawoźński (VII), na 10 instytucyj doświadczalnych: 46,353 rb. 50 kop, w okręgu dniewprowsko - dońskim na ściśle doświadczalne instytucje w liczbie 25—36,635, a na meteorologiczne, których istnieje tam cała sieć 3,872 rb.

Widzimy z tego, że w Królestwie mamy przedewszystkiem zbyt małą ilość instytucyj doświadczalnych, głównie mało pól doświadczalnych, a przytem nasze instytucje dostają subwencye nieproporcjonalnie mizerne. W Rosyi przyjęte jest za normę, że skarb pokrywa drogą subwencji połowę kosztu utrzymania instytucyj doświadczalnych, u nas skarb ponosi zaledwie 10% budżetu stacyj, które też skutkiem tego nie mogą się rozwinąć należycie. W Rosyi stacye rolnicze otrzymują minimum po 2,500 rb. (płotniańska, władimirska) subwencyi, a dochodzi ona do 5,000 (wiat-ska); pola doświadczalne w Rosyi, które mają swoje laboratoria i odpowiadają naszym stacyom, dostają po 4,400 rb. jak poławskie, 5,000 rb. odeskie, 3,800 rb. chersońskie, podczas gdy nasze stacye dostają po 750 rb. Pola doświadczalne w Rosyi bez labo-

ratoryj, które stanowią niższy typ instytucyj doświadczalnych od naszych stacyj, dostają normalnie od 1,000 do 2,000 rb., a więc znacznie więcej od naszych stacyj. Niżej 1,000 rb. dostają tylko drobne pólka doświadczalne, a również obok naszych stacyj, stacya kurlandzka (600 rb.).

Przechodząc do wydatków miejscowych skarbu w zakresie bezpośredniego oddziaływania na rolnictwo, widzimy pozycye, które poddany analizie każdą oddzielnie. § 9 art. 1, 2, 3 *specyaliści i instruktorzy*: 402,110 rb. (nie licząc specjalistów niemających określonego okręgu działania, którego utrzymanie stanowi wydatek ogólnie państwowy). Z tej sumy na Rosyę poza Europejską odchodzi na 61 specjalistów 167,738 rb., pozostaje na Rosyę Europejską na 199 specjalistów i instruktorów 234,372 rb., w tem na Królestwo przypada 2 specjalistów i 1,100 rb., to jest 0.47% czyli 15 razy mniej w stosunku do potrzeb. Widzimy zatem, że co do specjalistów Królestwo jest szczególnie upośledzone, więcej niż w niektórych innych zakresach, już rozpatrzonych. W okręgu wołzsko-dońskim (X), który co prawda ma większy rozmiar potrzeb rolniczych niż Królestwo, widzimy poważną liczbę specjalistów i instruktorów 45 (nie licząc agronomów ziemskich też bardzo licznych w tym okręgu). W okręgu o mniejszych potrzebach jak stepowy (IX) widzimy specjalistów-20, w jeziorowym o znacznie mniejszych potrzebach—23. Pozycye dla specjalistów w Królestwie stanowią subwencye skarbu (w wysokości 50%), na utrzymanie instruktorów mleczarskich przy Towarzystwie rolniczym lubelskiem 500 rb. i przy Towarzystwie mleczarskiem w Warszawie 600 rb. Tego rodzaju subwencye są wydawane jeszcze tylko w trzech wypadkach w całej Rosyi, poza tem wydatki skarbu na specjalistów stanowią całkowity koszt ich utrzymania (pensyi), a często całkowity koszt ich przejazdów na miejsce.

Niewątpliwie wydawanie subwencji na utrzymanie specjalistów jest bardziej właściwym sposobem okazania pomocy, niż więcej kosztowne utrzymanie specjalistów ze skarbu. Nibyto podług instrukcyi specjaliści powinni stosować się do wskazówek miejscowych ziemstw i towarzystw rolniczych, ale jednocześnie zawiadują nimi i inspektorzy rolnictwa, kończy się więc tem, że taki instruktor, to przedewszystkiem urzędnik i często niema co robić. Dopominają się o nich ziemstwa w Rosyi, bo to ich nie kosztuje, i jedyne zabezpieczenie istotnego pożytku instruktorów na miejscu ich działalności, jest to zupełne ich uzależnienie od miejscowych instytucyj.

W Królestwie instruktorów mamy przedewszystkiem zbyt mało. Pole to było z naszej strony zupełnie zaniedbane. Obawiano się zapewne, ażeby w postaci instruktorów nie otrzymać nowego typu urzędników. Ale forma subwencji, którą departament uznał za właściwą w zasadzie, doskonale się do naszych warunków nadawać może.

Przy pomocy instruktorów pod kierownictwem i przy udziale inspektorów oraz przy pomocy ziemstw i towarzystw rolniczych departament stara się oddziaływać na różne strony życia rolniczego i w tym celu służyć mu następujące kredyty:

§ 11 art. 1, 2, 3, 5. *Rozpowszechnianie nasion* (głównie roślin pastewnych), nawozów, sadzonek owocowych i szczepów winnych. Do budżetu na 1909 r. wniesiono sumy: 132,000 rb. i 81,040 rb. 77 kop. Ponieważ dane szczegółowe mamy co do oddzielnych podziałów tej sumy, to za 1908, to za 1909 rok—dla rozbitcia jej na kategorie otrzymujemy 126,944 rb. 83 kop. Z tego przypada na urzędników departamentu 62,062 rb. 61 kop., na ziemstwa 51,869 rb. 90 kop., na towarzystwa rolnicze 7,793 rb. 7 kop., na osoby prywatne 476 rb. 76 kop., na szkoły początkowe i pułki wojskowe 4,322 rb. 1 kop. i niewiadomego przeznaczenia 422 rb. 48 kop. Widzimy zatem, że ziemstwa obok urzędników departamentu są traktowane dość poważnie, jako organy rozpowszechniania nasion. Natomiast towarzystwa rolnicze są zupełnie upośledzone, jakkolwiek zdawałyby się być najwłaściwszymi organami dla tego celu. Towarzystwa rolnicze otrzymują nasion do rozpowszechniania i zasiłków na ich rozpowszechnianie na sumę niewiele większą, niż szkoły początkowe i pułki wojskowe.

W Królestwie z powyższych kredytów widzimy 109 rb. (w 1908 r.) na rozpowszechnienie sadzonek owocowych wśród ludności i 400 rubli (w 1909 r. i 1908) na zaopatrywanie szkół ludowych w sadzonki drzew owocowych. Obydwa te kredyty są w ręku miejscowych zarządów dóbr państwa. Towarzystwa rolnicze u nas zupełnie z pozycji kredytowych na rozpowszechnienie nasion nie korzystają, jakkolwiek właśnie u nas powinny one być uwzględniane nie tylko jako towarzystwa, ale również jako jedyne organy mogące zastąpić ziemstwa w Rosyi.

Z pośród kredytu na rozpowszechnianie nasion 17,323 rb. 88 kop. przypada na Rosyę poza Europejską, a na Europejską 109,620 rb. 95 kop. Suma 509 rb. na Królestwo stanowi 0.47%.

Nasuwa się przypuszczenie, że rozpowszechnianie bezpłatne nasion i sadzonek jest potrzebne, być może, w okolicach bardzo mało kulturalnych i że z tego względu Królestwo jest tak pomi-

nięte. Tymczasem widzimy, że w okręgu z kulturą rolną dość rozwiniętą, jak zadnieprowski (VIII) idzie na ten cel 5,764 r. 96 kop., przeto 10 razy więcej, jak na Królestwo.

Na *rozpowszechnianie ulepszonych narzędzi rolniczych* (§ 11 art. 2), jako to: narzędzi do czyszczenia zbóż i nasion, siewniki rządowe, siewniki do nasion pastewnych, instrumenty ogrodnicze, na urządzenie konkursów maszyn oraz na składy z maszynami rolniczymi, bądź to skarbowe, bądź na subwencye dla drobnych towarzystw rolniczych na urządzenie składów, wniesiono do budżetu 1909 r. 90,810 rb., wydatkowano w 1908 r. 75,359 rb. 9 kop. Ostatnia cyfra służyć nam będzie do podziału na kategorie. Na instytucyje rządowe przypada 13,141 rb. 39 kop., na ziemstwa 22,570 rb. 19 kop., na towarzystwa rolnicze 38,981 rb. 64 kop., na osoby prywatne 665 rb. 87 kop. Widzimy zatem, że co do narzędzi rolniczych sposób postępowania departamentu jest znacznie bardziej prawidłowy, niż przy nasionach: przewagę mają towarzystwa rolnicze, jako organy ze specjalną kompetencyą i przytem znajdujące się wszędzie w Rosyi, dalej ziemstwa, a na końcu urzędy państwowe. Na Rosyę Europejską przypada 70,743 rb., a z tego na Królestwo ani kopiejki. Tymczasem wśród wyliczonych pozycyji są takie, któreby doskonale do naszych warunków dały się zastosować, jako to: na urządzenie konkursów maszyn rolniczych (w budżecie 1909 r.—13,000), subwencye drobnym towarzystwom rolniczym (kółka i spółki), na urządzenie składów z narzędziami rolniczymi (w budżecie 1909 r.—25,000). Ponieważ wogóle wydatki departamentu na rozpowszechnianie narzędzi idą głównie do rąk towarzystw rolniczych, więc pominięcie naszego kraju, gdzie towarzystw nie brak, jest w tym względzie zupełnie nienormalne. W okręgu o względnie wysokiej kulturze, jak zadnieprowski (VIII) widzimy pozycyję 5,908 rubli; z tego sądzić możemy, że tu nie o kulturalność okręgu idzie przy jego pominięciu.

Na *hodowlę inwentarzy i gospodarstwo mleczne* podług § 11 art. 3 wniesiono do budżetu na 1909 r. (z wyjątkiem pozycyji ogólnie państwowych) 166,000 rb., z tego na Rosyę Europejską 157.752 rb. 55 kop. Z tego przypada na Królestwo 104 rb. 85 k. na demonstrowanie narzędzi mleczarskich (lubelskiemu towarzystwu rolniczemu).

Suma dla Królestwa stanowi 0.06%, to jest przeszło 100 razy mniej od stosunkowych potrzeb Królestwa, gdyż śmiało twierdzić możemy, że jeżeli w zakresie nasion i narzędzi Królestwo stoi wyżej od Rosyi, hodowla włościańska, o którą idzie, wyżej nie

stoi i potrzeby jej mierzyć należy ogólną skalą potrzeb rolniczych okręgów. Wydatki skarbu na cele hodowli stanowią pozycye, które doskonale nadają się do zastosowania w naszym kraju i głównie z nich, to 97,000 rb., przeznaczonych na subwencye dla ziemstw, towarzystw rolniczych (kółek) i osób na zakup i utrzymanie stadników rozplodowych. Wprawdzie inna pozycya dość znaczna 50,000 rb. na zakup rasowych rozplodowców do rządowych zakładów rolniczych nie potrzebuje u nas mieć zastosowania, ale za to skorzystać moglibyśmy, jako z precedensu, że departament wydaje 6,000 rubli rocznej subwencji zakładowi hodowli koni w Torgel, utrzymywanemu przez szlachtę nadbaltycką dla celów ulepszenia miejscowej hodowli. Z kredytu na subwencye dla stacyj rozplodowców w 1908 r. poszło na jeden tylko okręg dniewrowsko-doński 23,400 rb., a na okręg południowo stepowy (IX) o mniejszej skali potrzeb niż Królestwo 6,232 rb., u nas zaś nic.

Pomijam wydatki miejscowe na jedwabnictwo (16,900 rb.), jako niemające zastosowania do naszego kraju i przechodzę do wydatków na *walkę ze szkodnikami roślin rolniczych*. Według § 11 art. 5 wniesiono w tym celu do budżetu na 1909 r. 37,920 rb., z tego 23,920 rb. na walkę z filokserą, a tylko 14,000 rb. na ogólne środki walki ze szkodnikami roślinnymi. Z ostatniej sumy w 1908 r. wydane było ziemstwu tylko 100, a towarzystwom rolniczym 300 tak, że prawie całkowicie dział walki ze szkodnikami spoczywał w ręku urzędników. Według opinii Rosyan, znających stosunki miejscowe, walka ta prowadzi się fikcyjnie. Na Królestwo nie idzie ani grosza, a na Rosyę Europejską na walkę ze szkodnikami wogóle idzie wszystkiego 33,251 rb. Właściwie skarb powinien przychodzić z pomocą w walce ze szkodnikami dostarczaniem specjalistów ze swej strony do tej walki oraz dostarczaniem specjalnych środków i przyrządów. Można by zatem odnieść i nam jakiś z tej pomocy użytek, o ile i w Rosyi cała sprawa lepiej postawioną zostanie i kredyt poza filokserą 14,000 r. na całą Rosyę zupełnie niewystarczający, zostanie zwiększony. Na razie udział w tak małym kredycie dla nas w tej sprawie, bądź co bądź nie specjalnie w naszych warunkach ważnej, nie przedstawia większego znaczenia. Szczególnie walka ze szkodnikami w ogrodnictwie powinna u nas znaleźć poparcie skarbu.

Na *wystawy rolnicze* w postaci subwencji i medali wyznaczono na 1909 r. według § 11 art. 6—65,000 rb., a wydatkowano w 1908 r.—76,502 rb. 26 kop., korzystając z oszczędności innych kre-

dytów, na co i w 1909 r. rachować można. Z sumy 1908 r. na towarzystwa rolnicze przypadło 45,467 rb., czyli znaczna większość, co jest zupełnie naturalne i właściwe, na ziemstwa 17,136 r., reszta na instytucje rządowe, a właściwie na udział szkół i folwarków rządowych w wystawach rolniczych, urządzanych przez towarzystwa i ziemstwa. Znaczna część kredytów przeznaczona była na wystawy ogólnorosyjskie w Petersburgu i Moskwie mianowicie 36,729 rb. 57 kop. Zaliczam tę pozycję do wydatków ogólnopaństwowych; zostaje wówczas wydatków miejscowych 39,832 rb. 69 kop., z czego na Rosyę Europejską 38,137 rb. 69 k. na 229 wystaw, a z tego na Królestwo 440 rb. na 3 wystawy, czyli 1.1%, a więc 6 razy mniej niż stosunek naszych potrzeb by wymagał. W Królestwie otrzymały w 1908 r. pomoc trzy wystawy i to bardzo skromną, w okręgu zaś X (dnieprowsko-dońskim) 59 wystaw otrzymało 7,149 rb., w okręgu o mniejszych potrzebach od Królestwa, jak południowo-stepowy, 22 wystawy 4,749 rb. 36 kop., w okręgu o znacznie mniejszych potrzebach od Królestwa—jeziorowym (II) 30 wystaw—2,392 rb. W Królestwie widzimy przedewszystkiem zamałą liczbę wystaw. Pomoc skarbu na oddzielne wystawy miejscowe okręgowe w Rosyi nie o wiele jest większa niż w Królestwie, ale wystaw tam jest stosunkowo znacznie więcej. Właściwie nie są to wystawy, a konkursy głównie inwentarzów. U nas ten rodzaj wystaw dopiero zaczyna się aklimatyzować; powinien on i może się rozpowszechnić, idąc tym razem w ślady Rosyi.

W dziale środków oddziaływania na rolnictwo miejscowe, widzimy wreszcie w budżecie na 1909 r. ostatnią pozycję: § 11 art. 7: *subwencye dla towarzystw rolniczych* w sumie 99,721 rb. Z tego na towarzystwa ogólnorosyjskie, jako ogólnopaństwowe instytucje, idzie 50,817 rb., a na towarzystwa miejscowe 48,904 rb. Na Rosyę Europejską przypada z ostatniej sumy 37,154 rb. dla 50 towarzystw, a z tego na Królestwo—nic. Główne subwencye otrzymują towarzystwa ogólnorosyjskie, ale i towarzystwa miejscowe dla pewnych okolic państwa też z nich korzystają. Tak np. gubernialne towarzystwa charkowskie i połtawskie mają po 2,000 r., mohylowskie 1,000 rb., a kubańskie 2,500 rb. Towarzystwa o większym okręgu działalności niż gubernia mają większe subwencye np. Towarzystwo rolnicze południowej Rosyi 4,500 rb., kaukaskie 6,000 rb., moskiewskie (centralnej Rosyi) 10,000 rb. Mają subwencye dość znaczne niektóre specjalne towarzystwa, jako to: towarzystwa ogrodnicze, pszczelnicze, aklimatyzacyi zwierząt (12,000 rb.), komitet jedwabnictwa i t. p. Do naszego Centralne-

go towarzystwa rolniczego najbardziej jest zbliżone co do swojej organizacji Towarzystwo rolnicze połtawskie, które jednoczy cały szereg towarzystw rolniczych powiatowych, a te znów kółka włościańskie. Cała ta organizacja jednak idzie ospale, uczestników jest mało, własnych funduszków też prawie nic (ziemstwa dają subwencję), przytem teren działania tylko jedna gubernia, choć większa od naszych, ale znacznie mniejsza (ze 4 razy) od terenu działania Centralnego towarzystwa. Pomimo to subwencja skarbowa tego towarzystwa sięga 2,000 rb.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w Rosyi towarzystwa rolnicze mają możność otrzymywania subwencji od ziemstw i otrzymują je, a u nas nie, tembardziej nienormalnem okaże się to, że nasze towarzystwa żadnej pomocy z departamentu rolnictwa dotychczas nie doznają. Warunkiem otrzymania subwencji jest złożenie odpowiedniego sprawozdania, które wcale nie potrzebuje być drukowane, może być sobie zwyczajnie napisane. Warunek to nietrudny jest do skutecznienia i z tej racji z odpowiedniej pozycji budżetowej możnaby skorzystać.

Skończyliśmy z wydatkami znaczenia miejscowego departamentu rolnictwa, pozostaje nam rozpatrzyć także wydatki oddziałów ekonomii i statystyki (z przemysłem ludowym) oraz ulepszeń rolniczych.

Oddział ekonomii i statystyki rolniczej, prowadząc dział *przemysłu ludowego*, wniósł do budżetu na r. 1909 na mocy § 12 (rozwój przemysłu ludowego) i 13 (budowle), z wyjątkiem wydatków ogólnopañstwowych, sumę 657,366 rb., z czego 222,366 rb. przypada na szkoły instruktorów, prowadzone przez sam oddział (w tem 178,150 rubli na budowę nowych szkół), a 435,000 rb. na instruktorów, ich przejazdy i ogólne koszty (135000 r.), oraz na subwencje miejscowym ziemstwom, towarzystwom i komitetom drobnego przemysłu (300,000 rb.).

Na Rosyę Europejską przypada ogółem kredytów na drobny przemysł 613,366 rb., a na Królestwo około 12,000 (suma do tego czasu nie ustalona), czyli 2^o/₁₀₀.

Udział Królestwa w wydatkach skarbu na drobny przemysł, jakkolwiek znacznie mniejszy (przeszło 3 razy) od stosunku potrzeb rolniczych Królestwa, jest jednak o wiele większy od udziału w innych dziedzinach pomocy gospodarstwu wiejskiemu. Królestwo niewątpliwie rozwoju drobnego przemysłu ludowego potrzebuje.

Uwagi jednego z publicystów i znanych działaczy społecznych, p. Malinowskiego, że rozwój drobnego przemysłu jest

wobec rozwoju umiejętności gospodarowania na roli i intensywności gospodarstwa rolniczo-hodowlanego zbyt czyny, są chyba teoretycznym urojeniem, ale z obserwacji życia praktycznego nie mogą wypływać. Zbyt dużo jest u nas zupełnie małorolnych i bezrolnych, którzy się hodowlą i rolnictwem nie podeprą, a którym przemysł ludowy może oddać znaczną pomoc w walce o byt. Zresztą, jeżeli w Belgii istnieje przemysł ludowy dość rozwinięty (tkacki i koronkarski), co tu mówić o przeciwieństwie przemysłu ludowego i intensywności gospodarstw. Że w prowincyi czeskiej „Hanna“ radzą sobie włóścianie bez przemysłu tego, to nie dowód, by, primo, w Czechach go nie było, i secundo, żebyśmy w Polsce nie potrzebowali jego rozwoju. Przyznać należy, że była sekcyja drobnego przemysłu robiła co mogła, a dzisiejsze Towarzystwo drobnego przemysłu robi co należy, ażeby potrzebne zasilki od skarbu na rozwój drobnego przemysłu uzyskiwać.

W zakresie *melioracyj rolnych* na 1909 r. wniesiono do budżetu (§ 14) na roboty miejscowego znaczenia w Rosyi Europejskiej 588,500 rb.; z tego na Królestwo nie przypada zgoła nic. Stan ten jest oczywiście zupełnie nieodpowiedni względnie do silnie odczuwanej potrzeby u nas melioracyj, jako w kraju gęsto zaludnionym. Na okręg zadnieprowski widzimy np. 158,480 rb., choć ziemię w nim są z natury lepsze, niż w Królestwie, a ogólne warunki klimatyczno-topograficzne wcale nie gorsze. Cechą kredytów na melioracye rolne jest, że idą one na takie roboty, w których skarb w pewien sposób jest zainteresowany, to jest, które gruntów skarbowych w pewien sposób dotyczą. Ponieważ w Królestwie gruntów skarbowych wogóle jest niewiele, przeto jest formalna przeszkoda dla rozwoju melioracyj skarbowych u nas. Niemniej należy lukę, istniejącą w tym zakresie, zapełnić, do czego powrócimy w następnym rozdziale.

Zestawiając wszystkie pozycye wydatków skarbu na cele rolnicze w etacie departamentu rolnictwa z oddziałami, mające znaczenie miejscowe (a za tem z wyłączeniem wydatków charakteru ogólnopaństwowego i ogólnorosyjskiego) i jednocześnie dla Królestwa zupełnie odpowiednie — otrzymujemy następujący wykaz:

WYDATKI ZNACZENIA MIEJSCOWEGO	w Rosji Europejskiej		w Królestwie	
	Ilość in- stytucyj	Suma wydatków skarbu	Ilość in- stytucyj	Suma wydatków skarbu
1. W zakresie nauczania rolniczego	238	1,639,554.28	4	9,280
2. W zakresie doświadczeń.	132	329,251.50	4	2,999
3. „ specjalistów i in- struktorów	199	234,372	2	1,100
4. W zakresie rozpowszechnia- nia nasion	—	109,620.95	—	509
5. W zakresie rozpowszechnia- nia ulepszonych narzędzi	—	70,743	—	—
6. W zakresie rozwoju hodo- wli inwentarza i gospodar- stwa mlecznego	—	157,752.55	—	104.85
7. W zakresie walki ze szkod- nikami rolnictwa i ogrod- nictwa	—	33,251	—	—
8. W zakresie wystaw rolnicz. 9. „ rozwoju Towar- zystw rolniczych.	229	38,137.69	3	440
10. W zakresie rozwoju prze- mysłu ludowego	50	37,154	—	—
11. W zakresie melioracyj	—	613,366	—	12,000
	—	588,500	—	—
Ogółem	—	3,851,502.97	—	26,332.85

Dane co do pozycyj 1, 2, 3, 9, 10 i 11 podane są podług ścisłych danych budżetu na 1909 r., a zatem poprawianie ich na korzyść Królestwa mogłoby się odbyć najwyżej z ostatków budżetowych. Wydatki pozycyj 4, 5, 6, 7 i 8 zostają określane w każdym roku już podczas jego trwania (w pierwszej połowie), więc musiały być wzięte pod uwagę cyfry 1908 roku. W 1909 r. może udział Królestwa w czemkolwiek lepiej przedstawiać się będzie. Z danych, jakie zebraliśmy dla 1909 w zestawieniu z r. 1908, udział Królestwa w wydatkach na cele miejscowego rolnictwa w Rosji Europejskiej stanowi zaledwie 0.7%, podczas gdy rozmiar potrzeb Królestwa w stosunku do Rosji Europejskiej wyraża się procentowo 7%, a rozmiar środków dostarczanych przez rolników skarbowi bezpośrednio 40%.

Inne natomiast okręgi Rosyi Europejskiej są postawione w położeniu znacznie korzystniejszym, a mianowicie:

	Wydatki departamen- rolnictwa	Wydatki na prze- mysł ludo- wy	Wydatki na melio- racye
I. Okręgi o rozmiarze potrzeb rolni- czych większym niż Królestwo:			
1. Środkowo-wołyński (VI) . . .	324,098.50	156,000	8,300
2. Dnieprowsko-wołyński (X) . . .	430,349.57	34,660	83,992
3. Północno-zachodni (IV) . . .	214,655.13	2,510	69,125
4. Centralny (V)	456,736.68	40,650	92,316
5. Zawołyński (VII)	203,738.81	29,200	15,907
6. Zadnieprowski (VIII)	404,961.95	1,860	158,480
Królestwo Polskie	14,332.85	12,000	—
II. Okręgi o rozmiarze potrzeb rolni- czych mniejszym niż Królestwo:			
7. Wołyńsko-doński (XI)	255,425.64	48,900	12,400
8. Południowo-stepowy (IX)	325,394.06	—	28,320
9. Jeziorny (II)	226,456.54	16,500	101,000
10. Północny (I)	28,744.36	660	6,600
11. Nadbałtycki (III)	15,803.56	—	5,860

Tablica ta jest tak wymowna, że komentarzy nie potrzebuje.

III. Interesy naszego rolnictwa wobec wydatków skarbu na cele rozwoju rolnictwa miejscowego.

Mając w poprzednim rozdziale odpowiedni zebrany materiał, możemy obecnie określić, co robić należy, ażeby z wydatków skarbu na cele rolnictwa miejscowego kraj nasz mógł osiągnąć możliwie największe sumy na sprawy dla siebie najbardziej korzystne.

W dziale szkolnictwa rolniczego dla możliwości korzystnego uczestnictwa z kredytów ogólnych koniecznem jest uzyskać dwie zmiany w zakresie prawodawczym i ogólno-administracyjnym: pierwsza polega na tem, by ministrowi rolnictwa wolno było tak, jak ministrowi oświaty i finansów, zezwalać na szkoły z językiem wykładowym polskim. Dziś to niema miejsca; odpowiednia akcja parlamentarna jest potrzebą pilną.

Druga konieczna zmiana zasadnicza w praktyce administracyjnej ministerjum rolnictwa do nas stosowana jest, by ministerjum nie uważało za niezbędną warunek dla udzielenia subsydyum—prowadzenia wykładów w języku rosyjskim. O ileby ta zasada okazała się niemożliwą do zniesienia całkowicie, trzeba by dążyć do jej złagodzenia tak, żeby nie stosowała się ona przynajmniej do niższych szkół rolniczych, jako służących potrzebom praktycznym samego ludu miejscowego w zakresie jego życia czysto miejscowego.

O ile jednak, jak dziś, niższe szkoły rolnicze na subsydyja rządowe rachować nie mogą, należy zakładać przeważnie kursa praktyczne, bez charakteru szkolnych wykładów. Kursa takie mogą się stosować zarówno do rolnictwa, jak i do oddzielnych specjalności: kontrola obór, montowanie maszyn, dozór meljoracyjny, ogrodnictwo i t. p. W każdym wypadku należy się zwracać o subwencję skarbową, gdyż na takowe kursa w Rosyi asygnowane są znaczne fundusze (pod postacią kredytu na kursa, a także pod postacią kredytu na praktyczne szkoły rolnicze, które przeważnie są pewnymi tylko kursami). Wysokość kredytów skarbowych na szkoły i kursa równa się zwykle wysokości honoraryum personelu nauczającego, tak, że na instytucye, urządzające takowe, spadnie zaledwo koszt lokalu, oświetlenia i t. p. Mogą występować o zasiłki skarbowe nie tylko towarzystwa rolnicze, ale i osoby prywatne, podejmujące się prowadzenia kursów. Tak np. pan Laas z Dorpatu otrzymał subsydyum osobiście (250 rubli) na urządzenie kursu rolniczego 2-tygodniowego podczas wystawy w Dorpacie.

W zakresie rozwoju instytucyj doświadczalnych najważniejszem jest dla nas, ażeby jaknajprędzej wyszło nowe prawo o stacyach doświadczalnych, w którym ma być określony proporcjonalny udział skarbu w budżecie wydatków stacyj. Do tego czasu należy stacyom istniejącym domagać się zwiększenia subwencji na zasadzie szczegółowych i dobrze umotywowanych sprawozdań z działalności i również szczegółowych planów rozszerzenia działalności przy pomocy zwiększonych subwencji skarbowych. Prócz tego należy zakładać pola i półka doświadczalne przy każdym towarzystwie okręgowem, a nawet przy oddzielnych kółkach. Na wynagrodzenie dozorującego takim polem należy żądać subsydyum skarbowego. Inspektor pola doświadczalnego mógłby być jednocześnie sekretarzem i instruktorem towarzystwa. Byłoby to ogromnem ułatwieniem dla tych towarzystw okręgowych, których środki nie wystarczają na posiadanie własnego osobno płatnego instruktora, a bez takiego fachowca żadne towarzystwo normalnie

funkcyonować nie może. Otrzymanie zasiłku skarbowego w wysokości 1000 rb. na inspektora pola doświadczalnego (zawiedującego), pozwoliłoby każdemu towarzystwu okręgowemu posiadać fachowca na swoje usługi.

Możliwym jest również otrzymanie subwencji skarbowej na prowadzenie systematycznych doświadczeń z nawozami sztucznymi. Doświadczenia te są prowadzone u nas do tej pory bardzo luźnie i wyniki ich bądź co bądź są chaotyczne. W razie wypracowania i gotowości wykonania systematycznych prób w tym względzie skarb powinien przyjść z pomocą u nas, gdyż jej w Rosyi nie odmawia (gub. Jekaterynosławska otrzymuje ze skarbu 9000 rb. na ten cel, przyczem ziemstwo ze swej strony ma wydać 14,000).

W zakresie specjalistów i instruktorów powinniśmy szeroko skorzystać z możliwości otrzymywania kredytów na tę niewątpliwie jedną z najbardziej korzystnych pomocy. Widzimy, że departament rolnictwa wydaje subsydia towarzystwom rolniczym w wysokości połowy kosztów utrzymania specjalistów, przytem przyznanem to zostało nietylko towarzystwu, ale i stowarzyszeniu. Należy się tylko zwracać do departamentu jaknajczęściej nietylko o subsydia dla instruktorów mleczarskich, ale i co do instruktorów ogólnie rolniczych, ogrodniczych, oraz co do specjalistów np. od uprawy buraków u włościan, od uprawy łąk, od uprawy lnu, hodowli inwentarza, hodowli drobiu, entomologii. Należy w każdym oddzielnym wypadku wykazać, że dana specjalność ma szczególne znaczenie dla miejscowości, że towarzystwo upatrzyło sobie specjalistę czy instruktora i że brakuje mu tylko środków. Co do instruktorów departament przyznał połowę kosztów towarzystwom, które się o zasiłek zgłosiły; co do specjalistów powinien przyznać większy procent (75%), gdyż takowi muszą być drożej opłacani. Pod specjalistą rozumie się fachowca, wyspecjalizowanego, z wyższem wykształceniem, pod instruktorem — wyspecjalizowanego fachowca ze średniem wykształceniem.

Z kredytów na rozpowszechnianie nasion powinny korzystać nasze kółka rolnicze, zwracając się o partye różnych nasion, głównie traw do obsiewu łąk, o które u nas trudno i które są bardzo drogie. Obsiew łąk jest konieczną w naszym kraju kulturalną melioracją, jest to jednak czynność, wymagająca znacznej umiejętności i powinna być odpowiednio pokierowana. Przy istnieniu w kraju specjalisty dla uprawy łąk, mogłoby być pożytecznem otrzymywanie nasion od departamentu. Wogóle jednak kredyt

na rozpowszechnianie nasion pastewnych składa się z bardzo drobnych pozycji, o które zachód może się często nie opłacać. Oczywiście, że należałoby się domagać, ażeby kredyt 509 rb. na sadzonki drzew owocowych, który jest dziś w rozporządzeniu Zarządów dóbr państwa w Królestwie, przeszedł w ręce naszych towarzystw rolniczych i został przytem powiększony.

Z kredytów na rozpowszechnianie maszyn i narzędzi rolniczych powinny skorzystać w większym jeszcze stopniu, niż z poprzedniego, nasze spółki i kółka rolnicze włościańskie, gdyż w Rosyi te kredyty służą właśnie głównie dla drobnych włościańskich towarzystw rolniczych. Powinny się zatem zwracać kółka i spółki o nadsyłanie im z departamentu siewników rządowych do zbóż, ze wskazaniem w podaniu jakiej firmy i jakiego kalibru, tryerów do czyszczenia zbóż, młynków do zbóż i nasion i t. p.

Jeszcze większą uwagę należy zwrócić na konieczność skorzystania z kredytu na rozwój hodowli inwentarzy, mianowicie z kredytu (97,000 na 1909 rok) na utrzymanie drobnych stacyj z buhajami. Departament rolnictwa zamierza nie rozpraszać na drobne pozycye tego kredytu, tak, jak to ma miejsce z poprzednio wyliczonemi, wydawać go tam, gdzie będzie widział pewną planową akcyę w kierunku masowego ulepszenia hodowli. Z tego względu o ten kredyt nie powinno się zgłaszać każde kółko osobno (jak to mogą robić co do nasion i narzędzi), ale tylko albo towarzystwa okręgowe, albo centralne. Przytem konieczne jest opracowanie planu poprawy rasy bydła w całej oddzielnej miejscowości i pokrycia jej siecią stacyj buhajów. Na tak opracowany plan skarb pomocy odmówić nie powinien. Oczywiście, najpierw należy żądać subsydyum na specjalistę hodowlanego, który byłby w stanie taki plan opracować. Subsydyja skarbu w razie przedstawienia planu są dość znaczne: właściwie skarb bierze na siebie koszt kupna stadnika, który pozostaje stadnikiem rządowym, oraz koszt utrzymania, odejmując opłatę za pokrywanie krów. Dla nas byłoby bardziej odpowiedniem być mniej od skarbu wymagającymi i zadowolniać się subsydyami na zakup stadników i na ich utrzymanie. Dziś już skarb przyznaje w Królestwie niewielkie subsydy na demonstrowanie narzędzi mleczarskich (104 rb. 85 k.). Otrzymało je lubelskie towarzystwo rolnicze, które wogóle umiało pierwsze z prowincjonalnych towarzystw wyrobić sobie u departamentu różne zasiłki. Z przykładowej subwencji skarbowej na stadniny koni w Torgel, w prowincjach nadbałtyckich, możeby się u nas dało skorzystać i uzupełnić usługi, jakie stadnina w Janowie oddaje naszej hodowli przez wytworzenie stacyj z ogierami

zimmokrwistemi dla hodowli koni wśród włościan. Można by w tym celu żądać oddania specjalnemu towarzystwu jakiego folwarku rządowego i tam taką stadninę dla stacyj z ogierami przy pomocy subwencyi skarbowej założyć.

Z kredytów na walkę ze szkodnikami roślinnymi moglibyśmy odnieść korzyść najprędzej w zakresie ogrodnictwa, gdzie osobne substancje i narzędzia w walce ze szkodnikami odgrywają dużą rolę. Co do wystaw rolniczych powinien się u nas rozpowszechnić typ drobnych pokazów inwentarza i wystaw na małą skalę urządzanych. Takie wystawy organizowało w swoim czasie po całym kraju w latach 1859 i 1860 były wielkie Towarzystwo Rolnicze. W ostatnich latach nastąpił błędny okres u nas w organizacyi wystaw prowincjonalnych: starały się one o przypływ gości z całego kraju, o ściąganie tłumów, chciały uderzać w oczy widzów czemś osobliwem i, oczywiście, stanowiły zbyt drogą zabawę. O ile będziemy urządzali wielką ilość pokazów, zamiast wystaw, potrafimy lepiej skorzystać z kredytu na wystawy; należy tylko za każdym razem zwracać się do departamentu o subwencye.

Wreszcie co do subwencyj dla towarzystw rolniczych można by zrobić też pewne kroki próbne, by z nich mógł skorzystać. Dotychczas jedyny warunek przy uzyskiwaniu subwencyj na rozwój towarzystw jest to składanie sprawozdania, choćby zwykłego piśmiennego. Warunek to bynajmniej nie uciążliwy. Wobec tego jednak, że leży nie wyzyskanych tyle innych przedmiotów specjalnych dla uzyskania subwencyj, sędzę, że narazie byłoby zbytęcznem zwracać się o subwencyę na ogólny rozwój naszych towarzystw rolniczych.

W dziale przemysłu ludowego, jak zaznaczyłem, zrobiono z naszej strony odpowiednich starań więcej, niż w jakimkolwiek innym i wyniki ich dają korzystniejszy rezultat dla naszego kraju, jakkolwiek i tu udział Królestwa w zasiłkach skarbu jest znacznie mniejszy, niżby należało. Cała praca dla rozwoju drobnego przemysłu w naszym kraju jest dziś skoncentrowana w jednym Towarzystwie przemysłu ludowego, które każdej potrzebie stara się czynić zadość, każdą myśl podchwycić i urzeczywistnić i na nią odpowiednie środki wynaleźć. Należy przeto, ażeby nasze kółka i towarzystwa rolnicze zwracały się do tego Towarzystwa z zapotrzebowaniem instruktorów, warsztatów, organizacyi zbytu towarów i t. p. O ile inicjatywa naszego społeczeństwa w zakresie urzędzeń sprzyjających rozwojowi przemysłu ludowego się wzmoże, Towarzystwo rzeczone będzie mogło w odpowiedni spo-

sób skorzystać z tego, że wydatki na cele przemysłu ludowego w Rosyi są łatwiejsze w zasadzie do uzyskania niż na inne przedmioty.

W zakresie melioracyj rolnych, na które dziś w Królestwie nic ze skarbu nie idzie i nigdy nie szło, należy obmyśleć sposoby skorzystania z odpowiednich funduszków skarbowych. Pomoc skarbu w tym zakresie objawia się w rozmaity sposób. Po pierwsze oddział melioracyjny przy ministerjum rolnictwa wykonywa plany robót dla celów prywatnych po cenie bardzo przystępnej. Pomimo to jednak mało kto z tego nawet w Rosyi korzysta, bo choć cena jest niby nie wielka, nie jest dużo mniejsza, niż w naszych biurach melioracyjnych. Prócz tego w oddziale melioracyjnym rządowym jest przyjęty system wadliwy, że studia sytuacyjne robi technik osobny (z płacą 2 rubli dziennie, więc technik mało-wartościowy), a plan osobni inżynierowie, wreszcie plany rządowe do tej pory nie wyrobiły sobie odpowiedniego zaufania co do ich praktyczności i tanioci w wykonaniu.

Druga forma pomocy skarbu w melioracjach, to dostarczanie planów bezpłatnie dla włościan. Z tej pomocy najlepiej jest korzystać w związku z kredytem melioracyjnym, ale takowy jest dostępny tylko przy tak zwanej „krugowej poruce“ czyli w zastosowaniu do nas przy uchwale gromadzkiej o solidarnej odpowiedzialności. Ten warunek ma być zmieniony w związku z nową tendencją indywidualistyczną w polityce agrarnej rządu rosyjskiego i wówczas nasi włościanie będą mogli korzystać zarówno z kredytu melioracyjnego rządowego niskoprocentowego, jak i z planów rządowych za darmo. Dziś z kredytu włościanie nasi korzystać nie mogą, a folwarkom się nie opłaci korzystać (przy 4% trzeba mieć hypotekę czystą i trzeba czynić specjalne starania w Petersburgu). Z planów rządowych bezpłatnych, o ile wiem, skorzystali włościanie gminy Sztabin, którzy mają swój fundusz na dokonanie robót melioracyjnych na swoich łąkach (z zapisu hr. Brzostowskiego).

Główny sposób skorzystania z wydatków skarbu na cele melioracyjne jest to przeprowadzenie kosztem skarbu robót melioracyjnych na większą skalę (w naszych warunkach osuszenie) w miejscowości, w której znajdują się większe dobra skarbowe, przy czem udział w kosztach robót spada na miejscowych właścicieli ziemskich i włościan o tyle tylko, o ile życzą sobie oni specjalnych odnóg kanałowych, do ich gruntów wyłącznie prowadzących, czyli o ile potrzebują uzupełnienia sieci kanałowej. W ten sposób kanały główne, zasadnicze, spadają na koszt skarbu, niezale-

źnie od tego, czy przylegają do nich grunta prywatne, czy włościańskie, a koszt kanałów bocznych spada na właścicieli i włościan w miarę tego tylko, o ile przez ich grunta przechodzą i na ich życzenie są wykonane; koszt kanałów bocznych na życzenie strony wykonanych dopóki nie sięgają jej gruntów, nie spada na nią. Są to warunki bardzo dla właścicieli i włościan dogodne, dla ostatnich mogą one być jeszcze dogodniejsze, gdy, jak na Polesiu np., oznaczono koszt kanału na jednego gospodarza ryczałtem w sumie rubli (parę rubli zwykle) znacznie mniejszej od kosztu, który się później okazywał. Dlatego jednak, by takie roboty mogły być prowadzone bez udziału funduszków miejscowych z góry zabezpieczonych (w Rosyi ziemstwa), potrzeba takich sprzyjających warunków, by w okolicy, podlegającej melioracji, znajdowały się obszernie terytoria dóbr skarbowych, dla których dana melioracja może być uznana za pożyteczną. W takim szczęśliwym położeniu są w Królestwie przedewszystkiem okolice puszczy kurpiowskiej. Należałoby się przekonać, czy i więcej ich się nie znajdzie. O ile okolica odpowiada wspomnianym warunkom, należy na mocy odpowiednich uchwał miejscowych towarzystw rolniczych, a głównie gromad wiejskich—gmin, zwracać się do Oddziału ulepszeń rolniczych (ziemielnych uluczszonij).

Oto szereg wskazówek praktycznych, które starałem się wysnuć z tych materiałów, jakie miałem pod ręką przy pracy nad etatem departamentu rolnictwa. W tym etacie rażącem jest zaniedbanie Królestwa i jeżeli nie zawsze ma ono miejsce z naszej winy (np. nie udzielanie pozwoleń i subsydyj na szkoły rolnicze polskie i małe subwencye na istniejące stacye doświadczalne), to w znacznym stopniu jest ono wywołane brakiem z naszej strony czynienia odpowiednich kroków, ażeby odpowiednie subwencye, albo odpowiednią działalność (melioracye) w naszym kraju wywołać. Chciałem przeto podać wskazówki, jak uzupełnić te braki z naszej strony, biorąc pod uwagę, żeby z tego nie wypływały jakie uboczne, dla nas niepożądane skutki. O ile jednak trzymać się będziemy tej metody działania, że (poza melioracyami) w zakresie właściwego rolnictwa zwracać się będziemy wyłącznie o subwencye—niepożądanych skutków nie widzę. Jeden musimy przytem spełnić z naszej strony warunek: czynić dobrze opracowane obszernie przedstawienia i posyłać równie obszernie sprawozdania. Z różnych stron Rosyi zarzucają departament papierami: przywykł on do tego, bo jest to ogólną całej Rosyi cechą—„wielka ilość zapisanego papieru (bumagi).“ U nas, w Polsce, są zupełnie innego rodzaju tendencye umysłowe, bardziej klasyczne, da-

żące do ścisłości i zwięzłej jasności. Ale w tym wypadku musimy się nagiąć do umysłowości rosyjskiej i „bunagi“ nie żałować.

W szkicu powyższym poza wskazówkami praktycznymi zwróciłem uwagę również na to, że koniecznem jest usunąć parę przeszkód prawnych i praktyk administracyjnych, uniemożliwiających nam korzystanie z wielu ważnych działów zasiłków skarbu na cele rolnictwa (w szkolnictwie). Usunięcie to oczywiście musi być zadaniem poselstwa polskiego.

Poza takimi częściowymi reformami w sposobie działania departamentu rolnictwa posiada zasadnicze znaczenie dla naszego kraju reforma całego departamentu w związku z reformą Ministerjum Rolnictwa (które dziś się zowie „Głównoje uprawlenie ziemleustrojstwa i ziemledielja“). Jest to ten dział w wyższym Zarządzie państwowym, który prędzej od innych powinien uleść decentralizacji przez zespolenie jego miejscowych organów z ziemstwami i towarzystwami rolniczemi. Konieczność takiej reformy rozwinąłem w osobnym referacie, dołączonym do prac komisji budżetowej w drugiej izbie państwowej przy budżecie na rok 1907. Przy budżecie r. 1908, jako referent komisji budżetowej co do etatu departamentu rolnictwa, podkreśliłem konieczność zespolenia z miejscowymi organizacjami rolniczemi (ziemstwami i towarzystwami rolniczemi) inspektorów rolniczych z uzależnieniem ich od tych organizacyj, przekazania samorządowi średniego i niższego wykształcenia rolniczego, wreszcie oparcia na wyborach miejscowych rady rolniczej przy Ministerjum. Jako referent tegoż departamentu na 1909 r., przeprowadziłem uznanie konieczności, by w ziemstwach i towarzystwach rolniczych koncentrowała się głównie cała działalność rolnicza, oraz by rząd przedewszystkiem okazał swą czynność na polu rozwoju rolnictwa popieraniem tych organizacyj subsydjami. Na powyższe postulaty były i obecny ministrowie rolnictwa się zgodzili w zasadzie, a jednocześnie opracowywano w Ministerjum projekt jego całkowitej reorganizacji, który miejscowe organy departamentu ma stawiać w związku i w zależności od pewnych ciał kolegialnych, w skład których wchodziłoby w znacznej części działacze miejscowi, pochodzący z wyborów organizacyj miejscowych. O ile ostatnia zasada byłaby w rzeczywistości w projekcie rządowym przeprowadzona, wówczas niewątpliwie miejscowe organy Ministerjum Rolnictwa mogłyby się stać poważnym punktem oparcia dla rozwoju miejscowej działalności na korzyść rolnictwa zwróconej. Z takiej reformy nasz kraj na równi z innymi miejscowościami niezmiernie wiele skorzystał.

Dziś ze wszystkim trzeba się zwracać bezpośrednio do Petersburga. Miejscowe organy Ministerjum są właściwie tylko zarządami dóbr państwa (głównie lasów); ich opinia jest w każdej sprawie potrzebna i pożyteczna; trzeba się z nimi rachować i nie należy ich pomijać; ale przy najlepszej woli same one nic nie są w stanie pomódz. Dopóki Ministerjum Rolnictwa nie ulegnie reformie, sporo jeszcze i w dzisiejszych ramach pozostaje nam do robienia. Prace to drobiazgowy, kłopotliwe, wymagające dużo zastanawiania się nad każdym szczegółem, obmyślania go i dużo pisaniny, ale bez ciężkiej pracy bądźmy przekonani, że w żadnym zakresie nie wyrobimy sobie lepszego jutra.

WŁADYSŁAW GRABSKI.

PIŚMIENNICTWO.

IGNACY KRASICKI. *Satyry i Listy*. Wydanie krytyczne Ludwika Bernackiego, z 11 podobiznami. Lwów 1908. Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. 8-o, str. 252.

Literatura nasza po dziś dzień nie posiada zupełnych i krytycznych wydań dzieł wielu najwybitniejszych swoich przedstawicieli. Dość powiedzieć, że nie mamy kompletnego i sumiennie opracowanego zbioru utworów Mickiewicza; wzorowe wydawnictwo dzieł autora „Pana Tadeusza,” rozpoczęte przez Towarzystwo in. A. Mickiewicza we Lwowie, posuwa się bardzo powoli i obejmuje dopiero kilka tomów; pisma Słowackiego i Krasińskiego w ostatnich zaledwie czasach ukazały się w edycjach kompletnych, aczkolwiek niedorównywających wzorom wydawniczym w literaturze zachodnio-europejskiej. Z pisarzy dawniejszych jedynie Kochanowski i po części Potocki uczeni zostali wydaniem zupełnym dzieł.

Prawdziwą zasługą zaszczytnie znanego historyka literatury naszej, p. Ludwika Bernackiego, jest pierwsze krytyczne wydanie „Satyr i listów“ Ignacego Krasickiego. Praca p. B., umiejętna i ścisła w najdrobniejszych szczegółach, nie pozostawia nic do życzenia i może służyć za wzór sumienności i metody.

Wydawca opierał się na tekstach autentycznych, drukowanych za życia Krasickiego, uwzględnił nadto własnoręczne tegoż rękopisy, przechowywane w Ossolineum we Lwowie, w bibliotece ks. Czartoryskich w Krakowie i bibliotece uniwersyteckiej w Warszawie, następnie zestawił odpisy sporządzone pod okiem autora „Pana Podstolego,” wreszcie druki, nie mające wprawdzie powagi autentyczności, lecz ogłoszone przed r. 1801, t. j. przed śmiercią Krasickiego, oraz pierwsze zbiorowe wydanie „Satyr i listów,”

dokonane w 1802 r. przez F. K. Dmochowskiego, na podstawie rękopisów i na zlecenie samego autora.

Obok dokładnie sprawdzonych tekstów wydawca wydrukował w przypisach wszystkie warianty, dające niesłychanie obfity materiał dla przyszłych badaczy twórczości Krasickiego. W wydaniu obecnem poraz pierwszy również ogłoszone zostały z rękopisów dwie niedokończone satyry z r. 1781: „Czy dobrze ten uczynił w Atenach szalony“ i „Mąż;“ w pierwszej w szeregu typów zaobserwowanych z życia przedstawia autor z właściwą sobie łagodną ironią i humorem pustkę i marność zabiegów ludzkich, w drugiej ośnieszka mężów-samolubów, tyranizujących żony i ubiegających się tylko o ich posagi.

Książkę zdobią podobizny kart tytułowych i tekstowych pierwszych wydań „Satyr“ z r. 1779, „Wierszy“ z r. 1784, „Listów i pism różnych“ z r. 1788, oraz *facsimila* paru rękopisów Krasickiego.

H. M.

Dr. L. KOLANKOWSKI. *Kościół a Cerkiew w Galicyi wschodniej*. Kraków 1909. 8-o, str. 15 i mapa kościelna Galicyi wschodniej. Wydawnictwo „Świata słowiańskiego.“

Dla bezstronnego oświetlenia stosunków narodowościowych w Galicyi wschodniej i przedstawienia faktycznego stanu rzeczy bez uprzedzeń stronniczych, niezbędną jest potrzebą zgromadzenie możliwie najdokładniejszych danych statystycznych, bez których żadne wnioski nie będą mieć powagi autentyczności.

Opierając się na źródłach urzędowych, dr. Kolankowski przedstawił w swej broszurze stosunki kościelne obu wyznań na terytorjum galicyjskiem. Wyniki badań autora są następujące: Cerkiew ruska jest o wiele bogatsza, niżeli kościół polski, gdyż uposażenie w ziemi parafij ruskich przedstawiało wartość 18,420,683 koron, parafij polskich — 10,573,794 kor.; dochód, jaki ma kler ruski ze swej ziemi, wynosi rocznie 735,143 kor., polski ma dochodu 419,730 k.; kwota, którą pobiera, jako dodatek z funduszu religijnego kler ruski, wynosi rocznie 1,622,675 kor., kler polski — 438,112 kor. Parafij ruskich w r. 1900 było w całej Galicyi 1906, polskich 904, w diecezyi rz.-katolickiej lwowskiej jedna parafia wypadła na 3726 dusz, na temże terytorjum jedna parafia ruska przypadała na 1601 dusz obrządku grecko-kat.; kościołów w tejże diecezyi w r. 1907 było 312, cerkwi zaś 1983, czyli jeden kościół

na 2663 dusze, a jedna cerkiew na 956 dusz. Liczba duchowieństwa parafialnego ruskiego w r. 1907 wynosiła w całym kraju 2566 osób, polskiego 1610; w klasztorach ruskich było 178 mężczyzn i 107 kobiet, w zakonach łacińskich 584 mężczyźni i 2272 kobiet; zdaniem autora, naród ruski ma nierównie większą korzyść z tego, iż prawie całe uposażenie cerkwi w ziemi służy na utrzymanie przeszło dwóch tysięcy duchowieństwa parafialnego i jego rodzin, aniżeli społeczeństwo polskie z ziemi znajdującej się w posiadaniu klasztorów łacińskich. Wpływ kleru ruskiego na społeczeństwo jest o wiele poważniejszy od wpływu duchowieństwa katolickiego na swych parafian, a to z tego względu, że plebanie ruskie, zamieszkałe przez rodziny duchownych, związane węzłami krwi ze swym społeczeństwem, stanowią ważne placówki narodowe. Jedynym poważniejszym czynnikiem, osłabiającym znaczenie kleru ruskiego w Galicyi, jest prawo prebendy, przysługujące w trzech czwartych ilości parafij właścicielom ziemskim Polakom.

Reasumując powyższe dane cyfrowe, dr. Kolankowski dochodzi do wniosku, że stanowisko i znaczenie kleru grecko-katolickiego wśród społeczeństwa ruskiego jest bez porównania wybitniejsze, niżeli księży rz.-katolickich wśród społeczeństwa polskiego w Galicyi wschodniej; że duchowieństwo parafialne ruskie ma, jako całość, wobec narodu ruskiego stanowisko nierównie wpływowsze, niżli duchowieństwo łacińskie w społeczeństwie polskim; wreszcie, że cerkiew ruska przygniata swym wpływem kościół polski w Galicyi wschodniej, co się wyraża stałą utratą tysięcy jednostek ze społeczeństwa polskiego na rzecz ruskiego. Zapobiedz takiemu stanowi rzeczy może jedynie wcielenie w czyn refleksyj, jakie nasuwają cyfry przytoczone w broszurze d-ra Kolankowskiego.

H. M.

D-r HELENA LANDAU. *Zarys ekonomii społecznej*. Kraków. Spółka nakładowa „Książka.“ Składy główne: Warszawa — G. Centnerszwer i Sp., Lwów — H. Altenberg.

Autorka jest wyraźną zupełnie i zdeklarowaną zwolenniczką Marksa i w myśl jego teorii oświecła zjawiska społeczne. Nie należy jednak do tych bezkrytycznych wielbicielek, które każde słowo mistrza uznają za prawdę niezbitą. Przeciwnie, przyjmując jego stanowisko zasadnicze, w wielu wszakże rzeczach uwzględ-

nia nowsze badania naukowe i nie powtarza zbyt już widocznych błędów.

Pracę tę zapoczątkowały wykłady, jakie autorka miała w szkole robotniczej w Krakowie. Książka ta przeto nosi charakter popularny, choć jednocześnie stara się utrzymać na gruncie możliwej ścisłości naukowej. Ujnuje ona w przystępnej formie zjawiska życia ekonomicznego, szkoda tylko, że zbyt jednostronnie je przedstawia.

Całą naukę ekonomiczną dzieli p. Landau na przedmarksowską i tę, która powstała na gruncie Marksa. W pierwszej zwraca główną uwagę na socjalizm utopijny. Charakterystyka jednak tych doktryn nie jest przeprowadzona dość wyraźnie.

Wykład swój teorii materializmu ekonomicznego rozpoczyna autorka od zaznajomienia czytelnika z podstawowymi pojęciami ekonomicznymi: towaru, wartości i ceny, tak, jak je ta szkoła rozumie. Dalej mówi o znaczeniu pieniądza, jako miernika wartości.

Od tego odrazu przechodzi do sedna naukowego socjalizmu—teorii wartości dodatkowej. Niesłusznie tu pogńębia jej przeciwników, utrzymując, że wszyscy oni przypisują zysk jedynie wytwórczej sile kapitału, nie zbija zaś zupełnie twierdzenia tych, co stawiając na pierwszym planie pracę robotnika, nie zamykają jednak oczu i na pracę przedsiębiorcy. W ten sposób autorka upraszcza sobie zadanie i niewłaściwą tę metodę w wielu jeszcze miejscach stosuje, obniżając tem poziom wykładu.

Dalej mówi autorka o kapitale i jego rodzajach, o zysku, jego przeciętnych rozmiarach i stopie wyzysku, wreszcie na podstawie przeciwstawienia pracy kapitałowi przeprowadza socjalistyczny podział społeczeństwa na dwie klasy—kapitalistów i proletaryuszy.

Z dziedziny stosunków rolnych porusza p. Landau jedną jedyną tylko kwestyę renty gruntowej, by wykazać, że i tu taki sam wyzysk kapitału panuje. Nie zatrzymuje się wcale nad tą ważną bardzo stroną życia ekonomicznego, gdyż właśnie tutaj teorie marksowskie specjalnie jaskrawo nie zgadzają się z rzeczywistością. Proces proletaryzacji, głoszony przez Marksa, w dziedzinie stosunków rolniczych bynajmniej nie ma zastosowania. Klasa włościańska nie ginie, lecz przeciwnie: rozwija się i drobni posiadacze ziemscy wytrzymują konkurencyę z wielkimi obszarnikami. Bagatelizowanie wogóle chłopstwa—ta cecha znamienna socjalistów—przebija się i u p. Landau.

Ta ostatnia wogóle wybiera tylko te zjawiska, które mogą służyć za argumenty na korzyść teorii Marksa, pomija zaś zwykle te, które jej przeczą. Dowodząc, na przykład, upadku rzemiosł, przytacza cyfry dosyć tendencyjnie i wogóle operuje statystyką nie zawsze ściśle.

Specjalny rozdział poświęcony jest formom pracy i formom wyzysku. Następny daje historię rozwoju kapitalizmu. Dalej autorka wyjaśnia obszerniej charakter produkcji maszynowej. Mówiąc przy tej okazji o teoryach płac zarobkowych, znów upraszcza sobie zadanie, pomijając najważniejsze z nich i z łatwością zbijając słabsze.

W rozdziale VI wyklada autorka teorię koncentracji kapitału, mówi o jego stopniowym wzroście, o kapitalistycznej konkurencji i charakterze współczesnego popytu.

W następnym wykazuje złe strony obecnej produkcji kapitalistycznej, zatrzymuje się nad sprawą kryzysów i stara się dowieść konieczności istnienia w tych warunkach zapasowej armii robotników bez pracy.

Na korzyść autorki należy zapisać, że wbrew zwykłemu postępowaniu socjalistycznych pisarzy, zwalczających wyłącznie wyzysk przedsiębiorców, zwraca ona należytą uwagę i na wyzysk kapitału finansowego. W specjalnym rozdziale przedstawiona jest działalność banków i giełd.

Polityka handlowa i kolonialna ostatniej doby znajduje również uwzględnienie.

Kończy autorka swą książkę opisem warunków życia klasy robotniczej i charakterystyką walki, którą ta prowadzi, walki ekonomicznej i politycznej.

Autorka wykazuje wogóle duże odczytanie ekonomiczne. Nie ogranicza się jedynie 1-ym tomem „Kapitału“ Marksa, jak to zwykle czynią jego zwolennicy, lecz poznała i następne. Zna również literaturę kierunku rewizjonistycznego, choć ogromnie ją krytykuje. Nie są jej obcy też pisarze innych szkół poza socjalistyczną.

P. Landau ma dar ścisłego ujmowania rzeczy, umie konsekwentnie i logicznie wyciągać wnioski z postawionych założeń, dlatego też praca jej odznacza się dobrą konstrukcją i umiejętnie jest pomyślana.

Język książki jest żywy i jasny.

WACŁAW DUNIN.

WERNER SOMBART. *Socjalizm i ruch społeczny*. Przekład z piątego, na nowo opracowanego wydania. Lwów. Polskie Towarzystwo Naukowe.

Książka ta powstała z broszury o „Socjalizmie,” którą autor wydał przed dziesięcioma laty. Przez ten czas myśli tam zawarte rozwijały się w jego głowie stopniowo, ulegały rozmaitym zmianom, a niektóre nawet całkowicie zostały przez niego odrzucone, jako błędne. Zasadniczy jednak pogląd na istotę socjalizmu i ruchu społecznego pozostał ten sam, choć wzbogacony dłuższem doświadczeniem.

Sombart należy do t. zw. „katheder-socjalistów.” W teorii Marksa widzi konieczny produkt rozwoju kapitalistycznego społeczeństwa. W obecnem życiu społecznem jednak rozróżnia dwa kierunki: przejawy odrębności narodowej i coraz silniejsze ciążenie do jedności.

Autor dzieli swą książkę na dwie części: na socjalizm i ruch społeczny. Są to podług niego dwie wzajemnie się uzupełniające strony życia, a stosunek ich do siebie jest taki, jak teorii do praktyki.

Przez socjalizm rozumie Sombart umysłowe odzwierciedlenie współczesnego ruchu społecznego. Wszystkie teoretyczne usiłowania, zakreślające cele dążeniom proletaryatu, powołujące go do walki i starające się walkę tę zorganizować, wskazać drogę, na którejby cel ów mógł być osiągnięty, składają się, według określenia autora, na to, co nazywamy współczesnym socjalizmem. Wszystkie zaś praktyczne próby wcielenia tych myśli w czyn stanowią „współczesny ruch społeczny.” Socjalizm i ruch społeczny — powiada Sombart — mają się do siebie „jak myśl i czyn, jak umysł i ciało.”

Zadaniem książki jest zbadać wzrost tego dwustronnego zjawiska i wyświecić prawidłowość, czyli t. zw. prawa jego procesu rozwojowego.

Wskutek takiego stanowiska autor ogranicza sztucznie zakres swego badania i zajmuje się jedynie takimi dążeniami do reformy społecznej, których jawną i jedyną przedstawicielką jest klasa proletaryatu i które zmierzają do przeobrażenia społeczeństwa kapitalistycznego w socjalistyczne. Nie uwzględnia więc zupełnie żadnych ruchów, których celem jest poprawa doli klasy robotniczej w ramach istniejącego systemu gospodarczego, choć

działalność ta społeczna często większe rezultaty przynosi, niż właściwy ruch socjalistyczny.

Teorię socjalizmu zaczyna autor od krytyki t. zw. socjalizmu utopijnego. Zarzuca mu, że zanadto podlegał jeszcze wpływowi racjonalistycznej filozofii XVIII wieku. Racyonalizm uważa on za najgłówniejszą cechę socjalistów przedmarksowskich i nawet proponuje, by okres ten socjalizmu nazwać racjonalistycznym, jako lepiej malującym jego istotę, niż zwykle używane miano „utopijnego.“ Zasadniczą myślą socjalistów racjonalistycznych była wiara w uświadomienie i potęgę poznania dobra. Sądzili oni, że dość, by ludzie rozumowo doszli do przekonania, iż dzisiejszy ustrój jest złym, by natychmiast zniana jego nastąpiła.

Socjaliści racjonalistyczni nie uwzględniali wcale tego, że każdy ustrój nie jest dowolnym tworem rozumu, lecz wyrasta z rozwoju społecznego i odpowiada istniejącym w danym czasie ogólnym warunkom. Idee te podniosła szkoła historyczna. Na gruncie ekonomicznym zastosował je i zużytkował Karol Marks, wytwarzając teorię rozwoju kapitalistycznego.

Sombart z wielkiem uznaniem podnosi zasługi Marksa. Uważa, że następcy jego na polu teorii socjalistycznej albo tylko jaśniej wyrazili, albo dopełnili jedynie myśli, powiedziane w podstawowym jego dziele: „Kapitał.“

Pomimo wielkiej czci dla Marksa zdobywa się Sombart na pewną krytykę niektórych jego poglądów, które uważa już za przestarzałe. Zdaniem jego Marks przeceniał niewątpliwie tempo koncentracji kapitału. Powtóre teoria koncentracji nie da się wogóle zastosować w dziedzinie gospodarki rolnej. Nie istnieje dalej wcale ogólna tendencja do zautomatyzowania procesu produkcji. Liczba kapitalistycznych magnatów wcale się nie obniża. Teoria pauperyzacji, twierdząca, że byt proletaryatu pod panowaniem kapitalistycznego ustroju wciąż pogarsza się, jest niesłuszną, gdyż obecnie robotnik naogół ma się lepiej, niż dawniej. Odrzuca wreszcie Sombart teorię katastrofy, do jakiej ma ustrój kapitalistyczny musowo doprowadzić.

Omawiając ruch społeczny, Sombart podkreśla, że w rozmaitych krajach przybiera on odrębne rysy charakterystyczne i rozróżnia trzy jego typy. Są to typy: angielski, francuski i niemiecki.

Za zasadniczą istotę typu angielskiego należy uważać nieznaczną rolę, jaką w nim odgrywa polityczny, a zwłaszcza socjalistyczny ruch robotniczy i wyłączne zajęcie się stowarzyszeniami zawodowymi i współdziałaniem.

W typie francuskim przejawia się idea rewolucyjna starego stylu. Typ niemiecki zaś nadaje ruchowi społecznemu charakter walki prawno-parlamentarnej i politycznej w duchu Marksa.

Pomimo istnienia tych odrębnych typów autor uważa, że istnieje ogólne ciążenie do jedności. Hasło „proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się“ znajduje coraz więcej, zdaniem jego, zwolenników i coraz bardziej jest wykonywane w praktyce. Idea międzynarodowa zaczyna górować ponad właściwościami typowymi oddzielnych narodowości.

Autor przedstawia wreszcie bardzo szczegółowo ruch społeczny we wszystkich krajach europejskich.

Książka niniejsza niewiele daje nowych pojęć lub poglądów, ale przedstawia wartość, jako ujęcie całokształtu ruchu socjalistycznego i jego teorii.

W. D.

STANISŁAW OSADA. *W Dniach Nędzy i Zbrodni.*

Literatura polsko-amerykańska przechodzi obecnie pierwszą fazę swego rozwoju. Dziennikarstwo, zapożyczony formę amerykańskich gazet, główny nacisk kładzie na szybkość informacji i nosi rewolwerowy, dorywczy charakter. Beletrystykę stanowi przeważnie przedruk europejsko-polskiej literatury, z dodatkiem angielskich tłumaczeń.

Dotąd jeszcze nie zdołano wytworzyć żadnego stałego kierunku w literaturze polsko-amerykańskiej, chociaż życie naszych rodaków, toczące się w dziwacznych warunkach, przemocą narzuconej nam przez Jankiesów amerykańskiej obyczajności i odmiennych warunków bytu, otoczenia i stosunków—przedstawia bogaty materiał, oczekujący na talent twórczy, któryby z pośród tego amalgamatu przedziwnie splecionych skojarzeń polskich pierwiastków i naleciałości amerykańskich, odtworzył w całej pełni to życie nasze, płynące w szerokim łożysku bujnemi falami, wchłaniające w siebie nowe prądy, na poły dzikiej, powierzchniowej, a raczej handlarskiej cywilizacji amerykańskiej, przejmowanej bezkrytycznie, z zamkniętymi oczami przez naszych rodaków niekulturalnych.

W walce, jaka się bezwiednie toczy w duszy naszego ludu o zachowanie pierwiastku polskości, przeciw amerykańskim prądom przeciwnym sumieniu i duchowi polskiemu, urabia się nowa

forma bytu, stwarzającego nowe postacie mieszańców, nowe typy, rażące nas, kulturalnych europejczyków, swoją nienaturalnością, dziwactwem i pretensjami śmiesznego indywidualizmu, jakie zwykle cechują pierwotnych dorobkiewiczów lub walczących o chleb przybyszów w obcym środowisku i w obcym kraju.

W każdym razie polsko-amerykańska literatura, jakiegokolwiek byłyby jej początki, powstała samodzielnie, a zatem i samodzielnie wyrabiać się musi; a jak dotąd stanowi ona niejako broń przeciw kosmopolityzmowi, jest ochronicielką naszej narodowości, a zatem, może z czasem osiągnąć tych wyżyn, na jakich dziś stoi nasze ojczyste piśmiennictwo. Jako objaw tej nadziei występuje powieść Stanisława Osady: „W dniach nędzy i zbrodni.“

Już z tytułowej jej karty czytelnik domyśla się treści utworu. Z ponurych mroków niedoli, z rozpaczliwej, a przeżerającej mózgi walki głodowej, z gorzkich łez i krwi, autor stworzył silny rozmachem, a wstrząsający do głębi duszy obraz niedoli i życia bez jutra naszych rodaków, podczas ogólnego przesilenia w okresie wyborczej walki. Powieść ta wzbudza tem większe zainteresowanie, że wyjściu jej z pod prasy towarzyszą niemal także same warunki bytu obecnej doby, przynoszącej z sobą jakby echa owej strasznej nędzy upamiętnionej w powieści. Bogata, przywilizowana Ameryka, chełpiąca się swoją humanitarnością, nie wynalazła dotąd sposobu do zażegnania plagi przesileni finansowych i zastoju w pracy, ani też lekarstwa przeciw katuszom głodowym.

W tem właśnie tkwi ów tragizm walki zrozpaczonego tłumu. Te wszystkie elementy, jakie w złączeniu swem przez nagromadzone bogactwa stanowią to, co zwykliśmy nazywać Ameryką rządzącą, w żadnym z krajów całego świata nie wyzyskują tak niemiłosiernie siły roboczej, nie poniewierają tak duszą ludzką i godnością robotnika wtedy, gdy ten z ich własnego wyrachowania przestaje pracować.

Tłum roboczy z chwilą, gdy wyżeniono go z obrębów fabryk, staje się zbytecznym, niepożądanym dla Ameryki; a gdy obdarty i głodny przebiega kraj w poszukiwaniu pracy i kawałka chleba, kryjąc się przed okiem władz, jak zwierzę ścigane, otrzymuje nazwę „trampów.“

W żadnym z nowożytnych języków nie znajdziemy odpowiedniego słowa tłumaczącego to potworne określenie. Bo też i niema w żadnym słowniku więcej pogardliwej, bardziej odsądzającej od praw do życia nazwy, jak to słowo „tramp,“ wzbud-

dzające w amerykańskich bogaczach-dorobkiewiczach pojęcie gnuśności, niczemności i zwyrodnienia.

Pomiędzy wiecznie uczującymi, a wygłodniałym tłumem, słowo „tramp“ wykopuje przepaść niezgłębioną.

To też w chwilach przesilenia finansowego ów tłum „trampów“, oszalałych męką głodową, bodaj za cenę krwi, pożąda tylko chleba... Bo i cóż mają owi nieszczęśliwi do stracenia wobec oczekującej ich głodowej śmierci?... Muszą walczyć o najelementarniejsze prawa swego jestestwa, nie dbając o to, zwyciężą czy zginą. Miotani wichrem losu, chłostani biczem nędzy, nieświadomi drogi idą obłądnym szlakiem, jaki im wytknie pierwszy lepszy rycerz przemysłu, żądny wrażeń i sławy „wodza“, tak jak występujący w powieści tej Rybakowski, który w głębi serca odczuwa niedolę rodaków i wierzy w swe posłannictwo. „Szał ogarnia tłumy — pisze autor — głód i nędza wypędza ludzi tysiącami z domów; polityką przedwyborczą zatruta prasa, szczuje na klasę rządzącą, bo widzi w tem zwycięstwo od kilku lat usuniętych od władzy republikanów, a partye „trampów“ rosną, jak bryła śniegu „z góry toczona.“

Prócz trampów, szukających szczęścia na własną rękę, formują się potężne partye, dochodzące do kilkunastu tysięcy głów. „Jenerał“ Coxey prowadzi tłum różnoplemienny i różnojęzyczny, a drugi oddział niemniej liczny, składający się z Polaków pozostaje pod komendą „jenerała“ Rybakowskiego.

„Jenerałowie“ dążą do Waszyngtonu, by ściągnawszy pod „sztandar nędzy i głodu“ jaknajliczniejsze rzesze, potężnym głosem wołać o chleb lub pracę wobec prezydenta, kongresmanów i senatorów. A tłumy te, przybite głodem żyją jeszcze tą nadzieją, że zostaną wysłuchane.

Już dreszcz trwogi przejmuje dusze milionerów i klasy rządzącej, lecz głodny tłum zachowuje się spokojnie. Wykolejenie pociągu przez Czotłgosza, wysuwa anarchistrę na arenę głodu, którą stanowi dziewiczy las wśród skalnych wertepów w Pensylwanii. A następnie zjawia się i Żydówka, Róża, skrajna anarchistka. Dziwna rzecz, zamiast rozpostrzeć opiekuńcze skrzydła nad swymi współwyznawcami, ze szczególniejszą zajadłością ściga wszędzie znienawidzonych przez nią i całe jej plemię Polaków, jedynie w tym celu, by popełnić do zbrodni i gwałtu, a tem samem urobić w oczach rządu i całego świata opinię nieprzychylną o nas. Usiłowania te, poparte niezwykle argumentacją płomiennych „pouczeń“, na chwilę tylko wyprowadzają polską „armię“ nędzarzy i jej wodza z równowagi.

Tu właśnie autor przeprowadza udatnie analizę psychologiczną tego zgłodniałego tłumu naszych rodaków, który umie cierpieć w milczeniu, a wzdryga się na samą myśl o zbrodni... A jeżeli pragnie i dąży do poprawy bytu to tylko drogą pokojową.

Nikczemne zamiary i plany Żydówki bezustannie zostają paraliżowane. Oto w Pensylwanii, która miała się stać, podług jej słów, obronną twierdzą rewolucyi, szeryf organizuje siłę zbrojną, by „trampom“ uniemożliwić pochód na Pittsburg, tembardziej, że policya poszukuje zbrodniarza, który spowodował wykołajenie pociągu. Zjawienie się szeryfa w takiej chwili, gdy zapasy spożywcze zupełnie się wyczerpały, było przerwaniem głodówki, bo urzędnik miejski sprowadził wozy z żywnością. „Karawanę tłum powitał okrzykami radości, błogosławiąc szeryfa i wyprawił sobie ucztę, jakiej nie było w obozie od czasu rozbitcia pociągu.“

Autor obrazowo odmalował scenę cofania się armii z terenu Pensylwanii. „Ostatnie promienie zachodzącego słońca ozłociły obdarte łachmany nędzarzy, których los zawistny rzucił daleko za morze i którym nieszczęsne przesilenie wytrąciło z rąk narzędzia pracy, podając na poniewierkę i głód. W promieniach tych atoli topiła się gorycz nędzy, a serca wezbrały tęsknotą za krajem ojczystym, tak właśnie nieszczęśliwym, jak oni... Żegnając kryjące się za górami słońce, drżącym od wzruszenia głosem zaśpiewali „Boże coś Polskę.“

A Żydówka, przekonawszy się, iż jej podszepty nie zdołały obalamucić nawet wygłodzonych, bezdomnych nędzarzy, „we wściekłej złości palcami ryła mokrą ziemię, aż ociekały krwią.“ Jeden tylko Czotgosz niewolniczo wypełnia jej rozkazy. Dlaczego? Bo wyzbył się już wszystkich cech polskości, a prócz nazwiska nic go nie łączy z tym ludem, ani nieszczęsną ojczyzną. Żydówce jednak chodzi jedynie o to, by w chwili, kiedy prezydent zaczyna zwracać coraz więcej uwagi na Polaków i wogóle na sprawę polską, kiedy może już zbliża się ten czas, że Stany Zjednoczone zechcą spłacić dług „za krew, jaką dziadowie nasi leli za ich wolność,“ i kiedy tenże prezydent pragnie podczas uroczystości „Dnia Polskiego“ zapoznać się z Polakami, jako obywatelami tego kraju, jak już zapoznał się z naszą historią, literaturą i wogóle z duchem naszego narodu, wtedy właśnie Żydówka porusza wszystkie sprężyny, by dzień ten zołhydzić zbrodnią. Polak zwyrodniał, którego opętała siecią swej miłości, musi spełnić rozkaz partyi anarchistycznej.

Nadszedł tak upragniony przez naszych tułaczy dzień, w którym pokładano tyle nadziei, snując jasne niei marzeń o lepszej

przyszłości. Prezydent Mc Kinley wszedł był właśnie na salę bogato udekorowaną we flagi Gwiazdzystego Sztandaru i flagi Białego Orła i z uprzejmym uśmiechem podaje szybko dłoń swą do uścisku, zbliżającym się ku niemu polskim obywatelom, naraz rozlegają się strzały, a z tłumu okrzyk zgrozy i rozpaczego oburzenia: Ratujcie! Czołgosz!

Prezydent zabity. Przed gmachem wszczął się krzyk, lament, płacz i zamieszanie. To Polacy opłakują zgon tego, który, gdyby nie mordercza dłoń Czołgosza, byłby wysunął sprawę polską przed forum międzynarodowej polityki i byłby upomniał się o krzywdy nasze... Więc wszystko zawrzało. Gniew opanował serca ludzkie. Polacy zostali okryci sromotą. Amerykanin zdegenerowany do szpiku kości, „Polaczek“ tylko z imienia dopuścił się zbrodni, a Żydówka i jej wspólnicy zapadli się pod ziemię, bo rzadko tych co strzelają z za płota, dosięga karząca dłoń sprawiedliwości.

Autor jasno wykazuje, że dopóki w Polaku bije prawdziwie polskie serce, dopóki nie wyrzekł się wiary swych ojców, tradycji, języka macierzystego, miłości dla wspólnej matki naszej ojczyzny i szacunku dla swej godności narodowej, dotąd skutecznie opiera się i wszelkim prądom wywrotu, niezgodnym z polskiem sumieniem, a nie poprzestając być Polakiem, jest jednocześnie i prawym obywatelem tego kraju, gdzie los kazał mu na chleb pracować. Taką jest geneza powieści.

Prócz Róży i Czołgosza w powieści spotykamy cały szereg dodatnich charakterów, a postacie te z niezwykłą zdolnością skreślone zostały przez autora. Taki ksiądz Stanisław, dzielący się ostatnim kęsem chleba i dający przytułek zgłodniałym i chorym rodakom; stary Jakub Igiełka, Wacek, Kazik i Janka, przedziwnie czyste dziewczę, pomimo to, że zrodzona i wychowana w Ameryce; wszyscy razem, to skryształizowana przez autora zbiorowa dusza naszego narodu, to bojownicy polskiej idei i polskiej myśli na obczyźnie, to siła żywiołowa wielka, nigdy niepożyta, to owa odświeżająca fala polskości, przynosząca wraz z przylewem oceanu orzeźwiający powietrze i zapach wonnego kwiecica z ojczystych łąk, i oddźwięk pieśni polskiej, pełnej tęsknoty i marzeń... to puklerz ochronny przeciw usiłowaniom wynarodowienia.

Rzetelną usługę oddał autor tutejszemu społeczeństwu, że właśnie w „Dniach nędzy i zbrodni“ umiał wydobyć na jaw owe świetlane postacie, że wyjaśniwszy należycie knowania żydowskie, wskazał nam drogę, po której powinniśmy dążyć, a jednocześnie omył z naszego ludu owe krwawe piętno hańby, jaka ze zbrodni-

czej dłoni Czołgosza spadła na nieszczęśliwych naszych tułaczy. Powieść Stanisława Osady „W Dniach Nędzy i Zbrodni“ ze względu na genezę tego utworu, na bogatą treść, malowniczość obrazów, na plastykę w przedstawieniu życia naszych rodaków na obczyźnie i strasznej walki, jaką toczyć muszą, by zdobyć kawałek chleba, zająć powinna w całej Polsce czytelników żądnych wiadomości o doli emigrantów.

Pittsburg
(Ameryka Północna).

IZA POBÓG.

Kronika miesięczna.

Obrona ziemi.—Ze stosunków polsko-litewskich w dyecezyi wileńskiej.—Towarzystwo emigracyjne. — Kółka rolnicze im. Staszica. — Projektowane wystawy przemysłu krajowego.

Przechodzenie ziemi polskiej w ręce niemieckie, nie już w Poznańskiem, gdzie Komisyja kolonizacyjna posuwa nieustannie naprzód swoje zagony zaborcze, ale tu, u nas, w Królestwie Polskiem, stało się w ostatnich czasach zjawiskiem wprost groźnem.

Znany jest powszechnie list otwarty ziemian dobrzyńskich, którzy zobowiązali się solidarnie, *pod słowem honoru*, że dotąd nie wyzbędą się ojczystego zagona, dopóki nie poczują noża na gardle, dopóki tabliczka mnożenia nie przekona ich, że jeżeli dziś nie sprzedadzą, to jutro zostaną bez dachu.

List ten powtórzony został niemal przez całą prasę polską, na której łamach zabrzmiał, jak dzwon żałobny, składając świadectwo naszej bezsilności, trwogi i rozpacz. Nie wywołał on jednak dyskusyi takiej, na jaką zasługiwał.

Przeciw jego treści wystąpił tylko p. J. M. w *Głosie Warszawskim*. Uważa on słusznie, że zobowiązanie ziemian dobrzyńskich nie jest dość jasne i konkretne. *Nie jasne*, gdyż mówi ogólnie o wyzbyciu się ziemi, a nie o sprzedaży Niemcom, a przecież to jest jedynie karygodne; *nie dość konkretne*, gdyż pozwala na wyzbycie się ziemi wtedy, jeżeli jest *nóż na gardle*; jeżeli się zostanie *bez dachu nad głową*. W jakim celu pozostawia się więc tę furtkę do wyjścia ręką obronną z czynu karygodnego? Wszak takie zastrzeżenie może ułatwić niejednemu sprzedawczykowi tłumaczenie, że „miał nóż na gardle, że pozostałby bez dachu nad głową.“

Sprawa tymczasem—zdaniem p. J. M.—powinna być postawiona zasadniczo: zobowiązujemy się nie sprzedawać ziemi wrogim nam żywiołom bez żadnych zastrzeżeń, nawet wtedy, kiedy będzie nóż na gardle, kiedy zostaniemy bez dachu nad głową. Tu idzie wszak o czyn hańbiący, o zdradę, nie może więc być mowy o żadnych zastrzeżeniach.

Przechodząc do dalszych ustępów listu, p. J. M. zaznacza, iż ogłaszanie w gazetach nazwisk sprzedawczyków posiada wprawdzie charakter odstrasżający, ale rany radykalnie nie leczy.

Stokroć według niego ważniejszą rzeczą jest *leczenie choroby* w zarodku, a więc rozwijanie w młodych umysłach uczuć rodzinnych, religijnych, narodowych, podniesienie moralności, wskazywanie wyższych celów, wiązanie młodych umysłów z tradycją, zaprawianie w walce z przeciwnościami i t. d. Tą drogą tworzą się charaktery silne i mocne i to jest najlepszą rękojmią, że w takiej atmosferze wychowane dziecko wyrośnie na obywatela, który czynu hańbiącego nie popełni, nie dlatego, żeby nie był ogłoszonym w pismach, lecz dla zasady. Wychowanie domowe, gniazdo rodzinne—grają tu rolę pierwszorzędną. Umysły słabe, słabe charaktery, nim dojdą do czynu hańbiącego, okazują pewne objawy, jako to: życie nad stan, rozrzutność, lekkomyślność w prowadzeniu interesów, liczenie na szczególny zbieg okoliczności i t. d. Wszystko to są symptomy zastrasżające, jednak umiejętne oddziaływanie jest w stanie zapobiedz szerzeniu się wad i tem samem nie dopuści do ostatecznego zepsucia. Tymczasem my zbyt pobłażliwie patrzymy na powyższe objawy, zbyt je lekceważymy i uderzamy na trwożę, wpadamy w rozpacz wtedy dopiero, kiedy już zapóźno ratować, kiedy poniżający fakt został spełniony. Postępując w ten sposób, stajemy się pośrednimi współwinowajcami popełnionego zła, bo hańba, która spada na jednego z nas i nas wszystkich w oczach innych narodowości obniża. Droga umiejętnego prowadzenia dzieci, droga skutecznego oddziaływania na wykorzenie wad w naszym społeczeństwie rozpowszechnionych, jest długą i mozolną, ale—jedynie skuteczną. Kiedy zaś potępiamy fakt już dokonany, występujemy w roli Katonów, rzucających infamię i dzielimy się na dwa wrogie obozy. Lecz piętnowanie nazwisk nie wiele pomoże, bo charaktery słabe nie liczą się z opinią. Jeżeli zaś stworzymy charaktery silne, to wówczas nie będziemy potrzebowali piętnować naszych braci, a *słowo honoru*, dawane na to, że nie popełnimy czynu hańbiącego, stanie się wówczas dla nas *obrazą honoru*.

Uwagi te są niewątpliwie bardzo trafne i powinny znaleźć jaknajszerszy wśród nas odgłos.

Istotnie, brak silnych charakterów jest naszą największą klęską. We wszystkich dziedzinach naszego życia daje on znać o sobie i prowadzi nas ku coraz większemu niedołęstwu, ku coraz chętniejszemu opuszczaniu rąk i zdawaniu się na łaskę i nie łaskę losu.

Ziemię swoją kochamy i rozumiemy niewątpliwie bardzo dobrze, iż jest ona podłożem naszego istnienia, jako narodu, że z chwilą, gdy to podłoże stracimy, przestaniemy być także narodem, a spadniemy do roli plemienia, na które świat będzie patrzył podobnie, jak patrzy dzisiaj na Żydów, nie mających własnej ojczyzny.

A jednak — nie potrafimy tej ziemi bronić, nie potrafimy utrzymać jej w swoich rękach.

Prawda, że warunki nasze są opłakane, że nie zna ich żaden inny naród, że podobna kwestya nie istnieje nigdzie w Europie, ale tembardziej, w tych właśnie specyficznych warunkach powinien się być w nas wyrobić niezwykły hart, umiejący przeciwstawić się wszelkim zamachom.

Hart taki do pewnego stopnia zaczyna już zdobywać dzielnicę Poznańska, owa najniebezpieczniejsza w chwili obecnej część Polski. Idźmy za jej przykładem, starajmy się wstępować w jej ślady.

Zakładajmy spółki parcelacyjne, obracajmy każdy grosz zaoszczędzony na kupno ziemi, połączmy się na jej zagonach nie tylko z miłością i przywiązaniem, ale i z tem bohaterstwem, które wymaga poświęcenia, samowyrzeczenia się i zaparcia, a wówczas groźne widmo, ukazujące się w ziemi Dobrzyńskiej i idące ku nam od powiatów lipnowskiego i rypińskiego, gdzie kolonizacya niemiecka poczyniła największe postępy — zniknie, ustępując miejsca nadziei krzepiącej i ufności we własne siły nasze, w zdolność narodu do trwania i do obrony swoich praw posiadania.

*

*

*

Zatarg litewsko-polski, rozdmuchany w ostatnich latach i grożący rozbiem odwiecznej zgody dwóch narodów, przeniósł się, jak wiadomo, z dziedziny stosunków politycznych także i w dziedzinę stosunków kościelnych, wywołując ostre spory językowe

w parafiach o mieszanej ludności katolickiej, co jeszcze bardziej zaogniło i tak już rozjątrzoną ranę.

Być może jednak, że uda się powstrzymać tym razem waśń i zapobiedz na drodze ugody polubownej dalszemu jej rozwojowi. Pewną nadzieję w tej mierze dają przynajmniej uchwały duchowieństwa polskiego i litewskiego, powzięte na Zjeździe, zwołanym z inicjatywy ks. Michalkiewicza w początkach b. m. w Wilnie.

Po długich a wyczerpujących debatach, w czasie których wykazano dużo dobrej woli i dążności do zgody, obie grupy obradującego duchowieństwa, tak polska, jak i litewska, potępiły stanowczo wszelką agitację szowinistyczną z tej lub z owej strony, narzucanie komukolwiek jakiegobądź języka, jątrzenie stosunków narodowościowych za pomocą prasy, oraz zaprotestowały przeciw działalności „wszelkich burzycieli porządku w parafiach i kościołach,” odrzuciły i potępiły używanie kościoła za arenę walk narodowościowych, postanowiły czynić zadość potrzebom ludu z uwzględnieniem w duszpasterstwie praw językowych nawet minimalnej mniejszości, w równej mierze szanować prawa i uczucia każdego z narodów, bynajmniej nie stawiając przeszkód prawidłowemu rozwojowi kulturalno-społecznemu Polaków i Litwinów.

Zgodnie z tem ks. Administrator diecezji uregulowanie stosunków narodowościowych w kościele i parafii polecił wyłącznie kapłanom, przyczem podał podstawowe wskazówki, któremi mają się kierować, co do porządku nabożeństwa w poszczególnych parafiach, a mianowicie: w każdej parafii o ludności mieszanej powinien być kapłan, znający oba języki; kazania i katechizacya w każdą niedzielę i święto bezwarunkowo mają być w obydwóch językach, śpiewy zaś i inne dodatkowe nabożeństwa mają być odprawiane tak, ażeby i mniejszość nie była ich pozbawiona w swoim języku.

Widać z tego, że sprawa została oparta na zasadach sprawiedliwości bezwzględnej.

Trudno przypuścić, aby przy ściśłym przestrzeganiu tych uchwał i dobrej woli ze strony duchowieństwa obydwóch narodowości mogły jeszcze w dalszym ciągu powstawać nieporozumienia. Przeciwnie, trzeba wierzyć, że stopniowo ustaną i załagodzą się one szczęśliwie. Co więcej jednak—ten dobry przykład kościoła, który wystąpił z różdżką oliwną pokoju i pojednania, może wywrzeć wpływ dobroczynny i kojący także i na inne dziedziny życia, w których stosunki polsko-litewskie domagają się uzdrowienia.

W interesie obu narodów, współżyjących z sobą od wieków na jednej ziemi, leży w tej chwili zgoda. Każdy spór, każda waśń, każdy głębiej sięgający rozłam osłabiają tylko obie strony, odrywając nadto ich uwagę od rzeczy nieskończenie ważniejszych. Polacy i Litwini mają tyle spraw wspólnych, tyle terenów, na których mogą pracować razem, idąc ręką w rękę, że mogą śmiało odłożyć załatwienie rachunków wzajemnych na przyszłość, która pozwoli im obliczyć się dokładnie i sumiennie, bez szkody dla każdej ze stron. Dzisiaj taki rozrachunek byłby jednak niemożliwy i dlatego bezwarunkowo korzystniej jest zaniechać wzajemnych pretensyj, które nie tyle są wynikiem sprzecznych zapatrywań i odmiennych sądów, ile owocem długoletnich nienormalnych stosunków, wytworzonych na Litwie przez rząd, który tamował prawidłowy rozwój i układ sił politycznych, społecznych i narodowych w kraju, wydanym na łup samowoli biurokratycznej.

*

*

*

Sprawa roztoczenia opieki nad wychodźstwem polskim, które oddawna przybrało już charakter zjawiska stałego i żadnymi środkami otamowane być nie może, narzuca się co pewien czas opinii publicznej, jako postulat wagi pierwszorzędnej. Co pewien czas rozlegają się też w prasie nawoływania o założeniu towarzystwa emigracyjnego, które z jednej strony zapobiegłoby wyzyskowi emigrującego ludu przez niesumiennych agentów i pośredników, z drugiej — nadało wychodźtwu kierunek najwłaściwszy i dla przyszłości narodowej najbardziej pożądany.

Swieżo sprawę tę poruszył i omówił obszerniej p. P. Zubowicz w № 62 *Kuryera Warszawskiego* z r. b. Poza zwykłemi w tej mierze dezyderatami, znanemi zresztą powszechnie, autor cytowanego artykułu podkreśla w sposób trafny niebezpieczeństwo wynarodowienia, jakie już istnieje obecnie, a jakie w dalszym ciągu wzrastać będzie bardzo szybko, jeżeli losami naszego wychodźstwa zaoceanowego nie zajmiemy się gorliwie i niezwłocznie.

Pobieżny rzut oka na stosunki zaoceanowe — wykazuje, zdaniem p. Zubowicza, już dziś dostatecznie, że emigracja pod względem narodowym w swej ogromnej większości będzie dla kraju zupełnie stracona.

Dotyczy to zwłaszcza Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

„Stany Zjednoczone, jak twierdzi p. Józef Sawicki z Nowego Yorku w *Kulturze Polskiej*, są najjuńiej podatnem polem do zbudowania narodu w narodzie; tu wszyscy wynaradawiają każdego, a kto niechce być poniewieranym i znosić niedostatek — musi się przeistoczyć. Stany Zjednoczone, choć powstały z rozmaitych zlepków, są najbardziej niwelującym obce pierwiastki krajem na świecie.“

Robotnik lub włościanin polski, wchodząc w środowisko z o wiele wyższą kulturą, mimowoli dąży do zespolenia się z jej przedstawicielami i jeśli dotychczas część wychodźców nie wynarodowiła się, zawdzięcza to tylko temu, że co roku przybywały zastępy emigracyi zarobkowej, które podsycaly w dawniej osiedlonych uczucia narodowe.

„Piętnaście lat temu — pisze tenże p. Sawicki — czytałem w Warszawie doniesienia z Ameryki, że tam miało być wówczas około 2 milionów Polaków. Od tego czasu milion naszych przybyło do Ameryki i więcej niż dwa miliony urodziło się dzieci z polskich rodziców, a pomimo to wciąż jest nas tu dwa miliony. I gdyby przez 100 lat przybywało po 100,000 i proporcjonalnie rodziły się dzieci, nigdy nas nie będzie więcej, jak dwa miliony, które znikłyby w ciągu lat 15, gdyby wstrzymać przyływ nowych polskich przybyszów.“

Nie ulega wątpliwości — dodaje od siebie p. Zubowicz — że rodacy nasi „zykniejsieją“ stopniowo, bo nie będą w możności zwyciężyć znacznie wyższej kultury, a brak jakiegokolwiek ucisku politycznego tylko złagodzi ten proces.

Co do emigracyi parańskiej, to sprawa ta przedstawia się autorowi artykułu odmiennie. Nie należy on do optymistów i wszystkie projekty o „zawojowaniu“ republik południowych czynią na nim wrażenie chimier dziecinnych — uznaje on tylko, że obawa wynarodowienia językowego jest tam znacznie mniejsza. O ile więc emigracya będzie skierowana do Parany, gdzie Polacy stanowią już dzisiaj 25% ludności ogólnej, to koloniści polscy, osadzeni w skupionych gromadach na roli na krańcach puszczy, zdala od wielkich ognisk przemysłu, mniej po prostu mają sposobności zapomnienia języka ojczyzstego. W warunkach takich — mniema p. Zubowicz — może gdzieś w puszczech brazylijskich wytworzy się nowy szczepl, posilkujący się językiem polskim, który zajmie względem Polski stanowisko, zbliżone do stanowiska Brazylian względem Portugalczków. Dziś możemy spotkać emi-

grantów polskich od cieśniny Behringa do przylądka Magellana, od ludnego Londynu do dzikich tundr Kamczatki, borykających się z przeciwnościami losu. Ile w tej walce życiowej ginie naszych braci bezpowrotnie dla kraju—tego nawet nie wiemy. Ujęcie więc emigracyi w swe ręce i planowe kierowanie wychodźców na ściśle określone tereny byłoby niewątpliwie rzeczą niezmierniej wagi dla interesów naszej przyszłości narodowej.

Rozumiejąc to, p. Z. nawołuje gorąco do założenia towarzystwa emigracyjnego.

Przypuszczając, że spotka go zarzut, iż założenie takiego towarzystwa natrafi na poważne przeszkody natury prawnej, tembardziej, że do obecnej chwili w obowiązującym u nas kodeksie karnym znajdują się artykuły w kwestyi emigracyi, powołuje się projektodawca na istniejące w Warszawie, a zalegalizowane przez władze miejscowe Towarzystwo opieki nad wychodźcami Żydami, o którym w swoim czasie pisaliśmy na tem miejscu obszerniej. Istnienie tego towarzystwa nastrecza wniosek, że założenie towarzystwa polskiego, nie o charakterze wyznaniowym, byłoby również możliwe, gdyby tylko społeczeństwo zdobyło się na inicjatywę i energię w tym kierunku.

Sprawę tę trudno przesądzać. Trzeba oczywiście zbadać bliżej usposobienie i poglądy władz, od których zależy zatwierdzenie ustawy takiego towarzystwa, w ramach, pozwalających mu na owocną działalność, to znaczy na działalność nie o charakterze filantropijnym, ale na wskroś społecznym.

Nie od rzeczy też jest paniętać o tem, że w Galicyi powstało właśnie Towarzystwo opieki nad emigrantami, które w pewnej mierze przynajmniej mogłoby na razie zająć się także losem wychodźców z Królestwa Polskiego.

Przedewszystkiem jednak, zanim jakiegokolwiek w tym kierunku konkretne prace zostaną przedsięwzięte, ludzie, dla których istotnie sprawa wychodźstwa nie jest obojętna, którzy rozumieją całą jej doniosłość, powinni zająć się wszechstronnem oświetleniem obecnego stanu tej kwestyi, zachodzi bowiem obawa, że wogóle informacje nasze w tym przedmiocie są niedość ściśle i niedość poparte cyframi. Nie mówiąc już o wychodźstwie do Ameryki, którego fala zabiera corocznie z Polski dziesiątki tysięcy rolników, robotników i rzemieślników, bardzo niewystarczające posiadamy wiadomości o wychodźstwie naszej inteligencji zawodowej do Rosyi i na Syberję. Wiemy tylko ogólnikowo, że niema już dzisiaj miasta na bliższym i dalszym Wschodzie, gdzie nie byłoby mniej lub więcej licznej kolonii polskiej. Jaki jest jednak

los tej emigracji, jaki jej procent powraca do kraju ze „złotem runem,” a jaki z rozbitymi nadziejami i z goryczą zawodów, jaki zachowuje swoje poczucie narodowe i język, a jaki wsiąka w otaczający żywioł — o tem mamy bardzo nieściśle i mętne pojęcie, a przecież i ten odłam wychodźstwa powinien być poddany kontroli i opiece. Zanim więc stworzymy towarzystwo, zbierajmy dla niego materiały faktyczny, którego dziś brak na każdym kroku.

*

*

*

W początkach marca r. b. odbył się w Warszawie Zjazd delegatów kółek rolniczych im. Staszica.

Wiadomo, że z chwilą, gdy przy Warszawskiem Towarzystwie rolniczym powstał Wydział Centralny kółek rolniczych w tym celu, aby zgrupować wszystkie w kraju kółka i nadać im mniej więcej jednolity charakter, przeciw takiej centralizacji oświadczyła się fermentująca dopiero w naszym kraju partya ludowa, zakładając na własną rękę *Związek kółek im. Staszica*.

Ta *scesya*, której uzasadnienia próżno szukalibyśmy gdzieindziej, dokonana została pod hasłem „sami sobie.“ Manewr ten, mający na celu rozbitcie zgody i jedności, oraz wprowadzenie czynników walki klasowej na teren pracy nawskroś kulturalnej, nie okazał się jednak w skutkach swoich zbyt groźnym. Dość powiedzieć, że gdy do Wydziału Centralnego przystąpiło 571 kółek, które, jak o tem przekonać się można z niedawno ogłoszonego sprawozdania, niemal w większości rozwijają się pomyślnie—*Związek im. Staszica* w ciągu trzech lat istnienia zdołał skupić zaledwie 70 kółek. Nadto rezultat działalności tych kółek jest bardzo problematyczny, o czem dość wyraźnie mówi fakt, że sekretaryat związku nie umiał podać nawet cyfry (choćby przybliżonej) członków. Ze sprawozdania, przedłożonego zjazdowi, wieje nudno sztucznie tłumiony brak ufności w żywotność i dalszy rozwój kółek. Okazuje się mianowicie, że tylko 23 kółka, t. j. zaledwie $\frac{1}{3}$ ich liczby ogólnej—zapłaciły na rzecz zarządu głównego dziesięciogroszowe składki członkowskie, a dotychczas cała praca kółek wyraziła się w założeniu 12 biblioteczek, 5 kółek teatralnych

i 2 straży ogniowych. Bilans związku wynosi 1306 rb., przy zupełnej obecnie pustce w kasie.

Rozpatrując się bezstronnie w tych zdobyczach, musimy przyznać, że są one rzeczywiście bardzo skromne.

Nie stoimy i nie staliśmy nigdy na stanowisku partyjnym, nie posądzi więc nas nikt o złą wolę. Szanujemy każdą pracę kulturalną i gotowi jesteśmy podać jej rękę nawet w tym wypadku, gdy nie we wszystkim zgadzamy się z jej rzecznikami i kierownikami—i to samo uczynilibyśmy w zastosowaniu do kółek im. Staszica, gdyby działalność ich dała wyniki pomyślne. Niestety jednak nie widzimy w danym wypadku żadnego uzasadnienia tej separacji, żadnego argumentu na rzecz tego wyłączenia się z instytucji ogólnej, *bezpartyjnej*, po to, aby na uboczu chorować na powolny uwiąd.

Przeciwnie, cały przebieg Zjazdu i cała treść sprawozdania z działalności Związku utwierdziły nas jeszcze raz w przekonaniu, że zaszła tu fatalna pomyłka. Pomyłkę tę należy położyć na karb tych walk i niesnasek partyjnych, jakich widownią był nasz kraj w chwili, gdy, korzystając z warunków przychylniejszych, zaczęły powstawać u nas kółka rolnicze. Dziś jednak, kiedy te walki i niesnaski już przycichły, kiedy wszyscy znaleźliśmy się w położeniu jednakowo trudnym i kiedy najważniejszym zadaniem okresu najbliższego nie jest bynajmniej walka i załatwianie rachunków pomiędzy stronnictwami, ale wyczerpana praca kulturalna, prowadząca naród ku materyalnemu i duchowemu odrodzeniu, kierownicy kółek im. Staszica powinny się zastanowić poważnie nad tem, jaki jest ich stosunek do tych ogólnych naszych obowiązków i czy istotnie w interesie narodowym leży wyodrębnianie interesów włościańskich i tworzenie *par force* nowego stronnictwa ludowego.

Polska stoi na stanie włościańskim i cała jej przyszłość jest w rękach ludu polskiego — o tem wiemy wszyscy i nikogo nie trzeba już dziś przekonywać o potrzebie prowadzenia polityki narodowej w kierunku i w duchu demokratycznym. Dzielenie jednak narodu na warstwy, przeciwstawianie interesów jednej klasy interesom drugiej, rzucanie haseł, budzących nieufność i uniemożliwiających pracę wspólną — jest demagogią, która z prawdziwą działalnością demokratyczną nic niema wspólnego, a taką, niestety, drogę obrał Związek im. Staszica, nadużywając w ten sposób dla swoich celów imienia wielkiego obywatela i patrioty, który umysłem i sercem swoim ogarniał *cały naród*, a miłując włościan, nie miłował ich dla tego, że ich interesy były inne, niż interesy

szlachty ówczesnej, ale dla tego, że widział w nich przyszłość Polski, jako państwa, darzącego równymi prawami wszystkich swoich obywateli.

*

*

*

Hasło bojkotu towarów niemieckich padało u nas już niejednokrotnie, ale zawsze było tylko hasłem, które przebrzmiało prędzej lub później, bo przebrzmieć musiało z tej prostej przyczyny, że walki ekonomicznej nie można prowadzić słowami, o ile tym słowom nie towarzyszy czyn. Do czynu tymczasem nigdy nie byliśmy skorzy.

Podobna sytuacja zaczęła się wytwarzać i obecnie. W odpowiedzi na prawo o wyłączeniu i na słynny § językowy, rozległy się u nas nawoływania do bojkotu. Nawoływania te znalazły szeroki oddźwięk i śmiało powiedzieć można, że nie było nikogo w kraju, kto nie uznałby konieczności walki z naszą niewolą ekonomiczną u Niemców, kto nie pragnąłby gorąco wyzwolenia naszego handlu i przemysłu z tej zależności, w jakiej znajdują się one obecnie. Gdy jednak rozejrzano się w sytuacji bliżej i oceniono warunki, które nie pozwalają nam na prowadzenie wojny ekonomicznej w tem znaczeniu, w jakim mogą prowadzić ją narody i państwa samodzielne, uchwalające przy pomocy swoich parlamentów taryfy przewozowe i cła ochronne—zapał zaczął stygnąć. Tu i ówdzie ludziom opadały ręce na wieść o wykazach komór celnych w Sosnowcu i Aleksandrowie, które bynajmniej nie notują zmniejszonego przywozu towarów niemieckich, ale przeciwnie, sygnalizują wzrost tego przywozu.

Na szczęście nie wszyscy poddali się temu pesymizmowi, jaki podobne wiadomości mogły wywołać. Znalazła się garść ludzi, którzy od pierwszych gorących frazesów postanowili przejść do czynu, którzy zrozumieli, że walka z przemysłem i handlem niemieckim nie może być zakończona zwycięstwem z dziś na jutro, ale że wymaga ona całych lat pracy ekonomicznej w kraju, ogromnego wysiłku przynajmniej dwóch pokoleń i śmiałej, przedsiębiorczej inicjatywy w kierunku tworzenia i popierania *przemysłu krajowego*, który jedynie może skutecznie współzawodniczyć z przemysłem obcym, sprowadzając rzecz na teren istotnych za-

pasów i zmagania się z silnym, doskonale wyćwiczonym i posiadającym godną naśladowania organizację ekonomiczną przeciwnikiem.

Garść tych ludzi skupiła się w warszawskim Stowarzyszeniu techników. Przekonali się oni przedewszystkiem, że niepodobna jest rozpocząć żadnej akcji pozytywnej bez dokładnego zaznajomienia się z obecnym stanem i wytwórczością naszego przemysłu, o którym mamy wiadomości i pojęcia zgoła niewystarczające. Okazało się więc nieodzowną rzeczą zebranie dokładnych dat statystycznych. W tym celu zorganizowane zostało przed kilku laty wydawnictwo p. t. *Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem*.

Obecnie, mając już zgrupowany materiał informacyjny, wcale bogaty, z którego korzystać może zarówno specjalista, jak szeroka publiczność, Stowarzyszenie techników przystępuje do dalszego ciągu podjętej przez siebie pracy planowej: do zaprezentowania wyrobów przemysłu krajowego szerszej publiczności, t. j. do urządzenia szeregu wystaw, narazie w Warszawie, ażeby jej przedstawić wszystko, co wyrabiamy u siebie.

Uzyskawszy pozwolenie ministerjum spraw wewnętrznych na to przedsięwzięcie, Komitet wystawowy rozpoczyna swą czynność, organizując na początek *wystawę chemiczną*. Wystawa ta trwać będzie od 3 do 25 kwietnia i obejmie ekspozyty tylko krajowego pochodzenia, jako to: mydła, kosmetyki, pasty, perfumy, wody kwiatowe, preparaty chemiczne i farmaceutyczne, oleje, smary i t. p.

Drugie miejsce w planie zajmuje wystawa *galanterji skórzanej* i papierowej, zamierzona na okres dwutygodniowy od 1 do 16 maja.

Trzecią wreszcie z projektowanych wystaw będzie *wystawa galanterji metalowej* w okresie od 22 maja do 7 czerwca.

Wszelkie usiłowania Komitetu wystawowego będą wyteżone w kierunku ściągnięcia na wystawy możliwie wielkiej ilości osób ze wszystkich sfer naszego kraju.

I oto w tym właśnie momencie społeczeństwo będzie mogło ujawnić stopień swego zainteresowania się sprawą przemysłu krajowego, zainteresowania się *czynnego*, które może się w następstwach swoich okazać bardzo owocne.

Takie poglądowe przedstawienie wszystkich kolejno działów naszej wytwórczości może też mieć duże znaczenie pedagogiczne, nie należy bowiem tać, że jesteśmy społeczeństwem, które trzeba jeszcze prowadzić za rękę.

Zwłaszcza t. zw. szersza publiczność, ta, która stanowi milionową rzeszę konsumentów, nie łatwo orientuje się w tem, co i gdzie kupować należy. Wprowadzana nieustannie w błąd przez niesumiennych kupców, którzy sprzedają jej wyroby obce za krajowe, w najlepszej wierze kupuje ona towary niemieckie, nie wiedząc nawet o swoim błędzie. Dla niej to projektowane wystawy będą prawdziwymi przewodnikami po mało znanych dziedzinach przemysłu krajowego, którego dalszy rozwój i wzrost zależy przede wszystkim od poparcia szerszego, niż dotychczas. Obecnie, jak to wiadomo powszechnie, przemysł krajowy skarży się nieustannie na obojętność społeczeństwa, na trudne i wprost rozpaczliwe warunki swego istnienia. Społeczeństwo zaś na te zarzuty, kierowane przeciw sobie, odpowiada: „Dobrze, ale gdzie jest właściwie przemysł krajowy, pokażcie nam go, przekonajcie nas, że jego wyroby nie ustępują w niczem wyrobom zagranicznym, a wówczas będziemy je kupowali chętnie.“

W ten sposób wytworzyło się błędne koło, z którego wprost nie było wyjścia. Przemysłowcy twierdzili, że będą produkowali wyższe gatunki, rozwiną i udoskonalą swoje fabryki, a nawet założą nowe, jeżeli pozyskają poparcie ogółu, ogół zaś czynił to poparcie zależnem właśnie od dobroci towarów, od rozwoju i udoskonalenia fabrykacyi, od przedsiębiorczości, inicjatywy i śmiałości wytwórców. W rezultacie jednak wina była po obu stronach. Społeczeństwo grzeszyło ośpałością, lenistwem, brakiem zaufania do przemysłu krajowego i nieznanomością jego wyrobów, przemysł zaś grzeszył niemniej kierowaniem swojej uwagi wyłącznie na rynki wschodnie, z widocznem zaniedbaniem rynków krajowych. Nie starał się on ani o stopniowe, powolne prezentowanie swoich wyrobów krajowi, ani o zajmowanie nowych placówek, na których możnaby skutecznie współzawodniczyć z przemysłem i handlem niemieckim. Nie miał on też przed sobą żadnego planu, żadnej myśli przewodniej, mającej na oku dalsze cele. To też powstanie nowej fabryki, nowej gałęzi przemysłu było u nas częściej rzeczą przypadku, niż owocem namysłu i świadomej woli, skierowanej ku pożytkowi społeczeństwa.

Kapitały krajowe nie były odpowiednio fruktyfikowane, brakło nam ludzi jasno patrzących na rzeczy i przygotowanych do poważnej działalności ekonomicznej, która nietylko ma na widoku zrobienie majątku, ale jednocześnie bacznią zwraca uwagę na interes ogółu.

Dziś, kiedy sprawa rozwoju przemysłu krajowego wchodzić zaczyna powoli na drogi konkretne, kiedy dla wielu stało się już

jasnem, że te właśnie drogi są jedynymi, jakie mogą prowadzić naród do wyzwolenia z pod hańbiącego jarzma przewagi niemieckiej—jest nadzieja, że obwód tego błędnego koła, w którym znajdowaliśmy się dotychczas, prysnie nareszcie, że wyjdziemy poza jego granice i nauczymy się oceniać sytuację trafnie, wzajemnie podając sobie ręce w sprawie w jednakowym stopniu obchodzącej wszystkich.

Wystawy, o których mówiliśmy powyżej, są pierwszym krokiem poważnym, zmierzającym do wytworzenia na tem polu tyle pożądanego porozumienia i zrozumienia się.

Przemysł krajowy pragnie publiczności polskiej pokazać swoje wyroby, a publiczność ta ze swej strony będzie je mogła ocenić i zorientować się w tem, czy i w jakim stopniu odpowiadają one jej wymaganiom i potrzebom.

Z chwilą, kiedy to nastąpi, ustać też powinny wszelkie narzekania i skargi jednej i drugiej strony, a miejsce ich zająć musi poważna praca przemysłowców i rozumne, patryotyczne popieranie ich wyrobów przez społeczeństwo, zdające sobie dobrze sprawę z wielkiej gry rozpoczętej, w której stawką jest bodaj cała przyszłość narodu, już nietylko ekonomiczna, ale jednocześnie polityczna i kulturalna.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Konstanty Górski.

Dn. 5 marca r. b. zmarł w Krakowie w 46 roku życia ś. p. Konstanty Górski, profesor historyi sztuki w tamtejszej Akademii sztuk pięknych i jednocześnie wytworny poeta, roznielowany w klasycznej formie wiersza, którym władał biegle, podnosząc go nie-raz do wyżyn prawdziwego majsterstwa.

Ś. p. Górski pochodził ze znanej w kraju naszym rodziny. Urodzony w Królestwie, w Woli Pękoszewskiej, kształcił się w Krakowie, gdzie ukończył wydział prawny. Idąc jednak za głosem swoich skłonności i upodobań, nie wszedł na zwykłą dla młodych prawników ścieżkę utartej karyery, ale poświęcił się studjom estetycznym, które odbył z rzadką w naszych stosunkach gruntownością. Studyjąc naprzód u słynnego Grimma w Berlinie, a następnie uzupełniwszy owoce tych studyów teoretycznych całym szeregiem podróży, podjętych w celach artystycznych, Górski zdobył rozległą w swoim zakresie wiedzę, wykształcił swój smak na pierwszorzędnym wzorach i wyrobił sobie sąd jasny o celach i zadaniach sztuki, którą rozumiał i kochał głęboko. Obdarzony duszą na wskroś artystyczną, a posiadając nadto nie często spotykane w Polsce warunki materyalne do spokojnej pracy w kierunku umiłowanym, Górski byłby niewątpliwie trwał postawił sobie pomnik w naszym piśmiennictwie artystycznym, gdyby nie śmierć przedwczesna, która wytrąciła mu pióro z ręki.

Wiadomo, że pracował on od dawna nad dziełem obszernem, które miało zawrzeć historję sztuki w Polsce. Cała jego działalność profesorska w Akademii była właściwie przygotowaniem do tej pracy kapitalnej, jaką zamierzył zostawić po sobie rodakom.

Jakoż zebrał do niej materiały bogate i wszechstronne, których jednak wyzyskać już nie zdążył.

Puściznę duchową po nim, oprócz szeregu rozpraw estetycznych, drukowanych po czasopismach, a między innymi także i w *Bibliotece Warszawskiej*, tudzież oprócz zbioru poezyi p. t. *Wierszem*, stanowi też przede wszystkim to, co zdołał zaszcześcić w umysły i dusze swoich młodych uczniów, którzy wysoko cenili jego wiedzę i zdolności. Nie jest to puścizna widoma, której wagę możnaby dokładnie określić, niepodobna jej również ocenić krytycznie, to pewna jednak, że nie przejdzie ona bez śladu, że całe jedno pokolenie artystów polskich zawdzięcza Górskiemu posiew tych prawd, które są niezbędne do orientowania się na zawiłych ścieżkach sztuki, prowadzących w krainę nieśmiertelnego piękna. Ta działalność pedagogiczna zmarłego profesora jest już wystarczającym tytułem do zasługi, która, gdyby śmierć nie stanęła wpoprzek zamiarom pisarza i nie przerwała mu wątku pracy nad ukochanym dziełem, urosłaby niewątpliwie do rozmiarów o wiele większych.

ś. p. Teodor Dunin.

Dn. 16 marca r. b. zmarł w Warszawie jeden z najwybitniejszych współczesnych lekarzy polskich, d-r Teodor Dunin, szeroko znany nie tylko jako lekarz, ale zarazem, jako wytrwały orędownik wielu spraw, mających dobro społeczne na celu.

Urodzony w r. 1854 w Wygnanowie, w ziemi kieleckiej, wykształcenie średnie odebrał w Pińczowie. W r. 1870 wstąpił na Uniwersytet warszawski, który ukończył w 22 roku życia ze stopniem lekarza. Od tej chwili rozpoczął pracę zawodową, naprzód, jako asystent kliniki terapeutycznej Uniwersytetu warszawskiego, potem, jako lekarz miejscowy szpitala Dzieciątka Jezus, wreszcie, jako ordynator tegoż szpitala, zyskując szybko rozgłos i sławę niezwykle zdolnego dyagnosty. W r. 1881 uzyskał stopień doktora medycyny.

Rozległa praktyka, jaką mu wyrobiły lata, odrywała go nieustannie od pracy ściśle naukowej, do której był stworzony. Gdziekolwiek indziej koleje jego byłyby zupełnie inne. Lekarz tej miary, takich zdolności wrodzonych i takiego przygotowania zawodowego, zajmowałby wybitne miejsce w świecie naukowym i byłby ozdobą i chludą

ba Uniwersytetu. U nas musiał z konieczności poświęcić się praktyce nużącej, rozpraszającej nieustannie jego siły umysłowe, pochłaniającej mu niemal cały czas, jakim rozporządzał. Pomimo to jednak d-r Dunin potrafił dokonać wiele. W zakresie swojej specjalności pisywał liczne artykuły w *Gazecie lekarskiej*, w *Medycynie*, w *Kronice lekarskiej* i w *Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego*. Nadto od r. 1889 z jego inicjatywy zaczęły wychodzić *Odczyty kliniczne*, w których zamieścił niejedną cenną pracę o trwałej wartości naukowej. Pracując przez długie lata w szpitalu Dzieciątka Jezus i widząc niedostateczne jego uposażenie, d-r Dunin własnym kosztem stworzył przy tym szpitalu pierwszą u nas pracownię naukową, której młodsze pokolenie lekarzy zawdzięcza możliwość prowadzenia na własną rękę poważniejszych badań i doświadczeń. Już to jedno jest w naszych warunkach niepoślednią zasługą obywatelską. Ale nie koniec na tem. Stykając się w swojej praktyce nieustannie z niedolą chorych na płuca, powziął d-r Dunin śmiałą myśl założenia dla nich uzdrowiska, dostępnego dla warstw mniej zamożnych. Jego też wysiłkom, energii i wytrwałym zabiegom zawdzięcza swoje istnienie otworzone niedawno sanatorium w Rudce.

Odgrywając w polskim świecie lekarskim wybitną rolę, d-r Dunin piastował dwukrotnie zaszczytną godność prezesa warszawskiego Towarzystwa lekarskiego, po związaniu zaś Stowarzyszenia zawodowego lekarzy polskich przewodniczył tej młodej instytucji aż do chwili ostatniej.

Zmarł przedwcześnie, pozostawiając po sobie głęboki żal i pamięć nie tylko dzielnego lekarza, ale zarazem i dzielnego obywatela, który z myślą o przyszłości swego społeczeństwa żył i pracował.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. P. Aleksander Jabłonowski ofiarował Towarzystwu Naukowemu, którego jest prezesem, remanent egzemplarzy prowadzonych przez siebie „Źródeł dziejowych“ i „Teki Pawińskiego,“ oraz fundusz tych wydawnictw, przenoszący rb. 5,000, na dalsze ich prowadzenie. Zarząd Towarzystwa na posiedzeniu d. 26 lutego r. b. dar ten od p. Jabłonowskiego przyjął i postanowił wydawnictwo to dalej prowadzić z tego funduszu lub z innych, jakie na ten cel składane będą.

Panie Marya Szlenkierowa wraz z córką Zofią złożyły w darze T-wu Naukowemu kwotę 2,000 rb., przeznaczając ją na wydatki bieżące wszystkich wydziałów Towarzystwa. Dar ten wobec szczupłych narazie funduszków Towarzystwa ma ważne znaczenie.

Na posiedzeniu świeżo ustanowionej Komisji antropologicznej Towarzystwa Naukowego w d. 1 marca omawiano sprawę wznowienia wydawnictwa „Wisły,“ czasopisma poświęconego ludoznawstwu, które od lat kilku przestało już wychodzić. Następnie p. Stołyhwo odczytał referat p. t. „Sprawozdanie ze stanu i działalności Pracowni antropologicznej przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa za r. 1908.“

Na posiedzeniu I-go wydziału Towarzystwa Naukowego, odbytym 3-go marca b. r. p. E. Bogusławski odczytał referat p. t. „W kwestyi pisma glagolickiego,“—a p. K. Appel referat p. t. „Poczucie języka w oświetleniu pisowni.“

Na posiedzeniu III-go wydziału, odbytem d. 4 marca odczytano następujące referaty: 1. Z. Weyberg: Przyczynki do poznania stosunków pomiędzy muskowitzami skałotwórczymi;—2. Z. Weyberg przedstawił rozprawę J. Morozewicza: Wyodrębnienie ziem rzadkich z maryupolitu;—3. J. Sosnowski: Studya doświadczalne nad pobudliwością;—4. St. Miklaszewski: a) Gleby powiatu krasnostawskiego; b) Gleby powiatu siedleckiego;—5. St. Serkowski: Kolonie rucho-
chome i kolonie olbrzymy drobnoustrojów;—6. J. Tur: a) Doświadczenia nad

wpływem promieni radu na rozwój zarodków kaczki; b) W sprawie potworów rzekomo złożonych w rozwoju ptaków;—7. W. Sierpiński: O pewnej sumie potrójnej.

Na posiedzeniu II-go wydziału Towarzystwa Naukowego, odbytem w d. 5 marca r. b. omawiane były sprawy bieżące wydziału, i wnioski komisji historycznej, zawiązanej niedawno pod przewodnictwem W. Smoleńskiego, poczem odczytano referaty: a) P. Zygm. Głoger: „O słowniku imion własnych, t. j. nazw rzek, strumieni, jezior, błot, gór, lasów, uroczysk, pól, siedlisk ludzkich, oraz przydomków i nazwisk ludzi w dawnej Polsce;“—b) Erazm Majewski: „Biologiczne kryteria cywilizacji i znaczenie jej dla biologii i filozofii.“

— TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW HISTORII W WARSZAWIE. D. 20 marca odbyło się walne doroczne posiedzenie Tow. Miłośników Historii. Przewodniczył zebraniu p. Emil Konopczyński. P. d-r Stanisław Kętrzyński, jako sekretarz Towarzystwa, odczytał sprawozdanie roczne, które streszcza się w następującem:

Zarząd Towarzystwa, który zamknął szczęśliwie rok 1907 pozostałością kasową rb. 900 kop. 19, dokładał usilnych starań, aby w r. 1908 zapewnić większą niezależność materialną Towarzystwu. Podane poniżej zamknięcie kasowe, jakkolwiek na oko wydaje się również pomyślne, jak w r. 1907, bo zamknięte jest saldem rb. 1,272 kop. 26, kryje w sobie niebezpieczną anomalię, mianowicie to, że Towarzystwo, bez poparcia i darów osób prywatnych, utrzymać się nie jest w stanie. Gdyby nie dary, na które nie zawsze liczyć można, r. b. nie byłby zamknięty pozostałością kasową, owszem musiałby przynieść Towarzystwu deficyt. Zauważyć przedewszystkiem należy, że obojętność na sprawy wiedzy historycznej nie zmniejsza się bynajmniej. W r. 1907 liczyło Towarzystwo 178 członków, z których ubyło, wskutek wycofania się lub śmierci 38, przybyło nowych 14, tak, że w d. 31 grudnia 1908 r. liczyło Towarzystwo 154 członków. Prawda, że od początku r. 1909 ruch pewien zaczął się objawiać w postaci nowoprzystępujących członków, jednak rok ubiegły zaznaczył się nowemi stratami, które śmierć spowodowała. Tak poniosło Towarzystwo stratę w osobie znakomitego historyka, który założeniem naszego Towarzystwa gorliwie się zajmował, i który otworzył pierwsze, organizacyjne jego zebranie, księcia Jana Tadeusza Lubomirskiego; prócz niego straciliśmy członków: ś. p. Mściława Godlewskiego, Henryka Sadowskiego i Gabriela Wierzbowskiego. Niepodobna tu pominąć i przedwcześnie zmarłego ordynata Adama hr. Krasieńskiego, który, jakkolwiek nie należał do Towarzystwa, to jednak zapisał się w naszej pamięci, jako protektor „Przeglądu,“ na którego cele łożył do ostatniej chwili. Cześć ich pamięci i zasługom.

W r. ubiegłym członek protektor książę Witold Światopólk Czetwertyński złożył na rzecz Towarzystwa ponownie dar 1,000 rb., nadto Komitet kasy Mianowskiego przyznał pp.: Aleksandrowi Jabłonowskiemu i Janowi Kochanowskiemu zasiłek 600 rb. na cele wydawnictwa „Przeglądu Historycznego.“ Złożyli nadto dary mniejsze bądź w gotówce, bądź w udzielonych

bezinteresownie pracach dla „Przeglądu Historycznego“ pp.: d-r Franciszek Giedroyc, prof. Ludwik Gumpłowicz, ś. p. Adam hr. Krasiński, Aleksander Kraushar, d-r Antoni Prochaska i w. in. Wszystkim tym hojnym ofiarodawcom składa Zarząd Towarzystwa wyrazy wdzięczności, którą niewątpliwie i całe Towarzystwo podziela.

W ciągu r. 1908 odbyły się 4 miesięczne zebrania Towarzystwa, na których wygłoszono następujące referaty:

1. D. 26 lutego odczyt p. Wł. M. Kozłowskiego p. t.: Przedmiot i zadania filozofii dziejów.

2. D. 13 marca odczyt p. L. Meyet'a p. t.: O dacie urodzin Słowackiego.

3. D. 11 maja odczyt p. A. Kraushara p. t.: Pałac prymasowski w Warszawie.

4. D. 11 grudnia odczyt p. Wł. Konopczyńskiego p. t.: O przesileniu pieniężnym i sprawie reformy monetarnej za Augusta III.

Nadto Zarząd Towarzystwa postanowił urządzić serię odczytów, z których pierwszy p. T. Korzona p. t.: „Grunwald“ odbył się d. 21 grudnia 1908 r.

Działalność Towarzystwa, skierowana ku utrzymaniu „Przeglądu“, nie obeszła się bez pewnych ofiar. Było nią zmniejszenie, lubo nieznaczne, objętości czasopisma, aby ograniczyć jego koszta, — oraz określenie i zmniejszenie wydatków, z czasopismem złączonych. Jeżeli oszczędności te pozwoliły Zarządowi zamknąć w bieżącym roku rachunki bez deficytu, to jednak nie można myśleć, by system oszczędnościowy mógł być przez dłuższy czas—bez szkody dla jakości wydawnictwa—stosowany. Dziś już p. redaktor „Przeglądu“ domaga się podniesienia normy honoraryów autorskich, od których zależy stan teki redaktorskiej i odpowiedni dobór artykułów, do druku przeznaczonych.

„Przegląd Historyczny“ ukazał się w r. 1908 w dwu tomach, VI i VII, każdy o trzech zeszytach. Tom VI liczył 25 arkuszy druku, w czem było 10 prac oryginalnych, 5 sprawozdań z ruchu dziejopisarskiego, 2 miscellanea, nadto kroniki Towarzystwa i wiadomości redakcyjne; tom VII obejmuje 25 arkuszy, w czem było prac oryginalnych 10, sprawozdań 4 i miscellaneów 3. Ogółem 34 autorów zabierało głos w „Przeglądzie.“ Według treści poświęcono 19% miejsca historii średniowiecznej, 50% nowożytnej, pracom o treści ogólnej 6%, — historii polskiej 79%, obcej 21%. Na prace oryginalne przypadło ogółem 59% miejsca, na sprawozdania i recenzje 23%, na miscellanea 18%.

Widzimy stąd, iż stosunek procentowy prac, w „Przeglądzie“ drukowanych, utrzymał się mniej więcej w normie r. 1907. Zmienił się jednak dość znacznie na korzyść sprawozdań z literatury historycznej (z 10 na 23%).

Po wysłuchaniu i przyjęciu do wiadomości tego referatu oraz sprawozdania komisji rewizyjnej, przystąpiono do wyboru 2 członków Zarządu na wakujące miejsca. Wybranymi zostali pp. Józef Bojasiński i Wł. Konopczyński. Ten ostatni postawił wniosek, żądający od Zarządu Towarzystwa zajęcia się zainicyowanym przez niego projektem czytelni seminaryjnej. — Po dyskusji nad tym przedmiotem, p. d-r *Ignacy Baranowski* odczytał swój referat p. t.: „Stan gospodarczy Podhala w XVI i XVII w.“ następującej treści:

Najintensywniejsza kolonizacja Podhala przypada na wiek XVI, to jest na okres, w którym gospodarka w całej Polsce stała na nieznanym dotąd wysokości. W r. 1505 jest zaledwie 10 wsi w Nowatarnszczyźnie, w sześćdziesiąt lat później 19, w początku w. XVII w uszczuplonem starostwie jest już 36. Większość wsi założonych w w. XVI rozwinęła się samorzutnie z dworzysza, w przeciwieństwie do wsi z w. XIV, które powstały dzięki lokacyom. Kolonizacja wołoska w w. XVI była na Podhalu nieznaczna i odbiła swe piętno zaledwie na ustroju paru wsi, wsie stare osadzone ongi na niemieckiem prawie pod wpływem okolicznych osad polskich uległy już wówczas co do ustroju stopniowej asymilacyi. Obciążenie z łanu wynosi w r. 1504 na Podhalu do 47 $\frac{1}{4}$ gr., licząc w to czynsze, objezdne, pocztę, ryby i roboty, które przeważnie wtedy chłopci odkupywali. Ludność ma charakter ściśle rolniczy, pasterstwo w w. XVI niema szerszego znaczenia, z wyjątkiem zaledwie paru wsi, co dowodzi, że górale polscy, podobnie zresztą jak niemieccy chłopci w Alpach, osiadając w górach dopiero stopniowo przystosowywali swą gospodarkę do miejscowych warunków. W przeciwieństwie do innych okolic Polski, na Podhalu ludność wiejska pod względem społecznym jest jednolita, składa się wyłącznie z kmieci. Gospodarka folwarczna na Podhalu w w. XVI jest również jeszcze nie przystosowana do warunków miejscowych i opiera się na rolnej produkcji. W końcu wieku odczuwać się daje nawet prąd do rozszerzenia gospodarki folwarcznej, a co za tem idzie do zwiększenia pańszczyzn. Ucisk pańszczyźniany jest też na początku w. XVII tak silny, iż Podhale, nie znając przedtem pustek, ma całe wsie, które się rozbiegły „dla ciężkości.“ Na ogół też rezultaty gospodarze po folwarkach nie musiały być świetne, gdyż już w latach trzydziestych za rządów Tomasza Zamoyskiego zmieniono gruntownie system gospodarczy. Ludność Podhala zaczęła wtedy szybko wzrastać. Rolnictwo przestało być środkiem ciężkości gospodarki chłopskiej. Górale, posiadając olbrzymie lasy, zajmują się w w. XVII przemysłem leśnym, sieją dalej na większą skalę len i wyrabiają płótno. Owczarstwo znajduje się w rozkwicie. Gospodarka folwarczna jest również w drugiej połowie w. XVII racjonalniejszą. Chów bydła wybija się ponad produkcję rolną, na eksport produkuje się wyroby drzewne i włókniste, system czynszów tryumfuje zupełnie, pańszczyzn niema już na Podhalu.

Mało gdzie tak dobitnie odczuwa się związek między warunkami geograficznymi a dziejami społecznymi i gospodarczymi, jak na Podhalu, i to jest powodem, że właśnie badanie historii tego zakątka może mieć szersze naukowe znaczenie.

— TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZABYTKAMI PRZESZŁOŚCI. Walne doroczne posiedzenie T-wa opieki nad Zabytkami Przeszłości odbyło się w dniu 17 marca b. r. w wielkiej sali Stowarzyszenia Techników. Zagał posiedzenie wiceprezes T-wa p. Erazm Majewski, który w pierwszych słowach swoich wyraził w imieniu T-wa żal serdeczny z powodu śmierci zasłużonego prezesa T-wa ś. p. Adama Krasińskiego, a wykazawszy jego zasługi, jako obywatela kraju

i jako kierownika dotychczasowego rzeczonyj instytucyi w ciągu całego jej dwuletniego istnienia — wezwał zebranych do uczczenia jego pamięci przez powstanie. Potem poświęcił także gorące słowa innym zmarłym w czasie okresu sprawozdawczego członkom T-wa, a w szczególności b. p. Mathiasowi Bersohnowi, którego prace w zakresie badań nad sztuką mają poważne znaczenie.

Na przewodniczącego zebrania powołano jednogłośnie p. Adama Bonieckiego. Z przedłożonego na posiedzeniu sprawozdania rocznego okazuje się, że Towarzystwo ogółem w r. 1908 liczyło 878 członków, rozporządzało zaś 4,247 rb. 50 kop., stanowiącemi dochód w roku sprawozdawczym, a praca, jaką podjęło, stała się podwaliną na długie lata pod ideę konserwowania tego wszystkiego, co kraj z zamierzchłej przeszłości posiada godnego uwagi.

O tem, co Towarzystwo w ciągu niespełna dwuletniego swego istnienia zrobiło dla historii, świadczą następujące prace: przejrzenie projektu powiększenia kościoła w Bednarach w gub. warszawskiej; restauracja kościoła z XVI w. w Białej (gub. piotrkowska), sprawa zniesienia kościoła drewnianego z w. XVI w Białyminiu, gub. warszawskiej, restauracja kościoła na Bielanych, zbadanie kościoła z XIII w. w Błoniach (gub. warszawska), odślonienie cennych malowideł renesansowych w kościele drewnianym z XVI w. w Boguszycach (gub. piotrkowska), restauracja obronnego kościoła z XVI w. w Brochowie, projekt restauracji kościoła z XV w. w Brześciu Kujawskim, sprawa zniesienia zabytków budownictwa drewnianego z XIV w. w Brzeźnicy Nowej (miejsu urodzenia Długosza), Brzeźnicy Starej, Jedlnie i Stobiecku, konserwacja ruin zamku w Czersku, restauracja kościoła w Czerwińsku, dozór nad przebudową klasztoru Jasnogórskiego, sprawa odbudowania pomnika hetmana Żółkiewskiego pod Cecorą (gub. besarabska), dozór nad przebudową kościoła z XVI wieku w Dąbrowie Zielonej (gub. piotrkowska), dozór nad powiększeniem kościoła z XV wieku w Drzewicy (gub. radomska), restauracja kościoła z XVI w. w Głogowcu, przebudowa kościoła w Głuchowie, projekt powiększenia kościoła z XVII w. w Grodzisku, konserwacja ruin b. zamku biskupów krakowskich w Iłży, powiększenie kościoła z XVIII w. w Jastrzębiu (gub. piotrkowska), zachowanie pięknego sklepienia z XVI wieku w kościele w Jeżowie (gub. piotrkowska), zachowanie godnych uwagi malowideł ściennych w kościółku drewnianym w Kazimierzu nad Nerem, protest przeciw przebudowaniu kościoła z XVI wieku w Kowalu (gub. warszawska), zamierzona restauracja kolegiaty w Łowiczu, restauracja kolegium pojczuickiego w Łucku (gubernia wołyńska), projekt powiększenia kościoła w Mlinie (gubernia radomska), konsekracja ruin zamku Mendoga w Nowogródku, powiększenie kościoła fundacji Długosza w Odechowie (gub. radomska), restauracja ratusza w Pabjanicach, stanowiącego dawniej obronny zamek kanoników krakowskich, zabezpieczenie świątyni Sybilli w Puławach, restauracja kościoła farnego w radomskiem, restauracja kościoła św. Jakóba z w. XIII w Sandomierzu, restauracja kościoła starożytnego w Sobocie (gub. warszawska), sprawa kościoła w Strykowie, wreszcie w Warszawie gruntowne odnowienie kościoła N. M. Panny na Nowem Mieście, zamierzona restauracja kościoła pp. sakramentek i odcyszczenie i restauracja pomników w kościele św. Jana.

Na ogólnem zebraniu pod przewodnictwem p. Adama Bonieckiego zarząd Towarzystwa zdawał sprawę z tej świetnej swej działalności.

Po zatwierdzeniu sprawozdania i raportu komisji rewizyjnej, zarządzo-
no wybory, które dały wynik następujący:

Na członków zarządu i zastępców wybrano: Henryka Fukiera, Maryana Kuczyńskiego, Rajnolda hr. Przeddzieckiego, ks. Hipolita Skimborowicza, Kazimierza Stefańskiego, Edwarda Trojanowskiego, art. malarza, Łukasza Wol-
skiego i Jarosława Wojciechowskiego.

Na zakończenie zebrania p. Henryk Wierciński z Nałęczowa zdawał sprawę ze stanu kościoła z wieku XV w Wojciechowie, p. Jarosław Wojcie-
chowski zaś objaśnił, na podstawie zdjęć fotograficznych, dotychczasową dzia-
łalność Towarzystwa w kierunku ochrony najcenniejszych zabytków przeszłości.

— II. MIĘDZYNARODOWY KONGRES ARCHEOLOGICZNY. Pierwszy między-
narodowy kongres archeologiczny odbył się—jak wiadomo—przed trzema laty
(1905) w Atenach; drugi odbędzie się w kwietniu roku bieżącego (1909) w Kairze.
Na czele komitetu organizacyjnego stoi chedyw Abbas Hilmi, wicepreziden-
tami są: prezes rady ministrów Mustafa Pasza Felmi, minister oświaty Saad
Zaghlul Pasza. Członkami komitetu są: prezes instytutu egipskiego Jakub Pa-
sza Artin, dyrektor wydziału starożytności, profesor Gaston Maspero, dyrektor
niemieckiego instytutu archeologicznego Ludwik Borchardt, dyrektor mu-
zeum arabskiego Herz bej, dyrektor biblioteki chedywialnej Moritz, dyrektor
francuskiego instytutu archeologicznego Chassinat i jego zastępca Casanova,
egiptolog Piotr Lacau, konserwator muzeum grecko-rzymskiego w Aleksandryi
Breccia i kilku dygnitarzy miejscowych.

Ustanowiono sześć sekcji i dla każdej z nich wyznaczono program prac,
aby zachęcić członków do zajmowania się *przede wszystkim* zagadnieniami, do-
tyczącemi stosunków krajów klasycznych, Grecyi i Rzymu, z Egiptem. Oto
wykaz sekcji:

I. Archeologia przedklasyczna. Cywilizacye egejskie i myceńskie, ile
możności w związku z Egiptem; wpływ, jaki Egipt na nie wywierał i nawza-
jem, jakiego od nich doznawał w ceramice, złotnictwie i t. d.

II. Archeologia klasyczna. 1) Stosunki historyczne Egiptu z Grecyą od
czasu faraonów saickich do utworzenia się Cesarstwa Wschodniego; 2) sztuka
aleksandryjska; 3) literatura, nauka, filozofia aleksandryjskie.

III. Papirologia. 1) Rękopisy autorów klasycznych; 2) korespondencya
i dokumenty prywatne; akty sądowe.

IV. Archeologia religijna. Synkretyzm grecko-rzymski, hermetyzm, ju-
daizm i chrześcijaństwo w Egipcie do utworzenia się Cesarstwa Wschodniego.

V. Archeologia bizantyńska. 1) Egipt bizantyński, administracya, hi-
storia, zwyczaje, sekty religijne; 2) Egipt arabski w stosunkach z Cesarstwem
bizantyńskim; 3) sztuka koptyjska.

VI. Numizmatyka i geografia. 1) Numizmatyka grecka, rzymska i bi-
zantyńska w Egipcie; 2) geografia Egiptu grecko-rzymskiego; 3) wyprawy
handlowe i naukowe Aleksandryjczyków.

Życzyłoby należało większego udziału polskich uczonych w tym kongresie, niż przed laty trzema w Atenach; wymaga tego doniosłość zaznaczenia wobec świata naszej żywotności naukowej. Wkładka członkowska wynosi 13 franków; towarzystwa okrętowe zarządziły dla kongresistów znaczne ustępstwa, koleje egipskie zniżyły ceny jazdy do połowy, hotele w Aleksandryi i Kairze podały warunki niewygórowane. Wszelkich objaśnień dostarcza: „Commission du 2-me Congrès Archéologique international, au Musée Egyptien, au Caire (Egypte);“ pod tymże adresem trzeba posyłać zgłoszenia.

Tadeusz Smoleński,

sekretarz komitetu organizacyjnego w Kairze.

N O W E K S I A Ż K I.

— Literatura, odnosząca się do grodu podwawelskiego, zajmująca się jego przeszłością i zabytkami, rośnie z każdym rokiem, dając w ten sposób świadectwo niezwykłej u nas gorliwości w pielęgnowaniu zabytków, których jest tyle w Krakowie, i głębokiej czci dla dziejów tego grodu. Musimy tu zaznaczyć ukazanie się tomu XI wspaniałego wydawnictwa Towarzystwa miłośników historii i zabytków Krakowa, p. t. „Rocznik krakowski,“ wychodzący pod redakcją znakomitego historyka, jakim jest prof. Stanisław Krzyżanowski. P. Julian Pagaczewski dał tu monografię Baltazara Fontany, którego przepiękne stiuki i rzeźby są prawdziwą ozdobą wielu kościołów i domów krakowskich. P. Franciszek Klein pomieścił ciekawe studjum architektoniczne o kościele św. Anny w Krakowie, p. dr. Klemens Bąkowski zdaje sprawę ze swych studyów, badań i obserwacji nad podziemiami Wawelu, które dopiero teraz, dzięki ewakuacji i odnowie zamku, mogły być zbadane. Największą część tomu zajmuje nczone i bardzo cenne studjum p. Adama Chmiela nad „Pieczęciami miasta Krakowa, Kazimierza, Kleparza i jurydyk krakowskich do końca XVIII w.“ P. Adam Chmiel, jedyny może dziś, po śmierci prof. Piekosińskiego, sfragistyk w wielkim stylu polski, bada swój przedmiot z ogromną erudycją, pracowitością i znaną ostrożnością—jego studjum, jedyne w swoim rodzaju w literaturze naukowej polskiej, jest doskonałym wzorem dla każdego, któryby badaniami sfragistycznymi zajmować się pragnął. Wysoką kulturę artystyczną budowniczych krakowskich wykazuje niewielka praca p. Fr. Męczyńskiego p. t. „Ze starego Krakowa, Ulice, bramy sienie“—opatrzone 91 tablicami. Praca ta, głośna ze swego przyjęcia przez prasę krakowską, zasługuje na uwagę historyków, jako materiał pomocniczy, jako wreszcie materiał cenny przy pracach konserwatorskich, tak starannie w Krakowie robionych. Autor, badając śródmieście Krakowa, które stanowi całość architektoniczną doskonałą i indywidualną, poważną i stylową w swem zdobnictwie i dekoracji, przestrzega przed naporem nowoczesności, grożącej miastu przy rozszerzaniu przestrzeni zabudowanych. Przeprowadzenie głównej myśli przewodniej architektury krakowskiej, którą autor gorliwie i ze znanstwem wielkiem bada, winno być najważniejszą troską, a szczególży dekoracyjne winny się do niej dostrajać i współdziałać. Nie było zapewne w Polsce pracy konserwatorskiej większej, ważniejszej i na szersze zakreślonej ramy, jak odno-

wienie królewskiego zamku na Wawelu. Znane są dzieje odkupienia tego zamku przez kraj i plany odnowienia i zabezpieczenia przed ruiną. Grono konserwatorów Galicyi Zachodniej, które z urzędu miało się tą sprawą zająć, uzyskawszy znaczną pomoc od Sejmu, postanowiło poświęcić zamkowi wawelskiemu osobny tom swej publikacji p. t. „Tekę grona konserwatorów Galicyi Zachodniej.“ Tom I tego działu p. t. „Wawel“ wraz z ogromnym atlasem map, planów i rysunków właśnie się ukazał, obejmując „Zabudowania Wawelu i ich dzieje,“ przez d-ra Stanisława Tomkowicza. Dzieło to obejmuje historię średniowiecznego zamku na Wawelu, wraz z innymi budynkami świeckimi i kościelnymi, które stały na wzgórzu, a następnie historię budowy pałacu renesansowego, prowadzonej przez Franciszka Włocha, Franciszka della Lora, Benedykta Sandomierzanina, Bartłomieja Berecci, Mikołaja Cartiliona i in. D-r Tomkowicz wyzyskuje wszelkie dostępne mu źródła, by nie tylko przedstawić prace budowlane, prowadzone za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, lecz by przedstawić urządzenie wewnętrzne pałacu, wytworny gust Jagiellonów, tworzących sobie na Wawelu prawdziwie wspaniałą monarszą siedzibę. Smutniejsze losy późniejsze XVII — XIX w. d-r Tomkowicz opisuje dokładnie i szczegółowo; znajomość dobra losów budowy z tych czasów przy czyni się niewątpliwie do podniesienia oceny zamku renesansowego. Dla historyka, jak i dla historyka sztuki czy architekta, dzieło d-ra Tomkowicza przedstawi nieocenione znaczenie — wszyscy, którzy się interesują restauracją Wawelu, oddaną w troskliwe dłonie p. Zygmunta Hendla, po nakładzie pracy, jaką podjęło Grono konserwatorów Galicyi Zachodniej w tym kierunku, mogą być spokojni, że relikwia narodowa zachowaną zostanie dla potomności z powagą, troskliwością i umiejętnością, przynoszącą zaszczyt naszej sztuce i naszej nauce.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— **ATENEUM POLSKIE.** Listopad, grudzień. Fr. Bujak: Sprawa przemysłowienia Galicyi, I; — Antoni Lange: Wenedzi, Fragment z tragedyi; — St. Kutrzeba: Ideał i życie kobiety w Polsce wieków średnich; — Dr. Józef Buzek: Rozsiedlenie ludności polskiej i ruskiej w Galicyi, II; — Helena d'Abancourt de Franqueville: Z nad brzegu Lewanty, Portofino; — d-r Gustaw Roszkowski: O początkach kodyfikacji międzynarodowego prawa prywatnego w Europie; — Wł. Jabłonowski: T. Dostojewski wobec nowych prądów świadomości rosyjskiej; — Maryan Smoluchowski: Dwie książki z dziedziny „filozofii przyrody;“ — d-r Wł. Horodyski: Nauka o cywilizacji; — Emil Niebroj: Ruch narodowy w księstwie Cieszyńskim; — Leopold Wołowicz: Józef Gołuchowski; — Fakty i dokumenty, przez M. K.

— **BULLEIN INTERNATIONAL DE L'ACADEMIE DES SCIENCES DE CRACOVIE.** Classe de philologie. Classe d'histoire et de philosophie. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Philologische Klasse, Historisch-philosophische Klasse № 8 et 9, Octobre-Novembre, 1908, str. 117 — 137. (Roczna prenum. w Krakowie kor. 6, zeszyty po h. 80).

— Classe de sciences mathématiques et naturelles. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Mathematisch-natur-wissenschaftliche Klasse № 10, décembre, 1908, str. 1053—1093.

— KRONIKA DYECEZYI SANDOMIERSKIEJ. Styczeń. Jakie współpracownictwo jest nam potrzebne?—J. L.: Wolna miłość, jako propaganda pornograficzna; — Ks. W. Kosiński: Rzut oka na stan obecny Cerkwi Rosyjskiej; — J.: Co ma czynić kapłan katolicki, gdy go wezwą do umierającego akatolika?— Odezwa konsystorza do duchowieństwa w sprawie uregulowania Tercyarstwa;— Odezwa komitetu dyecezyalnego organizacyjnego Związku katolickiego do Kół parafialnych; — Ks. A. W.: Rok 1908 w życiu dyecezyi sandomierskiej (dok.); — A. Cwikliński: Odpowiedź ks. Kłopotowskiemu w sprawie przeciwdziałania mankietnictwu; — Xawer: Zawiadomienie konsystorskie o dyspensach — Zmiany duchowieństwa; — Nekrologia; — Bibliografia.

— Luty. Xawer: Kilka słów w sprawie wychodźstwa; — Ks. W. Kosiński: Rzut oka na stan obecny Cerkwi Rosyjskiej (c. d.); — Ks. Rokoszyński: Maryawici i potrzeba pracy społecznej ze strony duchowieństwa;—Swoi do swoich (Odezwa do Duchow. w sprawie Tow. Wzaj. Pom. kapłanów dyec. sand.);— Rozporządzenia władzy dyecezyalnej; — Bibliografia; — Nekrologia.

— KRYTYKA. Luty. Część pierwsza. (f): Czy się odradzamy?—M. Markowska: Wigilie. Przyjdę...; — d-r Wł. Gumplowicz: O pojęciu cywilizacji;— d-r Adolf Gross, poseł do Rady Państwa: W sprawie żydowskiej; — A. Wrzesień: Poezya więzienna;—Junius: Współcześni politycy polscy, II. Jan Stapiński;—S. J.: Nadprowokator; — Przegląd prasy społeczno-politycznej; — K. Este: Listy z Królestwa;—Skiba: Ruch kobiecy; — Junius: Z trzech zaborów;—Dwa zjazdy młodzieży;—Sprawozdania z nowości wydawniczych. Część druga. Leopold Staff: Odbicie w wodzie. Kiedy spotykam cię... Pszczoła. Skarb mój... Obudził mnie dziś rano... Duszy tęsknica... Poezye;—Bolesław Wallek-Walewski: Muzyka polska w analizie i syntezie literackiej; — M. Sobeski: Przędziwo Arachny;—Kaz. Rychłowski: Przekłady z nowszej poezji francuskiej;—Wł. Orkan: Wesele Prometeusza;—W. Feldman: „Współczesna literatura polska“ w oświetleniu krytyków i pseudo-krytyków;—St. Pieńkowski: „Matejko“ Stan. Witkiewicza;—Stanisław Lack: Wspomnienie;—Bohdan Ł.: Listy ukraińskie; — Przegląd d-ra L. Z.: Dziesięciolecie „Przeglądu Filozoficznego;“ — Maskaron: Życie artystyczne we Lwowie; — J. Kleczyński: Życie artystyczne w Warszawie; — Masque: Teatr poznański i (x): Teatr krakowski; — Sprawozdania;—Nowe powieści.

— MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY. Styczeń. D-r Stanisław Kutrzeba: Przyczynki do teorii runicznej;—d-r Adam Bogusz: Mikołaj Bogusz z Kościelca;—d-r Juliusz Dunikowski: Metryki (Limanowa);—Sprawozdania i recenzje;—Zagadnienia i odpowiedzi; — Sprawy Towarzystwa; — Książki i pisma, nadesłane redakcyi;—Pokwitowania z uiszczonych kwot.

— MUZEUM. Styczeń. Spis rzeczy Muzeum rocznika XXIV, t. II; — Do naszych czytelników;—Smutne refleksye — Łopuszczański T.: Ministeryalne reformy szkoły średniej; — Bostel F.: Egzaminowanie i klasyfikowanie; — Oceny

i sprawozdania przez M. Piekarskiego, d-ra R. Jamrógiewicza, L. Wołowicza i St. Matzkego;—Z czasopism;—Wiadomości bieżące;—Wiadomości bibliograficzne;—Sprawy Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych.

— PORADNIK JĘZYKOWY. Luty. I. Kazimierz Nitzsch: Z badań nad językiem polskim;—II. Zapytania i odpowiedzi (16—22);—III. Pokłosie, przez O. N. G. i B. Dyakowskiego;—IV. Roztrząsania, przez ks. Zen. Tarnawskiego;—V. Objasnienia odpowiedzi z „Kuryera Warszawskiego;“—VI. Nowe książki (Słowniczek rusycyzmów), przez R. Z.;—Korespondencya redakcyi.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. Zesz. IV. 1908. D-r Ludwik Zengteller: Pogląd J. St. Milla na przyczynowość (dok.);—d-r J. Kodisowa: „Ewolucya twórcza“ Bergsona;—d-r Ada Silberstein: Współczesna estetyka eksperymentalna (dok.);—prof. d-r M. Straszewski: d-ra M. Wartenberga „Argument idealistyczny w krytyce materyalizmu;“—Trzeci kongres międzynarodowy filozoficzny, przez d-ra Wł. M. Kozłowskiego;—Autoreferat. D-r A. Stögbauer: Tłómaczenie „O wolności ludzkiej woli“ Schopenhauera;—Z posiedzeń naukowych;—Z czasopism;—Wiadomości bieżące.

PRZEGLĄD NARODOWY. Luty. Z. Balicki: Przesilenie duchowe;—Władysław Konopczyński: Z dziejów naszej partyjności;—W. Lutosławski: Religia w życiu narodów (dok.);—Al. Czechowski: Ewolucya polityczna w Poznańskiem;—J. Oksza: Z młodzieńczych lat Stan. Wyspiańskiego;—A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich;—B. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy;—Bibliografia.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

AGOSTINO DA MONTEFELTRO O.: Konferencye i kazania wielkopostne. T. II. Jezus Chrystus i prawda chrześcijańska. Kraków, 1909. Nakł. konwentu Braci Mniejszych. 8-o, str. 220.

DANVILLE GASTON: Magnetyzm i spirytyzm. Przełożył K. Drzewiecki. Warszawa, 1908. Wydawnictwo Bibl. Naukowej. 8-o, str. 112.

LUTOSŁAWSKI WINCENTY: Rozwój potęgi woli przez psychofizyczne ćwiczenia. Według dawnych aryjskich tradycy, oraz własnych swoich doświadczeń, podaje do użytku rodaków... Warszawa, 1909. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XXXIX + 192.

PERY MAKSYMILIAN, D-R PROF., d-r filoz. i med., b. prof. antropologii uniw. w Bernie. Dowody istnienia świata duchowego, do którego wstępujemy po śmierci. Kraków, 1909. Wyd. „Więcej światła.“ 8-o, str. 108 + 1 nrb.

RUBIN S., D-R: Die Elemente Wasser und Feuer in der symbolisch-mystischen Literatur. Podgórze, 1909. Verlags-Kommission von F. H. Wetstein. (Po hebrajsku). 8-o, form. podłużny, str. 26.

— Theologischer Dualismus in unserer mystischen Literatur. Podgórze, 1908. Verlags-Kommission von F. H. Wetstein. (Po hebrajsku). 8-o, format podłużny, str. 57.

SZECH ANTONI: Religia ludzkości. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księgarni L. Biernackiego. 8-o, form. podłużny, str. 31.

H I S T O R Y A.

BARANOWSKI IGNACY TADEUSZ: Podlasie w przededniu Unii Lubelskiej. Odbitka z „Przeglądu Historycznego“ tomu VII. Warszawa, 1909. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 69.

CIESZKOWSKI STANISŁAW: Aleksander I a konstytucya. Z portretem autora. Warszawa, 1909. Księg. St. Sadowskiego. Nowości Literackie. T. X. 8-o, str. 115.

GŁOGER ZYGMUNT: Księga rzeczy polskich. Opracował... Wydanie wznowione. Kraków, 1909. Nakł. księg. Ludowej K. Wojnara. 8-o, str. 537.

H. ST.: Czego historia nauczyć nas może? Wstęp do dzieła „Christianism and Modern Civilisation“ by William Samuel Lilby, Honorary Fellow of Peterhouse, Cambridge. Przekład z angielskiego... Warszawa, 1909. Skład gł. w księg. M. Szczepkowskiego. 8-o, form. podłużny, str. 47.

KRČEK FR. D-R: Teorya Peiskera o niewoli prasłowiańskiej w świetle krytyki. Lwów, 1909. Odbitka z „Kwartalnika Historycznego,“ t. XXII, zeszyt IV. 8-o, str. 20.

MIASKOWSKI KAZIMIERZ, D-R Ks.: Piotr Wedeliciusz z Obornik. Napisał... Odbitka z XXXIV Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego. Poznań, 1908. Nakł. Tow. Przyj. Nauk. Pozn. 8-o, str. 44.

MONOGRAFIE w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom VII — VIII. Polska w dobie wojny Siedmioletniej. Część I. 1755—1758. Przez Władysława Konopczyńskiego. (Z zapomogi Kasy im. Miąnowskiego). Warszawa, 1909. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. XVII + 548.

MOŚCICKI HENRYK: Sprawa włościańska na Litwie w pierwszej ćwierci XIX stulecia. Warszawa, 1908. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 38.

ROLLE MICHAŁ: Z minionych stuleci. Szkice historyczne i literackie. Lwów, 1908. Nakładem księg. Gubrynowicza i Schmidta. 8-o, 4 karty nlb., str. 384.

SEMKOWICZ WŁADYSŁAW: Władcy polscy na tle porównawczem słowiańskim. Lwów, 1909. H. Altenberg. Odbitka z „Kwartalnika Historycznego,“ zesz. IV, z r. 1908. 8-o, form. duży, str. 83.

SPRAWOZDANIA z posiedzeń Tow. Naukowego Warszawskiego. Styczeń. Zeszyt I. Warszawa, 1909. Nakł. Tow. Nauk. Warsz. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł). 8-o, str. 25 + II.

SZELAŃGOWSKI ADAM: Najstarsze drogi z Polski na Wschód w okresie bizantyjsko-arabskim. Z mapą. Kraków, 1909. Ak. Um., nakł. funduszu Nestora Bucewicza. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. IX + 145 + 1 nlb.

TARLIŃSKI ZYGMUNT, D-R: Rozwój i zakres władzy hetmańskiej do jej reformy w XVIII wieku. Tarnów, 1908. Nakładem funduszu naukowego. 8-o, str. 31.

HISTORIA LITERATURY.

ARCYDZIEŁA POLSKICH I OBCYCH PISARZY. Tom 59. Sofokles: „Król Edyp,” przekład Kaz. Kaszewskiego, opracował d-r Stefan Brablec (str. 97);—tom 60. Gustaw Zieliński: „Kirgiz,” opracował d-r Stanisław Zathy (str. 56);—tom 62. Sofokles: „Edyp w Kolonie,” przekład K. Kaszewskiego, opracował prof. d-r Adolf Bednarowski (str. 103);—tom 63—64. Juliusz Słowacki: „Baldadyna,” opracował prof. d-r Wiktor Hahn str. 207;—tom 65—66. Juliusz Słowacki: „Kordyan,” opracował Kazimierz Zimmerman (str. 157);—tom 67. Edmund Wasilewski: „Wybór Poezji,” opracował d-r Stanisław Zathy (str. 96). Brody, 1908. Nakładem i drukiem księgarni Feliksa Westa. Warszawa, E. Wende i Sp.

BELCIKOWSKI JAN: Leon Tołstoj. Warszawa, 1908. Księg. St. Sadowskiego. „Nowości Literackie.” Tom V. 8-o, str. 171.

BYSTRZYCKI JAN, PROF.: Pierwszy pisarz polski Mikołaj Rej z Nagłowic 1505—1569. Kraków, 1908. Nakł. Koła VI. T. S. L. Odczyty popularne. Serya I. VII. 8-o, form. mały, str. 39.

FELDMAN WILHELM: Pro domo et pro arte. Polemika z powodu „Współczesnej literatury polskiej.” Kraków, 1909. Nakł. wyd. „Krytyki.” Odbitka z „Krytyki.” 8-o, str. 42.

GRABOWSKI TADEUSZ, D-R: Juliusz Słowacki, jego życie i charakter na tle współczesnej epoki. Napisał... Część I, Młodość 1809—1836. Warszawa, 1908. Wyd. M. Arcta. Ks. dla wszystkich № 434. 16-o, str. 164.

JELLENTA Cezary: Cypryan Norwid. Szkic syntezy. Stanisławów, 1909. Nakł. księg. p. f. A. Staudacher i Sp. (Maryan Haksler). Warszawa, E. Wende i Sp. Literatura i sztuka, t. VII. Monografie. 4-o, form. mały, str. 107.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1909.

FILOZOFIA.

ZE ŚWIATA MYŚLI,—przez <i>Maryę Zieleviczównę</i>	Str. 303
---	----------

HISTORIA.

SZKOŁA BATINIOLSKA W PARYŻU,—przez <i>Hel. Romer-Ochenkowską</i> . . .	63
KOŚCIÓŁ KATOLICKI POD RZĄDAMI KATARZYNY II,—przez <i>Ma- cieja Loreta</i>	263 i 434
IGNACY POTOCKI,—przez <i>Br. Dembińskiego</i>	480
ARCHIWUM FILOMATÓW,—przez <i>J. Kallenbacha</i>	513

SZKICE POLITYCZNE.

GUBERNIA CHEŁMSKA,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	213
BOSFOR I DARDANELLE,—przez <i>Bronisława Bouffalta</i>	324 i 537
DZIAŁALNOŚĆ PAŃSTWOWA WOBEC POTRZEB KRÓLESTWA POL- SKIEGO,—przez <i>W. Grabskiego</i>	566

WIZERUNKI.

Ś. p. ADAM HR. KRASIŃSKI	1
------------------------------------	---

SPRAWY SPOŁECZNE I EKONOMICZNE.

Z LUDEM—DLA LUDU,—przez <i>Z. Dębickiego</i>	7
PIERWIASTKI MORALNE W ŻYCIU SPOŁECZNYM,—przez <i>Władysław sława Borowskiego</i>	86

L I T E R A T U R A.

STELLA (powieść),—przez <i>Antoniego Gawińskiego</i>	36, 231 i 460	<i>Str.</i>
OSTATNIE STROFY POEMATU „PAN BALCER W BRAZYLIJ”,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>		421

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	101
Z WYCIECZKI PO WYSTAWACH,—przez <i>d-ra Józefa Flacha</i>	122
PRAGNIENIA I RZECZYWISTOŚĆ,—przez <i>Wł. Bogusławskiego</i>	149
AUTOR „KIRGIZA”,—przez <i>Henryka Gallego</i>	286
EDGAR POE,—przez <i>M. Rakowską</i>	355
SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	372
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	522

ZARYSY ETNOLOGICZNE.

PLEMIONA PIERWOTNE WSCHODNIEJ SUMATRY,—przez <i>K. Stolyhwę</i>	501
---	-----

K R Y T Y K A.

WŁADYSŁAW MICKIEWICZ: „Emigracja polska (1860—1890)”,—przez <i>H. Mościckiego</i>	174
FR. BUJAK: „Z dziejów wsi polskiej”,—przez <i>d-ra Ignacego Baranowskiego</i>	179
WIERZBOWSKI T.: „Protokóły posiedzeń Towarzystwa do ksiąg elementarnych 1775—1792”,—przez <i>I. B.</i>	181
TADEUSZ GRUŻEWSKI: „Kryzys państwowy Rosyi”,—przez <i>Wacława Dunina</i>	183
D-R MICHAŁ WYROSTEK: „Urządzenia polityczne Szwajcaryi”,—przez <i>Wacława Dunina</i>	185
„Z korespondencji Aloizego Orchowskiego.” Dodatek naukowy i literacki do XXXVIII-go „Sprawozdania z zarządu Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu” za r. 1907, przez <i>H. Mościckiego</i>	388
D-R K. NIEDZIELSKI: „Rys dziejów Księstwa Warszawskiego.” Część I i II,—przez <i>H. M.</i>	392
LUCYAN RYDEL: „Ferenike i Pejsidoros”,—przez <i>Z. D.</i>	394
JAN LORENTOWICZ: „Młoda Polska I”,—przez <i>Z. D.</i>	396
ZUZANNA RĄBSKA: „Zanim światła pogasną”,—przez <i>Z. D.</i>	399
IGNACY KRASICKI: „Satyry i listy”,—przez <i>H. M.</i>	600

DR. L. KOLANKOWSKI: „Kościół a Cerkiew w Galicyi wschodniej,” — przez <i>H. M.</i>	601
DR. HELENA LANDAU: „Zarys ekonomii społecznej,”—przez <i>W. Dunina</i> .	602
WERNER SOMBART: „Socjalizm i ruch społeczny,”—przez <i>W. D.</i>	605
STANISŁAW OSADA: „W Dniach Nędzy i Zbrodni,”—przez <i>Izę Pobóg</i> . . .	607

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Młodzież a polityka. — Rok Słowackiego.—Zamknięcie „Izraelity.”— Odezwa Towarzystwa kursów naukowych. — Projekt Instytutu higieny krajowej	188
--	-----

LUTY:

Rozkład moralny. — Z chwili. — Polemiki literackie i naukowe . . .	401
--	-----

MARZEC:

Obrona ziemi. — Ze stosunków polsko-litewskich w dyecezyi wileń- skiej. — Towarzystwo emigracyjne.—Kółka rolnicze im. Staszica.—Projektowane wystawy przemysłu krajowego	613
--	-----

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Adam Belcikowski i ś. p. Władysław Nehring,—przez <i>Z. D.</i>	202
Ś. p. Erazm Jerzmanowski, ś. p. Mieczysław Karłowicz i ś. p. Zygmunt Przybylski,—przez <i>Z. D.</i>	411
Ś. p. Konstanty Górski i ś. p. Teodor Dunin,—przez <i>Z. D.</i>	626

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ	205
LUTY	414
MARZEC	629

DODATEK „PRACA.”

PRZY ZESZYCIE LUTOWYM (№ 1): „Uzdrowotnienie Warszawy w przebie- gu historycznym i stan obecny głównych urządzeń zdrowot- nych,”—przez <i>inż. Emila Sokala</i> .
PRZY ZESZYCIE MARCOWYM (№ 2): „Rys historyczny wystaw w Królest- wie Polskiem i szkic projektu planowej ich organizacyi na przyszłość,”—przez <i>Stanisława Wojciecha Tylickiego</i> .